

CYRYL SONE

ŚWIAT CI
NIE
WYBACZY

SERIA KRYMINAŁÓW O PROKURATORZE
KONRADZIE KROONIE

CYRYL SONE

ŚWIAT CI
NIE
WYBACZY

znak
koncept
Kraków 2023



CZĘŚĆ PIERWSZA
RZEŻ PIERWORODNYCH

PROPHETA

Skąpany w srebrzystej poświacie księżyca mężczyzna przypominał bardziej upiora niż rzeczywistą osobę. Stojąc na skraju lasu, obserwował, jak czarny volkswagen z ogromnym impetem wbija się w barierkę, okręca wokół własnej osi i z przeraźliwym hukiem ląduje w rowie.

Dokonało się.

– *Liberati autem a peccato, servi facti estis iustitiae* – zaintonował nieznajomy. „A uwolnieni od grzechu, oddaliście się w niewolę sprawiedliwości”¹.

Świat zatrzymał się na chwilę w miejscu. Propheta żył poza czasem; jego myśli, percepcja i jaźń sięgały dalej niż początek i koniec. „Doznał zachwycenia w dzień Pański, posłyszał za sobą potężny głos jakby trąby mówiącej: «Co widzisz, napisz w księdze i pošlij siedmiu Kościołom: do Efezu, Smyrny, Pergamonu, Tiatyry, Sardów, Filadelfii i Laodycei»”².

Nieznajomy wsparł się o konar stuletniego dębu. Spoglądał na drogę, obserwował samochód rozpięty na cienkiej linii łączącej widzialne i niewidzialne. Boski plan stworzenia objawiony samotnemu wędrowcowi. Propheta. Posłany, by świadczyć o prawdzie. Posłany, by wymierzać sprawiedliwość.

Ktoś zadzwonił po karetkę. Szybki telefon na numer alarmowy, wyzwanie rzucone śmierci. Może jeszcze nie jest za późno? Może choć raz uda się oszukać los?

Wszystko zostało już zapisane. Propheta, czyli prorok. Ten, który przemawia w imieniu Boga. Który poznał jego plan.

– *Quicumque enim sine lege peccaverunt, sine lege peribunt* – osądził mężczyzna. „Bo ci, którzy bez Prawa zgrzeszyli, bez Prawa też poginą”³.

Smukła sylwetka odzianego w jasne liturgiczne szaty Prophety kontrastowała z ciemną ścianą lasu. Przekrwione oczy nie miały tęczy ani źrenic; martwy wzrok, zmęczony widokiem grzechu.

Mężczyzna widział znacznie więcej niż inni.

Świat przystanął na chwilę, by westchnąć nad kolejną zbrodnią. Spojrzał na Prophetę, tkwiącego samotnie pośród wrzeszczańskiego lasu.

Nieznajomy opadł z sił. Jego oczy wróciły do normalnej postaci, ciałem wstrząsnęły dreszcze. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Każda kolejna wizja kosztowała go coraz więcej energii.

– *Pater, si vis, transfer calicem istum a me; verumtamen non mea voluntas, sed tua fiat.* – Zapłakał, przerażony tym, co jeszcze musi uczynić. „Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich! Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie!”⁴.

Świat przyglądał się z zainteresowaniem umęczonej postaci Prophety, który z wolna dreptał w stronę pobliskiego sanktuarium. W oddali słyhać już było odgłos karetki. Świat dostrzegł kilka pozornie nieistotnych szczegółów, paru przypadkowych bohaterów, kolory i kształty, garść niknących pośród zapachu babiego lata wskazówek. Zaśmiał się pod nosem i ruszył przed siebie. Bo przecież cokolwiek by się stało, świat i tak zawsze pójdzie swoją drogą. Ale nigdy ci nie wybaczy.

Rozdział 2 | Wrzesień

KLAUDIUSZ

Ekipa dochodzeniowo-śledcza przyjechała na miejsce wypadku chwilę przed wschodem słońca. Ulica Słowackiego stanowiła jedną z ważniejszych przelotówek; główną drogę prowadzącą z centrum Wrzeszcza na gdańskie lotnisko.

– O proszę, ładnie się wyłożył – ocenił z miną znawcy sierżant Marek Łopiejko, funkcjonariusz Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego III Komisariatu Policji w Gdańsku.

– Za szybko. Dokąd oni się tak spieszą? – dodał technik kryminalistyki, wyciągając ze srebrnego fiata ducato urządzenie do pomiaru odległości.

Strażacy zablokowali całą jezdnię. Ruch w obie strony skierowano drugą nitką; z napięciem oczekiwano startu codziennej rutyny, która tysiącom kierowców nakazywała tkwić w korku w drodze do miasta, w drodze za miasto, w drodze na skraj marzeń, szans i rozczarowań. Do pracy, szkoły, lekarza, żony, kochanki, banku, apteki, marketu. Wielkie Wędrówki Ludów. Telefon przy uchu, zmęczony dzieciak na tylnym siedzeniu. „Mówiłem ci, żebyś wcześniej poszedł spać! I zostaw ten tablet!”

– Zaczyna się robić gorąco – stwierdził policjant z drogówki, spoglądając na nieco zdenerwowanego kierowcę próbującego pospieszyć innego uczestnika ruchu.

Lubimy oglądać wypadki komunikacyjne z sąsiedniego pasa; Poradnik Niezawodnego Gapia poleca wyłączyć na chwilę silnik, odpalić nachosy i wspomóc duchowo funkcjonariuszy w wykonywaniu czynności służbowych. Nic to, że blokujemy drogę. Nic to, że tworzy się korek. My tworzymy historię. Tu i teraz.

– Ładnie się wyłożył – powtórzył sierżant Łopiejko, spoglądając na wrak pojazdu.

Na ziemi sporo potłuczonego szkła, jasnobrunatne grudki sorbentu. Znakomicie pochłania ciecze, zapobiega wyciekom i skażeniu substancjami chemicznymi. Strażacy uwielbiają sypać sorbent.

– Będzie biegły? – spytał policjant z drogówki.

Łopiejko pokręcił głową.

– Dyżurny nie mógł go wydzwonić. Zresztą, banalna sprawa. Noga prosta w kolanie, za duża prędkość...

– No i dobrze. Sprawniej pójdzie. Cykajcie szybciej te foty, bo zaraz zjedzie laweta. Musimy odblokować jezdnię.

Technik czuł presję czasu. Teoretycznie policja mogła zajmować drogę tak długo, jak było trzeba. Z drugiej strony czasem jakiś wnerwiony polityk, któremu uciekł samolot, dzwonił do komendanta, ten do naczelnika... Bez zbędnej zwłoki. Nie dało rady tego zrobić szybciej?

– Jechali jacyś pasażerowie? – spytał Łopiejko.

Policjant zaprzeczył.

– Tylko kierowca. Niejaki Klaudiusz Lewandowski. Karetka zabrała go do szpitala. Koleś jest w śpiączce, ale może przeżyje.

Do funkcjonariuszy zbliżył się strażak. Młody chłopak, dopiero zaczynał swoją przygodę ze służbą.

– Czekamy na prokuratora?

Łopiejko splunął na ziemię. Spisywał właśnie protokół, długopis przestał działać, musiał poślinić wkład. Serio tak się robi? Czy to coś daje? Nie daje.

– Prokuratorzy jeżdżą tylko do wypadków śmiertelnych – wyjaśnił dochodzeniowiec. – No i do zbrodni. A tu przecież nikt nikogo nie zamordował...

MAJA

Pół roku pracy w patrolu i w końcu *bang!* Zapraszamy do nas, pani Maju. Pion kryminalny. *Crème de la crème* policyjnej służby. Zawsze pod bronią, żadnego munduru, praca na ulicy. Nie trzeba dużo pisać, można pobiegać po mieście, postraszyć, pokrzyczeć, pomachać blachą.

Maja Gan, rocznik dziewięćdziesiąty dziewiąty. Absolwentka studiów inżynierskich na Politechnice Gdańskiej, świeżo upieczona wychowanka Szkoły Policyjnej w Słupsku. Wysportowana, średniego wzrostu, kolana nieznacznie zrotowane do środka. Na policzkach lekkie piegi, delikatny makijaż, zaczesane do góry, dość grube brwi. Jasnobrązowe włosy spięte w koński ogon. Dziewczyna z sąsiedztwa. Fajna laska.

– Stary, masz przewalone. Trafiłeś na Kroona – mruknął kierujący samochodem policjant. Coś koło pięćdziesiątki, doświadczony, odliczał dni do emerytury.

Jechali nieoznakowanym radiowozem w stronę jednej z gdańskich prokuratur. Maja Gan, starszy aspirant Jacek Domański, no i on. Piotr Walczak, podejrzany.

– Niby czemu? – dopytała Maja. Coś niecoś obito jej się o uszy, ale lubiła wiedzieć. Majka od zawsze lubiła wiedzieć.

– No, to jest największy skurwiel w całym Wrzeszczu. Trochę popracujesz, to się przekonasz – rzucił zdawkowo Domański.

– Przecież kryminalni nie współpracują bezpośrednio z prokuratorami.

– Nie współpracują – przyznał jej rację policjant. – Ale jak Kroon się w coś wkręci, to ci nie odpuści. Zamęczy naczelnika dochodzeniówki, a ten w końcu da numer bezpośrednio na twoją komórkę. Miałem kiedyś taką sprawę. Niby prosty włam, koleś zajmował coś z Biedry, właściwie to umiłowal sobie dyskonty. Dostał od nas trzydzieści zarzutów, dochodzeniowcy go obrobili, numerek trzaśnięty. I nagle telefon, nieznanym numer. „Dzień dobry, prokurator Kroon”. I leci wiązanka. Że nie było żadnych dowodów, że jak on ma oskarżyć na notatce itede, itepe.

– Przecież my się nie zajmujemy protokołami – zdziwiła się Majka. – To robią dochodzeniowcy.

Domański odkasznął. Mógł tyle nie palić.

– No nie zajmujemy... Ale Kroon zrobił taką borutę, że tydzień biegałem po mieście i szukałem świadków. „Pan byłeś taki mądry, żeby walić zarzuty, to teraz sobie popracujesz”.

– Ale jak to, po prostu wydał polecenie służbowe?

– Po prostu, Majka... Z Kroonem się nie dyskutuje. I tyle w temacie.

KONRAD KROON

Konrad Kroon nie przypominał typowej postaci z książek Arthura Conana Doyle’a. Miał genialny umysł, to fakt. Umiał oddzielać rzeczy istotne od błahych, rzadko kiedy zdarzało mu się coś spartolić. Brał do ręki akta i wiedział, co należy zrobić. Mógłby być jednym z lepszych śledczych w Polsce. Ale wybrał inną drogę.

Wiele lat temu Konrad przysiągł nigdy nie awansować. Nie poświęcił się pracy, nie założył rodziny ani nie stworzył normalnego związku. Świadomie zdecydował się wieść przeciętne życie, wypełnione w znacznej mierze pustką. Praca pozwalała mu zabijać czas. Kroon bronił się jednak, by nie dać się jej uwieść. By nie usłyszeć tego cichutkiego głosu z tyłu głowy, który nakazałby mu się zatracić w świecie zbrodni. Widział papiery, metry dokumentów, stosy makulatury. Widział rozwiązanie problemu, czynności do wykonania, dowody do przeprowadzenia. Nie chciał widzieć niczego ponad to.

Zeszłej jesieni na krótką chwilę udało się go wybudzić z tego snu. Na kilka dni Konrad Kroon odzyskał sens życia, pozwolił, by jego cudowny szósty zmysł prowadził go przez świat pełen zagadek i tajemnic. Ten krótki zryw zakończył się równie niespodziewanie, jak się pojawił. Kroon wrócił do zwyczajowej roli zmęczonego życiem aroganta. Ale świat nie planował mu tego wybaczyć.

*

O doprowadzeniu poinformowali go z samego rana. Kryminalni od kilku dni namierzali dziuplę z samochodami, dwa dni temu zrobili najazd na fikcyjny warsztat samochodowy. Przesłuchali kilku pracowników, zatrzymali głównego pasera. Czterdzieści osiem ziaren piasku przesypanych przez klepsydę sprawiedliwości. Czterdzieści osiem. Czterdzieści osiem godzin.

– Co tak długo? – spytał Walczak, siedząc pod drzwiami gabinetu. Kajdanki spięte z tyłu; policjanci chcieli nauczyć go pokory.

Piotrek przysiągł sobie, że nie sypnie. Zamierzał grać twardziela. Pierwsze rozczarowanie pojawiło się już w momencie zatrzymania, kiedy przez przypadek zlał się w gacie. Zapukali do niego z samego rana, miał jeszcze pełen pęcherz. Kryminalni pokazali mu kilka sztuczek z krav magi, leżał na zimnej podłodze w samych bokserkach, później jeszcze trochę przepychanek. Popuścił.

Radiowóz wyłożono specjalną folią, nie chcieli, żeby im wszystko zasikał. Kazali trzymać, aż dojadą na komisariat. Poranki były chłodne, a on w samych gaciach i flanelowej koszuli. Nie wolno tak traktować osób zatrzymanych, ale z drugiej strony samochodów też nie można kraść. Miał farta, że nie zwinęli go

w styczniu.

Trzymał gębę na kłódkę; gęba została nieco obita. Piotrek nie był chłopakiem z siłowni, miał dwadzieścia kilka lat, dopiero zaczynał swoją przygodę z paserką. Pamiętał, że nigdy nie wolno się do niczego przyznawać, bo skończy się jak Jakimowicz. Pamiętał, by nie gadać z psami, bo pewnie nie mają dowodów, gówno mu zrobią, a poza tym honor gangstera, nie chciał być tym szczurem, o którym mówi słynny artykuł sześćdziesiąty. *Po prostu zamknij ryj i nic nie mów.*

Dość szybko zaczął gadać. Oczywiście się nie przyznał, nikogo nie wsypał, ale opowiedział im dużo. Sporo kłamał, starał się zaprzyjaźnić. Łatwo zgrywać kozaka, podrywając w ciepłą letnią noc laski na Ulicy Elektryków. Przyjemnie zgrywać twardziela, stawiając nieznanym dziewczynom aperolki, wymachując zielonymi euro; w kieszeni pliki zagranicznych banknotów zwinięte w rulonik, związane gumką. Trudniej odgrywać swoją rolę na premierze spektaklu w Teatrze Wielkim.

Jego pierwszy dołek. III Komisariat Policji w Gdańsku, ulica Biała. Za milicji obiliby mu twarz do koloru dojrzalego buraka. Za demokracji jedynie go poszturchali.

– Ładny z ciebie chłopak. Buźka taka amerykańska – pochwalił kryminalny. – Jesteś trochę bi?

Osobiste pytanie.

– Nie, ja tylko laski – odpowiedział.

– No, ale w dupę na pewno kiedyś brałeś.

– Nie. – Speszył się.

Policjant zarechotał.

– Nawet palca w dupę? Zalewasz. Serio, żadna laska nie wsadziła ci nigdy palca w dupę?

Piotrek czuł się zażenowany. Cenił żarty z seksu, ale w innych okolicznościach.

– No nie – bąknął.

Kryminalni spojrzeli na siebie wymownie.

– Słuchaj, każdy facet lubi palec w dupę. W tym nie ma niczego gejoskiego.

– Ale ja naprawdę nie...

– No to, kurwa, szkoda! – ryknął policjant. – Bo jak cię na Kurkową zwieziemy, to ci wyćwiczą odbyt tak, że będziesz sobie mógł w nim telefon trzymać. Kumas, leszczu?

Płaski na twarz. Dziurkacz w małżowinę uszną. Cholerny ból.

– Mój kolega grzecznie o coś spytał! Głuchy jesteś?

– Co?

Znowu fanga w policzek.

– Nie mówi się „co”, tylko „słucham”! Mama cię nie nauczyła?! Kim jest, kurwa, Fergus?! Co o nim wiesz?!

– Fer... – powtórzył chwilę przed tym, zanim poczuł na ustach spoconą dłoń umięśnionego funkcjonariusza. Wsadził mu do ust wszystkie pięć palców, chwycił za język i zaczął ciągnąć.

– Długo mam tak się prosić?!

Chciał odpowiedzieć, ale z dłonią w ustach nie mógł wydobyć ani słowa.

– Nie umiesz mówić? A może przeszkadza ci moja ręka?

– Lepiej się przyzwyczaj – rzucił inny funkcjonariusz. – Niedługo będziesz miał pałę na dobre przyspawaną do mordy.

Tak mogłoby wyglądać przesłuchanie na komisariacie, gdyby policjanci byli nieco bardziej porywczy. Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Bo przecież nie tak dziś wyglądają zatrzymania. Piotr Walczak również nie zeznał, by stała mu się jakakolwiek krzywda. Spisano protokół, wręczono mu druk pouczenia. Pełen profesjonalizm.

– Pan Walczak? – spytał Kroon po wyjściu na korytarz. Funkcjonariusz przekazał prokuratorowi dowód osobisty podejrzanego. – Proszę, rozkujcie pana.

*

Konrad posiadał wrodzoną zdolność odróżniania blefu od prawdy. Ze złodziejami aut sprawa była tym prostsza, że zawsze kłamali. Kroon wiedział, że Walczak wiedział, że Kroon wiedział, że Walczak... proste.

– Dzień dobry. Nazywam się Konrad Kroon, jestem prokuratorem w tutejszej jednostce, dostałem do

prowadzenia pańską sprawę. – Nieoczekiwane powitanie. Grzeczne, kulturalne, prawdziwa wirtuozeria.

Walczak spodziewał się najgorszego; policjanci na dołku od dwóch dni straszili go prokuratorem. Śledczy okazał się przystojnym brunetem po czterdziestce. Lekki zarost, elegancki garnitur, drogi zegarek.

– Dzień dobry – odpowiedział Piotrek.

– Pan sobie tu usiądzie. – Kroon zmierzył go wzrokiem. Błyskawiczna analiza, dokładny skan ciała. Buty pozbawione sznurówek, spodnie adidasa, bluza z kapturem, lekko zapuchnięta głowa. Ładny chłopak, wyglądał, jakby ktoś go właśnie wyciągnął z kilkudniowego melanżu. Szczupły, wysoki, niezbyt umięśniony.

Rentgen zakończył pracę. Prokurator wiedział już wystarczająco dużo, teraz potrzebował zajrzeć w głąb jego duszy. Zaprosić do rozmowy, posłuchać łamiącego się głosu, przyjrzeć mimowolnym drżeniom policzków.

– Tutaj? – spytał Walczak, wskazując na krzesło biurowe.

– Tak, proszę. – Znów krótka obserwacja. – Czy coś się panu stało?

Piotrek odruchowo złapał się za twarz. Wciąż lekko piekła.

– A stało się?

– Ma pan zasinione oko. Czy chciałby mi pan o czymś powiedzieć? Czy dobrze się pan czuje?

„Po kiego o to pytał?”, zastanawiał się Piotrek. Przecież musiał wiedzieć, że go obili. Miał powiedzieć prawdę? Nie, nie, nie. Nigdy nie otwieraj pyska. Ani przed psem, ani przed prokuratorem. Chcesz być złodziejem, to żyj jak złodziej. Ciosy bierzemy na klatę, trzymamy fason aż do końca. Honor gangstera.

– Uderzyłem się w domu o szafkę – odparł z lekkim uśmiechem.

A więc postanowił grać w tę grę. Kroon był gotów odebrać szczegółowe wyjaśnienia odnośnie do ewentualnego naruszenia procedur przez funkcjonariuszy. Żyjemy, do cholery, w państwie prawa, to nie Dziki Zachód.

Z drugiej strony Kroon szanował cudze wybory. Przynależność do gangsterskiego półświatka wiązała się z przestrzeganiem pewnego niepisanego kodeksu. Podejrzany nie był przestępcą z przypadku; kiedy na jego twarzy pojawił się ten charakterystyczny uśmieszek, Kroon wiedział, że znaczy on dokładnie tyle, co wywieszona na maszcie statku piracka bandera. Nie jestem szczurem, kręci mnie grypsera, zobacz, jaki jestem twardy.

– Rozumiem. Gdyby zmienił pan zdanie, jestem gotów posłuchać. – Szybkie spojrzenie na Walczaka. Odgrywanie roli gangstera przychodziło mu z pewnym trudem, to były jego pierwsze sanki; wiedział, co musi zrobić, ale miał lekkie pietra. – Odbiorę teraz od pana dane osobowe.

Imię, nazwisko, imiona rodziców, data i miejsce urodzenia, PESEL, adres zamieszkania/zameldowania, obywatelstwo, wykształcenie, zawód, zajęcie, stan cywilny, osoby na utrzymaniu, uprzednia karalność...

– Niekarany – odpowiedział Walczak.

– Pouczam pana o prawie do składania wyjaśnień, odmowy składania wyjaśnień, prawie do odpowiedzi na poszczególne pytania. – Urzędowa formułka. – Czy zrozumiał pan treść pouczenia?

– Zrozumiałem.

– Dobrze. Odczytam panu teraz zarzuty.

To samo usłyszał już na policji. Artykuł 291 § 1 w związku z artykułami 294 § 1 i 91 § 1 Kodeksu karnego. Przeprowadzenie paserstwa popełnione w stosunku do mienia znacznej wartości. Kilka samochodów, których wartość przekroczyła dwieście tysięcy złotych. Zagrożenie karne: pozbawienie wolności od roku do piętnastu lat.

– Czy zrozumiał pan treść zarzutu?

– Zrozumiałem – odparł z lekką chrypką Piotr Walczak.

– Czy przyznaje się pan do popełnienia przestępstw?

– Nie przyznaję się.

– Czy będzie pan korzystał z prawa do składania wyjaśnień czy odmawia pan składania wyjaśnień?

– Odmawiam.

Prosta deklaracja wiary. W Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Nie wiem, nie znam się, nie przyznaję się. To nie ja.

Starzy złodzieje wypowiadają te zdania z większą pewnością w głosie. Walczak dopiero się uczył.

– Rozumiem – odparł Kroon, wychylając się zza biurka. – Z uwagi na wartość mienia, obawę mactwa i zagrożenie karne będę musiał złożyć do sądu wniosek o pański areszt.

Piotrek poczuł lekkie ukłucie w sercu. Spodziewał się tego ciosu, ale i tak zabolalo.

– Nie dałoby rady na jakiś dozór? Jestem niekarany.

A więc jednak zaczął się łamać.

– Dałoby radę. Ale musiałyby pan zacząć mówić. Na dobry początek: skąd wzięły się u pana te wszystkie auta.

– Klienci je przywieźli, do naprawy.

– Ja chciałbym wiedzieć, jacy klienci. – Kroon wyczuł swoją szansę.

Walczak się wahał. Miał dopiero dwadzieścia kilka lat, w pierdłu nie było różowo. Sekunda zwątpienia. Tarcza uniesiona zbyt nisko, odsłonięty tors aż prosił się o sztych.

– No, różni tacy, nie pamiętam nazwisk. Ja nie wiedziałem, że te auta są kradzione.

– Miały przebite numery VIN. Jako mechanik powinien pan to zauważyć.

– Przypadek. Nie miałem z tym nic wspólnego. Po prostu takie samochody do mnie przywieźli.

I weź mu tu udowodnij, że wiedział, że auta pochodzą z kradzieży.

– Panie Walczak, ale... wszystkie auta naraz? Naprawdę mam uwierzyć, że miał pan takiego niebywałego pecha, by obsługiwać jedynie przygodnych złodziei? Nie jedno auto, nie dwa, ale wszystkie zabezpieczone auta?

Szlag! A mówili mu, żeby nie otwierał pyska. Jak zwykle zwalił sprawę.

– Tak wyszło...

Kroon ponowił atak.

– Czy mówi coś panu nazwisko Orłowski? Bartłomiej Orłowski, pseudonim Fergus?

Naczelnik kryminalnych poinformował prokuratora, że pracują nad dojściem do głównego sprawcy. Fergusowi deptali po piętach od wielu lat, ten za każdym razem się im wywijał. A miał sporo na sumieniu. Nigdy nie wybaczał swoim wrogom. I zawsze wiedział, kiedy posłać ich do piachu.

Fergus. Piotrek poczuł, jak oblewa go zimny pot. To, co groziło mu za paserkę, było niczym w porównaniu z tym, co zrobiłby Orłowski, gdyby dowiedział się, że Walczak sypie.

– Chyba nie chcę nic więcej mówić. Przecież odmówiłem składania wyjaśnień.

– Sam pan zaczął gadać. Ja byłem gotów zakończyć protokół – zauważył celnie Kroon. Mówił ciepłym, niskim głosem. Starannie dobierał słowa, zręcznie punktował przeciwnika.

– Nie zapisał pan chyba tego?

– Zapisałem wszystko, co pan powiedział. Przecież pouczyłem pana o prawie do odmowy składania wyjaśnień.

– Ja nic nie powiedziałem na Fergusa! – wykrzyknął Walczak, nie wiedząc, czy przez przypadek nie zdradził jakiegoś szczegółu. Kręciło mu się w głowie.

– W tym właśnie sęk, że pan nie powiedział. Przynajmniej nie słownie.

Kroon był ekspertem od mowy ciała. Niestety, procedura wymagała od niego zapisania wszystkiego w protokole. Jedynie słowa posiadały w sobie moc zdolną posłać kogoś za kraty.

– Jak to nie słownie? – Piotr się przestraszył.

– Panie Walczak... Ja wiem swoje, pan wie swoje. Odmawia pan składania wyjaśnień, szacuneczek. Zobaczymy, kto na tym lepiej wyjdzie. Proszę pamiętać, że nie wszyscy gangsterzy są tak honorowi jak pan.

BEATA

Siedziały we dwójkę w kuchni. Takie rozmowy zawsze prowadzi się w kuchni. Zawsze te same smutne twarze, zawsze ta sama nagle zbyt pusta kuchnia, za oknem zawsze ten sam deszcz.

– Nie poradzisz sobie z tym w pojedynkę – rzekła senatorowa Nawrocka. Starsza, dystygowana kobieta. – Rozmawiałam z papą. Ma zadzwonić do mecenasa Wykopkowskiego.

– Za szybko go grzebiecie. Klaudiusz jeszcze nie umarł – odparła chłodno Beata Lewandowska. Nie lubiły się z matką.

Pani senatorowa ostentacyjnie ściągnęła usta.

– Problemy trzeba rozwiązywać zawczasu. Policja, prokuratura... Nasza rodzina nie może pozwolić

sobie na żadne komplikacje. Przyjęłaś jego nazwisko, ale nadal wszyscy postrzegają cię jako jedną z Nawrockich. Tych Nawrockich.

Beata prychnęła. Zapędzone w kozi róg zwierzę jest zdolne do najgorszego, a ona już dawno czuła, że nie ma dokąd uciec. Klaudiusz Lewandowski. Nienawidziła tego skurwiela. Zmarnował jej życie, zostawił z dziećmi, a teraz na dodatek nie chciał jeszcze umrzeć.

A przecież wszystko zmierzało we właściwym kierunku! Był naćpany, jechał za szybko, prosta recepta na zasłużoną śmierć. „Niestety, kierowca nie przestrzegał reguł bezpieczeństwa w ruchu lądowym, sam jest sobie winny, musieliśmy to umorzyć. Nie będziemy drażnić głębiej. Moje kondolencje”. Mikstura przyrządzona zgodnie ze wskazaniem na ulotce. Żadnego śladu po truciznie.

– Nie potrzebuję adwokata. Niczego ode mnie nie chcą – rzuciła sucho Beata. Już dawno nauczyła się nie okazywać emocji, teraz też była zimna jak lód.

– Jeszcze nie chcą... Ale w końcu coś na ciebie znajdą. Wygrzebią to, puszczą do gazet tuż przed wyborami, będziemy umoczeni.

Spojrzała na matkę. Starsza kobieta przypominała mumię; zasuszona jak egipska królowa, bezwzględna, jadowita, oziębła. Beata z każdym rokiem stawała się coraz bardziej do niej podobna. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam.

– Nie będzie żadnych problemów. Już nigdy nie będzie żadnych problemów.

Przysięgła to sobie wraz z końcem lata. Zbyt długo odgrywała rolę ofiary: przykładnej żony, idealnej matki. Gotowej do poświęceń, tłumaczeń, wyrzeczeń. Już nigdy więcej nie da się skrzywdzić.

– Byłaś w szpitalu? – spytała senatorowa.

– Jeszcze nie.

Matka pokręciła mimowolnie głową.

– Musisz tam pojechać czym prędzej. Przywieźć mu piżamę, zabrać dokumenty i rzeczy osobiste. Lepiej niech nikt nie grzebie w jego papierach.

– Tak zrobię – odparła Beata.

Rodzina pogrążona w głębokim smutku. Nie udzielamy komentarza.

– Waruj przy tym łóżku. Niech cię zobaczą. Że ci zależy, że dalej go kochasz, że się interesujesz.

Pani senatorowa nieustannie poruszała się po scenie. Beatę mierzył ten fałsz; kiedy poznała Klaudiusza, chciała żyć zupełnie inaczej. Teraz wiedziała, że nie ma wyboru. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Dobrze – odparła, zawierając jej całkowicie.

– Mecenas Wykopkowski wyciągał ludzi z gorszych problemów niż ten. Nie martw się, córko. Przyszłaś na świat jako Beata Nawrocka. A Nawrockim nigdy nie dzieje się żadna krzywda.

Rozdział 3 | Maj

KLAUDIUSZ

Tego ciepłego majowego wieczoru nic nie zapowiadało tragedii, jaka miała się wydarzyć ledwie cztery miesiące później na krętym leśnym odcinku ulicy Słowackiego. Gdyby Klaudiusz nie przyjął zaproszenia na bankiet, gdyby zdecydował się zostać w domu, historia potoczyłaby się zapewne zupełnie inaczej.

– Na pewno chcesz tam iść? – spytała Beata.

– Muszę – rzucił, wychodząc na korytarz.

Gdyby jej wtedy posłuchał, być może nigdy nie spotkałby Oskara, nie postawił wszystkiego na jedną kartę, nie poznał Walczaka, Fergususa czy Nazareta. Nie wsiadłby do tego cholernego samochodu, nie rozbił na drzewie, nie spojrział śmierci w oczy. Ale stało się tak, a nie inaczej. Za wszystko trzeba w końcu zapłacić. Świat nie wybacza nam naszych wyborów.

*

Z trzydziestego drugiego piętra Olivia Star rozciągał się wspaniały widok na całe Trójmiasto. Budynek nie był ładny, średnio przystawał do okolicznej architektury, ale miał ponad sto pięćdziesiąt metrów wysokości. Fajny, bo duży.

Tego wieczora luksusowa restauracja położona na ostatnim piętrze szklanego wieżowca przyciągała wyłącznie miłośników bogactwa.

– ...i dlatego, proszę państwa, Lions Baltic Rencontre gromadzi całą energię północy, wierząc, że tylko spotkanie wybitnych umysłów może doprowadzić do wytworzenia tej niesamowitej synergii, jaką napędza nasz nadmorski biznes... – tłumaczył stojący na scenie wiceprezydent miasta.

Kawałek dalej przy okrągłym stoliku ustawiła się grupka młodych biznesmenów skupionych wokół starszego mężczyzny.

– Pieprzy jak potłuczony – mruknął Jan Duchnowski. – Jakby mu Oskarek nie załatwił mieszkanie nad Motławą, toby zapierdalał po tę swoją synergię na bazar.

Głośny rechot. Kiedy Jan Duchnowski pozwalał sobie na niewybredny żart, należało śmiać się w głos.

– Ale chyba nie jest na niego?

– Gdzie na niego, Mareczku! Wszystko mamusi! Mówi, że matka siedzi z tyłu!

Znów salwa śmiechu.

– Oj, Oskar, Oskar, ty to jesteś niezły agent. – Poklepał go po plecach. – Jak ja bym chciał mieć takiego syna jak ty. Ale widzisz, nam, ludziom sukcesu, trafiają się albo córki, albo niedorajdy. Chociaż ten mój coś ostatnio zrobił się jakiś bardziej waleczny. Może jeszcze będą z niego ludzie.

– Oby nie za bardzo waleczny – odparł wywołany do tablicy Oskar Wójcicki. – Słyszeliście, co się stało z synem Krukowskiego?

– Podobno się zajebał – rzucił ktoś z tłumu.

– Zajebał to mało powiedziane – wyjaśnił Duchnowski. – Tylko, panowie, pełna dyskrecja!

– Oczywiście!

– Powiesił się razem z dziewczyną, ale wcześniej... Oj, dzieciak był zdrowo porypany. Bawił się w jakieś satanistyczne gierki, podwieszania, zboczone to wszystko takie...

– Może po prostu lubił bzykać... – zauważył Oskar.

– Każdy lubi bzykać! – ryknął Duchnowski. – Ale ja to jestem normalny. Dzieci, żona... kochanka, wiadomo.

Śmiech zgromadzonych.

– Kochanka musi być – przyznał Oskar.

– Za to w łóżku ma być normalnie. Po Bożemu. *À propos* Boga... Oto idzie prawy człowiek!

Klaudziu, Klaudziu!

Na bankiecie pojawił się wysoki mężczyzna koło czterdziestki. Dłuższe, wygolone po bokach włosy, broda, tweedowy garnitur. Wyglądał na zagubionego.

– Klaudziu, chodź no tu do nas! – zawołał Duchnowski.

Miał już sporo wypite; zresztą na trzeźwo zachowywał się podobnie. Król Trójmiasta, którego żadna władza nie mogła tknąć. Czasy się zmieniały, a on wciąż tkwił w tym samym miejscu. W kieszeni siedzieli mu wszyscy: z prawicy, lewicy i z pierdolicy.

– Dzień dobry – powiedział nowo przybyły.

– Panowie, pozwólcie, że przedstawię wam Klaudiusza Lewandowskiego. Klaudziu jest prezesem Narodowych Innowacji Polska 2064.

Zgromadzeni wokół Duchnowskiego mężczyźni wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Narodowe Innowacje były spółką rządową, obsadzaną z partyjnego klucza. Większość obecnych wywodziła się z zupełnie innego obozu.

– No już, już, nie bójcie się. Klaudziu to sympatyczny chłopak, choć konserwatysta – zażartował Duchnowski. – Niedawno skończył czterdziestkę. Dajcie mu jeszcze kilka lat, a wyleczy się z tych prawicowych fanaberii!

Znowu śmiech.

– Jak przegrają za pół roku wybory, to nawet szybciej się wyleczy – sprostował Oskar.

– Wsadzimy wszystkich za kraty, rozliczymy – mruknął inny biznesmen. Klaudiusz spojrzał na niego badawczo. – Dobra, zapędziłem się. Za dużo wina. Idziemy, panowie, trochę wytrzeźwieć.

– Tak, za dużo procentów.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zgromadzone wokół Duchnowskiego stadko wielbicieli i lizusów rozplynęło się w powietrzu. Klaudiusz nosił na sobie łatkę trędowatego: człowiek władzy, polityczny stołek, głupek-ze-spółki-skarbu-państwa.

Obok stolika z przegrzebkami zostali już tylko Oskar Wójcicki, Klaudiusz i Jan Duchnowski.

– Poznajcie się, panowie – powiedział Duchnowski. – Jesteście pewnie w podobnym wieku. Pamiętajcie, że czasy mamy burzliwe, społeczeństwo spolaryzowane, ale tu, w Trójmieście, umiemy zapomnieć o wielkiej polityce, by pamiętać o jeszcze większych pieniądzach.

– Święta prawda – odparł Wójcicki.

*

Czasem dzieje się tak, że poznajesz nowego kumpla i od razu klei wam się gadka. On jest programistą, ty dźwigasz ciężary, dwa różne światy, a jednak zajebicie się gada mimo różnych doświadczeń, zainteresowań, środowisk.

Wójcicki z Lewandowskim polubili się niemal natychmiast i od razu zostali przyjaciółmi. Początkowa nieufność szybko przerodziła się w bezgraniczną szczerość; bezpośredniość Oskara rekompensowała sztywny światopogląd Klaudiusza; osobiste problemy tego ostatniego ciągnęły go do poszukiwania innego życia.

– No nie ściemniaj, naprawdę chodziłeś do Piątki?! – wykrzyknął Wójcicki.

– Serio!

Spoglądali na panoramę Oliwy, gdzie tuż obok kościoła Cystersów mieściło się dość znane na Pomorzu Liceum Ogólnokształcące im. Żeromskiego.

– Kuźwa, angielski z Kiazimową! Co to była za babeczka!

– Torpeda nie kobieta! – dodał Klaudiusz.

– A potem co? Gdański? Prawo? Wyglądasz mi na prawnika.

– Niestety nie. Zawaliłem wstępne...

– I starzy ci nie załatwili? Wiesz, jak się wtedy robiło. Jeden telefon do dziekana, specjalna lista...

– Nie miałem żadnych kontaktów... – odparł posepnie Lewandowski.

– No to jak się dostałeś do tej całej Stajni Pieprzonej Innowacji?

Może nie powinien był mu tego mówić. Może należało pić mniej, zachować większą ostrożność. Być może sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, samochód nie rozbiłby się na drzewie. Strzelba Czechowa. Bo przecież stało się tak, a nie inaczej.

– Nie mów nikomu, ale... w sumie to żadna tajemnica. Moja żona nazywa się Nawrocka...

– No i co z... o kurwa... nie mów, że TA NAWROCKA, Z TYCH NAWROCKICH.

Klaudiusz zagryzł wargę.

Senator Nawrocki był jednym z czołowych polityków partii rządzącej. Był z nimi od samego początku, przeżył krótki romans z AWS-em, później przykleił się do dwójki braci i tak już się z nimi zasiedziało. *Semper fidelis*.

– A jaka inna? – spytał retorycznie.

Siedzieli chwilę w ciszy, wpatrując się w zachodzące nad oliwskimi lasami słońce. Nad lotniskiem kołował właśnie jakiś samolot, ulicą Słowackiego mknęło samotne auto ostatniego spóźnionego pasażera.

– Wiesz co, jesteśmy jak ogień i woda – powiedział po kilku minutach Wójcicki. – Dwa odmienne żywioły, dwa przeciwstawne prądy. A jednak czuję... że razem zawojujemy świat.

NATASZA

Droga do zbrodni zazwyczaj zaczyna się niewinnie. Przypadkowe spotkania, nieoczekiwane okazje, głębokie zadry. Piękna dziewczyna poznaje gangstera, bogaty biznesmen węszy zyskowny interes.

Podczas gdy imprezujący w oliwskiej restauracji Klaudiusz Lewandowski wstępował nieświadomie na krętą drogę mającą zaprowadzić go w końcu przed oblicze śmierci, ktoś inny szykował właśnie pod ową tragedię grunt. Ciepły maj i dwie młode dziewczyny, które umiały cieszyć się życiem. Bo przecież najmocniej ranią nas ci, których dobrze znamy.

*

Podwójne balkonowe drzwi otwarto na oścież, pozwalając nieco zbyt głośnym dźwiękom muzyki elektronicznej nieść się echem po całym osiedlu, po morenowych wzgórzach sopockich lasów, po głowach i umysłach sąsiadów, letników, przygodnych najemców, rodowitych mieszkańców, których dziś już nie byłoby stać na zakup własnego „M” w nadmorskim kurorcie. Dźwięki te wwiercały się im w uszy; zmuszały do zamknięcia okien, choć było tak gorąco, zadzwonienia po ochronę, a przecież jest dopiero dwudziesta pierwsza, biegnijcie po psy, jak wam się nie podoba, albo spierdalajcie.

Natasza Keyserlingk przyzwyczała już wszystkich do swojego ekspansywnego trybu życia; wszędzie jej było pełno: w internecie, gazetach, reklamach. Również więc na tym kameralnym osiedlu musiała wyraźnie zaznaczyć swoją obecność, ostemplować wszystko mocnym hashtagem, przesunąć granicę, najechać sąsiada w poszukiwaniu tak niezbędnej przestrzeni. Cholerna Niemka podczas rajdu o *Lebensraum*. Przyzwyczajono się do wybryków Nataszki, wszak była taka ładna; na co dzień uczynna, choć wyszczekana.

Siedziała na tarasie z przyjaciółką i spoglądając na panoramę miasta, popijała drinka. Dwie gorące laski, *ebony and ivory*, heban i kość słoniowa. Efekt Spice Girls gwarantowany, a przecież każda w pojedynkę była zabójczo piękna. Na nosie okulary Diora; słońce wprawdzie zniknęło za drzewami, ale w takich okularach wygląda się jeszcze lepiej, pachnie bogactwem, a ona była bogata i wcale się z tym nie kryła. Pieniądze kręcą ludzi, Natasza każdego dnia walczyła o to, by kręcić ich jeszcze bardziej. Na Instagramie dwieście tysięcy obserwujących, konto na TikToku dobijało do miliona. Nowoczesna celebrytka, znana wyłącznie ze swej sławy i bezpośredniości.

– Co za lato – mruknęła Natasza, przysuwając do ust kieliszek z prosecco.

– Nie możemy tak wcześnie zaczynać, bo źle skończymy – odpowiedziała Lena.

– I tak źle skończymy.

– Fakt.

Rozmowy na imprezach zawsze wyglądają tak samo. Okrągłe zdania, banalne myśli, dialogi, które równie dobrze można by wyciąć. Tarantino złapał się za głowę, Woody Allen schował do szafy.

– I jeszcze ta sesja... – fuknęła Lena, studentka pierwszego roku prawa.

– Jebać.

Lena zaciągnęła się waporyzátorem.

– Ty możesz wszystko jebać, ja muszę zapierdalać. Bo jestem biedna.

– Ale zajebiecie mądra. Nigdy się nie uczyłaś i zawsze same szóstki.

– Studia to nie to samo co ogólniak. Wiem, że w tej twojej śmiesznej prywatnej szkole zaliczają wszystko za chesne – poprawiła włosy – ale na prawie serio trzeba zakuwać.

Natasza sięgnęła po iPhone'a. Ciągle sięgała po telefon, dłoń przyklejona do kryształowego ekranu, życie trwale wpisane w wirtualny świat.

– Nie można mieć wszystkiego.

Lena spojrzała na swoje odbicie w kamerce. Szybkie zdjęcie przed wyjściem na imprezę, nie potrzebowała uciekać się do żadnych sztuczek, hashtag #nofilter, który głośno manifestował światu jej niezwykłą urodę. Lena Orska: szczupła, wysoka blondynka o niebieskich oczach. Idealna figura, dobrze zarysowane pośladki, kształtne piersi. Urodzona modelka, dorabiała różnymi amatorskimi sesjami zdjęciowymi, jej twarz należałoby zeskanować i pozostawić potomnym jako uniwersalny wzorzec piękna.

– Walimy jeszcze po kolejce i uderzamy do Spata – postanowiła Lena.

– Powaliło cię? Do tej geriatrici? Jedziemy na stocznnię! – zaprotestowała Natasza, posługując się uroczą manierą, przez którą odrobinę niepoprawnie akcentowała wyrazy.

Przyszła na świat w Berlinie, ojciec rodowity Niemiec, matka Polka o abisyńskiej urodzie, pamiątka po babci. Porządnie wymieszane geny, kwas rybonukleinowy wrzucony do blendera. Natasza Keyserlingk. Nazwisko z rodowodem, stare pieniądze, nowoczesna otwartość.

– W ten syf? Do bandy dzieciaków w superstarach i emerytowanych hipsterów w ściskających jaja rurkach?

– Stocznia to życie, mordo.

Buszek z waporyzatora. Bo przecież nie paliły tytoniu.

– Bejbe, ja muszę poznać jakiegoś bogatego typu. Mieszkanie nad Motławą, wakacje na Malediwach, łódka we Władysławowie – stwierdziła całkiem poważnie Lena. – Nie chcę skończyć jak moja matka. Z nawiedzonym prolem z klasy średniej, co biega na marsze niepodległości i nadaje na wszystkich, że pójda do piekła. Muszę poznać jakiegoś kawalera z walizką złota.

Natasza pocałowała ją w policzek.

– Kocie, skoczmy na Ele, luźny melanzyk na stocznii, a następnym razem pójde z tobą do Spata, Ferbera czy innej dziwkarskiej knajpy, zakręcimy dupami i co tydzień będziesz latać z Mauritiusa na Zanzibar obsypana diamentami. Deal ?

*

– Się zasiedziałyśmy – stwierdziła Natasza, spoglądając na zegarek.

– Ja pierdołę, nic mi nie działa. Ani Uber, ani Free Now, ani nawet Bolt.

– Jakaś pieprzona awaria...

Nerwowe odświeżanie aplikacji. *Widocznie wszyscy kierowcy są w tej chwili zajęci. Daj nam jeszcze chwilkę.*

– Dajemy na Sopoty! – zawołała Lena, narzucając na plecy dwurzędową marynarkę.

– Nie no, ej! Miała być stocznia... Czekaj.

Natasza wyciągnęła srebrną pudernicę. Na szklanym stole pojawiły się cztery białe kreski. Banknot zwinięty w rulon, bezpośredni rejs z Kolumbii nad Bałtyk. Nagły zastrzyk dopaminy i serotoniny.

– Napieramy!

*

Przemykały beżowym mini cabrio główną arterią Trójmiasta. Silnik od BMW, cztery cylindry, niecałe siedem sekund do setki. Aleja Niepodległości, po lewej KFC, po prawej zjazd na obwodnicę. Sopot zamienił się w Gdańsk, Niepodległości w Grunwaldzką.

– Patrz na te kociaki! – zawołał młody chłopak do kumpla, ustawiając się tuż koło nich na skrzyżowaniu. Wysoki, szczupły, koszula w palmy. Siedział za kółkiem czerwonej mazdy, także kabrioletu.

Natasza i Lena spojrzały w stronę buńczucznego młodzieńca. Na oko w ich wieku, roleks luźno zwisający z nadgarstka, zimny łokieć na wysokości lusterka.

– Miauuu – mruknęła Natasza, przygotowując się na zmianę świateł. Nie miał u niej żadnych szans, ale on nie mógł o tym wiedzieć.

Chłopak spojrział na jej niemiecką rejestrację. Przyjezdne.

– Chcecie zobaczyć, jak bawią się ziomeczki znad morza?

Natasza pokazała mu środkowy palec i wcisnęła pedał gazu. Samochód ruszył z impetem; czerwona mazda wystartowała chwilę później.

– Co za masny dzban – podsumowała Lena. Młodzieniec siedział im na ogonie.

– Spokojnie, zaraz mu spierdolimy.

Przyspieszyła. Jej auto miało wyraźnie lepszy silnik. Natasza z rzadka używała hamulców, tak w życiu prywatnym, jak i w ruchu drogowym.

– Kurwa, weź tak nie zapierdalaj. Przecież jesteśmy nieźle zrobione!

– Nad wszystkim panuję, słońce.

Nie szanowała żadnych reguł. Mknęła jak na sygnale, choć jedynym dźwiękiem ostrzegającym innych kierowców przed zagrożeniem był jej głośny śmiech. Minęła biurowce w Oliwie, wjechała do Wrzeszcza, minutę później cisnęła już przez Aniołki.

– Chyba odpadli – stwierdziła Lena.

– Wszyscy przy mnie zawsze odpadają. Dlatego jestem sama.

LENA

Zajechały na miejsce. W oddali pięły się rozjaśnione światłem dyskotekowych lamp dostojne sylwetki dźwigów stoczniowych.

– Ładnie daje ziołem – powiedziała Lena, przemykając wzdłuż długiej kolejki imprezowiczów pragnących wkroczyć do świata Ulicy Elektryków.

Dziewczyny dotarły do bramek, Natasza szepnęła coś na ucho selekcynerce, cyknęły sobie pamiątkową fotkę, już były w środku.

– *Easy peasy lemon squeezy...*

– No spoko tu jest – przyznała Lena.

– A ty w tych swoich szpileczkach...

Natasza ubrała new balance, dzwony i top. Jej koleżanka preferowała bardziej klasyczną garderobę.

– Miałyśmy uderzać do Sopotu.

Stanęły przy barze, szybka kolejka, później chwila na parkiecie.

– Cześć, laska. No jesteś w końcu – zagadała dość mocno wytatuowana dziewczyna.

– Hej, stara! – odpowiedziała Natasza. – Poznajcie się: Lena, Sonia; Sonia, Lena...

*

– No i się prawie przekręciła... Od tego czasu nie mamy żadnego kontaktu.

– Ja też się od niej odciąłam – przyznała Natasza. – Serio z takimi toksycznymi ludźmi lepiej uważać.

To było pojebane lato.

Sonia odruchowo przejechała dłonią po lekko rozmazanym tatuażu zdobiącym jej lewe przedramię. Pamiątka po zeszlorocznych wakacjach. Trzy proste wyrazy, siedemnaście liter, miliony znaczeń. Sonia powoli stawiała na nogi.

– Wy to macie nieźle zryte berety. Jedna się prawie zabiła, drugiego zamordowali – wtrącił Julek, młody hipster w kolorowym bezrękawniku. Sonię uderzyła ta uwaga.

– To wy sobie tu powspominajcie, a ja zamówię jeszcze jedną kolejkę – postanowiła Lena.

Oddaliła się w stronę baru. Metalowe kontenery, stoliki z beczek, na podwyższeniu ogromny neon Ulicy Elektryków.

– Cześć, kicia. Ładnie nas zrobiliście – rzucił młody, szczupły chłopak, który godzinę wcześniej ścigał się z nimi po Grunwaldzkiej.

– Się gra, się ma – odparła Lena.

– Piotr jestem. Piotr Walczak.

Lena popatrzyła na niego z pogardą.

– I coś ma mi to mówić? James, kurwa, Bond, Piotr, kurwa, Walczak?

Młodzieniec tylko się zaśmiał. Kiedy cztery miesiące później siedział skuty kajdankami w gabinecie prokuratora Kroona, brakowało mu już tej pewności siebie.

– Lubię takie diabllice.

Zmierzyła go jeszcze raz dokładnie wzrokiem. Bananowy dzieciak, pasek Hermes, złoty zegarek, na dekolcie zawieszzone markowe okulary. *Jest to Gucci.*

– Wspaniale. A teraz spierdalaj.

Nie tego szukała.

– Misiu, patrz, co za gorący kociak – rzucił do swojego kolegi. – Trzy aperolki dla nas! – zawołał

w stronę barmana.

– Daruj sobie, ziom.

– Oj, zapomniałem. Jeszcze jeden dla tej uroczej Mulatki, co tak lubi zapierdalać.

Na blacie pojawił się dwustuzłotowy banknot, reszty nie trzeba, imprezowe *priority boarding*. Lena przyglądała się mu przez dłuższą chwilę.

– Człowieku, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Chciałem skraść ci serce – powiedział bezczelnie, lecz szczerze. Bo przecież uwielbiał kraść. Zaczęło się jeszcze w podstawówce, kiedy zwinął koleżkę z ławki nowego iPhone'a. Piotrek pochodził z biedy i to jej w życiu nienawidził najbardziej.

– Sorry, mordo, ale do tej typiary nie masz żadnego podjazdu – wyjaśniła Natasza, która nie wiedzieć kiedy pojawiła się przy barze. – To jest laska, która mogłaby zająbać cię z zimną krwią. Wsadzić w ten twój wieśniacki samochód, nafaszerować dragami, rozpierdolić na drzewie. Kumaszu, Czu Czu?

KONRAD KROON

Chodzili na Elektryków właściwie od pierwszego dnia maja. Konrad, bo nie miał nic lepszego do roboty, Zuza, bo nie potrafiła usiedzieć w miejscu.

– I tak to jest, Pawełku, coś za coś. Nie wejdziemy już więcej na lód, ale za to nawalimy się na świeżym powietrzu. „Always look on the bright side of life”⁵ – stwierdził z zadumą Kroon.

– To był dobry sezon. Kuźwa, pokazaliśmy, co potrafimy. Jak w trzydziestej piątej.

– Gdyby jeszcze Mirek zrzucił trochę kilograma...

Za dzieciaka obaj chodzili do tej samej podstawówki. Szkoła o profilu sportowym, codzienne treningi hokeja w hali Olivia, trójmiejska kuźnia talentów. Po dziś dzień kilku kumpli z dawnej klasy spotykało się co srode, by zagrać w amatorskiej lidze oldbojów.

– Mirek to jest niereformowalny świniak – ocenił niezbyt życzliwie Kroon. – Łatwiej przeskoczyć, niż obejść.

Zaśmiali się głośno. Paweł zamówił kolejne dwa piwa.

ZUZA

Zuza nie mogła zejść z parkietu. Tańczyła z koleżanką, obok niej kręcił się jakiś typ, z którym kilka miesięcy temu robiła wspólną sesję.

– U was nad morzem to jest życie! – wykrzyknął koleś, podając Zuzi blanta. – Warszawskie schodki to przedszkole przy tym, co wy tutaj macie!

– A ty wciąż chodzisz do przedszkola, Fifi? – spytała kobieta, lekko mrużąc oczy. Była od niego dobrych kilka lat starsza, choć wciąż trzymała się nieźle. Niezdrowy tryb życia w weekendy, dużo sportu w tygodniu. Joga, bieganie i fitness. Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie?

– Ej, te docinki były modne pół roku temu – parsknął Filip, odbierając od niej skręta.

Tańczyli coraz bliżej siebie, a chłopak się zastanawiał, czy przyatakować. Spodobała mu się już podczas tamtej sesji, ale ktoś go ostrzegł, że ma męża. Dzisiaj nie widział żadnej obrączki.

– Wszystkie nowości ze stolicy przylatują do nas z pewnym opóźnieniem. Żarty z różnicy wieku znamy dopiero od tygodnia.

– A to *pardon!* – odpowiedział, chwytając ją za biodra. O dziwo, dziewczyna nie oponowała. Przysunął się do jej twarzy, delikatnie musnął usta. Zaczęli się całować.

KONRAD KROON

Siedzieli na drewnianych schodach z palet. Zegarki wskazywały drugą godzinę; tę dziwną porę nocy skłaniającą do trudnych rozmów na poważne tematy. Ważkich dyskusji, które nigdy do niczego nie prowadzą. Nie przerywaj mi, daj dokończyć myśl, już za chwilę odkryjemy zagadkę kosmosu. Jeszcze momencik, o czym to ja, a tak... Kolejna debata przerwana nagłą wycieczką do toalety. Krtań, która nie wytrzymała wartkiego potoku zbyt mądrych wyrazów, żołądek włączający przycisk awaryjnego hamowania. Czy ktoś mógłby potrzywać jej włosy?

– Ja pierdołę, Konrad, co się z nami stało? – spytał smutno Paweł. – Mielśmy mieć wszystko, nie mamy nic.

– Poeta – uciął krótko Kroon.
– Przecież byłeś największym kozakiem w szkole. Robieś nauczycieli, jak chciałeś, na chemii piliśmy tanie wino...
– Teraz możemy pić drogie wino. Co ci się nie podoba?
Paweł złapał się za głowę. Był zdrowo zrobiony.
– Kuźwa, tyram jak debil w cholernym korpo, niby mam pieniądze, ale wszystko, co robię, jest jakieś takie szare, bez smaku... No a ty?
– Co ja? – spytał całkiem poważnie.
– Noż kurwa, nie wiem, czy jara cię ta praca prokuratora, z tego, co mówisz, nie sędzę, ale przecież ty... Najlepszy z nas wszystkich. Kurwa, Konrad Kroon, ten Konrad Kroon. Cała szkoła cię znała. Każda laska twoja, każda miała mokro w gaciach, gdy cię widziała...
– Myślisz, że to straciłem? Że już na mnie nie lecą? – spytał z lekkim uśmiechem.
Paweł wziął jeszcze jeden łyk. Bał się powiedzieć to Kroonowi w twarz. Każdy jest kowalem swojego losu, przecież Konrad nie był głupi. Nie wtrącaj się. Nie wtrącaj się. Nie wtrą...
– A chuj! – Machnął ręką. – Wszyscy się z ciebie śmieją. Wszyscy, którzy cię kiedyś znali.
Kroon zmrużył oczy.
– Z czego się śmieją?
Paweł odstawił butelkę. Skinął w stronę parkietu.
– No popatrz na nią. Twoja wielka miłość liże się właśnie z jakimś gówniarzem. Serio, kręci cię to?
Konrad nie odpowiedział. Starał się tam nie patrzeć, nie szukał wzrokiem Zuzy, wypierał świadomość, że może mu to robić na jego oczach. Mieli otwarty związek, natomiast Kroon preferował starą wojskową zasadę *don't tell, don't ask*. Ale jak tu niby nie mówić?!
– Serio, zajmij się lepiej swoją Wiolą.
– Kurwa, Konrad! – krzyknął Paweł. – Znamy się prawie czterdzieści lat! Twoja stara robiła mi kanapki z marmoladą, twój stary wyzywał od małych gnojków, kiedy wracał napruty na chatę! Znam cię jak mało kto!
– Nie jesteśmy już dziećmi.
– I oto chodzi! Dorośliśmy, ale ty... kuźwa, zachowujesz się cały czas jak gówniarz. Wieczne wagary. Masz wysrane na pracę, zajebicie, walić pracę! Ale Zuza? Kurwa! To twoja miłość!
– Trudny temat, Paweł. Potrzebuję jej bardziej niż ona mnie. I muszę za to płacić.
Paweł złapał go za ramiona i potrząsnął nim. Dosłownie i w przenośni.
– Opamiętaj się, człowieku! Przecież ona cię systematycznie niszczy! Przecież gdyby to była Wiola, zszedłbym tam na dół i tak wyjechał typowi w krtań, żeby do końca życia żarł przez rurkę!
– Pierdolisz... Lepiej zamówmy furę.
– Konrad – spojrzał mu głęboko w oczy – twoja mama była taka sama. Pozwalała robić sobie to samo. Jak się wtedy czułeś?
Kroon zacisnął zęby.
– Nie mów mi o mojej matce.
– Na litość boską, Konrad! Ogarnij się!
Kroon spoglądał na Pawła. W pewnym momencie kolega rozplynął się w powietrzu; dźwigi stoczniove zamieniły się w wieże katedry oliwskiej, pokryte papą dachy w skośne sklepienia oliwskich kamienic. Konrad widział siebie uciekającego z domu, płaczącą matkę, krzyżącego ojca. Gdzieś tam w cieniu czał się ubrany w sutannę wujek; jego kat, jego wybawiciel.
Wtedy dostrzegł Zużę. Dwudziestokilkuletnią dziewczynę o szalonych oczach i tajemniczej mocy. Niesamowitą istotę, która jednym spojrzeniem odpędzała wszystkie demony przeszłości. Otulała go swoją srebrzystą szatą, osłaniała przed upiorami i uśpionymi bestiami. Uratowała go, wskazała drogę, wystawiła rachunek. Daninę płaconą rokrocznie w krwi i we łzach. Niebiański stróż, który chwilami sam bardziej przypominał zjawę niż anioła.
Odleciał. Krótkotrwała utrata świadomości, błyskawiczny kurs na drugą stronę jaźni. Czasem mu się to zdarzało. Zawsze jednak dawał radę wrócić. Po kilku sekundach znów zakotwiczył w teraźniejszości.
Zuza tańczyła na parkiecie pośród industrialnej przestrzeni Ulicy Elektryków. Była znacznie starsza, obok niej kręcił się nagrząny, pijany młodzieniec.

– Nie możesz ciągle uciekać – powiedział Paweł. – Świat na ciebie nie poczeka.

Konrad spojrział na kolegę, później znów na Zużę. Wyciągnął komórkę, by wybrać właściwy numer.

ZUZA

Zatraciła się w tańcu. Alkohol i narkotyki buzowały we krwi, naraz pobudzając i otepiając umysł. Jej przypadkowy kochanek wciąż wił się wokół niej. Młode, przystojne ciało. Apetyczna przekąska.

– Hej, możemy cię na chwilę prosić? – spytał jakiś obcy koleś, podchodząc do Filipa.

– Nie, ziomki, nie możecie – odparł.

Zuza spojrziała na dwóch mężczyzn, którzy nagle wyrosli pomiędzy nimi.

– O co chodzi, panowie? – spytała.

– Pani wybacz, mamy sprawę do tego kolegi.

– Nie jestem waszym kolegą, spierdalajcie. Nie widzicie, że jestem zajęty?

Typowy butny trzydziestolatek. Rodowity warszawiak, absolwent ASP, branża kreatywna. Gównu w głowie, samoocena *level high*.

– Musicie się chyba pożegnać – wyjaśnił mężczyzna, pokazując policyjną odznakę.

– Kurwa, a jakiś nakaz macie?! – wrzasnął chłopak.

– Odpierdolcie się od niego! – fuknęła Zuza.

– Kolego, jesteś zatrzymany jako osoba podejrzana o popełnienie czynu z artykułu sześćdziesiąt dwa ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii – rzucił krótko funkcjonariusz w cywilu. Kryminalny na łowach, wyrwany ze swojej pracy nagłym telefonem od przyjaciela. Przysługa za przysługę, spontaniczna kontrola praworządności.

– To pierdolony żart, nigdzie nie pójde!

Tłumek wokół zaczął rzucać jakieś kąśliwe uwagi pod adresem funkcjonariuszy. W tym środowisku psy nie cieszyły się żadną estymą; nocami na Ulicy Elektryków aromat zioła był bardziej wyczuwalny niż kojący zapach morskiej bryzy.

– Oczywiście, że pójdziesz.

Zwinęli go do toalety i obszukali. W tylnej kieszeni paczka na tytoń; na oko jakieś dziesięć gramów towaru. Po cholere! nosił tak dużo przy sobie? Ciekawe, jaki prokurator mu to umorzy.

Wiemy, który na pewno tego nie zrobi.

BEATA

Kończyła sprzątać po obiedzie. Klaudiusz za chwilę wracał z pracy, miała mu tyle do opowiedzenia. Dzieciaki siedziały w pokoju i odrabiały lekcje, znaczy grały na konsoli i przeglądały Instagram. Kornelka uwielbiała śledzić życie influencerów, Tymek każdego dnia umawiał się z kumplami na partyjkę LoL-a.

Szczęk klucza w drzwiach. Pobiegła mu otworzyć, ale Klaudiusz już stał w przedpokoju.

– Cześć, kochanie! – Rzuciła mu się w ramiona, ucałowała.

– Hej – odparł nieco markotnie.

Zabrała od niego palto, lekki trencz przerzucony przez ramię. To był ciepły maj, niepotrzebnie wzięła płaszcz, Klaud nigdy nie umiał ubrać się adekwatnie do pogody.

– Cały jesteś spocony! – Poglądziła go po policzku.

– A, taki dziś miałem zwariowany dzień...

Zwalił się na kanapę. Beata usiadła obok niego, stęskniona, nie widzieli się tak długo, cały dom na jej głowie, ale w końcu mieli chwilę dla siebie.

– Wyglądasz, jakbyś potrzebował napić się winka.

– Nie, chyba nie mam ochoty...

Beata otworzyła lodówkę, wyjęła dobrze schłodzoną butelkę białego chardonnay.

– Wino zawsze poprawia humor.

Podawała mu kieliszek, podkuliła nogi, wtuliła się w męża. Przez ostatnie lata oddalili się od siebie. Niegdyś młodzi, zakochani, później pojawiły się dzieci i obowiązki. Byli oboje po czterdziestce, Beata bała się, dokąd to wszystko może ich doprowadzić. Brak wspólnego czasu, rutyna. Łapała się na tym, że nie patrzy już na niego tak jak kiedyś. Ze jej też przestawało zależeć. Nie chciała do tego dopuścić. Postanowiła walczyć o ich związek.

– Jak tam w robocie?

Klaudiusz nie odpowiedział. Patrzył w kieliszek, nawet nie wziął łyka.

– Duże ciśnienie? – spytała raz jeszcze.

– A weź nic nie mów – odparł, wyciągając się na kanapie. Zakrył głowę poduszką.

– Musisz pokazać im, kto tu jest szefem. Tupnąć nogą, postawić na swoim.

– Żeby to wszystko było takie proste...

Ściągnęła z niego poduszkę.

– Jesteś dyrektorem.

– Jakim tam dyrektorem... farbowanym lisem, nie dyrektorem...

– Klaud! – Uniosła głos. – Jesteś NAJLEPSZYM dyrektorem, rozumiesz? Masz kompetencje, świetnie się do tego nadajesz...

Znów schował się za poduszką.

– Na twarzy mam wypisane, kto mnie wcisnął w ten stołek. Pracownicy patrzą na mnie jak na debila, który na niczym się nie zna.

Beata raz jeszcze zabrała mu poduszkę, wymuszając kontakt wzrokowy. Złapała go za szyję.

– To im pokaż, że się mylą. Sprowadź ich do parteru, upokórz.

Beata Nawrocka. Taka sama jak jej matka, jak wszyscy w rodzinie. Albo grasz według jej reguł, albo wynocha. Żadnego wybaczenia. Dostosuj się lub zgiń.

– Beata, ja tak nie umiem jak wy. Przecież wiesz, że nie jestem taki twardy...

Musnęła jego usta.

– Za to cię pokochałam...

Zaczęli się całować. Dawno się nie kochali, ostatni raz spali ze sobą kilka miesięcy temu. Klaud miał problemy, nie chciał iść do lekarza. Dla faceta to wstyd. Te sprawy...

Beata delikatnie gładziła jego udo, powoli kierowała dłoń w stronę brzucha.

– Mamo, ja lecę do Maka z Judką! Mogę iść do Maka?! – wykrzyknęła Kornelka, wbiegając do salonu.

Rodzice spłoszyli się niczym przyłapano na świntuszeniu nastolatki. Córka się nie zorientowała, jej oczy skupione były na telefonie.

– Szlag... – zakląła pod nosem Beata. – Słuchaj, za dużo tego śmieciowego jedzenia. Jeśli chcesz, Judka może przyjść do ciebie wieczorem, ale żadnych fast foodów...

*

Siedzieli w sypialni. Dzieciaki poszły już spać, mieli czas dla siebie. Beata nie zmyła makijażu, raz jeszcze przyniosła wino. Klaudiusz leżał na łóżku w piżamie, przeglądał jakieś wiadomości ekonomiczne.

– Nie, chyba nie mam ochoty... – powiedział, odstawiając kieliszek na szafkę nocną.

Beata przytuliła się do niego, zaczęła całować go po uchu. Jej też się średnio chciało, ale nie lubiła odpuszczać. Starła się nie widzieć lekkiej oponki, mocnych zakoli, wiotkiego, zupełnie niemęskiego torsu. Chciała widzieć w nim nieco nieśmiałego chłopaka sprzed dwudziestu lat, z którym całowała się po kryjomu w gabinecie ojca.

– Nie, Beata, ja naprawdę nie mam ochoty – mruknął.

Westchnęła zrezygnowana.

– Tak dawno się nie kochaliśmy...

– Wiem, przepraszam. Po prostu mam masę rzeczy na głowie, zupełnie mnie nie ciągnie do seksu.

Beata się wkurzyła. Dlaczego tylko ona ma walczyć? Wzięła głęboki oddech, jeden, dwa, trzy... dziesięć.

– Musimy gdzieś wyjechać. Zostawimy dzieci u dziadków, skoczmy na tydzień za granicę. Tylko ja i ty. Hiszpania albo Grecja...

– Chyba nie mówisz poważnie – fuknął.

– Dlaczego nie?

– Zaraz koniec roku szkolnego, dzieciaki jeszcze nie mają wszystkich ocen...

– Poradzą sobie – przerwała mu w pół słowa.

Klaudiusz chwycił się za głowę. Lekki atak paniki.

– Ja mam tę pracę, muszę wszystkiego pilnować...

– Jak na chwilę się urwiesz, to pokażesz im, kto tu rządzi. Ty jesteś dyrektorem, ty rozdajesz karty. I bierzesz urlop, kiedy TY masz na to ochotę. To całkiem niezłe zagranie, Klaud.

Potrzebował uciec. Rozpaczliwie musiał wyrwać się z tej pułapki. Żle znosił presję.

– Nie mamy pieniędzy. Rata za samochód, mieszkanie...

– Pożyczę od papy. Wiesz, córeczka tatusia...

Tego było za wiele. Klaudiusz potrzebował pokazać, że jest coś wart. Że stanowi samodzielny, wartościowy byt, a nie jedynie luźny elektron uwiązany do rodziny Nawrockich. Praca od teścia, pożyczki od teścia, kontakty od teścia...

– Beata! Pojedziemy na wakacje, obiecuję! Ale nie chcę brać więcej kasy od twoich starych. Umocnię swoją pozycję w firmie, załapię się na premię i nagrodę kwartalną i wyjedziemy. Obiecuję.

Dużo ostatnio obiecywał. Poprzedniej pracy szukał sobie na wolnym rynku, po kilku miesiącach spędzonych w domu z pomocą przyszedł teść. Senator Nawrocki, poważna persona.

– Jak uważasz – mruknęła Beata i obrażona poszła zmywać makijaż.

ZUZA

Tamtej nocy właściwie się do siebie nie odzywali; Zuza od razu położyła się na kanapie, Kroon wzruszył ramionami, poszedł do sypialni. Oboje byli mocno pijani i zmęczeni. Sobota miała upłynąć im pod znakiem kaca, wyrzutów oraz wzajemnych rozliczeń.

Jak to często w życiu bywa, żadne z nich nie miało zamiaru odpuścić. Nikt nie poczuwał się do winy.

Koło siedemnastej Konrad wszedł do kuchni. Odkręcił karton z sokiem, soczysta pomarańcza się toczy owocem, fortuna już dawno stoczyła się do rynsztoka, zawsze czekała na niego, była na wyciągnięcie ręki, dziś miał czterdzieści trzy lata i żadnej fortuny, jedynie kaca i ten właśnie papierowo-polietylenowy pojemnik na sok. A przecież miało być tak pięknie, mógł osiągnąć wszystko, a teraz tracił nawet ją.

Zuza siedziała na kanapie, nie podniosła wzroku. Scrollowała telefon.

– Jesteś z siebie dumna? – zaczął od ataku. W relacjach z nią nigdy nie był wojownikiem, a jednak jakimś cudem znalazł w sobie siłę na ofensywę.

Czy to przez Pawła, czy przez wspomnienia o matce?

– Spierdalaj – rzuciła. Wściekła jak osa, poważnie wnerwiona, zła na niego, na swoje życie, na to, co jej zabrał, na to, jak ją dusił, krępował, trzymał w piwnicy własnych lęków i obaw.

– Kurwa, Zuza, lizać się z jakimś szczeniakiem, kiedy stoję kilkanaście metrów od ciebie? Wiem, że cię swędzi, ale ja pierdolę! Za kogo ty mnie masz?!

– Za debila, który dzwoni po psy, żeby pokazać, że jego pała jest większa niż pała innego samca. Kręci cię to? Podnieca? Lubisz patrzeć, jak dwa smutne kokszy pakują do sukki Bogu ducha winnego typu?

– Boga w to nie mieszaj – odparł zupełnie bezczelnie.

Przez większość swojego życia Konrad nosił taką właśnie maskę: aroganckiego, wyluzowanego kolesia. Zuza wiedziała, że to wszystko poza. Że tak naprawdę był złamanym, złkniętym chłopakiem, który rozpaczliwie szukał sobie matki. Pechowo trafiło na nią.

– Taki jesteś twardy? Będziesz zgrywał macho, udawał, że ci nie zależy?

Spojrzał przez okno. Mieszkali w luksusowym apartamencie położonym nieopodal zatoki. Kredyt zaciągnęli wprawdzie wspólnie, ale to Konrad opłacił okazały wkład własny.

– Zuza, kurwa... – Przysiadł koło niej na kanapie. Już nie miał ochoty się kłócić. – Wczoraj przegięłaś, przyznaj to.

Patrzyła mu głęboko w oczy, wciąż niegotowa na wzajemne przeprosiny.

– Od lat mamy taki układ. Ja zaspokajam twoją potrzebę bliskości, ty pozwalasz mi zaspokajać swoje potrzeby. Przerabialiśmy ten temat dziesiątki razy.

Znów spokorniał. Mały chłopiec, który przyszedł przeprosić ojca alkoholika za to, że dostał pasem. Widocznie zasłużył.

– Miałas to robić tak, żebym nie widział. Podczas tych swoich sesji, wyjazdów... a nie na moich oczach! Na litość boską, Zuz! Nie przy kumplach! O co ci chodzi? Żeby mnie upokorzyć, pokazać, że jesteś górą?

Zapłakał. Tylko przy niej pozwalał sobie na łzy.

– Nie o to – szepnęła.

– To o co? Przecież wiesz. Jesteś górą, zawsze byłaś. Nigdy nie miałem przy tobie żadnych szans. Potrzebuję cię, jestem na przegranej pozycji, ale błagam: nie niszczone mnie. Lej po twarzy, ale tak, żeby nie było widać!

Zuza wstała z kanapy. Stała przy kuchennej wyspie, wyciągnęła nóż, zaczęła siekać jakieś warzywa. Uwielbiała gotować, powoli łapała gastrofazę.

– Konrad, nie wiem, co ci mam powiedzieć. Nie tak to planowaliśmy.

Pewnie, że nie tak. Wtedy byli młodzi, bezczelni, mieli po dwadzieścia kilka lat. On w rurkach i trampkach, ona w burzy loków i hippisowskich koralikach. Spotkali się w Krakowie na koncercie Cool Kids of Death, Konradowi nie zależało, ją to kręciło.

– Musimy coś zmienić... – rzekł poważnie.

Tak naprawdę niczego nie chciał zmieniać. Naćpani coachowie nawijają jakieś bzdury o wychodzeniu ze strefy komfortu, tysiączek za takie szkolenie, a życie sypie się dalej. Konrad uwielbiał swoją strefę, budował ją pieczołowicie przez kilkanaście ostatnich lat. Czuł się względnie bezpieczny, odzyskał spokój ducha, pogrzebał dawne demony. Pogrzebał czy raczej zamknął w szafie.

– Ja chyba nie mogę tak dłużej. Brakuje mi powietrza. Konrad, ja się duszę.

Bał się tej rozmowy. Zaklinał samego siebie, że nigdy do niej nie dojdzie, ale wiedział dobrze, jaka jest Zuza. Że zawsze będzie chciała więcej. Że jej nieugaszonego pragnienia nigdy nie uda się w pełni zaspokoić.

– Serio, ruchanie jest dla ciebie takie ważne?

– KONRAD, KURWA, JA NIE O TYM! – wrzasnęła z całych sił. – Nie mogę żyć z twoim cieniem, uwiązany w przeszłości, niemogącym ruszyć dalej! Nie takiego Kroona pokochałam.

Zaśmiał się. Nieco szelmowsko, odrobinę w dawnym stylu.

– Świat idzie dalej, a my razem z nim. Zmieniamy się.

– Ale ty się, kurwa, wcale nie zmieniasz! Od kilkunastu lat jesteś taki sam! Od czasu tego pierdolonego Brodowicza, od tej kłótni z wujkiem! Wtedy ci kibicowałam, ale dziś... wydaje mi się, że on mógł mieć rację. Ty stale uciekasz, ale biegiesz donikąd!

Nie wierzył w to, co słyszy. Zuza i wujek mówiący jednym głosem.

– Bierzesz mnie pod włos? Prowokujesz?

Wbiła nóż w deskę do krojenia. Nie puszczając rękojeści, spojrzała mu głęboko w oczy.

– Zawsze jarałam się, że jesteś takim buntownikiem. Że pieprzysz zasady, twojego wujka, oczekiwania innych ludzi. Wtedy, kiedy obiecałeś mi, że nigdy się nie zaangażujesz, że nigdy nie awansujesz, uważałam to za genialne rozwiązanie. Kroon pokazuje światu fucka i idzie swoją drogą. Bo przecież ty zawsze miałeś jakiś plan! Genialny, boski, znany tylko tobie. Myślałam, że tak będzie i teraz. Pierdolisz prokuraturę, pierdolisz Brodowicza, pierdolisz wujka, ale wymyślisz coś zajebistego! Odkryjesz zaginioną drogę, wymyślisz siebie na nowo!

– Improvizowałem – odparł, mrużąc lekko jedno oko.

– No i budzimy się w tym gównianym miejscu, kilkanaście lat później. Przechodzony związek, zmarnowany ty, umęczona ja. Niczego nie dokonałeś, Konrad! Spierdoliłeś swoje życie. Nie odkryłeś ani jednej tajemnicy kosmosu, nie znalazłeś żadnej zaginionej drogi.

– Nigdy jej nie szukałem.

Wyszła na balkon. Widok morza leczył ją z klaustrofobii; świat był przestrzenią, zawsze dało się uciec, popłynąć, odlecieć.

Konrad stanął obok niej.

– A może powinienes? Może czas zerwać z przeszłością i zacząć robić coś sensownego?

– Zerwałem z przeszłością.

Obróciła twarz w jego stronę.

– To nieprawda. Zakopałeś ją głęboko pod ziemią, ale nigdy nie odciąłeś liny. Zatrzymałeś się w połowie drogi między wczoraj a jutro. I stoisz w tym rozkroku tak długo, że uważasz go za coś normalnego.

– Chcesz, żebym cisnął w prokuraturze? Serio, kręci cię to?

– KURWA, KONRAD! – znów wrzasnęła. – Nie rób ze mnie debilki! Za mądry jesteś, żeby zgrywać

takiego kretyna. W dupie mam tę prokuraturę! Pisz książki, podróżuj po świecie, załóż zespół... JA PIERDOŁĘ! Chcę odzyskać dawnego ciebie albo... pójść dalej. Pójść swoją drogą. Bo świat nam nie wybaczy, jeśli będziemy w tym dalej tkwić.

Poczuł, jak miękną mu nogi.

– To rozstanie czy ostrzeżenie?

– To kubek zimnej wody. Konrad... Kocham cię, ale nie mogę tak dalej żyć. Potrzebuję, byś odnalazł tamtego bezczelnego typa, którym byłeś dwadzieścia lat temu. Dla mnie, dla siebie, dla nas.

Spojrzał na horyzont. On też przez chwilę szukał dawnego siebie. Zeszłej jesieni, kiedy usłyszał o tajemniczej dziewczynie ze stoczni... nigdy w życiu nie był tak blisko powrotu na właściwe tory. A jednak, mimo wszystko, nie udało mu się wrócić.

– Musisz pogrzebać tamte demony i zacząć żyć naprawdę. Tylko wtedy mamy szansę przetrwać jako „my”.

Przytuliła się do niego.

– Zuz... tylko wtedy ja mam szansę przetrwać jako „ja”. Jako Konrad Kroon. Posłucham cię albo... już jestem martwy.

PROPHETA

Nieboskłon sprawiedliwy jak czas, zemsta jak wiatr nieustępliwa. Powiada się, że wieczorna czerwień nieba zwiastuje porywisty wiatr; tego roku w Gdańsku wiać miało mocno, przeraźliwie i nieustannie. Nie miał to być jednak wiatr na niebie, lecz wiatr, który przeszywa serca, mrozi umysły, paraliżuje w strachu.

Najstarsi mieszkańcy miasta nie pamiętali takiej nocy: niemal do samego świtu skąpanej w upiornym karmazynie.

Wbrew zapowiedziom prognostyków wichura nie rozpoczęła się nazajutrz. Kolejny dzień był tak samo piękny i pozornie spokojny jak jego poprzednik. Mimo to Słowa zostały wypowiedziane. Proroctwo musiało stać się ciałem.

– „Dokąd ujdę przed twoim duchem? Dokąd ucieknę przed twoim obliczem?” – wyszeptał Propheta. – „Jeśli wstąpię do nieba, jesteś tam; jeśli przygotuję sobie posłanie w piekle, tam też jesteś”⁶.

Posępne kontury dźwigów stoczniowych KONE odcinały się od niespokojnej czerwieni chmur. To nie była zwykła noc; rozświetlona upiorną aurą postindustrialna przestrzeń przypominała o sprawach najważniejszych: kruchości ludzkiego życia, ostatecznym rozliczeniu win, końcu znanego nam świata.

Pośród ceglanych hal celebrowano życie. Noc pełna grzechu, zabawy, rozpusty. Za dużo alkoholu, miłości i narkotyków. Święty Augustyn pouczał, że umiar stanowi źródło cnoty. Tego umiaru podczas cotygodniowych stoczniowych rejsów zwyczajnie brakło.

Na Ulicy Elektryków trwał właśnie jakiś queerowy festiwal. Po mieście przemykały tłumy kolorowych osób w niecodziennych kreacjach. Sporo nagości, pawich piór, wyzywających makijaży.

Propheta pojawił się gdzieś w okolicy Mlecznego Piotra, dawnego budynku WL4 przekształconego obecnie w galerię sztuki. W tym miejscu z Motławy wylaniały się surrealistyczne figury metalowych rzeźb. Propheta także wyszedł z wody, gdyż „ten, kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony, ale kto nie uwierzy, będzie potępiony”⁷.

Szata mężczyzny unosiła się na powierzchni wody, oczy w zakapturzonej twarzy wpatrywały martwo w przestrzeń. Propheta stanął na brzegu i uczynił znak krzyża. *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti*. Formuła trynitarna.

Choć słońce zniknęło za widnokregiem dobrych kilka godzin temu, niebo wciąż nosiło kolor kardynalskich szat. Propheta nie przyjął formalnie żadnych święceń: diakonatu, prezbiteratu ani episkopatu. Mimo to każdego dnia czuł się częścią Kościoła powszechnego, częścią eklezji, apostołem nowej ery.

Dwa tysiące lat temu Chrystus posłał swych uczniów jak owce między wilki. Propheta wiedział, że jego misja wymaga przyjęcia zgoła innej roli. Sprytny jak wąż, nieskazitelny jak gołąb. Łowca. *Lupi in vestimentum ovium*. Wilk w owczej skórze.

– „Jeśli ktoś będzie miał syna nieposłusznego i krnąbrnego (...), ojciec i matka pochwyć go, zaprowadzą do bramy, do starszych miasta, i powiedzą starszym miasta: «Oto nasz syn jest nieposłuszny i krnąbrny, nie słucha naszego upomnienia, oddaje się rozpuście i pijaństwu». Wtedy mężowie tego miasta

będą kamienowali go, aż umrze. Usuniesz zło spośród siebie, a cały Izrael, słysząc o tym, ulęknie się”⁸ – wyrecytował, idąc wzdłuż Nowej Wałowej.

Mijał właśnie budynek Dyrekcji, już tu słyszał muzykę dobiegającą z okolicznego podwórka.

– „Jeśli cię będzie pobudzał skrycie twój brat, mówiąc: «Chodźmy, służmy bogom obcym», bogom, których nie znałeś ani ty, ani przodkowie twoi, nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością, nie będziesz miał miłosierdzia, nie będziesz taił jego przestępstwa”⁹. – Przystanął na chwilę. Łapał lekką zadyszkę, każda ekstaza zużywała w nim spore pokłady energii.

– Spoko outfit, człowieniu – rzucił jakiś barwnie ubrany uczestnik festiwalu. Propheta chciał mu odpowiedzieć, lecz mężczyzna już nie słuchał. Nigdy nie słuchali.

– „Winienes go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić, a potem cały lud” – dokończył prorok. – „Ukamienujesz go na śmierć, ponieważ usiłował cię odwieść od Pana, Boga twojego, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Cały Izrael, słysząc to, ulęknie się i przestanie czynić to zło pośród siebie”¹⁰.

Wszedł na Ulicę Elektryków. Przed sezonem wstęp był zazwyczaj darmowy, ochroniarz rzucił na niego okiem, ale odstąpił od kontroli osobistej. Starszy *freak* w mokrych łachach. Tak to wygląda, kiedy złapie cię zbyt mocna faza.

Propheta wmieszał się w tłum. Muzyka elektroniczna przypominała mu dźwięki Sodomy i Gomory, a on niósł ze sobą trąbę Jerycha. Te mury musiały zostać zburzone. Świątynia rozpusty, z której nie może ostać się najmniejszy nawet kamień. Wymierzyć sprawiedliwość, rozliczyć winy, zasypać wszystko solą.

– Kurwa, jak ty mnie kręcisz – mruknął dwudziestoletni chłopak do swojego partnera. Dłuższe włosy, koleczyk w nosie.

Pocałowali się ledwie kilkanaście centymetrów od twarzy Prophety. Mężczyzna spojrzął na nich swoimi zmęczonymi oczyma. Niczym Abraham pragnął ujrzeć pośród tłumu choćby dziewięciu sprawiedliwych. Nie ujrzał ani jednego.

Młodzieniec gładził twarz swojego kochanka, przysunął się bliżej, złączył w tańcu, wtulił w niego całym ciałem.

– Gorące ciacho z ciebie, Jul.

– Będziemy się pierdolić najpierw w kiblu, potem za barem, a w końcu zerznę cię tu, na tym parkiecie – odparł chłopak. Musnął ustami jego szyję.

Propheta stał obok nich ubrany w ciężkie, wciąż mokre białe szaty. Sprawiedliwość obmyta wodą prawdy.

– Deszcz siarki i ognia – wyszeptał prorok.

Wtedy jednak w oddali zobaczył ją. Młodą dziewczynę o twarzy pięknej niczym anioł. Długie blond włosy spadały na nagie ramiona, pełne usta śmiały się serdecznie.

Lena Orska nachyliła się nad swoją przyjaciółką; przypadkowe spotkanie, a przecież tak naprawdę wcale nie chciała tu przychodzić, planowała imprezę w SPATiF-ie, gdyby zdecydowały się na Sopot, być może wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. To Natasza zaciągnęła ją na stocznię.

– Mówiłam ci, że skręcimy fajny melanżyk – oznajmiła ze śmiechem influencerka.

– No, spoko klimat – przyznała Lena.

Propheta wpatrywał się w stojącą kilka metrów Lenę i łkał. Jego łzy niknęły pod płóciennym kapturem, jego płacz gubił się pośród dźwięków muzyki. Niewiasta o twarzy czystej, odnaleziona pośrodku świątyni grzechu. Piękna jak wiosenne kwiaty; światłość zwiedziona przez mrok.

Mężczyzna raz jeszcze powtórzył to, co zwykł mawiać w chwilach próby.

– *Pater, si vis, transfer calicem istum a me!* Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich!

Ruszył z wolna w stronę metalowych schodów. Wspiął się na taras widokowy, oparł plecami o błękitny neon z nazwą ulicy. Błagał o litość, w tej chwili chciał ujrzeć Boga miłosiernego, a nie sprawiedliwego. Rozpaczliwie szukał takiego nowotestamentowego Boga, lecz nigdzie go nie widział. „Zazdrosnym i mszczącym się Bogiem jest Pan; mścicielem jest Pan i Władcą pełnym gniewu; Pan mści się nad swymi wrogami i długo się gniewa na swoich nieprzyjaciół”¹¹.

Upadł na kolana. Czy to właśnie było jego ostatnie kuszenie?

– Ojcze...

Propheta chwycił za barierki. Jego ręce wciąż jeszcze były brudne od krwi; tej nocy wszak złożył swą

pierwszą ofiarę w imieniu Pana. Pierwszą z listy na rzeź prowadzonych baranków. „Abraham zbudował ołtarz, ułożył na nim drwa i związawszy syna swego Izaaka, położył go na tych drwach na ołtarzu”¹². Pierwsza pozycja z długiej listy miłych Panu darów.

– Człowieku, wszystko w porządku? – spytał jakiś młody koleś, widząc te zakrwawione dłonie.

– Tak, dziękuję – odparł Propheta, usypiając czujność nieznajomego. Ten krzyż należało nieść samodzielnie.

– No to spoko. Bo wyglądasz, jakbyś złapał *bad tripa*. Myślałem, że to krew. Fajny outfit. – Chłopak poklepał go po plecach i zszedł na dół.

A może jeszcze dało się zawrócić? Wybłagać niczym Lot anioły o kroplę miłosierdzia?

Jego ciałem znów wstrząsnęły dreszcze. Chmury na niebie odsunęły się z wielką prędkością, czerwona poświata zapłonęła niezwykłym blaskiem. Mężczyzna przewrócił oczami; tęczęwki zniknęły gdzieś z tyłu głowy, ukazując samotne, przekrwione białka.

Wtedy też usłyszał Głos.

„Polecenie to bowiem, które ja ci dzisiaj daję, nie przekracza twych możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem. Nie jest w niebiosach, by można było powiedzieć: «Któż dla nas wstąpi do nieba i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je». I nie jest za morzem, aby można było powiedzieć: «Któż dla nas uda się za morze i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je». Słowo to bowiem jest bardzo blisko ciebie: w twych ustach i w twoim sercu, byś je mógł wypełnić”¹³.

Zrozumiał. Owa wola, spisana w Księdze Powtórnego Prawa, była jasna i czytelna. Propheta musiał wypełnić polecenie swego Pana. Polecenie spisane krwią.

KONRAD KROON

Każdy poranek Kroona wyglądał niemal tak samo: pojawiał się w pracy chwilę po ósmej, witał z ochroniarzem, wjeżdżał windą na górę i lekko spóźniony wpadał do służbowej kuchni na poranną kawę.

W ostatni poniedziałek września ta wspaniała rutyna została wywrócona do góry nogami. Zgromadzeni na porannej fajce pracownicy sądu patrzyli, jak nowoczesne audi TT prokuratora zajmuje zwyczajowe miejsce na parkingu, kierowca opuszcza pojazd i otwiera drzwi pasażera. Z samochodu wyskoczył posłusznie srebrny husky.

Kroon zabezpieczył auto kliknięciem pilota i nie oglądając się za siebie, ruszył żwawym krokiem w kierunku drzwi wejściowych. Pies zajął miejsce u jego boku.

– A to nowość! – zawołał zdziwiony ochroniarz. – Pan prokurator dzisiaj z kolegą?

– Z przyjacielem – odparł krótko Konrad i skręcił w stronę schodów.

*

Rok liturgiczny w Kościele katolickim tworzy siedem kolejnych okresów: adwent, okres Bożego Narodzenia, okres zwykły (I), wielki post, triduum paschalne, okres wielkanocny i okres zwykły (II). W prokuraturze czas dzieli się na półrocza i kwartały. Najważniejsze święta przypadają trzydziestego czerwca oraz trzydziestego pierwszego grudnia; dwa nieco mniej znaczące eventy to ostatni dzień marca i września. Patronką owych uroczystości jest naturalnie Święta Statystyka, błogosławiona wstawieniczka tabel, opiekunka zestawień i podsumowań, współmózgocielka spisów, wykazów i repertoriów.

Prokuratorzy, podobnie jak chłopcy u Reymonta, żyją od lat zgodnie z porządkiem tegoż świeckiego kalendarza. Niekończąca się powtarzalność kolejnych kwartałów pozwala im zyskać poczucie sensu wobec ogromu wszechświata, dodać wiary w sprawczość własnych działań oraz obdarzyć iskierką nadziei, że przecież po każdym, najgorszym nawet grudniu przyjdzie w końcu styczeń.

Kroon średnio przejmował się tym owczym pędem, tą dziką, ślepą gonitwą za klepaniem kolejnych numerków. Na co dzień zwykł pracować szybko, wiedział, kiedy odpuścić, a kiedy drażyć dalej. Umiał odróżnić sprawę błahą od ważnej; jeżeli trafił na ciekawą *case*, sprawne wyjaśnienie wszystkich wątków nadzorowanego postępowania było dla niego ważniejsze od odhaczenia kolejnej pozycji na liście starych śledztw.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – szepnął nieśmiało sierżant Łopiejko, zaglądając do gabinetu. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Za bardzo – dodał Kroon.

– Słucham? – spytał policjant. Marek Łopiejko nie należał do najbardziej lotnych funkcjonariuszy.

– Siedzę przy biurku zavalony aktami. Widzi pan, że właśnie coś piszę – rzucił dość obcesowo prokurator. – Jestem zajęty, a pan, odrywając mnie od pracy, naturalnie przeszkadza.

– No tak, dlatego spytałem...

– Dlatego spytał pan, czy pan nie przeszkadza. A przecież zadając to pytanie, musiał pan mieć świadomość, że przeszkadza. Dlatego należałoby dodać, czy nie przeszkadza pan „za bardzo”. Wtedy zdanie miałoby większy sens. Bo przecież naturalnie rozumie pan, że przeszkadza. Czyż nie?

Kroonowi często zdarzały się takie wstawki. Wśród policjantów zdążył się już dorobić łatki dziwaka.

– Aaa, rozumiem. To mogę? – Łopiejko się uśmiechnął. Zawsze się uśmiechał, gdy nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Proszę – odparł Konrad, obracając się w jego stronę na fotelu biurowym.

Sierżant wszedł do środka, w rękę trzymał gruby plik akt. Zamknął nogą drzwi.

– Przyniosłem kilka przedłużonek... Poleciały mi terminy i... CHRYSTE PANIE! – zawołał, niemal wpadając na warującego przy biurku husky. Pies zawarczał.

– Nie powiem, że nie gryzie, więc proszę lepiej uważać – rzucił Kroon, wyraźnie rozbawiony reakcją funkcjonariusza.

Łopiejko położył akta na biurku i ostrożnie postąpił krok w tył.

– No ładny piesek... Ja mam kundelka, pewnie to wyczuł...

– Fender, spokojnie – polecił Kroon. – Pan usiądzie.

Policjant przysiadł na krześle. Pies posłusznie schował zęby, choć w dalszym ciągu mierzył mężczyznę wilczym wzrokiem.

Prokurator wziął do ręki pierwszą z przyniesionych teczek. Przejrzał pobieżnie sprawę, włączył edytor tekstu i skreślił odpowiednie postanowienie.

– Widzę, że na pana trafił ten wypadek ze Słowaka – powiedział Łopiejko, zerkając na leżące obok niego akta. – Trzasnąłem tam umorzenie przed wszczęciem, prosta sprawa, kierowca jechał za szybko, żadnych ofiar poza sprawcą...

– Trafiło na mnie – odparł Konrad, ani na chwilę nie odrywając oczu od monitora. – W sprawie należy wszcząć śledztwo i przeprowadzić postępowanie. Umorzenie jest przedwczesne.

– No ale przecież tylko kierowca ucierpiał. Kumam, gdyby zmarł, ale facet przeżył. No a mamy wrzesień, sprawy należy kończyć...

– Pana naczelnik widział to umorzenie? – spytał prokurator.

– No naczelnik na chorobowym...

Kroon kończył właśnie pisać ostatnie z postanowień.

– Panie Marku, ta sprawa się po prostu nie nadaje na umorzenie. Nie teraz. Może za trzy miesiące, gdy wykonamy wszystkie czynności, zakończymy to umorzeniem. Ale na razie nie ustaliliśmy stanu faktycznego. Nie wiemy, czy pojazd był sprawny, czy taktyka i technika jazdy kierującego były prawidłowe, czy w zdarzeniu nie uczestniczyły osoby trzecie, nie uzyskaliśmy opinii odnośnie do stanu zdrowia...

– No jak tam pan prokurator chce – powiedział Łopiejko, unosząc ręce w obronnym geście.

– Tak właśnie chcę – odparł Kroon, oddając funkcjonariuszowi przyniesione przez niego akta. – A wie pan dlaczego? Bo lubię mieć porządnie poprowadzone sprawy.

MAJA

Przypięła swój rower do stojaka i żwawym krokiem ruszyła w stronę szklanego biurowca. Mieszkała na Żabiance, od nowoczesnej oliwskiej siłowni dzieliło ją pięć minut jazdy ścieżką.

Zazwyczaj trenowała chwilę przed południem albo późno w nocy. Służbę zaczynała dziś dopiero o czternastej.

Skinęła głową panu z recepcji, wbiegła po schodach i przyłożyła telefon do terminala przy drzwiach. Sekundę później była już w środku. Wciągnęła na siebie strój do ćwiczeń, poprawiła włosy, szybkie międzylądowanie w toalecie. Zwarta, gotowa, zdeterminowana. Zamierzała dziś ładnie pocisnąć.

– Kurwa, to nie jest mój dzień – zakląła nieznajoma dwudziestolatka, zaglądając do swojej torby. – Ja pierdołę!

Maja wyszła z łazienki. Kojarzyła ją z widzenia, obczajała na Instagramie. Natasza Keyserlingk, znana influencerka. Piękna dziewczyna o egzotycznej urodzie i krewkim charakterze. Przychodziła tu dopiero od miesiąca, ćwiczyła z trenerem, była wyjątkowo zawzięta.

Nad niektórymi decyzjami zastanawiamy się całe życie, inne podejmujemy właściwie bezmyślnie. Maja często działała impulsywnie.

– Wszystko w porządku? – spytała, podchodząc do tiktokerki.

Już dawno miała ochotę do niej zagadać, ale jakoś nie było okazji. No bo weź tu podbijaj do gwiazdy internetu, weźmie cię za świruskę, stalkerkę, zablokuje dostęp do konta, zbanuje, wystąpi do sądu o zakaz zbliżania.

– Kurwa, stroju zapomniałam! Ja jebię! – warknęła Natasza.

Jackpot! Korzystny układ planet, dzisiejszy horoskop mówi, że to będzie twój dzień!

Maja sięgnęła do szafki, wyciągnęła swoją torbę, wyjęła z niej pomarańczowe legginsy i top.

– Mogę ci pożyczyć, jeśli chcesz. Miałam spakowany zapasowy komplet.

Influencerka spojrzała na nią wilkiem. Trochę głupio ubierać czyjeś gacie, ale z drugiej strony miała dziś cholernie zapchany grafik. Mogła pożyczyć strój albo odpuścić trening. Natasza nie umiała odpuszczać.

– Yyy – wydukała. – To trochę cringe'owe.

– Nie mam syfa. – Maja puściła do niej oko. – Ale rób, jak chcesz.

Natasza niepewnie przejęła od dziewczyny legginsy i top. Widziała ją tu już kilka razy, typiara ładnie dawała ze sztangą, miała płaski brzuch i silne ramiona. Na oko w jej wieku.

– Dzięki – bąknęła. – Ale jak dostanę grzybicy, to ci wydłubię oczy.

LENA

Na Białą przeszła się spacerkiem. Decyzja dojrzewała w niej przez całe wakacje. To nie są łatwe wybory. To nigdy nie są łatwe wybory.

Pawlik Morozow doniósł na swojego ojca, sztandarowy bohater Rosji sowieckiej. W *Roku 1984* Orwella pojawił się podobny epizod. Nie da się popełnić większego skurwysyństwa niż wysypanie własnego starego.

Ale co, jeśli tatuś nie zachowuje się najlepiej? Jeśli krzyczy na mamusię, rozstawia wszystkich po kątach, spogląda surowo, często grozi palcem? Co, jeśli tatuś szturchnie czasem brata albo klepnie siostrę?

Wszystkie rodziny mają swoje problemy, ale problemy rodzinne rozwiązuje się jedynie w ramach rodziny. Nie włącza się do nich sąsiadów, psychologów, nie miesza się do nich psów. Ofiary cierpią w ciszy.

– Dzień dobry. Chciałam złożyć doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa – poinformowała dyżurnego.

Policjant spojrzął na nią zza szklanej szyby. „Długie nogi, duże oczy... sam bym ją chętnie przesłuchał”, pomyślał. Świnia.

– Jakiego przestępstwa? – spytał funkcjonariusz.

– Artykuł dwieście siedem Kodeksu karnego – odpowiedziała dwudziestolatka.

Skończyła dopiero pierwszy rok, ale wiedziała, gdzie szukać. Starannie przygotowała się do tej rozmowy. Poczytała artykuły w necie, przejrzała przepisy, zerknęła do komentarza i orzecznictwa. Stereotypowa, tępa blondynka? *I guess not.*

– Pani usiądzie w poczekalni – polecił dyżurny. – Za chwilę ktoś po panią przyjdzie.

Lena całe życie musiała walczyć o swoje. Rodzice mieli tylko maturę, ojciec skończył jakąś policealną. W domu się nie przelewało. Nie mogła liczyć na wsparcie krewnych, nie chciała liczyć na cud. Była niezwykle inteligentna, do tego zjawiskowo śliczna. Ogromny dar od losu, Lena nie chciała go zmarnować. Mogła osiągnąć wszystko, nie miała zamiaru zadowolić się niczym innym.

Kilka lat temu w rodzinie coś się popsło. Odkąd poszła do liceum, ojciec zmienił się nie do poznania. Zaczął wszystkich kontrolować, wypominał niestosowny ubiór, stale pouczał.

Na początku dziewczyna myślała, że to jej wina. Kosa ze starymi. Okres dorastania, wiele się mówi o nastoletnim buncie, a przecież Leny nigdy nie cechował nadmiar pokory, zawsze wszystkim pyszczyła. Każdy dzieciak kłóci się z rodzicami, myślała, że to normalne.

Na studiach zrozumiała, że ojciec ma nierówno pod sufitem. Gadała z kumpelami, przeglądała reportaże o przemocy domowej. Brat był jeszcze szczeniakiem, matka nie chciała słuchać. Ktoś musiał wziąć sprawę w swoje ręce.

– Dzień dobry – powiedziała policjantka z dochodzeniówki. – Zapraszam do mnie do pokoju.

FLARA

Starsza aspirant Justyna Flarkowska należała do najbardziej doświadczonych funkcjonariuszek Trzeciego Komisariatu Policji w Gdańsku. Prowadziła najtrudniejsze sprawy, zawsze pilna, empatyczna, umiała słuchać.

– Lena Orska. Studentka – zaczęła dziewczyna. Wypełniła załącznik adresowy, okazało się, że mieszka całkiem niedaleko komisariatu. Wrzeszcz Dolny, ulica Waryńskiego. – Sprawa dotyczy mojego ojca. Od kilku lat znęca się nad nami, to jest nad bratem, mamą, no i mną.

– Czy dochodzi do przemocy fizycznej? Jakies rękoczynny?

Właściwie to nie. „Nigdy mnie nie uderzył. Nigdy nie uderzył żadnego z was” – mówiła matka, kiedy Lena postanowiła z nią porozmawiać. Pani Orska starała się wyprzeć ze świadomości fakt, że z ich rodziną coś może być nie tak.

– Kilka razy mnie przytrzymał, mamę też. Mocno, zbyt mocno, ale... nie bił nas.

Przemoc psychiczna to także jest przemoc.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej – poleciła funkcjonariuszka.

Lena spodziewała się, że będzie musiała walczyć. Wiele się słyszy o policyjnej znieczulicy, tymczasem Flarkowska zaopiekowała się nią najlepiej, jak umiała. Nie naciskała, nie popędziała, zadawała

trafne pytania. Przesłuchanie trwało prawie dwie godziny. Policjantka notowała same ważne informacje, ale nie irytowała się, gdy dwudziestolatka nieco zbaczła z tematu. Rozumiała, jak trudna jest dla niej ta chwila; przełomowy punkt na osi czasu, znaleźć w sobie odwagę, przyjść i zacząć mówić. Flara nie mogła jej zawieść.

– Mama nie będzie chciała zeznawać?

– Wątpię. Nawet nie wie, że tu przylazłam. Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała.

Flarkowska pokiwała ze zrozumieniem głową.

– W pani sprawie zostanie wszczęte dochodzenie z artykułu dwieście siedem Kodeksu karnego.

W toku postępowania będę musiała przesłuchać świadków, inaczej będziemy mieć jedynie pani słowo przeciwko słowu ojca.

– Ale matka nic nie powie – stwierdziła krótko Lena.

– Proszę spróbować ją przekonać. Jej zeznania nie będą niezbędne, ale bardzo by pomogły.

– Straci pani tylko czas.

– Tak czy inaczej, będę musiała ją wezwać. Należy przesłuchać wszystkie osoby, którym przysługuje prawo do odmowy składania zeznań. Czyli najbliższych.

Lena spojrzała przez okno. Po nasypie kolejowym przemykała właśnie żółto-niebieska SKM-ka. Jechała w stronę stocznii.

– Kumam.

Wyszły z pokoju. Flara odprowadziła dziewczynę do drzwi dyżurki.

– Pani Leno, bardzo cenię pani odwagę – powiedziała na odchodne. – I choć wiem, jakie to trudne, proszę spróbować porozmawiać z matką. Dla niej, dla brata, a przede wszystkim dla samej siebie.

KONRAD KROON

Wróciły do niego akta Walczaka. Policjanci planowali kolejne przeszukania, podejrzewali, że dwudziestoparoletniemu paserowi uda się przypuścić jeszcze kilka kolejnych samochodów. Konrad przeglądał kolejne karty, skrupulatnie analizując zgromadzony materiał dowodowy. Lubił pewne skazania, nie chciał narażać się na jakiś drobny błąd, który poskutkowałby zwrotem sprawy albo, nie daj Boże, uniewinnieniem.

– Kroon, słucham – rzucił twardo do słuchawki.

– A dzień dobry, panie prokuratorze, Łopiejko Marek – przedstawił się funkcjonariusz. – Pamięta pan ten wypadek ze Słowackiego?

– Oczywiście – odparł. Choć granoczyło to z cudem, Konrad pamiętał wszystkie swoje sprawy. Raymond Babbitt umiał w kilka sekund policzyć leżące na ziemi wykałaczkę, Kroon nie potrafił przegnać z pamięci nazwisk, dat i paragrafów. Również tych czterech, które zostały w pudełku.

– Zaczęłam słuchać świadków, jak pan kazał.

– Brawo, panie Marku. – Nutka ironii, Łopiejko naturalnie nie poczuł się urażony. Nie zrozumiał, że to przytyk.

– No ale mamy problem, bo ta cała jego żona, jak ona tam... Beata Lewandowska, nie chce mi się stawić. Dzwonił jej papuga, że klientka nie będzie zeznawać.

Konradowi coś tu ewidentnie nie pasowało. W sprawach wypadków drogowych rodzina pokrzywdzonych prawie zawsze aktywnie włączała się w prowadzone postępowania. Wisieli na telefonie, ślali pisma, ponaglali. Śledztwem Klaudiusza Lewandowskiego nie zainteresował się pies z kulawą nogą.

– Który papuga?

– Eee... mecenas Wykopkowski.

Wykopkowski. Adwokat starej daty, pierwsze szlify zbierał jeszcze za komuny, broniąc złodziei niemieckich samochodów; w latach dziewięćdziesiątych stał się głównym obrońcą trójmiejskich gangsterów. Osobiście znał się ze Skotarczakiem, Zirajewskim czy Kolińskim. To na nich zrobił prawdziwe pieniądze, wyrobił sobie kontakty i renomę w środowisku. Teraz głównie odcinał kupony, choć w dalszym ciągu wyświadczał przysługi starym znajomym. Człowiek Jana Duchnowskiego, którego gdańska prokuratura dwukrotnie stawiała w stan oskarżenia, za każdym razem ponosząc porażkę.

– Serio wzięła Wykopkowskiego?

– Dzwonił do mnie na biurko, przedstawił się. Grzeczny taki, rozgadany.

– Ale przecież on już jest praktycznie na emeryturze. Nie bierze klientów z ulicy...

Łopiejko zaśmiał się do słuchawki.

– Może wzruszyła go jej historia.

– Najwidoczniej.

Kroon czuł w kościach, że coś tu nie gra. To miała być zwykła sprawa o wypadek drogowy. Chciał ją rzetelnie poprowadzić, zgromadzić dowody, podjąć właściwą decyzję. Zawsze przykładął się do roboty, choć od dawna nie angażował w nią emocji. Prawdziwy zimnokrwisty profesjonalista. Nie wiedział, jakie atrakcje przygotowała dla niego tegoroczna jesień.

– Draży pan dalej. Postara się pan ustalić jakichś świadków, monitoring czy coś. Ja czekam na opinię biegłego co do stanu pojazdu.

– Powołał pan Reya?

– A kogo innego?

Prokurator dysponował długą listą sądowych biegłych. W praktyce korzystał zawsze z usług tego samego, dość wąskiego grona. Nie lubił wyważać otwartych drzwi. Jeśli czyjeś opinie broniły się na sali rozpraw, a współpraca nie nastroczała niepotrzebnych problemów, nie warto było eksperymentować.

– No właśnie, panie Marku. Kogo innego miałbym powołać?

– Rey jest najlepszy. W końcu emerytowany glina.

LENA

Postanowiła rozmówić się z matką od razu po powrocie z komisariatu, tak zawsze działała. Nie lubiła odkładać rzeczy na później.

Skręciła w Waryńskiego. Przed kamienicą stał jej sąsiad i gadał z jakimś chłopakiem, którego kojarzyła z widzenia z uczelni. Starszy o rok czy dwa.

– Serio wolisz studiować historię niż prawo, Gustaw?

Dwudziestolatek wzruszył ramionami. Miał za sobą naprawdę ciężki okres: zawód miłosny, silny atak manii, dłuższy pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Musiał postawić grubą kreskę i tyle.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Szukam dla siebie nowej drogi.

Emil złapał się za głowę. W tym momencie jego własna ścieżka przypominała labirynt Tezeusza: ślepe korytarze i żadnego drogowskazu, jak wyjść z pułapki. Żadnego światelka w tunelu. Życie rozpadło mu się na kawałki.

– Ale historia? Co po tym będziesz robił? Pracował w muzeum jak ja?

Emilowi pociły się dłonie. Był mocno zestresowany. Musiał przeżywać naprawdę trudne chwile.

– Tego jeszcze nie wiem.

– Hej – rzuciła Lena, mijając ich przed wejściem do klatki.

– Cześć – odpowiedział Emil.

Gustaw postanowił milczeć. Chorobliwie bał się ładnych dziewczyn, a Lena była prawdziwą kocicą. Laska za milion dolarów. Dosłownie i w przenośni.

Weszła na górę. Drewniane schody trzeszczały przy każdym kroku. Mocno wytarte stopnie, ściany odrapane, stolarka przeżarta zębem czasu. Przekręciła klucz.

– Jest tu kto?! – zawołała, zapominając o zwyczajowym „szczęść Boże”. Kaptcie ojca stały pod wieszakiem, znaczy wyszedł z mieszkania. Korzystne zrządzenie losu. Potrzebowała porozmawiać z matką w cztery oczy.

– Jest tu kto? – powtórzyła, zaglądając do kuchni.

Cisza.

– Haaaalo! – zawołała, przemierzając długi, wyłożony drewnianą boazerią korytarz. W dwóch ostatnich pokojach mieszkała starsza kobieta z komunalnego przydziału; wstyd się przyznać, ale cisnęli się tak od Bieruta. Gminne mieszkanie podzielone między dwie rodziny. Sąsiedzi z parteru znajdowali się w bardziej komfortowej sytuacji: po prostu wybili drugie drzwi i postawili ścianę.

– No, jesteś tu! Czemu się nie odzywasz?! – Lena nieznacznie podniosła głos.

Matka siedziała na kanapie w dużym pokoju.

– Mamo? Mamo!

Kobieta nie odpowiadała. Wpatrywała się tępo w starą reprodukcję przedstawiającą wizerunek

oliwskich organów. Od dłuższego czasu zachowywała się apatycznie; związek z Hieronimem Orskim i jego ostatnie wybryki zamieniły ją we wrak człowieka. To nie było szczęśliwe małżeństwo. Przynajmniej nie ostatnimi laty.

– Jadłś obiad? – spytała pani Jadwiga po dłuższej chwili.

– Jadłam, dziękuję. – Przytuliła się do matki. Robiła to wszystko głównie dla niej. – Mamo, musimy porozmawiać. Porozmawiać o tacie.

– Wyszedł do kościoła – odpowiedziała kobieta.

– Idealnie. Mamo – krótka pauza – my nie możemy tak żyć. Ty nie możesz tak żyć.

Pani Orska spojrzała na córkę pozbawionymi nadziei oczami.

– Cóż zrobisz. Musimy to jakoś przetrzymać...

Przetrzymać?! Do cholery jasnej! Zmaltretowana, upokorzona kobieta! W Lenie wzburzyła się krew.

– Nie, mamo. My nic nie musimy wytrzymywać. Na nic nie musimy się zgadzać.

– Gdy będziesz tyle lat żyć w małżeństwie co ja...

– Ja w ogóle nie będę się chajtać, ale nie o tym gadamy. To, co on nam robi, wiesz, jak to się nazywa? To jest przemoc. Przemoc psychiczna. Rozumiesz?

– Oj, dziecko, dziecko. – Jadwiga zaśmiała się smutno. – Ty w życiu przemocy nie widziałaś. Nigdy pasem nie dostałaś...

To nie była prawda. Lena naoglądała się w swoim życiu całkiem sporo przemocy. Dziewczyna z biedy. To, że nie bili jej w domu, nie znaczy, że nie widziała, jak leją innych. Typowa laska z Wrzeszcza, wychowana przez ulicę i twardych ziomków z sąsiedztwa.

– Dwadzieścia lat temu wszystko wyglądało inaczej. Kumam to. Ale świat się zmienił. To, co kiedyś zamiatało się pod dywan, o czym nikt nie chciał mówić, dziś jest ważnym społecznie tematem. Tkwisz w kręgu przemocy i nie potrafisz się z niego sama uwolnić.

– Tata ma swoje wady, ale nie rób z niego takiego diabła – tłumaczyła pani Orska. – Ma gorsze i lepsze dni. Jak każdy.

– Mamo, tak wygląda typowy cykl przemocy. Poczytaj o tym. Faza narastającego napięcia, faza ostrej przemocy, faza miesiąca miodowego, faza spokoju. Teraz jesteśmy na ostatnim etapie. Zgadnij, co się za chwilę zacznie.

Mama zaśmiała się pod nosem. Ciągle widziała w niej tę małą dziewczynkę, która podczas niedzielnego kazania знаła odpowiedź na każde pytanie księdza.

– Oj, Lenuś, Lenuś. Za co ty go tak nienawidzisz, powiedz? Sprowadził cię na świat, karmił, nauczył czytać i pisać. Gdyby nie ojciec, nigdy nie poszłabyś na prawo...

– Dobra, umówmy się, zrobić komuś bachora i potem się nim opiekować to nie jest jakaś zajebista zasługa! Jak decydujesz się na dzieci, to bierzesz na siebie odpowiedzialność, proste.

– Lena! Nie tym językiem, proszę.

– Bo mnie denerwuje takie głupie gadanie! Wdzięczność do rodziców za to, że żyją, oddychają, srajają...

– LENA! – uniosła się matka.

Nie tak miała potoczyć się ta rozmowa. Lena planowała szczerą konwersację opartą na wzajemnym zrozumieniu i słuchaniu siebie nawzajem. Dyskusja jak zwykle zamieniła się w bezsensowną połajankę.

– Szanuj rodziców, bo... Bo co? Bo gówno! Na szacunek to trzeba sobie najpierw zasłużyć!

Pani Jadwiga wstała z kanapy. Gwałtownie spłoszyła.

– Za kogo ty mnie masz, młoda damo? Takim bulwarowym językiem?! To jest porządny dom!

– Dom, w którym maltretuje się kobiety! – wrzasnęła Lena.

– Jakie „maltretuje”? Czyś ty oszalała?!

– Rozstawia cię po kątach, mówi, kiedy masz spać, budzi o świcie, zabiera jedzenie, nie pozwala kupować ubrań...

– To są sprawy między dwojgiem dorosłych ludzi! Nie porównuj się do rodziców!

– To są sprawy dla prokuratora, wiesz? To się nazywa znęcanie, przestępstwo z artykułu dwieście siedem Kodeksu karnego! – wykrzyczała Lena.

– Dla prokuratora, dobre sobie – prychnęła mama. – Może jeszcze policję mi tu do domu sprowadzisz...

Lena podniosła się kanapy. Chodziła wściekle w tę i we w tę.

– A żebyś wiedziała! – ryknęła. – Bo ty sobie sama z tym nie poradzisz! A ojciec jest zwyczajnym psycholem, którego trzeba leczyć albo wypierdolić z domu!

To powiedziawszy, wybiegła na klatkę. Drzwi trzasnęły z hukiem.

KONRAD KROON

– No siemasz, Konradku – rzucił biegły, wchodząc do gabinetu prokuratora. Miał taką manierę, że zawsze do wszystkich mówił na ty.

– Cześć, Michał – odparł mu Kroon.

Inżynier Michał Rey był niskim, krępy męczyzną koło sześćdziesiątki. Na jego głowie od lat nie widziano żadnego włosa; łysinę rekompensowała bujna, siwa broda. Bilans wychodził na zero.

– A co ty sobie pieska kupiłeś? – Zdziwił się, podchodząc do Fendera. Husky wyszczerzył zęby. – Groźny! Taki sam przyjemniaczek jak jego pan!

– Denerwuje się, że mam tyle pracy. Wolałby pójść pobiegać.

Rey przysiadł na krzeselku i ciężko sapnął. Spora nadwaga, brzuch w kształcie melona.

– Też kiedyś biegałem. Piękny, długowłosy i... – Przejechał dłonią po łysinie. – „Czy ty wiesz, jak ja byłem młody, to też byłem Murzynem i grałem w kosza?”¹⁴.

Kroon zarechotał. Uwielbiał Bareję.

– Ja tam grałem w Stoczniewcu, ale teraz – wskazał na wysoki plik akt – to jest mój sport.

– Nie zgrywaj się. Wiem, że kochasz tę pracę – stwierdził poważnie Rey.

– Kocham jak korki na Spacerowej.

Biegły tylko pokręcił głową.

– Robię w tej branży dobre czterdzieści lat. I z nikim nigdy nie współpracowało mi się tak dobrze jak z tobą. Marnujesz się tu...

– Michał, możesz mi nie kadzić. I tak ci więcej nie zapłacę.

Rey zarechotał.

– *A propos* pieniędzy. Przyniosłem rachuneczek i do tego opinie. Zbadałem ten samochód ze Słowackiego.

Zdobył całą uwagę Kroona.

– Zamieniam się w słuch.

– Stara bryka. Masz właściciela pojazdu?

– Kazałem Łopiejce ustalić i przesłuchać. Samochód nie należał do pokrzywdzonego.

Biegły pokiwał głową.

– No to będzie go musiał porządnie przycisnąć. Bo auto nie było sprawne.

– Co ty gadasz?

Kroon przeczuwał, że sprawa się posypie. Od początku wiedział, że nie może jej za szybko umorzyć.

– Poduszki zadziały, pasy kierowcy były w użyciu. Ale hamulce... – Zrobił wymowną pauzę.

– Widziałem protokół oględzin. Na miejscu zauważono ślady hamowania.

– W porządku. Ale ktoś majstrował przy hamulcach. Zupełnie jakby chciał, żeby kierowca się rozjechał.

BEATA

Na Skłodowskiej-Curie naprawdę nie szło zaparkować. Pomimo wprowadzenia płatnej strefy Beata i tak musiała krążyć dobre dziesięć minut, zanim gdzieś w okolicy szpitala zwolniło się miejsce.

Ruszyła w stronę nowoczesnego budynku Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Kliniczny Oddział Ratunkowy cieszył się opinią najlepszej jednostki na Pomorzu; miał najwyższy stopień referencyjności, grono doświadczonych specjalistów. Ojciec Beaty znał osobiście kilku profesorów, rektor uczelni puszczał czasem do niego oczko, gdy potrzebował wsparcia ministerstwa.

Mimo swoich koneksji Beata postanowiła pojawić się tu całkiem anonimowo. Grzecznie podeszła do recepcji, podała nazwisko męża, skierowała się na właściwy oddział. Zgodnie z poleceniem matki poczekała na lekarza dyżurnego, by wypytać go o stan zdrowia Klaudiusza. Medyk nawet się nie zdziwił, że kobieta przychodzi tak późno. Miał za dużo na głowie, żeby jeszcze dodatkowo roztrząsać problemy rodzinne

jednego z pacjentów.

Mówi się, że lekarzy opanowała znieczulica, lecz on po prostu rzeczowo zreferował stan sprawy. Bez owijania w bawełnę, bez upiększaczy. Sytuacja nie prezentowała się najlepiej.

Beata usiadła przy łóżku chorego. Zostali sami. Patrzyła, jak ciężko oddychał, a raczej oddychały: sztuczne płuca, unoszące jego klatkę piersiową z regularnością zegara. Nie przypominał w tej chwili człowieka; bardziej odhumanizowaną hybrydę robota i czegoś, co kiedyś mówiło, śmiało się i cieszyło, a teraz leżało nieme, skąpane w ciszy, kurczowo trzymające się tej małej niebieskiej planety, podobno trzeciej od Słońca, choć tak naprawdę już dawno powinno odlecieć w niebyt kosmosu, dołączyć do wielkiego kręgu życia, umrzeć, odpłynąć, zniknąć.

Oglądać swoich bliskich podłączonych do respiratora. Ciężki los. Żegnać się z nimi, jednocześnie błagając o jeszcze jeden dzień, najlepiej pół roku. Wszyscy wiemy, że jesteśmy tu tylko przejazdem, produkt z krótkim terminem ważności, klepsydra odmierza czas i już zaraz nas nie będzie; że każdy dzień może być naszym ostatnim, że świat nie zaczeka, że tak to już jest.

Beata wpatrywała się w Klaudiusza i z głębi serca życzyła mu śmierci. Nie śmierci dobrej, spodziewanej i wyczekiwanej, nie *eu thanatos*, która wyzwala od cierpienia, koi, pozwala odpocząć. Beata przeklinała go, że nie zdechł tamtej nocy na ekspresówce, że jakimś cudem przeżył i znów pieprzy jej życie. A co, jeśli się obudzi? Jeśli powie, co stało się naprawdę?

– Nie mogę przegrać, rozumiesz? – wyszeptwała.

Naturalnie, jeśli nie liczyć miarowego pikania aparatury podtrzymującej życie, nikt jej nie odpowiedział.

Pochodziła z Nawrockich, a oni zawsze dostawali to, czego chcieli. Dwadzieścia lat temu popełniła błąd, zgadzając się na pierścionek, odwracając od rodziny, nie słuchając matki. Dwadzieścia lat temu zafiksowała się na swojej wizji świata, teraz widziała, jak kiepski był to wybór.

Należało naprawić błędy. Nie była już młoda, nie była jeszcze stara. Miała po co żyć. Inaczej niż dotychczas, żyć naprawdę, tak jak chciała, bez kompromisów i bezsensownych wyrzeczeń.

– Pogrzebię cię, jak każe obyczaj, założę czarny welon, zaleję ziemię strumieniem łez. Będę biadolić najgłośniej z żałobników, tak by wszyscy widzieli mą rozpacz. Lecz gdy zostaniemy sami, zaśmieję się nad twym grobem, zgaszę świece i zapomnę o tym smutnym miejscu, gdzie leżą twoje nędzne zwłoki.

Wyciągnęła z szafki jego rzeczy osobiste. Przejrzała papiery, nic istotnego, nic, co mogłoby jej zaszkodzić. Zabrała telefon. Był rozładowany, ale to przecież nie problem. I tak się domyślała, jakie ma hasło. A jeśli nie udałoby się go odblokować, znała ludzi, którzy znali ludzi, którzy...

Nawroczy zawsze stawiają na swoim.

Wstała z krzesła, przypominając sobie osobliwy pacierz, który całkiem niedawno odmówiła w jednym ze starszych kościołów Gdańska.

Modliła się o cud, o anioła śmierci, który ruszy ciemnym lasem grzechu i ukarze winnych. Wołała do starotestamentowego Boga o sprawiedliwość. Klęczała długimi godzinami na twardej posadzce katedry oliwskiej, błagając o pomstę niebios. Wzywała imienia Jego zupełnie nienadaremno; prosiła o kata, mrocznego rycerza zemsty, który wykona wyrok.

Wołała Pana, a ten odpowiedział słowami Izajasza: „Zdeptałem ludy w moim rozgniewaniu, starłem je w mojej zapalczywości, sprawiłem, że krew ich spłynęła na ziemię”¹⁵.

Klaudiusz nie mógł tego przeżyć.

KONRAD KROON

Po rozmowie z biegłym od razu zadzwonił do Łopiejki. Pogonił go z ustaleniem właściciela pojazdu, kazał się szybko dowiedzieć, czy na ulicy zainstalowano jakiś monitoring. Później zabrał się do pisania kolejnego postanowienia. Potrzebował kompleksowej dokumentacji lekarskiej pokrzywdzonego. Lewandowski w dalszym ciągu znajdował się w śpiączce i nikt nie wiedział, czy miał się kiedykolwiek obudzić. Konrad postanowił pozyskać wstępną opinię odnośnie do jego stanu zdrowia, ocenić charakter obrażeń, zbadać korelację pomiędzy śladami w pojeździe i urazami pokrzywdzonego.

– Panie prokuratorze, sąd dzwonił – powiedziała sekretarka, uchylwszy drzwi do gabinetu. – Nie ma pan teraz wokandy?

Kroon spojrział na kalendarz.

– Cholera!

Chwycił prędko tokę, wrzucił akta do teczki i wybiegł z pokoju.

*

– ...odroczyliśmy rozpoznanie sprawy do dziesiątego listopada. Czy wszystkim pasuje? – spytała sędzia Grażela i wyjrzała zza stołu. – Nie widzę sprzeciwu, zatem postanowiono.

Od razu po zakończeniu rozprawy Kroon wyciągnął telefon. Czekał na wiadomość od Zuzy, ale dziewczyna w dalszym ciągu milczała. Tej jesieni często była w podróży; jeśli odwiedzała Gdańsk, to jedynie na kilka dni, by przepakować walizkę i znów ruszyć w drogę.

Konrad czuł, że wariuje. Bez Zuzy stawał się zupełnie innym człowiekiem. Jego głowę zaczynały nawiedzać dziwne myśli, umysł wędrował w niebezpieczne rejony podświadomości. Potrzebował odskoczni; czegoś, co pozwoliłoby przerwać gonitwę myśli, zapędzić mózg do ciężkiej pracy.

Jeździł na łyżwach, biegał po parku z psem, zaczął grać na gitarze. Leczył objawy, podczas gdy jedyną rzeczą, która mogła mu w tej chwili pomóc, był ciekawy *case*. Trudne śledztwo, które choć nie pozwala zasnąć, to ocali przed utratą zmysłów.

Upiory przeszłości tylko czekały, aż umysł Konrada zwolni na chwilę obroty i pozwoli sobie na chwilę improwizacji. Nadmiar czasu działał na niego destrukcyjnie. Kiedy znikają zadania do wykonania, wracały wspomnienia. Nikt nie chciał mieć takich wspomnień.

– Konrad! Coś ty, głuchy?! – zawołał jakiś facet. – Wołam cię i wołam. Jesteś jak ta cała gówniarzeria, wiecznie przyklejony do telefonu. Co ty, kuźwa, influencerką zostałeś, że tak latasz z tym iPhone'em?

– O, sorry, Krzysiu – odparł wyrwany jakby z transu Kroon. – Wróciłeś na stare śmieci? Gościnne występy?

Prokurator Kielrowski był dawnym kumplem Konrada z Wrzeszcza. W zeszłym roku awansował do Okręgu i jako urodzony plotkarz służył mu za niezawodną „wtyczkę”.

– A ciągnie się tu taki spąd, odprysk starej sprawy Duchnowskiego. Janka oczywiście dawno temu uniewinnili, ale kilku jego kolegów ma jeszcze nieprzyjemności za jakąś drobnicę. Pewnie też nic z tego nie będzie. Godzinę słuchałem, jak Wykopkowski produkował się na końcówce.

– Ten koleś jest niezatapialny. Nie wiem, jak on to robi – stwierdził Kroon.

– Widzisz. Władza niby się zmieniła, mieli rozliczać... i chuja rozliczyli. Tyle ci powiem. Ale jakbyś ty to poprowadził...

– Oj, Krzysiu, Krzysiu. Jesteś jak ten króliczek Duracella. Nigdy nie przestajesz pierdolić.

Kielrowski wyszczerzył zęby.

– Mówię ci, Konrad, że kiedyś cię ściągnę wyżej. Ubezpieśmowolnię, zakuję w kajdany i sprowadzę tam do góry.

Konrad poklepał go po plecach.

– Aż tak źle mi życzysz? Swoją drogą... Wykopkowski jeszcze pracuje?

– Właściwie to nie. Większość spraw oddał substytutom albo wypowiedział pełnomocnictwa. Koleś ma z siedem dych na karku, daj spokój, ile można tyrać?

Kroon się zamyślił.

– No właśnie. A ja nadzoruję taką sprawę, niby prosty wypadek, nawet nie śmiertelny. I nagle pojawia się Wykopkowski jako pełnomocnik pokrzywdzonej.

– A jak ona się nazywa? – spytał Kielrowski.

– Lewandowska. Beata Lewandowska.

– Nic mi to nie mówi. A co jej się stało?

Stała przed klatką schodową.

– Nic. Jej mąż prowadził, leży w śpiączce w szpitalu. Jedyna osoba w pojeździe.

– No to faktycznie dziwne, że Wykopkowski to wziął. Prosta sprawa, taka bardziej na umorzono.

Ruszyli powoli na dół.

– Niby prosta sprawa, a jednak coś mi w niej nie pasuje. Najbardziej śmierdzi mi ten Wykopkowski. Przecież wiesz, kogo on broni.

– No tak. Raczej nigdy nie pchał się do takich pierdów jak sto siedemdziesiąt siedem. A jak się

nazywa kierowca?

– Klaudiusz Lewandowski. Sprawdziłem go, dyrektor jakiejś spółki skarbu państwa. Raczej nikt ważny.

Kieltrowski wzruszył ramionami.

– Nic mi to nie mówi. Może po prostu się zlitował nad biedną kobietą. Może złapał demencję i obudził się w nim altruista.

– Pokuta za dawne grzechy. Miłosierdzie – ocenił Kroon.

– Wykopkowski za swoje grzechy nigdy nie odpokutuje. Nie na tym świecie.

*

Konrad siedział już w aucie, kiedy nagle zadzwoniła mu komórka. Kielrowski.

– No co tam, Krzysiu?

– Kuźwa, już wiem, skąd znam tego człowieka. Klaudiusz Lewandowski, mówisz?

– Tak.

Kieltrowski wstrzymał oddech. Nie powinien dzielić się informacjami ze śledztwa, ale chciał oszczędzić koledze nieprzyjemności. Ostatecznie nie zdradzał też jakiejś ogromnej tajemnicy. Po prostu zgrabnie łączył powszechnie znane fakty.

– Lewandowski majstrował koło jednego kolesia, na którego kręcę sprawę. Oskar Wójcicki. Nie mogę ci o nim mówić, ale też nie w tym rzecz. Klaudiusz Lewandowski to faktycznie typ znikąd, za to dobrze się wżenił.

Sportowe audi TT skręciło w lewo, wjeżdżając na szeroką estakadę. Kierowca wcisnął pedał gazu.

– Zaskocz mnie.

– Jego żona to niejaka Beata Lewandowska z domu Nawrocka. Córka TEGO Nawrockiego.

Senator Maurycy Nawrocki. Nawet średnio zorientowani w aktualnych wydarzeniach widzowie kanałów informacyjnych kojarzyli jego nazwisko. Senator Maurycy Nawrocki. Zaufany *consigliere* prezesa partii konserwatywnej, wpływowy, mściwy, bezwzględny.

Kroon poczuł na ciele znajomy dreszcz.

– O kurwa... – spuentował.

NATASZA

Natasza planowała wieczór dla siebie; po całym tygodniu użerania się z klientami, menedżerką i księgową potrzebowała chwili spokoju. Serial na Netflixie, koc, kanapa i dietetyczny deser.

– A to kto... – zdziwiła się, słysząc dźwięk domofonu. Jedno piknięcie oznaczało, że drzwi otworzono kodem. A jedyną osobą, która znała hasło, była...

– Elo, mordo – rzuciła Lena, wchodząc do środka. – Widzę, że jesteś w trybie offline.

– Resetuję mózg – odparła Natasza.

– No i pięknie. Ja też muszę się odpiąć. Stara mnie tak rozstroiła...

No to pooglądała. Natasza wyciągnęła kilka rzeczy z kosza na brudy i wrzuciła je do pralki. Pomarańczowy strój na siłkę pożyczony od obcej typiary. *What da fuck was that?*

– Akcja z ojcem odcinek tysięcy pięćset sto dziewięćset?

– Dokładnie. Powiedziała jej, że poszłam na psiarnię.

– I co ona na to?

Lena wyciągnęła się na kanapie.

– Gównu ona na to. Nic na to. Popierdoliło ją i tyle. Broni skurwiela.

– Wiesz, że to taki syndrom? Żona alkoholika, która toleruje jego chłanie, jest po prostu osobą współuzależnioną. – Natasza oparła się plecami o kuchenny blat. Jej czterdziestometrowy luksusowy apartament składał się z łazienki, sypialni, salonu połączonego z kuchnią i dużego tarasu. Własność rodziców.

– Ja to wiem, ty to wiesz. Bo mamy dwadzieścia lat i własne mózgi. Ale ta pieprzona dewotka nie przyjmuje tego do wiadomości. Jak się z nim rozwiedzie, to popełni grzech, a ojciec to przecież święty człowiek...

– Święty człowiek, który leje starą.

– Jeszcze nigdy jej nie uderzył – zauważyła bez większej satysfakcji Orska.

– Poczekaj, aż się rozkręci.

Lena wstała, poszła do kuchni. Wyciągnęła z szafki dwa kieliszki, otworzyła lodówkę.

– Gdzie masz wodę?

Natasza smutno pokręciła głową.

– A wino, gin, cokolwiek?

– Mówiłam ci, kocie, że jestem trzeźwa. Nie piję.

– Dobra, kumam, że robisz sobie detoks, ale nawet wina?

– Orska, czy do ciebie serio nic nie dociera? W tamte wakacje prawie się przekręciłam, kumasz?

Lena prychnęła.

– Sami wariaci dookoła. Czy wy wszyscy musicie mieć teraz depresję, terapie, shrinków, coachów...

Już się nie ma z kim porządnie nawalić.

– Za bardzo się skupiasz na sobie.

– Bo ty to, kurwa, ciągle myślisz o innych...

Zaśmiały się niemal w tym samym momencie. Dwie mocne osobowości, dwa silne charaktery.

– Chodź ze mną na rejwy do Sfina... – powiedziała błagalnym tonem Lena.

– *No way*.

– Kocie, ja muszę się trochę odpiąć. Nie musisz ćpać, po prostu potańczysz ze mną, wrócimy grzecznie przed szóstą.

Natasza zawinęła się w koc i usiadła w fotelu.

– Muszę być *fresh*. Mieć czysty umysł, żadnych rozpraszaczy – stwierdziła twardo. – *By the way*, od kiedy ty do Świnki chodzisz? Pamiętam, jak brzydziłaś się gówniarzerią w rurkach.

– Potrzebuję konkretnego melanżu – mruknęła dziewczyna.

– No a co z tym twoim przystojnym milionerem, Oskarkiem?

– Nic. Dalej ze sobą jesteście.

Natasza wzięła łyk wody. Szklany bidon z cytryną i listkami mięty. Sto procent eko, nic się nie martw, Matko Ziemio.

– To weź go na rejwy. W czym problem? Nie lubi techno?

– A jakiś taki podkurwiony chodzi ostatnio. *Fakap* w pracy czy coś. Jakiś koleś go wystawił do wiatru, teraz Oskar ma w chuj problemów – wyjaśniła Lena.

– Tej jesieni chyba wszyscy mają w chuj problemów.

KONRAD KROON

Sprawa Klaudiusza nigdy nie miała nabrać barw politycznych. Żadne wcześniejsze wydarzenia, żadne znane fakty nie zapowiadały burzy, która już niedługo miała się rozpętać.

Zazwyczaj przy politycznych śledztwach góra interesuje się nimi od razu. Czy jest to wypadek rządowej limuzyny, jazda po alkoholu słynnej piosenkarki, czy jakaś inna zwykła-lecz-medialna sprawa, prokuratorzy z nadzoru dostają sraczki, dzwonią, piszą, kontrolują; nie zdążysz jeszcze dobrze wydać postanowienia, a oni już się pytają, czy ktoś je zaskarżył.

Ze sprawą Lewandowskiego rzecz się miała zgoła inaczej. Pozornie prosty dowodowo wypadek. Osoba z koneksjami zapada w śpiączkę, ale nikomu to nie przeszkadza. Żadnych telefonów, brak jakiegokolwiek zainteresowania. Mediów, przełożonych, władzy. Gdyby nie przypadkowe spotkanie z Kiełtrowskim, Kroon mógłby równie dobrze nigdy się nie dowiedzieć, że pokrzywdzony ma jakiś związek ze znaną rodziną Nawrockich.

– Dziewczyno, ja mam wrażenie, że wy to mi specjalnie na tę półkę ładujecie więcej niż innym – zażartował Konrad po wejściu do sekretariatu. Na oznaczonej jego nazwiskiem przegródce czekał gruby plik nowych dokumentów.

– Oczywiście, panie prokuratorze. Bo pana najbardziej lubimy.

Kroon zgarnął papiery i wrócił do pokoju. Pobieźnie przejrzał dzisiejszy urobek: dwa nowe dochodzenia, zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, odpowiedź od operatora, informacje komornicze, kolejna wokanda, dokumentacja lekarska...

– Pospieszili się na tym KOR-ze. Ładnie.

Dokumentacja szpitalna Klaudiusza Lewandowskiego. Prokurator może osobiście zwolnić lekarza z tajemnicy lekarskiej; Kroon wydał stosowne postanowienie i czekał na kopię dokumentów. Lubił samodzielnie przejrzeć papiery, zanim wysłał je do biegłych.

Większość zapisków była dość nieczytelna, ale Konrad wiedział, czego szukać.

– O kurwa – zaklął pod nosem. – *Jackpot!*

Obrażenia ujawnione na ciele pokrzywdzonego nie odpowiadały ułożeniu pasów. A to mogło znaczyć wyłącznie jedno: po zderzeniu z barierką pasażer musiał się przesiąść na miejsce kierowcy.

Lub ktoś celowo przeniósł jego ciało, by upozorować wypadek.

Rozdział 5 | Czerwiec

KLAUDIUSZ

– Cieszę się, że ze mną poszedłeś – powiedział Oskar. – Jestem cholernie nakręcony, potrzebuję kogoś, kto będzie studził moje emocje.

– Spoko. Tylko ja nie mam bladego pojęcia o grach komputerowych – odparł Klaudiusz. Wójcicki objął go po przyjacielsku.

– To jest ogromny rynek, *amigo*. Nic tak szybko nie rośnie jak gry. Wiesz, ile na tym można zarobić? Klaudiusz wzruszył ramionami. Prawdę powiedziaławszy, nigdy nie wiedział, jak można dobrze zarobić.

– Ja też w tym nie siedzę – kontynuował Oskar – ale trzeba wejść. Zainwestować. W ogólniaku pykaliśmy z kumplami w różne gierki, *Quake*, *Duke Nukem*, pierwsze *GTA*... A ty w co grałeś?

– Nie mieliśmy w domu komputera – odpowiedział lekko zmieszany Lewandowski.

Biznesmen spojrzał na niego z litością w oczach.

– Biedaku... nie przelewało się?

Mówią, że bieda nie hańbi, a jednak Klaudiusz odczuwał wstyd. Przez większość życia zazdrościł kolegom z dobrych domów, leczył kompleksy, planował, jak się wybić. Potężny zastrzyk życiowej szansy pojawił się dopiero wtedy, kiedy poznał Beatę. Początkowo rodzina Nawrockich nie była zbyt przychylna temu związkowi – taki mezalians, zmarnowany potencjał najstarszej córki. Potem na świat przyszły wnuki, senator pogodził się z losem, wziął zięcia pod swoje skrzydła.

– No nie przelewało się – potwierdził Klaudiusz.

Stanęli pod drzwiami hotelowej restauracji. Ulica Stągiewna, samo centrum Śródmieścia, nowoczesny szklano-ceglany budynek nawiązujący kształtem do dawnych spichlerzy.

– Panie przodem – zażartował Wójcicki, przepuszczając kolegę w drzwiach.

Podeszli do stolika zajmowanego przez barczystego mężczyznę, na oko kilka lat młodszego od nich. Ubrany cały w czern, na głowie czapeczka z logo znanej książki, twarz ozdobiona sumiastym wąsem *à la* polski-hydraulik-meets-Super-Mario-Bros. Typowy facet z branży: zapomniał krawata, nie włożył marynarki, ukradli mu koszulę. Ubieram się na czarno, bo jestem z Nocnej Straży.

– Piotr Pacynko, bardzo mi miło – powiedział mężczyzna, wyciągając na powitanie dłoń. Wymienili uściski, zajęli miejsca przy stoliku.

– Pozwolę sobie od razu przejść do rzeczy – zaczął Oskar. – Oglądałem pana prezentację i bardzo mnie zainteresowała. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o projekcie, a przede wszystkim poznać osobę jego twórcy. Jeśli inwestuję pieniądze, to w głównej mierze w idee, a nie w same produkty.

– Od kilku lat pracuję w branży gier, przedtem prawie pięć lat zajmowałem się marketingiem. Nasz projekt bazuje głównie na sentymencie: uderzamy do starszego pokolenia graczy wychowanych na takich tytułach jak *Diablo*. Na rynku brakuje obecnie tytułów z segmentu turowych erpegów... – Pacynko zaczął czarować ich swoją opowieścią. Przeprowadził już dziesiątki podobnych rozmów, inwestorzy czasem zapraszali go na drugą randkę, ale nigdy nie wpuścili do łóżka. Mimo to chłopak nauczył się nie poddawać. Jeśli zamykali drzwi, włączył oknem, jeżeli nie jadał mięsa, serwował im sojowe burgery.

Oskar słuchał z zainteresowaniem, Klaudiusz ledwo nadążał za konwersacją. Komputer obsługiwał z trudem, telefon służył mu głównie za narzędzie do przeprowadzania rozmów. Nie umiał nawet samodzielnie zainstalować żadnej aplikacji.

– Czyli masz ekipę ludzi ściągniętą z CD Projektu. Jakies duże nazwiska?

Pacynko nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Niektórzy moi ludzie robili coś tam dla CD Projektu. No ale ja sam pracowałem jako *lead narrative designer* w CI Games...

– Bo wiesz – przerwał mu Oskar – już widzę te nagłówki: „MÓZGI Z CD PROJEKT OTWIERAJĄ WŁASNE STUDIO!”. Gazety branżowe, „Forbes”, „Business Insider” oszaleją.

– Pewnie tak. Tylko to nie byłaby prawda. Moja historia jest zupełnie inna...

– Historia! Świetnie, że pan poruszył ten temat. Historia jest bardzo ważna, panie Piotrze. Bo jeśli już sięgamy do dawnych dziejów, to CI Games nie kojarzy się inwestorom najlepiej. Po wpadce ze *Sniper*:

Ghost Warrior 2 ludzie uważniej patrzą, w co pakują pieniądze.

– To prawda – przyznał mężczyzna.

– No ale pan zainwestował w tę grę całkiem sporo. Nie tylko własnego czasu.

– Wziąłem kredyt osobisty na trzysta tysięcy złotych...

Wójcicki zwrócił się do Lewandowskiego.

– Czaisz, Klaudziu? Chłopak nie miał nic, rzucił dobrze płatną posadę, wziął trzysta kafli kredytu, zatrudnił ludzi i wszystko pchnął w grę, do stworzenia której potrzebuje jeszcze... dwóch baniek? Co ty o tym sądzisz? Jest po stronie kapitału, to się ceni.

Klaudiusz niewiele skumał z tej całej gadki. Nie rozumiał, dlaczego jego nowo poznany kolega marnuje czas na spotkania z nawiedzonym hipsterem, najpewniej wkręconym w satanizm. No bo czym innym wytłumaczyć tę całą stylistykę, nazwę gry czy świeżo założonej spółki?

– *False Prophet and the Blood Moon* – odczytał z komputera. – Długa, skomplikowana nazwa. A litery jakieś takie powykręcane, jakby to sam diabeł pisał.

– Faktycznie trochę nieczytelne – wtrącił Oskar. – A my musimy myśleć szeroko!

– A jakby z tego zrobić *Happy Prophet*? – zaproponował Lewandowski. – I dla dzieci, i dla starszych. Wtedy studio mogłoby produkować gry dla wszystkich. A więcej klientów to przecież więcej pieniędzy.

Pacyńko robił dobrą minę do złej gry. Czuł się, jakby właśnie skończył tłumaczyć pawianom podstawy fizyki kwantowej, a one zapytały go, czy mogą skubnąć jeszcze trochę bananów.

– Wyraz „propheta”, z łaciny „profeta”, oznacza proroka. Kogoś, kto zawsze idzie swoją drogą, bez względu na to, jak trudna i wyboista może się okazać. To dlatego założyłem własną spółkę. Chcę robić rzeczy po swojemu. Ścieżka fałszywego proroka jest krwawa jak sam księżyc, nie ogląda się na innych, nie liczy ofiar. To droga śmierci.

*

– Chryste Panie, nigdy nie widziałem tak wykręconego człowieka! – zawołał Klaudiusz, kiedy tylko opuścili budynek hotelu.

– Niezły agent, co?

– Daj spokój! Te satanistyczne znaki, gotyckie symbole, jakieś pentagramy! Nie wiem, czy on jest opętany, czy to tylko taka sztuczna poza, żeby wydawać się bardziej interesującym.

– Ludzie z IT nigdy nie są do końca normalni – przyznał Oskar. – A ten koleś postawił wszystko na jedną kartę.

– Dla mnie to jedna wielka hucpa – prychnął Klaudiusz. – Nie dałbym temu człowiekowi złamanego grosza.

Oskar zatrzymał się przy nabrzeżu Motławy. Spojrzał na rzekę.

– To rosyjska ruletka. Pacyńce może się udać, ale szanse, że nie przepierdoli, są jak jeden do tysiąca. Spore ryzyko.

– Jak jeden do miliona – sprostował Klaudiusz.

– No cóż. Trzeba próbować nowych dróg. Ale w tę firmę raczej nie zainwestuję. Zbyt duże ryzyko.

Stanęli pod Neptunem.

– Będę leciał do roboty. – Lewandowski zerknął na zegarek. – Powiedziałem sekretarce, że lecę na obiad służbowy.

– Klaudziu, nie musisz tłumaczyć się sekretarce z tego, co robisz. To ty jesteś dyrektorem.

– No tak, ale...

– Oj Klaudziu, Klaudziu. Musisz się jeszcze wiele nauczyć – powiedział z troską Wójcicki. –

Widzimy się na Sopot Sailing Days?

Mężczyzna pokręcił głową.

– To raczej nie dla ludzi z mojego środowiska politycznego.

– Przecież ty nie jesteś politykiem! – zauważył Oskar.

– Wiesz, o co mi chodzi. Tu, na Pomorzu, mało konserwatystów.

Wójcicki położył dłoń na jego ramieniu.

– Tu, na Pomorzu, biznes nie ma barw politycznych. Pieniądze lubią pieniądze i tyle. – Zamyślił się. – Jak to mówi ta cała twoja Biblia: „kto ma, temu zostanie dodane, kto nie ma, temu zostanie

zabrane”16.

SONIA

Sonia mijała tłumy imprezowiczów, spokojnie zmierzając do umówionego miejsca. Miała jeszcze trochę czasu, zanim w dzień swoich dwudziestych siódmych urodzin rozbije się na motorze, śmigając wąską, górzystą trasą z Villefranche do Beaulieu. Dziewczyna wpadła tu tylko na chwilę. Przyszła nieproszona, bo przecież cholernie kochała ten skrawek wszechświata. Zaplątała się w gęstą sieć narracji, znów oddychała tym samym powietrzem, które zeszłego lata zawróciło jej w głowie; przemierzała magiczną przestrzeń Ulicy Elektryków, zachwycała się stoczną.

Sonia lubiła wpadać na imprezy bez wcześniejszej zapowiedzi, tak stało się i tym razem. Stała pod ciemną sylwetką dźwigów KONE, zbiła piątkę ze starymi przyjaciółmi. Świat panny Salińskiej wędrował już zupełnie inną drogą, lecz... jakże przyjemne są takie przypadkowe spotkania.

- Rozumiem, że to, co zawsze – powiedział diler.
- Proste, Sebuś. Bo to z tego samego źródła? – spytała Sonia.
- Sprawdzony drip, mordeczko.

MAJA

Obserwowała go od dłuższego czasu. Na Elektryków wpadła sama, zupełnie nie służbowo, lubiła samotnie włóczyć się po mieście. Francuzi mówili na to *flâneur*.

- Co dla ciebie? – zagaił barman.

Przyjechała rowerem, niezobowiązująca nocna przejażdżka, nie mogła zbyt wiele pić. Jedno piwko wystarczy.

- Browarka – odpowiedziała.
- Z kija czy buteleczki?
- Może być z kija.

Stała oparta o bar, przyglądając się mocno wytatuowanej dziewczynie z kolczykiem w nosie, która wyszła zza kontenera; chwilę później z ciemności wyłonił się diler. Schowali się tam na kilkanaście sekund, raczej żaden numer nie kończy się tak szybko. Spotkanie miało charakter czysto biznesowy.

- Hej, mogę postawić ci drinka? – spytał jakiś obcy koleś.

Maja odruchowo odwróciła głowę. Błędny adres. Pytanie skierowano do kogoś zupełnie innego.

– Nie możesz – ucięła krótko ciemnowłosa dziewczyna o oliwkowej karnacji. Skinęła na barmana, zamówiła whiskey z colą.

Chłopak odszedł speszony.

Policjantka poczuła na skórze dreszcze. Typiara była naprawdę śliczna. Fajnie ubrana, do tego wiedziała, czego chce od życia. Sztos laska.

- Natasza! – krzyknęła wytatuowana dziewczyna. Pocałowały się na powitanie.
- Elo, mordo – odparła nieznajoma.

Maja nie usłyszała dalszych słów; dziewczyny zniknęły gdzieś na parkiecie. Miała ochotę pójść za nimi, wtopić się w tłum, śledzić każdy krok cudownej dwudziestolatki. Poznać jej imię, poprosić o numer telefonu. Gdyby tylko to było takie łatwe.

Przy barze pojawił się chudy chłopak, który chwilę wcześniej wyszedł zza kontenera. Obiekt obserwacji. Diler.

- Słuchaj – zaczęła nieśmiało Maja. – Nie miałbyś czego dobrego?

Młodzieniec zmierzył ją wzrokiem. Drobna dziewczyna, na oko po maturze, koński ogon, policzki przyprószone lekkimi piegami. Sympatyczna, raczej wysportowana, niegroźna. Jak się okazuje, lubiła przyćpać.

- A co by cię interesowało?
- No jakieś smakołyki...

Chłopak rozejrzał się w koło.

- Emka?
- Może być – odparła Maja.

– Chodź ze mną.

Ruszyli w stronę ceglanego budynku B90. Nieznajomy chwycił ją za rękę, od razu weszli do męskiego. Przed damską toaletą kolejka na dwie godziny stania. Zamknęli się w kabinie.

– Ile tego chcesz? – spytał chłopak, wyciągając z kieszeni foliowy woreczek. Kilkadziesiąt tabletek, resztę schował w samochodzie. Prokurator by mu nie przebaczył.

– Biorę wszystko – odpowiedziała Maja, wyciągając blachę. Pracowała jeszcze w prewencji, na co dzień biegła po ulicy w mundurze. Wiedziała jednak, że patrol stanowi jedynie początek prawdziwej przygody. Obiecali jej robotę w kryminalnych.

– O kurwa... – Diler chciał się wyrwać, ale dziewczyna zablokowała mu drogę ucieczki.

Od dziecka trenowała różne sztuki walki, regularnie ćwiczyła na siłowni. Nie miał z nią żadnych szans. Wykręciła mu ramię, sprowadziła do parteru.

– Wiesz, ile za to dostaniesz?

– Spierdalaj! – fuknął.

Maja władowała mu kolano w brodę. Tak to się robi w telewizji.

– Roczek jak nic. Chyba że znajdziemy u ciebie więcej. Wpierdolę cię teraz do radiowozu i sobie trochę pojeździmy. Do ciebie na chatę...

– Kurwa, mieszkam z matką – wtrącił nieco bardziej pokornie. – Proszę, nie możemy się jakoś dogadać?

– Jak dogadać? Za torbę dragów? – spytała retorycznie.

– Mam trochę kasy. Mogę ci odpalić ze dwadzieścia koła... Aaaaa! – krzyknął.

– Jeszcze łąpówkę mi proponujesz? – szepnęła mu do ucha, w dalszym ciągu wykręcając ramię.

ŁUP, ŁUP. Ktoś uderzył mocno w drzwi kabiny.

– Co wy tam sadomaso uprawiacie? Jak chcecie się pierdolić, to idźcie w krzaki!

– Spierdalaj! – ryknęła Maja. – To co, za dragi roczek, za łąpówkę roczek...

– Żadną łąpówkę, ja żartowałem tylko...

– To dobrze, bo ja też – powiedziała policjantka, puszczając jego rękę. Chłopak upadł na ziemię.

Maja schowała odznakę do kieszeni. W tej chwili budowała swój kapitał na przyszłość; zawsze chciała zostać kryminalną, wniknąć do półświatka, pracować z gangsterami.

– Serio nie kitujesz? – spytał zdziwiony diler.

Dziewczyna wyjęła mu z ręki woreczek z tabletkami. Spuściła wszystko w toalecie.

– Będziesz się musiał sporo napracować, żeby spłacić ten dług. Ile to było warte? Siedem koła?

– Sześć... – wyszeptał.

– Dla ciebie to pewnie jeden wieczór. – Przykucnęła obok niego. – U mnie zaciągnąłeś o wiele większy dług. Jak masz na imię?

– Sebastian – przedstawił się chłopak.

– Dzisiaj, Sebusiu, zostaliśmy przyjaciółmi. Na dobre i na złe. Lepiej zapisz sobie mój numer, bo będę często dzwonić.

KONRAD KROON

Pan Waldemar wyglądał na wyjątkowo zmęczonego, choć w jego zmęczeniu nie było niczego wyjątkowego. Pracował ciężko, odpoczywał rzadko. Wyglądał tak zawsze. Pulchna twarz, oblepiona potem i resztkami szpachli malarskiej. Wydatny brzuch, granatowe ogrodniczki z wiecznie niedopiętymi szelkami.

Mężczyzna tarł dłonią policzek.

– Panie Konradzie, to się nie da od ręki. Po prostu się nie da.

Każdą rozmowę zaczynał od „nie da się”. Taki miał nawyk, a przecież ilekroć zabierał się do pracy, okazywało się, że potrafi zdziałać cuda. Tu zalepimy, tam dociągniemy i gra muzyka. Kroon poznał go kilka lat temu, kiedy remontował mieszkanie. Znajomy znajomego, Waldziu-zrobi-ci-wszystko-na-glanc, prawdziwy fachura.

Robotę skończył w terminie, skasował mniej, niż wypadało. Nie miał ręki do biznesu. Parę miesięcy później pan Waldemar trafił na nieuczciwego kontrahenta i gdyby nie pewien bystry prokurator, zapewne poszedłby z torbami. Rynek budownictwa to nie przedszkole; maszeruj albo giń, ostatnich gryzą psy. Waldziu bardzo docenił ten gest. Można powiedzieć, że miał wobec Kroona dług wdzięczności.

– I dlatego przyszedłem do pana. Potrzebuję artysty, a nie rzemieślnika.

Waldziu prychnął.

– Panie Konradku, pan to zawsze mnie tak bajeruje... Ale ja nie mam ludzi, przecież sam tego wszystkiego nie wyburzę!

– Co może być trudnego w rozwalaniu ścian? – spytał Kroon. – Weźmiesz pan paru kumpli z Żuławki, akurat lato jest, nie mają pewnie zajęcia, dasz im jakieś młoty...

Mężczyzna znów ciężko sapnął.

– Panie Konradzie, przecież to trzeba papierów, pozwoleń, kwitów...

– O kwity to się, Waldziu, nie martw. Biorę je na siebie.

– No jak pan załatwisz w kilka miesięcy pozwolenie na rozbiórkę...

Kroon nie miał zamiaru niczego załatwiać. Odkąd samowola budowlana przestała być przestępstwem, średnio przejmował się załatwianiem formalności. Był czerwiec, najpóźniej do września chciał mieć zrobioną robotę.

– Spokojna pana rozczochrana. To co, kiedy możemy ruszać?

– Ech...

Prezydentowi się nie odmawia.

– Zależy mi na czasie – dodał Kroon. – Płacę ekstra.

– Mam jeszcze taką jedną fuzkę, kończę kafelkować łazienkę... Tydzień?

Konrad poklepał go przyjacielsko po plecach. O to chodziło.

KLAUDIUSZ

Sopot. Tak samo modny dziś, jak dwieście lat temu, kiedy Jerzy Haffner, emerytowany żołnierz wojsk napoleońskich, otwierał w nim luksusowe kąpielisko; równie piękny i wysmakowany jak Kraków; nie mniej warszawski od samej stolicy.

Sopot przetrwał wojnę, przetrzymał komunę i wyposzczony pięcioma dekadami października, w błyszczących białych laczkach wkroczył na kolorowy parkiet lat dziewięćdziesiątych.

Słynny Grand Hotel pamiętał imprezy z Hansem Klossem, filmowe produkcje ekip *Sztosa*, *Podróży za jeden uśmiech* i *Wniebowziętych* oraz (bo jakże mogłoby być inaczej) aryjskie rauty psychopatycznego przywódcy Trzeciej Rzeszy. Białe plamy historii to przeważnie plamy czarne i czerwone.

– Jak ja, Klaudziu, kocham morze! – westchnął Oskar. – Serio, Warszawa ma coś w sobie: biznes, pieniądze, dobry koks. Ale Bałtyk? Czerwiec nad Zatoką? Weź to przebij!

Klaudiusz nigdy nie zastanawiał się nad pięknem Trójmiasta. Po prostu się tu urodził; miejsce na ziemi jak każde inne. Ostatni raz korzystał z uroków plaży jakieś pięć... może siedem lat temu.

– Fajny klimat – przyznał, by nie wyjść na totalnego ignoranta.

Kręcili się pośród białych namiotów ustawionych specjalnie z okazji Sopot Sailing Days. W 1926 roku w ogrodach od strony morza zbudowano *Freiluft-Tanzdiele* – „tańczącą podłogę”, przy której przygrywały jazzowe bandy i letnie orkiestry.

– Zobacz: ławica tłustych ryb, z którymi można ukręcić fajny biznes, trochę celebrytów, jakieś gwiazdeczki z Instagrama i masa planktonu, który myśli, że od tego przesyconego zapachem ojro powietrza zaliczy w końcu społeczny awans.

– Oskar, też chciałbym w końcu zaliczyć społeczny awans...

– Co ty pieprzysz, Klaudziu! – Szturchnął go w bok; nieco zbyt mocno. – Jesteś cholernym dyrektorem Zajebystych Narodowych Innowacji, pralni rządowych pieniędzy, Najnowszego Ładu, unijnego siana wywalonego taczka prosto w błoto!

– No właśnie – przyznał smutno Lewandowski.

– Klaud. – Oskar zbliżył swoje czoło do jego czoła. – Możesz być, kimkolwiek zechcesz. Z takimi koneksjami, wsparciem teścia...

– Teść to moja największa blokada.

Wójcicki miał wrażenie, że rozmawia z czterolatkiem.

– Ciągniesz od niego, co potrzebujesz, a robisz swoje. Kumasz? Na boku, z tyłu, zniecka. – Oskar spojrzał wymownie na długonogą blondynkę.

– Brachu, ja mam żonę...

Nonszalancki kolega uniósł palec wskazujący.

– I jedno życie. A ja cię uczę, jak go nie spierdolić.

LENA

Przyjaźń ze sławną influencerką to nie tylko blichtr Instagrama, regularne dostawy darmowych kosmetyków i przygodne dary markowych ciuchów. Natasza nie znosiła chodzić w pojedynkę na eventy. W Wawce musiała się jakoś przemęczyć, dolary się same nie zarobią, ale tu, w Trójmieście, zawsze zabierała koleżankę.

– No i tak ja mogę żyć – powiedziała Lena, odbierając od kelnera kolejny kieliszek.

– To moje zadośćuczynienie za melanż na Elektryków. Chciałaś facetów z hajsem, mówisz i masz. – Natasza rozłożyła szeroko dłonie. – Wybierz jedną z liter.

W bankiecie uczestniczyła ponad setka gości; wielu z nich jedynie aspirowało do zajęcia miejsca wśród trójmiejskiej socjety. Lena Orska nie miała ochoty wiązać się z zakompleksionym *wannabe*. Potrzebowała prawdziwego gracza.

– Ej, ten jest dobry.

– Ładny – przyznała Natasza. – Maszyna do seksu, ciało z siłowni, zniżkowy karnet na solarium. Ale na Malediwy cię nie zabierze.

– Hę?

– Obczaj jego buty, bejbe. Tanie gówno z Zary. Z zeszłorocznej kolekcji...

Lena przygryzła wargę.

– Och, jaka szkoda.

Wtedy go ujrzała. Zaczesane do tyłu, wysmagane słońcem blond włosy. Wysokie czoło, niebieskie, niespokojne oczy. Białe spodnie jak u Dickiego Greenleafa z *Utalentowanego pana Ripleya*. Tak właśnie wyglądał. Cholerny Jude Law.

Szukała jakiegoś drobnego szczegółu, do którego mogłaby się doczepić. Zegarek Longines, buty od Salvatore Ferragamo. Idealna partia. Przystojny, bogaty, bezczelny. Nie bał się wykonać pierwszego kroku. Choć na imprezie obowiązywał open bar, on postawił jej Dom Pérignon. Jakby Moët nie był wystarczająco luksusowy.

Oskar Wójcicki. *Złoty, a skromny.*

ZUZA

– Nie wierzę, że się na to zdecydowałeś.

Sam nie wierzył. Konrad siedział na tarasie i popijając whiskey z lodem, spoglądał na Zatokę.

– Powiedziało się „A”, trzeba powiedzieć „A” – rzucił, nie odwracając wzroku. Że niby taki twardy.

Zuza przysiadła obok niego na ratanowej kanapie. Chwilę wcześniej wróciła z pracy.

– I co dalej? Wybudujesz nowy dom, uwijemy sobie ciepłe gniazdko z piątką dzieci i obślinionym labradorem na ganku? Ranczo u Złotopolskich? Filmowa szczęśliwa rodzinka?

– Niczego nie będę budował.

– No to o co ci chodzi? Nie możesz tego po prostu sprzedać?

Kroon wziął kolejnego łyka. Dziewiętnastoletni Glenfiddich, aromat starej beczki, nuta wanilii, karmelu i owoców leśnych. Lamusy dolewają do tego coli.

– Sprzedam chałupę, nowy właściciel ją przebuduje, zasadzi tuje, wyłoży ogródek polbrukiem. A ja, ilekroć zajadę do Starej Oliwy, będę musiał patrzeć na ten syf.

– Konrad, to tylko ściany. Trochę cegieł, cementu...

– Nie, Zuza! – Podniósł głos. – Ten dom od początku tam nie pasował. Modernistyczny klocek wpierdolony pomiędzy stare niemieckie wille.

Zuza pogłaskała go po głowie.

– Koneser przedwojennej architektury... Wiem, że nie masz dobrych wspomnień związanych z tamtym miejscem, ale w gruncie rzeczy to całkiem fajna chałupa.

– Rozpieprzę tę rudere, drzewa spalę, a ziemię zasypię solą. Już dawno powinienem był to zrobić.

BEATA

Klaudiusz nie wrócił do domu na noc. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Był grzecznym chłopakiem; nieco zakompleksionym, ale przewidywalnym. Poczciwy, bezpieczny, solidny.

Wiedziała, że idzie na bankiet, swoją drogą sama namawiała go, żeby poszedł w miasto. Senator Nawrocki zawsze łąził na takie imprezy. Gdyby nie setki uściśniętych dłoni, nigdy nie wyrobiłby sobie potrzebnych kontaktów.

– O kurde, ale daje od ciebie wódą – powiedziała, kiedy chwilę przed dziewiątą wtoczył się do korytarza.

– Sorry, Beata... – mruknął, z trudem trzymając pion.

– Jak trzeba, to trzeba... Mam nadzieję, że było warto.

– Wiesz, prawdziwy ffacet musi trzasem...

Wprowadziła go do sypialni, ułożyła na łóżku.

– Napij się wody, weź gorący prysznic. O piętnastej mama wpada na obiad.

*

Ta niezręczna sytuacja przy stole, kiedy wszyscy udają. Lewandowski ledwo trzymał się na krześle, waliło od niego jak z gorzelnii. Dzieci postanowiły siedzieć cicho, wirtualny świat zaklęty w ekranach telefonów, teściowa wymownie milczała.

– Klaud miał wczoraj kolację biznesową.

– Gdzie zamiast przekąsek serwowali czystą? – rzuciła senatorowa.

– B-b-były przekąski. Ale troszkę popiliśmy – wyjaśnił Klaudiusz. *Well, thank you, Captain Obvious!*

– Tatuś też musiał... – zaczęła Beata.

– Twój ojciec nigdy się tak nie upodlił – sprostowała pani Nawrocka. – Prawdziwy mężczyzna nie potrzebuje dowodzić swojej wartości ilością wypitej wódki.

Krępująca cisza.

– No, chłopcy chcą się czasem wyszaleć. – Beata machnęła ręką. Starła się obrócić wszystko w niewinny żart. „Ach-te-chłopaki”, utarty frazes pasujący do niejednej okazji.

– Był taki czterdziestoletni chłopiec, który mieszkał na ranchu w Kalifornii. Nos Piotrusia Pana, biały jak śnieg...

– Mamuś, ale po co te rasistowskie wtręty? – mruknął Klaudiusz, który mimo silnego upojenia wciąż potrafił łączyć fakty.

– O proszę. I nagle jestem faszystką. Pięknie, zięciu!

– Klaud! – pisnęła Beata. Nie tak miał wyglądać ten rodzinny obiad.

– Wiesz, że twój ojciec zawsze na powitanie całował moją matkę w rękę? – spytała teściowa. – Przedwojenna kindersztuba, eleganckie wychowanie.

– Może chciał jej zająć pierścionek z diamentem... – bąknął Klaudiusz. Znowu odbiło mu się wódką.

*

– Dzisiaj to przesadziłeś – oceniła surowo Beata.

Wiedziała, że matka właściwie nigdy nie lubiła Klaudiusza. Mimo to nie miała ochoty na żadne wojny podjazdowe.

– Ta jęzda najchętniej utopiłaby mnie w Motławie – mruknął, wciąż jeszcze mocno pijany.

– KLAUDIUSZ!

Mężczyzna przekręcił się na drugi bok. Leżał w garniturze, przepocona koszula przytulona do miękkiej egipskiej pościeli. Gdyby nie Beata, zapewne zasnąłby w butach.

– Takie są fakty. Twoja rodzina mnie nienawidzi, ty masz za skończone zero. Dusimy się ze sobą.

– Co powiedziałaś?! – Bolesne ukłucie w sercu. Też czuła ten kilkuletni brak powietrza. Długotrwała duchota, dawno niewietrzony pokój. W salonie pachniało stęchlizną, do małżeńskiej sypialni wstyd było wchodzić.

Codziennie zaklinała rzeczywistość. Łudziła się, że Klaudiusz jest po prostu zapracowany, ale nadal ją kocha. Przejściowy kryzys, dzieciaki dorosną, jakoś to przetrzymamy.

– Kurwa, Beata... – Właściwie nigdy nie przeklinał. – Przecież to wszystko nie ma sensu. Męczymy

się tylko ze sobą, codziennie udajemy. Twoja rodzina ma mnie za nieudacznika, ty patrzysz jak na dziecko z sierocińca. Nigdy nie umiałem ci zaimponować. Kurwa, stawałem na rżęsach, żeby być choć trochę jak papcio! Wspaniały senator Nawrocki. Ale wiesz co? Już nie będę więcej zgrywać idioty. Właściwie to nawet już mi nie zależy.

„Właściwie już mu nie zależy”. Głupi skurwiel. Nie wybaczy mu tego. Nie na tym świecie. Niech zdycha.

Głośno trzasnęła drzwiami.

KONRAD KROON

– Jak to mieszka w nim pies? Co mi pan tu chrzani? – rzucił do słuchawki. Waldziu oderwał go właśnie od pracy.

– Panie Konradku, mieliśmy ruszać z robotą. Ściągnąłem ludzi, kontenery na gruz zamówione, zabieraliśmy się do burzenia ścian. Weszliśmy do środka, melina tam jakaś straszna była. Pewnie bezdomni... No i idziemy do salonu, a tam cholerny wilczur. O mało nas nie zagryzł.

Zrywanie z przeszłością nigdy nie jest proste. Choćbyś życie swe włożył w wilka wychowanie, szkoda trudu: wilk wilkiem pozostanie.

– Panie Waldziu, zaraz tam przyjadę.

*

Audi mknęło ulicą Słowackiego, z gracją balansując między prawym a lewym pasem. Tak zwana jazda na skurwysyna.

Kroon wbił się na chama w lewoskręt, przy Garnizonie skręcił w stronę Starej Oliwy. Pięć minut później był już na miejscu.

– Panie Waldziu, no co to za rozróżba?

– Nie możemy wejść do środka. Otworzyliśmy drzwi, chcieliśmy się rozejrzeć, a tam w salonie jakiś cholerny kundel. Zaczął ujadać, warczeć...

– Bestia nie pies – dodał jeden z robotników.

– Próbowaliśmy go najpierw jakoś przekupić – wyjaśnił Waldemar. – Kupiliśmy kiełbasę, przecież nie będę panu zawracał głowy taką pierdołą... Ale ten pies normalnie przeklęty! Pilnuje terenu, szczeka na wszystkich...

– Jareczka to tak upierdolił, że do Matki Boskiej Zielnej na krzesło nie usiądzie! – rzucił wąsaty budowlaniec.

Kroon spojrział z namysłem na swój rodzinny dom. Betonowy prostopadłościan wciśnięty w zabytkową tkankę willowej dzielnicy. Okna zabezpieczone deskami, dla okolicznych meneli to żadna przeszkoda, ogródek zarośnięty, podjazd zawałony śmieciami.

– Wilczur?

– No taki, kuźwa, szkodnik leśny, jaja by odgryzł, kurę zagryzł... – mruknął Waldziu.

– Ciekawe – odparł Konrad, ruszając z wolna przed siebie.

Nie bał się psa. Rzadko kiedy odczuwał prawdziwy strach. A jednak, stąpając po schodach starego domu, czuł, jak jego nogi stopniowo odmawiają mu posłuszeństwa. Nie chodziło jednak o żadnego wilczura, biesa z zaświatów, Pieniężnego Żmija.

Przesądni Kaszubi. Chodziło o przeszłość Konrada. Bo ona nigdy nie chciała mu naprawdę wybaczyć.

Mijając szklany wiatrołap, Kroon miał wrażenie, że przekracza bramy królestwa koszmarów. Przeklęty portal krainy cieni; uśpione demony, które nigdy nie pozwoliły mu odejść. Znów wrócił do tamtego świata.

Stał pośrodku przestronnego salonu. Ściany pokrywała pleśń, z sufitu zwisały gęste pajęczyny. Kto się boi wilka, do lasu niech nie wchodzi.

W kuchennym korytarzu ujrzał parę błękitnych ślepi. Nie żółtych, jak mówią w bajkach, nie ognistych, jak podaje Biblia. Oczy jasne niczym światło północy.

– O Boże... – szepnął Kroon.

Husky spokojnie podszedł do oniemiałego mężczyzny. Polizał go po dłoni.

LENA

Podobno dwa najtrudniejsze kierunki studiów to prawo i medycyna. Ile prawdy kryje się w tej miejskiej legendzie, nie sposób stwierdzić; fakty są jednak takie, że na obu trzeba równo zakuwać.

Lenie Orskiej nauka od dziecka przychodziła z łatwością. Miała fotograficzną pamięć: otwierała książkę i po prostu zapamiętywała całość tekstu. Owa zdolność zupełnie nie pasowała do jej zjawiskowej aparycji. Od długonogiej blondynki oczekujemy głośnego śmiechu i niezbyt długich zdań, w żadnym wypadku wielokrotnie złożonych. Pamela Anderson całe życie walczyła, by zagrać w ambitnym kinie, ale jej najgłośniejszym filmem do dziś pozostaje sekstaśma, którą pewien wnerwiony stolarz podprowadził z sejfu Tommy'ego Lee.

Na pierwszych ćwiczeniach z prawoznawstwa prowadzący uraczył Lenę seksistowskim żartem, chwilę później zadał jej pytanie o różnicę między zdolnością prawną a zdolnością do czynności prawnych. Studentka nawet nie zająknęła się przy odpowiedzi. Zdziwiony adiunkt poruszył więc temat źródeł prawa.

– Czy wiszący na słupie znak „zakaz wjazdu” stanowi *fontes iuris*?

Pół sali zdębiało, druga połowa zaczęła googlować łacińskie powiedzonko.

– Znak oczywiście nie może być źródłem prawa, jest nim jednak ustawa Prawo o ruchu drogowym, która z ustawieniem takiego znaku wiąże pewne prawa i obowiązki.

Każdy egzamin zaliczała w pierwszym terminie. Kilka czwórek z ustnych, żeby pokazać dziewczynie miejsce w szeregu, piątki z pisemnych, gdzie wykładowcy nie musieli wiązać treści odpowiedzi z wyglądem odpowiadającej.

Do rozpoczęcia prawilnych wakacji zostały jej jeszcze dwa egzaminy. Właśnie wracała do domu po zdanych „konstytutach”.

– Cześć – rzuciła na powitanie. Przy włączniku światła wisiała niewielka plastikowa chrzcielnica. Ojciec przywiózł ją na chatę jako pamiątkę z Lichenia. – To tylko ja, nie przeszkadzajcie sobie!

Nikt nie odpowiedział.

Ściągnęła buty, wsunęła na stopy futrzane bambosze. Po domu zawsze chodziło się w kapciach.

– Co wy tak cicho? Telewizor się zepsuł?

Zajrzała do dużego pokoju i zamarła.

Pani Orska leżała krzyżem na podłodze. Na politurowanej meblościance ustawiono duży obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy – kopię złotej ikony z rzymskiego kościoła Świętego Alfonsa. Obok reprodukcji paliły się dwie żółte świece.

– Przepraszam, a co to za gorzkie żale? – spytała zmieszana.

– Nie przeszkadzaj matce. Modli się – szepnął ojciec.

– To widzę, ale dlaczego na ziemi?

Hieronim Orski dał ręką znak, by poszła za nim do kuchni.

– Prostracja stanowi wyraz szczególnego uniżenia wobec Boga.

Lena przysiadła na drewnianym taborecie.

– Tato, ale dlaczego ona to robi?

Mężczyzna przymknął oczy.

– Z potrzeby serca.

Hieronim od dłuższego czasu zachowywał się nieswojo. Kilka lat temu zaczął uczęszczać regularnie do kościoła; gorliwość neofity, całkiem niedawno wspólnie z Leną namawiał matkę, żeby olać pasterkę.

– Tato, jakiego, kuźwa, serca? Krzyżem na ziemi? Co to za cholerne egzorcyzmy?

– Lenko, naprawdę. O Bogu nie powinno rozmawiać się w ten sposób.

Dziewczyna czuła coraz większą irytację. Za dzieciaka byli z ojcem najlepszymi ziomami. Pan Orski robił sporo głupich rzeczy; gdy miała cztery lata, dał jej się napić piwa na imieninach ciotki Krystyny, w podstawówce razem uwalili atramentem drzwi sąsiadowi spod czwórki.

– Ej, serio, czy ty nie możesz chociaż na chwilę być normalny?

– Nigdy nie byłem bardziej normalny.

– Ja pierdołę! – Wkurzyła się nie na żarty. – Kumam, że nagle odnalazłeś Boga, wróciła ci wiara, *whatever!* Że ciągasz matkę na te wszystkie nabożeństwa, majowe, czerwcowe; pierwsze czwartki, piątki, soboty, kurwa, pochody z lampionami! Ale że każesz jej leżeć krzyżem na podłodze w pokoju, to już chyba

lekka przesada, co? Jak długo ona tak tam wciąga roztocza z dywanu?

– Od jutrzni.

Breviarium, liturgia godzin. Obowiązkowa dla większości osób konsekrowanych, dobrowolna dla świeckich. Modlitwa poranna, trzy modlitwy w ciągu dnia, nieszpory i kompleta.

– Od ósmej rano?!

– Od szóstej.

Szybki rachunek: egzamin miała na dziewiątą, ale spała u Oskara. Dwie godziny na uczelni, później kawka z Nataszą i śniadanie za złotówkę w hipsterskiej knajpie. Wytrawna chałka, jajko sadzone, falafel z batata i kaszy jaglanej, sałata rzymska, pomidory cherry, cebula karmelizowana w balsamico, sos aioli remulada.

– Chcesz powiedzieć, że ona tak leży siedem godzin?!

Tata wzruszył ramionami.

– Być może.

– Ja pierdolę. No a ty?!

Pan Orski znów zmrużył oczy.

– To jej pokuta. Jej chwila z Panem.

Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę. Myślała, że stary ma tylko lekką fiksację, tymczasem jemu naprawdę odwaliło. I jeszcze ciągnął za sobą matkę.

– Nie wierzę, że ona chce to robić.

– „Jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarno gorczycy (...), nic niemożliwego nie będzie dla was”¹⁷.

Czas, byś i ty się nawróciła.

KONRAD KROON

Historia, która zaczęła się całkiem niepozornie u progu lata, dała o sobie w pełni znać wraz z pierwszymi dniami jesieni. Teraz więc znów nastał październik, chłodny i deszczowy, bezwzględny i pamiętliwy. Nikt nie zamierzał nikomu wybaczyć. Należało w końcu zapłacić za błędy wakacji.

Mecenas Wykopkowski kroczył powoli szerokim korytarzem wrzeszczańskiej prokuratury. W swoim marszu przypominał koronowaną głowę; toga przewieszona przez lewą rękę, skórzana aktówka w prawej. Brakowało mu tylko płaszcz z gronostajem.

Obok mężczyzny dreptała drobna kobieta: mysie włosy, szary trenz; wydawała się przy nim tak bardzo nieistotna.

– Za niecałe pół godziny mam rozprawę, ale proszę się nie martwić. Zostanę z panią do samego końca.

– No a jak coś się przeciągnie?

Beata od chwili wypadku zachowywała zimną krew godną rodzonej psychopatki. Wizyta w prokuraturze wzbudziła w niej jednak pewne obawy. A co, jeśli policja zacznie drażnić? Media dowiedzą się o sprawie, gazety poruszą temat, przyczepią się do ojca tuż przed wyborami? Wtedy byłaby skończona.

– Kroon jest szybki. Poza tym nie mamy mu zbyt wiele do powiedzenia.

Wykopkowski zapukał do drzwi gabinetu.

– Dzień dobry, panie prokuratorze. – Adwokat podwinął mankiet koszuli, by spojrzeć na zegarek. – Proszę wybaczyć to drobne spóźnienie.

– Przecież przyszliście o czasie...

– Na moim zegarku już pięć po dziesiątej. Do akademickiego kwadransu brakuje jeszcze chwili, ale...

Prokurator machnął ręką.

– Pan mecenas lubi tak kokietować. Proszę, siadajcie państwo.

Kroon odblokował komputer, włączył druk protokołu. Na biurku miał już przygotowany odpowiedni wzór pouczenia.

– Pani Beata Lewandowska, jak mniemam? – spytał.

Kobieta przytaknęła.

– Nazywam się Konrad Kroon. Prowadzę sprawę wypadku samochodowego pani męża.

– Tak, rozumiem – odparła.

– Będę potrzebował odebrać dane adresowe, wszystkie poufne informacje zostaną zanonimizowane...

– Panie prokuratorze – wszedł mu w słowo Wykopkowski – pozwolę sobie panu przerwać. Załącznik adresowy naturalnie wypełnimy, natomiast przechodząc do samego meritum. Moja mandantka zdecydowała, że skorzysta z przysługującego jej prawa do odmowy składania zeznań.

– Panie mecenasie, my się chyba nie rozumiemy. Sprawa dotyczy wypadku samochodowego, w wyniku którego ucierpiał mąż pani Beaty, Klaudiusz Lewandowski – wyjaśnił śledczy.

– Doskonale się rozumiemy, panie prokuratorze. I odmawiamy składania zeznań.

Kroon wiedział, że coś jest nie tak. Procedura karna dopuszczała odmowę składania zeznań jedynie w dwóch wypadkach: jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić zeznającego lub osobę dla niego najbliższą na odpowiedzialność za przestępstwo lub przestępstwo skarbowe. W innym razie świadek zawsze musiał zeznawać.

– Pan mecenas nie chce chyba sięgać po artykuł sto osiemdziesiąty trzeci?

Wykopkowski wzruszył ramionami.

– Prokurator wie, że tylko na tej podstawie możemy panu odmówić.

Konrad splótł palce. Musiał przestrzegać procedury, ale... śledztwo zaczynało się coraz bardziej gmatwać.

Zmierzył Lewandowską wzrokiem. Mikroekspresyjne ruchy mięśni twarzy, lekko zaczerwienione policzki. Gruba warstwa szminki, która miała zamaskować jej niepewność. O co, do cholery, mogło chodzić?

– Panie mecenasie, naturalnie szanuję prywatność klientki, ale... Pani Beato, czy naprawdę nie chce

pani wiedzieć, co się stało z mężem?

Szybki test. Zadając to pytanie, Kroon miał świadomość, że odpowiedzi nie udzielią usta kobiety. Obserwował jej każdy gest, liczył oddechy, widział, jak skóra delikatnie unosi się w rytm uderzeń serca. Dokładna analiza niewerbalnych zachowań. Lewandowska nie była z nim szczerą.

– Oczywiście moja klientka nie musi odpowiadać na to pytanie – wyjaśnił Wykopkowski.

– Oczywiście – powtórzył Kroon, stukając kciukiem w blat biurka. – Poproszę zatem panią jedynie o wypełnienie załącznika adresowego.

Podał Beacie długopis.

– Tu? – spytała adwokata. Bała się spojrzeć Konradowi w oczy.

– Tak – wtrącił mecenas Wykopkowski. – Adres, jakiś numer telefonu... Naturalnie pan prokurator będzie dzwonił bezpośrednio do mnie, ale na wszelki wypadek...

Kroon obserwował, jak świadek powoli wypełnia kolejne rubryki formularza. Zwykle pismo kobiece jest lekkie i zgrabne; nie bez powodu w szkole wszyscy pożyczają zeszyty od koleżanek, a nie od kolegów. Litery kreślone przez Beatę przypominały kulfony dziewięćdziesięciolatka. Lewandowska nie potrafiła utrzymać długopisu.

– Może woli pani podyktować adres? – rzucił Konrad. – Chyba tak będzie szybciej. Pani tylko podpisze.

Pytanie prokuratora jeszcze bardziej speszyło kobietę.

– Poradzę sobie... – odparła Beata, wciąż nisko trzymając wzrok.

– Jasne. W międzyczasie pozwolę sobie spytać o telefon pani męża. Chcielibyśmy poddać go badaniom.

Lewandowska spojrzała na Wykopkowskiego.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – wyjaśnił prędko adwokat.

– Panie mecenasie, w tym zakresie świadkowi nie przysługuje prawo do odmowy składania zeznań...

– Nie musi mnie pan uczyć procedury karnej. Kiedy zdawałem egzamin z kapeku, pan jeszcze budował zamki z piasku – fuknął mecenas.

Kroon zrozumiał, że uderzył w czuły punkt.

– W czym więc leży problem?

– Telefon uległ całkowitemu uszkodzeniu. Moja klientka zabrała rzeczy osobiste męża ze szpitala. Komórkę, z uwagi na jej zły stan, musiała wyrzucić.

Konrad zerknął na przestraszoną kobietę. Beata nie zdążyła uciec wzrokiem. Przez ledwie sekundę Kroon mógł zajrzeć w jej wnętrze. Tyle wystarczyło.

Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy. Poetycki bełkot. Konrad zawsze patrzył ludziom w oczy. I zawsze wiedział o nich wszystko.

– A karta SIM? Zachowała pani kartę?

– Niestety, panie prokuratorze, moja klientka pozbyła się również karty. Proszę zrozumieć, działała w szoku, trudno nam *post factum* oceniać tamte zachowania.

Kroon obrócił się na fotelu bezpośrednio w stronę Lewandowskiej. Pośpiech nie jest dobrym doradcą. Wyrzucenie telefonu wraz z kartą to bardzo nieostrożny ruch. W przyszłości może stanowić ważną poszlakę w potencjalnym procesie.

– Na szczęście istnieją sposoby, by zlokalizować takie urządzenie. Nawet zniszczone.

Konrad posługiwał się półprawdą. Nikt w rejonie nie bawił się w szukanie nieaktywnych telefonów. Zbyt kosztowne i niepewne zajęcie. Na jego miejscu większość prokuratorów zapewne by odpuściła.

– Jak to zlokalizować? – zająknęła się Beata. Nie chciała, by ktokolwiek oglądał komórkę Klaudiusza. Zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele dowodów.

Wykopkowski ostentacyjnie chrząknął. Umawiali się, że będzie milczeć.

– Proszę się o nic nie martwić – powiedział z uśmiechem na ustach Kroon. – Zrobię wszystko, by ustalić dokładne okoliczności wypadku pani męża. Bo przecież zagmatwane śledztwa... to moja specjalność.

MAJA

Wstała dziś wcześniej, żeby jeszcze przed pracą zaliczyć siłownię. Polowała na Nataszę. Od dłuższego czasu nie mogła na nią trafić; Maja obawiała się, że dziewczyna po prostu unikała spotkań. „Za

szybko podbiłam i oczywiście zwałam – oceniła. – Nie moja liga. Oj, Gan, Gan, zachciało ci się romansu z gwiazdą”.

Po skończonym treningu wzięła szybki prysznic, założyła czyste ciuchy i pewnym krokiem wyszła z siłowni. Na dworze padał deszcz. Maja naciągnęła na głowę kaptur i wskoczyła na rower.

Z Oliwy do Wrzeszcza dojechała w jakieś dziesięć minut. Trasa wiodła wzdłuż głównej arterii miasta. Na wysokości Galerii Bałtyckiej odbiła w lewo. Tuż za wiaduktem kolejowym ciągnęła się ulica Biała.

Trzeci Komisariat Policji w Gdańsku. Wjechała na parking, przypięła rower do płotu grubym łańcuchem. Zabezpieczenie dziesiątej klasy, policjantom kradną jednoślady równie chętnie jak cywilom. Nie ma co kusić losu.

Weszła do sali odpraw. Funkcjonariusze wciąż czekali na naczelnika, pomieszczenie wypełniał gwar rozmów i śmiechów.

– A co ty, Majka, taka mokra? Zapomniałaś palta?

– Majka zawsze jest mokra, Maciuś. Popatrz na nią...

Dziewczyna zignorowała te uwagi. Przyzwyczała się, że w zdominowanym przez facetów środowisku niewybredne żarty są na porządku dziennym. Zresztą gdyby chciała być traktowana jak dama, nie zatrudniłaby się w kryminalnych.

– Hej, Majka, szukasz chłopaka?

– Krzysiu chciałby cię zaprosić na randkę!

– Tylko uważaj, on ma węża w kieszeni. Lodów ci nie postawi.

Krzysiu złapał się za krocze.

– Węża w kieszeni i węża w spodniach. Długiego, grubego pytona.

– Pytona!

Mężczyźni zarechotali.

– No dobra już, dobra, panowie. Koniec tych śmieszek – rzucił naczelnik Hołura, wchodząc do pokoju. – Mamy kilka spraw do omówienia.

– Musicie więcej zapierdalać, robić lepsze wyniki, podnieść wykrywalność... No i nie będzie podwyżek – szepnął Krzysiu.

Naczelnik spojrzął w stronę policjanta.

– Widzę, że Litwiński już wam wszystko powiedział. No to w sumie ta cała odprawa niepotrzebna. Po prostu weźcie się do roboty.

– Ku chwale ojczyzny, panie naczelniku! – zawołał jeden z funkcjonariuszy.

Hołura zajrzał do swojego kajetu.

– A teraz na poważnie. Pierwsza sprawa to dopalacze. Na Lelewela złapaliśmy pacana, który handluje tym gównem. Syf taki, jakiego dawno nie było. Przycisnęliśmy kolesia, ale nic nie chciał sypnąć. Kilka dni później taki sam szajs sprzedawał ktoś koło dwudziestej czwartej.

– Pod podstawówką? – zdziwił się Krzysiu.

– No właśnie, kurwa, pod podstawówką. Nauczycielka zabrała to od jakiegoś półprzytomnego ósmoklasisty. Dokładnie ten sam towar, jaki miał gość z Lelewela. Dzwonił do mnie komendant, że to był syn radnego i mamy się tym szybko zająć.

– Czy oni, kurwa, tam u góry myślą, że my tu plażę mamy? Niech nam lepiej dadzą kogoś do narkotyków...

– Ja nie będę z tobą, Litwiński, dyskutował. Jest jak jest. Chcesz mieć łatwą i przyjemną pracę, to się przesiądź na taksówkę!

– To może być Patkiewicz – powiedziała Maja. – Musicie sprawdzić Mikołaja Patkiewicza.

Sala ucichła. Funkcjonariusze spojrzeli zdziwieni na młodą policjantkę.

– A co ty się, kurwa, do narkotyków chcesz przenieść? Żle ci tam, gdzie jesteś?

– Skąd masz takie informacje, Gan? – spytał naczelnik.

– Informator mi się wysypał. W sumie całkiem przypadkiem.

Naczelnik pokiwał z uznaniem głową.

– Ładnie, ładnie. Bierzcie przykład z młodszej koleżanki. Bo jak na razie to tylko dużo pierdolicie.

KONRAD KROON

Kroon wpatrywał się w spływające po oknie krople deszczu. Jeszcze kilka dni temu Gdańsk złociły kolory jesieni, słońce, choć nie tak śmiało jak w lipcu, malowało drzewa i domy swoją ciepłą kreską.

Dziś na niebie panowały się chmury. Naturalnie, próżno było wśród nich szukać bajkowych, pobudzających fantazję obłoków. Porządek świata wymagał, by po radosnej wiosnie i beztróskim lecie nadszedł w końcu pośepny październik. Jesień przywoływała wspomnienia, skłaniała do refleksji. Budziła uśpione demony.

Konrad dotknął palcem szyby. Wodził paznokciem, goniąc uciekającą w stronę blaszanego parapetu samotną kroplę. Na tym w końcu polegała jego praca: zawsze kogoś śledził, podążał kilka kroków za sprawcą, szukał tropów pośród blaknących znaków zapytania.

Beata Lewandowska odmówiła składania zeznań w sprawie wypadku samochodowego swojego męża. Nie chciała angażować się w śledztwo, obstawiała się najbardziej wytrawnym adwokatem i trzymając wysoko gardę, dała prokuratorowi jasny znak, żeby się od niej odpierdolił.

Początkowo nic nie zapowiadało takiego biegu wydarzeń. Prosty, typowy *case*. Kroon mógł zatwierdzić policyjne umorzenie, przystawić swoją pieczęć, mieć święty spokój. Jedyną osobą, której przysługiwało prawo do złożenia zażalenia i żądania dalszego prowadzenia sprawy, była Beata Lewandowska. Beata Lewandowska, której wyraźnie zależało, żeby odpuścić.

Kroon nie miał w zwyczaju odpuszczać. Wiele lat temu przysiągł nie angażować się więcej w pracę. Nie szukał na siłę trudnych spraw, bronił się przed jakimkolwiek awansem. Mimo to swoje obowiązki w dalszym ciągu wykonywał niezwykle sumiennie. Żadnych politycznych śledztw, solidna rzemieślnicza robota. „Pamiętaj, kolego, że na każdym postanowieniu przystawiasz swoją pieczęć. To twoje nazwisko, twoja decyzja, twoja odpowiedzialność” – poradził mu na początku kariery pewien doświadczony prokurator. „Więc niech nikt ci nie mówi, co masz zrobić w sprawie, ile numerków zaklepać. Bo ostatecznie sam jeden będziesz za to wszystko odpowiadać. I jeśli coś się spieprzy, nikt ci nie pomoże”.

Konrad wiedział, że dobrowolnie ładuje się na minę. Obecność mecenasa Wykopkowskiego stanowiła jasny sygnał ostrzegawczy: to teren wojskowy, chłopie, wchodzisz tu na własne ryzyko.

Żona pokrzywdzonego w wypadku mężczyzny pochodziła z rodziny Nawrockich; ich opcja polityczna znajdowała się teraz u władzy, ludzie bliscy senatorowi stali na czele Ministerstwa Sprawiedliwości, prokuratury, sądów i trybunałów. Opletli państwo swymi mackami niczym ośmiornica; tuż po wygranych wyborach przejęli wszystkie najważniejsze instytucje w kraju, wszak cel uświęca środki, a ich celem była potężna, niczym nieograniczona władza. Urzędnicy, sędziowie czy prokuratorzy, którzy postanowili działać zgodnie z prawem, lecz wbrew interesowi partii rządzącej, byli karani i piętnowani. Propaganda łała się z narodowej telewizji, radia, kupionych za publiczne pieniądze gazet czy magazynów. Władza wycierała sobie usta frazesami o sprawiedliwości i suwerenności; w rzeczywistości ich działania wpisywały się w książkowe mechanizmy zawłaszczania państwa właściwe reżimom autorytarnym.

Kroon błędził palcem po szybie. W każdej chwili mógł odpuścić; przestać drażnić, zakończyć wszystko eleganckim umorzeniem. Ale nie miał zamiaru odpuszczać. Lubił chrzącić sobie życie.

Jego mózg pracował ze zdwojoną mocą. Analizował dostępne opcje, rozważał dziesiątki możliwych rozwiązań. Naturalnie nie mógł zmusić Lewandowskiej do mówienia. Kobieta kłamała w kwestii telefonu; najpewniej ukryła go gdzieś w domu. Wystarczyło, żeby Kroon wydał nakaz przeszukania mieszkania. Dostałby komórkę Klaudiusza bez proszenia się o czyjąkolwiek łaskę.

– Jak u tego cholernego Brodowicza... – szepnął pod nosem.

Dokładnie w takich okolicznościach pogrzał swoją prokuratorowską karierę. Był wtedy młodym asesorem, prowadził polityczną sprawę, w której wszyscy po kolei kazali mu przestać drażnić. Konrad poszedł na ostre zwarcie i gdyby nie wujek, wyleciałby z hukiem z pracy.

„Wejść Lewandowskiej na chatę, jej ojciec się wkurwi, zadzwoni do Zdziśka, a ten mnie wyśle w półroczną delegację do jakiejś zapadłej dziury na drugim końcu kraju”, pomyślał.

Odszedł od okna i zaczął krążyć po pokoju. Spacerowały przyjały rozmyślaniami; gdyby nie deszcz, wyskoczyłby zapewne na krótką wycieczkę po okolicznym lasku. Kiedy potrzebował coś przemyśleć, zawsze szedł na przechadzkę.

– Czy gdybym dziś dostał do prowadzenia sprawę Brodowicza, zrobiłbym cokolwiek inaczej? – mruknął, wpatrując się w kalendarz. Podzielony na trzy części terminarz biurowy zdobiło zdjęcie dźwigów

KONE, które na zlecenie dużej agencji marketingowej wykonała zeszłego lata Zuza. Partnerka Kroona była fotografką; na stoczni mieściła się jej pracownia.

„Zawsze jarałam się, że jesteś takim buntownikiem. Że pieprzysz zasady, twojego wujka, oczekiwania innych ludzi. Wtedy, kiedy obiecałeś mi, że nigdy się nie zaangażujesz, że nigdy nie awansujesz, uważałam to za genialne rozwiązanie” – zabrzmiały mu w głowie słowa, które wypowiedziała do niego na początku wakacji. – „Kroon pokazuje światu fucka i idzie swoją drogą. Bo przecież ty zawsze miałeś jakiś plan! Genialny, boski, znany tylko tobie. Myślałam, że tak będzie i teraz. Pierdolisz prokuraturę, pierdolisz Brodowicza, pierdolisz wujka, ale wymyślisz coś zajebistego! Odkryjesz zaginioną drogę, wymyślisz siebie na nowo!”

– Odkryjesz zaginioną drogę – powtórzył Konrad.

Wiele dróg prowadzi do upragnionego celu. Jedne są długie i proste, inne wąskie i kręte. Kroon musiał wybrać ścieżkę, której nie dało się zauważyć w świetle dnia; sekretne wejście, dostępne jedynie dla najbieglejszego kasiarza.

Musiał działać skrycie i dwulicowo: nie prowokować decydentów u góry i... w żadnym wypadku nie odpuszczać.

– *I'm smarter than the average bear* – zanucił, po czym siadł do komputera.

Lewandowska ukryła telefon, ale Kroon miał swoje sposoby, by zdobyć potrzebne informacje. Zapytanie do operatora o dokładny biling numeru pokrzywdzonego. Lista telefonów, połączenia przychodzące i wychodzące.

Następnie zabrał się do kreślenia wytycznych do policjanta z dochodzeniówki, który prowadził tę sprawę. Poleciał ustalić, kto zadzwonił po pomoc. Kroon liczył, że gdzieś tam czaił się zaginiony świadek. Tajemnicza osoba, która widziała, jak sprawca przenosi ciało Lewandowskiego na fotel kierowcy.

Skończył pisać, przystawił pieczętkę na dokumentach. Znow spozrzał przez okno. Tysiące jednakowych kropel. Tysiące fałszywych śladów.

– Tu by trzeba podłubać operacyjnie – mruknął pod nosem. – Posprawdzać kamery, pokrzyżać po mieście...

Prokuratorzy współpracują głównie z dochodzeniowcami. Ich kontakt z policjantami pracującymi na ulicy jest sporadyczny. Zwłaszcza w sprawach zdarzeń komunikacyjnych. Kryminalni raczej nie robią w wypadkach. Narkotyki, pseudokibice, życie i zdrowie, poszukiwania osób zaginionych.

Kroon musiał działać niekonwencjonalnie. Wyjść poza typowe schematy, zmusić system do nagięcia dawno wypracowanych rozwiązań. Artykuł 15 § 1 Kodeksu postępowania karnego: policja prowadzi pod nadzorem prokuratora śledztwo. Konrad nie zamierzał łamać żadnych przepisów, w końcu policja to policja. I co z tego, że w sprawach wypadków nie prosi się o pomoc kryminalnych?

Chwycił za komórkę i wybrał numer do Hołury.

– Panie Konradzie, jak dzwoni pan do mnie na prywatny na urlopie, to znaczy, że coś pilnego – zaczęła naczelnik kryminalnych.

– Oczywiście, że pilnego. Mam dla pana ciekawą sprawę...

BEATA

Siedziała w kancelarii Wykopkowskiego. Biuro starego adwokata mieściło się na ulicy Wajdeloty, dawnym salonie Wrzeszcza. Wysokie sufity, meble gdańskie, na biurku złocona figura Temidy. Bogini miała zasłonięte oczy; wielu klientów żartowało, że to nawet lepiej. Ich interesy zazwyczaj balansowały na cienkiej granicy oddzielającej to, co legalne, od tego, co zabronione.

– Pani Beato, musi mieć pani świadomość, że Kroon zamierza drążyć dalej. Nie wiem, na jak wiele się odważy, ale wątpię, by odpuścił. Musimy zachować ostrożność.

– Matka powiedziała, że nie muszę się o nic martwić. Że pan się nim zajmie.

Wykopkowski tylko się zaśmiał.

– Oczywiście, że się zajmę. Sprawa nie może nabrać barw politycznych.

– O to chodzi ojcu... On nie chce mieć z nią nic wspólnego.

– To rozumiem. Dlatego będziemy działać dwutorowo. Ja zaopiekuję się śledztwem od strony formalnej; jako pani pełnomocnik będę miał na oku Kroona, dopilnuję, by sprawa nie wyciekła do mediów. – Mecenas wyciągnął z biurka złotą papierośnicę. – Oprócz tego potrzebujemy też trochę posprzątać na

mieście. Zapali pani?

Beata podziękowała.

– Zadzwoń pani do naszego starego znajomego. Musi dokończyć, co zaczął.

Kobieta ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Co mam mu powiedzieć?

– Że mleko się wylało i trzeba je wytrzeć, zanim ktoś się poślizgnie. Przekaze mu pani telefon Klaudiusza, poda wszystkie hasła.

– Nie znam jego haseł. Klaudiusz zmienił je chwilę po tym, gdy zrozumiał, co mu zagraża. Gdy zrozumiał, co chce zrobić.

Mecenas zaciągnął się papierosem. Wnętrze kancelarii wypełnił szary, gryzący dym.

– Dla Tycjana nie będzie to żaden problem. Pracował w służbach, zna, kogo trzeba.

FLARA

Postępowanie przygotowawcze toczy się w formie śledztwa lub dochodzenia. Co do zasady śledztwa dotyczą najpoważniejszych przestępstw: zabójstw, robojów, gwałtów, wypadków drogowych ze skutkiem śmiertelnym. Policja posiada w tych sprawach pewne uprawnienia; sporo czynności zostało jednakże zastrzeżonych do wyłącznej kompetencji prokuratora.

Akta dochodzeń zajmują większą część szaf policyjnych komisariatów. Funkcjonariusze mogą samodzielnie decydować, czy stawiać komuś zarzuty, sporządzać akty oskarżenia, czy postanowienia o umorzeniu postępowania. Dobra praktyka nakazuje jednak każdorazowo konsultować takie decyzje z prokuratorem nadzorującym. Koniec końców to on przecież podejmuje decyzję, czy sprawę należy skierować do sądu, czy materiał dowodowy trzeba uzupełnić, czy też – stwierdzając, że do przestępstwa nie doszło – dochodzenie umorzyć.

Starsza aspirant Justyna Flarkowska przepracowała w dochodzeniówce prawie ćwierć wieku. Zajmowała się głównie przestępstwami przeciwko życiu i zdrowiu. Spraw o tak zwane znęty poprowadziła setki. Z zamkniętymi oczami potrafiła odróżnić, czy ma do czynienia z rozwodzającymi się, skłóconymi małżonkami (którzy chcąc uzyskać korzystne dla siebie rozstrzygnięcie sądowe, składają doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa), czy też prawdziwą rodzinną tragedią.

W sprawie Orskich policjantka nie miała żadnych wątpliwości, jak powinna postąpić. Najpierw odebrała zawiadomienie od Leny Orskiej, córki domniemanego sprawcy. Opowieść dwudziestoletniej dziewczyny brzmiała niezwykle przekonująco. Następnie funkcjonariuszka wezwała na przesłuchanie kolejnych członków rodziny. Syn wypowiadał się raczej zdawkowo, choć zasadniczo potwierdził wersję siostry. Matka odmówiła składania zeznań.

Maltretowane kobiety bardzo często wybierały milczenie. Czy to z niezrozumiałej lojalności wobec małżonka, naiwnej wiary, że jeszcze będzie lepiej, czy też zwykłego strachu. Strachu przed samotnością, gniewem partnera, dezaprobatą środowiska. „Wieśka podała starego na psiarnię. Zawsze wydawała mi się fałszywa. Jak można przed obcymi ludźmi swoje brudne gacie prać?!”

Flara musiała tak poprowadzić dochodzenie, by obejść się bez zeznań żony podejrzanego. Przesłuchiwała sąsiadów. Kilku z nich potwierdziło, że z mieszkania Orskich dochodzą regularne odgłosy awantur. Kluczowe okazały się zeznania współlokatorki z przydziału komunalnego. Kobieta zeznała, że Hieronim Orski przynajmniej od kilku miesięcy terroryzuje rodzinę. Jego żona jest zastraszona, boi się odezwać, z nerwów nie panuje nad drżeniem rąk.

– Dzień dobry, panie prokuratorze – powiedziała policjantka, kiedy w słuchawce usłyszała znajomy głos Kroona.

– No cześć, Flara, co tam? – odparł prokurator.

– Przesłałam panu takie akta w sprawie znęcania się nad rodziną Orskich.

– A tak, czytałem. To ci z Waryńskiego?

Flarkowska potwierdziła. Lubiła pracować z Kroonem. Rozumieli się praktycznie bez słów, rzadko kiedy mieli inną wizję zakończenia sprawy. A jeśli czasem dochodziło między nimi do sporu, Flara wiedziała, że musi zdać się na prokuratora. Bo przecież Kroon nigdy się nie mylił.

– Dokładnie. Przymierzam się do postawienia zarzutów temu całemu Hieronimowi Orskiemu, ale chciałabym poznać pana zdanie.

– Nie masz innego wyjścia. Musisz postawić zarzuty i przesłuchać dziada – rzucił zdawkowo prokurator.

– Tak myślałam.

– Na nasze „nieszczęście” Orski nigdy nikogo nie uderzył. Gdybyśmy mieli dokumentację medyczną, łatwiej byłoby nam dowieść przed sądem, że jest przemocowcem. Znęty psychicznie to bardzo niewdzięczny temat. Trzeba się sporo narobić, żeby ustalić prawdę. No a gdy się ją ustali, obronić akt oskarżenia – wyjaśnił Kroon. – Mimo to mamy w ręku parę mocnych kart. Zeznania córki i syna, zeznania sąsiadów i tej ich całej współlokatorki. Postawisz zarzuty, przesłuchasz Hieronima, zobaczymy, co powie. Jeśli jest sprytny, będzie próbował się jakoś wywinąć. Jeśli nie, to właściwie mamy pozamiatane.

– Dobrze, panie prokuratorze.

– Na tym etapie z akt nie wynika, żeby komuś mogła stać się jakaś większa krzywda. Nie wszczęto procedury niebieskiej karty, a dzieci Orskiego powiedziały, że nie lękają się o swoje zdrowie. Zrezygnujemy ze stosowania środków zapobiegawczych. Przynajmniej na tę chwilę.

Flara uważała dokładnie tak samo.

– Jeśli po przesłuchaniu będę miała jakieś wątpliwości, dryndnę do pana.

– O każdej porze dnia i nocy. O ile ta pora przypadnie pomiędzy dziewiątą a czternastą w dzień powszedni...

LENA

Problemy z ojcem sprawiły, że Lena coraz rzadziej wracała do starego mieszkania przy ulicy Waryńskiego. Hieronim rozstawał wszystkich po kątach, najbardziej zaś wyżywał się na matce.

Ostatnie kilka dni spędziła u Oskara. Od czasu wakacji, gdy zostali parą, pomieszkiwała u niego bardzo często. Wójcicki pozwalał dziewczynie cieszyć się życiem: kupował drogie prezenty, rozpieszczał, zabierał na wyszukane imprezy. Dużo się razem bawili, ich wspólny czas wypełniała przede wszystkim bez troska. Kiedy potrzebowali od siebie odpocząć, Lena przenosiła się do Nataszy.

Pod koniec września apartament Oskara przestał być bezpieczną oazą. Młody biznesmen zaliczył jakąś wtopę, ciągle wisiał na telefonie, każdego dnia chodził podminowany. Miesiąc miodowy pięknej pary dobiegł więc końca; Wójcicki z dandysa i szarmanta zmienił się w wybuchowego frustrata.

Wracała do domu w nie najlepszym humorze. Znowu pokłóciła się z Oskarem, Natasza nie odbierała od niej telefonu. Odkąd influencerka wkręciła się w zdrowy tryb życia, coraz częściej funkcjonowała „offline”.

Na schodach minęła brata. Grzesiek był cały czerwony na twarzy, zawsze tak reagował na silny stres. Pociągał nosem.

– Hej – rzuciła mu na powitanie.

– Lepiej tam nie wchodzić – bąknął, przeskakując kilka stopni niżej.

– Jest bardzo źle?

– Kurwa, najgorzej – mruknął.

Lena odwróciła się w jego stronę. Usiadła na schodach.

– Mam nadzieję, że już niedługo się to wszystko skończy.

Grześkowi zaszklily się oczy.

– Jak niby ma się skończyć? Matka jest cała zapłakana, boję się, że coś sobie zrobi. A ojciec...

– Muszą go wysłać na terapię. Nie ma innej rady. Są specjalne kursy radzenia sobie ze złością, powinni wyznaczyć mu kuratora...

– KURATORA?! Kurwa, Lena! O czym ty w ogóle pierdolisz?

– Leczenie jakieś, leki i psychoterapia...

– Ty jesteś normalnie odklejona! Przecież on, kurwa, na żadną terapię nie pójdzie! Prędzej nas wszystkich zajebie maczetą! Czy ty wiesz w ogóle, co się teraz w domu dzieje?

Lena przygryzła górną wargę.

– Domyślam się.

– Chuja się tam domyślasz. Poszłaś na psiarnię, postawiłaś na swoim i spierdoliłaś z chaty do tego bogatego pimpa! A ja zostałem z tym sam!

Cholernie zabolalo. Grzesiek był kilka lat młodszy od niej. Zawsze trzymali sztamę.

– Nie mów tak...

– Siedzisz na tych pierdolonych jachtach, biegasz z melanzu na melanz. Rzadko kiedy da się z tobą normalnie pogadać, bo jesteś albo naćpana, albo napruta.

– Nieprawda!

– Ile razy w te wakacje przyszedłeś do nas na chatę? Ile nocy tu przespałeś?! – krzyknął z wyrzutem.

– Grzesiek, ja mam dwadzieścia lat, nie będę, kurwa, wiecznie mieszkać ze starymi!

– Zajebista wymówka. Wysypać się na psiarni i spierdolić z chaty! A ja mam teraz sam sobie radzić z ich dwójką.

– Zawsze, powtarzam: ZAWSZE, możesz do mnie napisać. Zawsze ci pomogę.

Prychnął.

– Jak niby mi pomożesz? Mam szesnaście lat, muszę, kurwa, mieszkać ze starymi. Adoptujesz mnie? Albo ten twój Oskar mnie adoptuje i kupi kwadrat nad Motławą? Będziemy sobie po sąsiedzku kokę pożyczać?!

Lena wstała ze schodów. Wiedziała, że brat ma w dużej mierze rację.

– Sorry, że jesteś młodszy. Nic na to nie poradzę. Ale zobaczysz: stary skończy na leczeniu i wszystko będzie jak dawniej. Dopilnuję tego.

Grzesiek obrócił się w stronę drzwi.

– Kazałaś mi zeznawać, zeznawałem. Ale nigdy w tym kraju jeszcze psiarnia nikomu nie pomogła. I nam też nie pomoże.

*

– JAK MOGŁAŚ?!

– Mamuś, przecież przed chwilą skończyłam ci to tłumaczyć. Ale rozumiem. Jesteś roztrzęsiona, więc zacznę jeszcze raz.

Kiedyś ludzie po prostu darli na siebie ryja. Nikt nie przygotowywał się jakoś specjalnie do rozmowy, w końcu kłótnia to kłótnia. Moje zdanie jest najważniejsze, bo przecież tak właśnie myślę, a skoro tak myślę, to tak właśnie ma być.

Wyrazem kulturowej rewolucji naszych czasów jest przede wszystkim wrażliwość. Otwarcie się na drugiego człowieka, zrozumienie, że on także odczuwa, ma swoje potrzeby, poglądy, troski. Generacyjnie to właśnie milenialsi są najbardziej świadomi owej konieczności wzmożonej empatii. I choć owemu pokoleniu nie brakuje wad wrodzonych, na polu społecznej wrażliwości mogą zawstydzić swych przodków.

Już podczas poprzedniej rozmowy z matką Lena zamierzała otworzyć się na jej potrzeby; pech chciał, że dała się ponieść negatywnym emocjom, zalać bezmiarowi złości, nakrzyczeć i trzasnąć drzwiami.

Dziś wszystko miało wyglądać inaczej. Lena starała się wysłuchać matki, wczuć w rolę ofiary, postawić na jej miejscu. Chciała pomóc przetrzymać ten trudny czas, chwycić za rękę, poprowadzić.

– ZNISZCZYŁAŚ NASZĄ RODZINĘ!!!

Ostre słowa, rzucone w gniewie i rozpacz.

– Niczego nie zniszczyłam. Po prostu chcę, żeby było tak jak dawniej. Żebyśmy byli szczęśliwi. Żeby tata...

– DLACZEGO NAM TO ROBISZ?! ZA CO GO TAK NIENAWIDZISZ?!

Lena naprawdę starała się zrozumieć. Matce było cholernie trudno. Urodziła się w innych czasach, pochodziła z prostej rodziny. Dziadek lubił czasem wypić o jeden kieliszek za dużo, babcia nigdy nikomu się nie poskarżyła. Zupełnie odmienne wzorce. Matka Polka, która zawsze musi cierpieć.

– Mamuś, kocham tatę. I ciebie kocham. Dlatego właśnie to robię.

Matka spojrzała na nią. W czerwonych jak krew oczach brakowało łez, wypłakała je wszystkie. Smutek z każdą kolejną minutą przeradzał się w złość.

– Nie jesteś moją córką. Nie tak cię wychowałam.

Hieronim Orski od kilku lat znęcał się nad rodziną. Tymczasem matka obwiniała o wszystko Lenę.

– Wiem, że tak nie myślisz.

Lena trzymała się nadzwyczaj dzielnie. Wiedziała, że matka nie przyjmie dobrze informacji o przedstawieniu zarzutów ojcu. Aspirant Flarkowska uprzedziła dziewczynę, co zamierza zrobić i jaką reakcję owe działania mogą wywołać.

– Jest taka przypowieść o synu marnotrawnym. Ale to nie o tobie. Nie jesteś zbłąkaną owieczką. Jesteś ręką, która stanowi powód grzechu. I tę właśnie rękę należy odciąć.

– To chyba tata nakładł ci do głowy tych bzdur. Zupełnie jakbym słyszała jego bełkot.

– Nie mów tak o nim! Ojciec to święty człowiek!

Lena oparła się o stół. Siedziały w dużym pokoju.

– Święci ludzie nie krzywdzą bliskich.

Matka gwałtownie zmieniła temat.

– Błuźnisz... Myślisz, że nie czuję zapachu tych perfum? Że nie widzę tych drogich ubrań? Skąd niby wzięłaś na to pieniądze?

– O co ci chodzi?

– Jesteś zwykłą grzesznicą. Dlatego przeszkadza ci ojciec. Nie możesz patrzeć na jego boskie światło. To szatan przemawia przez ciebie.

Dziewczyna złapała się za głowę.

– Przecież on nie jest żadnym świętym! To, że sobie wkręcił Kościół i cytuje co chwila Stary Testament, nie znaczy, że jest jakimś cholernym prorokiem!

Pani Orska nerwowo zaczęła kręcić głową. Była o krok od utraty zmysłów.

– Pała cię jego słowa, bo żyjesz w grzechu.

– Mamo! To są jakieś idiotyczne tłumaczenia! Jaki człowiek Boga znęca się nad swoją żoną, swoimi dziećmi? Czy jakby kogoś zamordował, to też byś go tak broniła?!

– Twój ojciec nigdy nikogo nie zamordował. Jest obrońcą życia.

Głowa Leny opadła ze zrezygnowaniem na stół. Dwudziestolatka ścisnęła swoje skronie. Czowała, że lada moment eksploduje jej łeb.

– To, że cię nie leje, nie znaczy, że wszystko jest w porządku. Nie tak wygląda normalny dom.

– Ty nie wiesz, jak ma wyglądać normalny dom – odparła kobieta. – Wzrok przesłonił ci szatan...

– Mamo, widzę nasz dom i...

– Nasz dom? – przerwała jej matka. – O nie. To nie jest już twój dom. A my nie jesteśmy twoją rodziną.

Rozdział 7 | Czerwiec

KLAUDIUSZ

Z początkiem lata Klaudiusz zaczął poznawać siebie na nowo. Żeglował przez inny, nieznaną świat, który mamił go obietnicami lepszego życia. Od wrześniowej tragedii dzieliły go trzy długie miesiące.

Siedzieli w modnej knajpie na Wyspie Spichrzów. Wyszukane danie, elegancka obsługa, wysokie ceny.

– Oskar, przez te nasze obiady pójdę zaraz z torbami.

Wójcicki spozjrzał na niego pobłażliwie. Dla konserwatywnego kolegi stanowił kogoś w rodzaju mentora. Klaudiusz bardzo pragnął zmienić swoje życie, uszczknąć od Oskara trochę jego luzu i nonszalancji.

– Co ty pierdolisz, Klaud. Przecież jesteś dyrektorem.

Lewandowski zrobił kwaśną minę.

– Mam dobrą pensję, ale wiesz. Żona, dwójka dzieci, mieszkanie na kredyt. Ludziom wydaje się, że jak zarabiasz dwadzieścia patyków, to jesteś królem świata. A mi serio ledwo starcza od pierwszego do pierwszego!

Oskar zaciągnął się papierosem.

– Tylko się tym nie chwal w tych swoich narodowych mediach. Suveren zje cię na śniadanie.

– Ja się tam nie pcham do telewizji.

– I bardzo dobrze – odparł Wójcicki. – Bo pieniądze nienawidzą rozgłosu. Twój teść jest politykiem, zajebiście, masz dzięki niemu konkretne wtyki.

– Mój teść to gruba ryba – stwierdził smutno Klaudiusz.

– Królu złoty! Paradoksalnie grasz na o wiele lepszej pozycji niż on.

Lewandowski nie zrozumiał tej uwagi.

– Nie kumam...

– Widzę, że nie kumas. Ale od kumania masz mnie. Słuchaj: stary załatwia ci wszystkie dojsia. Sam jest jednak na świeczniku, musi uważać na to, co robi, jak pierze hajs...

– On nie pierze hajsu. To idealista – mruknął Klaudiusz.

Oskar tylko się zaśmiał. Skinął na sommeliera, by ten dolał mu jeszcze wina.

– Pierze, kurwa, na prawo i lewo. Każdy w tej branży pierze. No ale nie w tym rzecz. Nawrocki jest na świeczniku, świeci mordą w telewizorni, boksuje się z Piaseckim, Rymanowskim, zbiera cięgi od Żakowskiego. A ty? Ty jesteś, kurwa, nikim!

– Dzięki, stary.

Kolega obrotowego biznesmena zerknął ze smutkiem w stronę Motławy. Z pobliskiej mariny wypływał właśnie luksusowy jacht.

– Mordo! To nie była obelga, tylko komplement! Jak ty nic nie kumas, Wąski!

– Czego niby nie kumam? Że jestem nikim?

Wójcicki odprawił ręką kelnera, który chciał zaproponować deser. Mężczyzna nie lubił, gdy mu przerywano.

– Jesteś w najlepszej możliwej pozycji. Masz wpływy, stanowisko i brak zainteresowania mediów. Czy może być lepiej?

– No i co mi po tej pozycji? – fuknął Klaudiusz.

– Ja pierdołę, brachu! Widzę, że będę miał z tobą jeszcze więcej roboty, niż myślałem. Chcesz zarobić trochę siana? Odpiąć wrotki, wyluzować, żyć jak jebane królisko?

Lewandowski cholernie tego pragnął. Całe życie zazdrościł takim bananowym chłopakom jak Wójcicki. Pieprzonym dziedzicom; potomkom dyrektorów, prezesów, genetycznym milionerom.

– Kto by nie chciał? – spytał retorycznie.

Oskar ujął go dłońmi za policzki.

– To zacznij się mnie w końcu słuchać! – krzyknął Wójcicki, po czym lekko poklepał kolegę po twarzy. – Stoisz na czele wielkiej państwowej firmy, odpowiadasz za wszystko. Czas wydoić trochę tę krowę. Organizujemy przetarg na jakieś zajebiście ważne zamówienie. Do przetargu podstawiamy swoich

ludzi, odpalamy im dołę i co? I kurwa bajlando!

– A miesiąc później CBA mi wleci na chatę...

– Jakie, kurwa, CBA?! To stary nie zna się ze Zdziśkiem?! – zganił go Oskar. – Poza tym zrobimy to tak, żeby nikt się nie mógł przyczepić.

Lewandowskiemu nie przypadła do gustu ta propozycja. Z jednej strony chciał mieć pieniądze, z drugiej bał się ryzyka. Stał okrakiem pomiędzy strachem a sukcesem.

– Niby jak mamy to rozegrać?

– Know-how to już moja działka. Ty masz tylko zrobić, co ci powiem. – Biznesmen położył nogi na sąsiednim krześle. – Zaczniemy od czegoś małego. Przetrzemy szlak, zobaczymy, jak nam to pójdzie. W razie wtopy damy radę się jakoś wybronić.

Klaudiusz analizował w myślach słowa kolegi. Oczyma wyobraźni widział siebie na luksusowym jachcie z drogim zegarkiem na nadgarstku i grupką pięknych, młodych ludzi śmiejących się z jego żartów. On ubrany w lniany garnitur szedł bosymi stopami po drewnianej podłodze statku, ściskając kieliszek z palemką...

– Klaudziu, kurwa, obudź się! – wrzasnął Wójcicki. – Gdzie tak nagle odpłynąłeś? Halo, tu Ziemia!

– Sorry, zamyśliłem się – wyjaśnił mężczyzna.

– No więc słuchaj. Mam takiego jednego człowieka. Rafał Nazarkiewicz. Jest specjalistą od wałków. Podstawimy go do przetargu, łup podzielimy na trzy równe części. Koleś wyprał już tyle kasy, że za chwilę będzie miał w kieszeni pół Trójmiasta.

Lewandowski zawołał obsługę.

– Da nam pan dwa kieliszki czystej!

– Pięćdziesiątki czy setki?

– Chrzanić to. Dawaj pan setki! – polecił Klaudiusz.

Kelner ustawił naczynia na stole, po czym dyskretnie oddalił się w głąb restauracji. Koledzy wnieśli toast i wychylili po kieliszku.

– Raz kozie śmierć, Oskar. Wchodzę w to!

ZUZA

Uwielbiała chłód Bałtyku. Morze w Polsce jest zimne. Każdy, kto kiedykolwiek wyjedzie na egzotyczne wczasy, komentuje później z wyższością, jak to fajnie moczyć tyłek w Hurghadzie czy Szarm el-Szejk, że u nas to sobie jaja można co najwyżej odmrozić, Grażyna-daj-mi-ręcznik-bo-właśnie-dostałem-drgawek. No gdzie ten nasz parawan?

Zuza kąpała się we wszystkich ciepłych oceanach świata, regularnie wypoczywała nad Pacyfikiem, zwiedzała bezludne wyspy, nurkowała wśród raf koralowych. Mimo to i tak kochała Bałtyk, zwłaszcza teraz, w czerwcu, kiedy do miasta nie zjechały jeszcze tabuny turystów, dzikie zastępy okrutnych Hunów, kiedy lato należało tylko do lokalsów, w powietrzu cudowne dwadzieścia osiem stopni, w Zatoce orzeźwiającej piętnaście.

Powoli wyłoniła się z morza. Woda spływała po jej nagim ciele, kąpała z długich włosów, znaczyła piasek śladami bosych stóp. Zuza usiadła na kocu. Owinęła się ręcznikiem, wpatrzyła w dal.

Konrad biegł wzdłuż linii wody razem ze swoim nowym czworonożnym przyjacielem. Spojrzała na dobrze zarysowany tors mężczyzny, delikatnie zarumienioną skórę. Czarne kąpielówki opinały umięśnione nogi, oddzielając je od płaskiego jak deska brzucha.

Odkąd pamiętała, Kroon zawsze dbał o formę. Był wysportowany, regularnie ćwiczył. W czasach liceum co tydzień z kolegami spotykali się na treningu hokeja; latem grywali w piłkę plażową. Do dziś niektórzy z kumpli ustawiali się na plaży w Sopocie, żeby się trochę spocić.

– Jest w siódmym niebie – powiedziała Zuza, spoglądając na mokrego od wody psa.

Fender zwiesił język, w końcu jego rasa nie była przyzwyczajona do tak wysokich temperatur. Gdyby nie chłód Bałtyku, srebrzysty husky czułby się niekomfortowo.

– Nie tylko on – odparł Kroon, przysiadając koło partnerki. Pogładził palcem jej nagie plecy.

Choć mieszkali tuż nad Zatoką, lubili od czasu do czasu wybrać się na dziką plażę położoną pomiędzy Górkami Zachodnimi a Stogami. Od kilkudziesięciu lat miejsce to stanowiło nieformalną oazę naturystów.

– Dawno nie byłeś taki zadowolony.

– Bo dawno nie ściągałaś ubrania...

Pocałował ją w szyję, potem zaczął muskać ustami ramię. Nastął późny wieczór, Zatoka błyszczała różem, fioletem i pomarańczą.

Odwzajemniła pocałunek. Konrad chwycił ją za łydkę, tuż nad kostką, na której Zuza zawiesiła bransoletkę z muszelek. Cholernie seksowny rekwizyt.

– Nie o to mi chodzi. Odzyskałeś część dawnej werwy...

– Mam całkiem sporo werwy – odparł bezczelnie.

Dotknęła dłonią jego pleców. Szerokie, wyraźnie zarysowane, pod lewą łopatką długa blizna. Pamiątka z dawnych lat.

Świetnie odnajdywali się w łóżku, choć nie tylko tam szukali przyjemności. Oboje mieli dość wysokie libido, kochali się regularnie, namiętnie i długo. Kilkanaście lat temu potrafili w ogóle nie zasypiać. Obecnie takie szalone akcje zdarzały się im raz na kilka tygodni.

– Dziś ma być tropikalna noc – przypomniała Zuza.

– Wiem o tym. Dlatego będziemy tu leżeć aż do świtu.

Ugryzła go w ramię.

– Lubię, gdy jesteś taki zepsuty.

– Zuza, a kiedy niby nie byłem zepsuty?

*

Kochali się z przerwami przez dobrych siedem godzin. Fender odszedł kawałek dalej, położył się i zachowując klasę, odwrócił łeb, by zasnąć.

– Coś się w tobie zmieniło. Od naszej rozmowy, odkąd zabrałeś się za burzenie tego domu – zaczęła Zuza.

– Dałaś mi do myślenia. Czas w końcu rozliczyć się z przeszłością.

– No a on? – Wskazała dłonią na psa. – On nie jest częścią przeszłości?

Konrad wpatrzył się w drzemiącego na piasku Fendera.

– Nie wiem.

Zuza wspominała historię, którą dawno temu opowiedział jej Kroon. O tym, jak za dzieciaka przygarnął małego psa przypominającego wilka, którego znalazł w okolicznym lesie.

– To też był husky? – spytała kobieta.

– Nie mam pojęcia. Zawsze myślałem, że był młodym wilkiem. Ale co ja mogłem wtedy wiedzieć.

Wyglądał zupełnie jak Fender.

– Nie wychowałbyś wilka. To musiał być pies.

Konrad raz jeszcze spojrzął na śpiącego czworonoga.

– Zuza, odwałam w życiu tyle chorych akcji... Jeśli ktoś byłby w stanie oswoić wilka, to chyba tylko ja.

– Fakt. W końcu od tylu lat ze mną wytrzymujesz...

Znów zaczęli się kochać.

LENA

Z luksusowego, dwupoziomowego apartamentu Oskara Wójcickiego rozciągał się wspaniały widok na cały Gdańsk. Z jednej strony stocznia, z drugiej historyczna tkanka Głównego Miasta. Nowoczesny blok wzniesiono tuż przy nabrzeżu Motławy. Po rzece śmigają białe jachty i kajaki, zwodzona kładka delikatnie opadała na betonowy pirs Ołowianki.

Lena opalała się na leżaku, z głośnika dochodziła cichutka jazzowa muzyka. Oskar miał wyszukany gust, nie tylko jeśli chodzi o kobiety. *Summertime* Milesa Davisa. Nastrojowa trąbka; letnia kanikuła zaklęta na czarnym, winylowym krążku.

Wójcicki wyszedł na taras, niosąc w ręku dwa kieliszki aperola. Mokasyny, jasne białe spodnie i rozpięta do połowy jedwabna koszula.

– Dzięki, kocie – powiedziała Lena, przejmując drinka. – Kochany jesteś.

Oskar stał nad nią, obserwując dokładnie każdy cal dwudziestoletniego ciała. Traktował dziewczynę

jak swoją zdobycz; najnowsze trofeum w pokaźnej kolekcji drogocennych gadżetów. Zegarek, samochód, kochanka. Ich związek miał w końcu podłoże finansowe; już na pierwszym spotkaniu Wójcicki oznajmił, że nie lubi się dzielić. „Jesteś tylko moja. Właściwie nie stawiam więcej warunków”.

Lena szukała przystojnego typu z kasą. Nie widziała w tym niczego niestosownego; starszy od niej o dwadzieścia kilka lat, równie dobrze mogłaby być jego córką. Dawał jej pieniądze, wymagał dobrej zabawy. Układ idealny. Lena lubiła się bawić.

Bycie dziewczyną starego dziada z brzuchem jest trochę obleśne. Spotykanie się z przystojnym blondynem, który odwiedza kosmetyczkę częściej od niej, to jednak zupełnie inna para kaloszy.

– Wyjeżdżam teraz na kilka dni, będziesz miała wolny weekend.

– Dokąd jedziesz?

Oskar machnął ręką.

– Do Krynicy. Uzdrowski paździerz, ale wiesz. Można zarobić trochę kasy.

– Mało ci kasy? – spytała z przekorą.

– Dzieciaku, kasy nigdy dość. Jest jak narkotyk. Gdy zarobisz pierwszy milion, to już nie możesz przestać.

Lena sprawdziła telefon. Natasza namawiała ją na kolejną imprezę na Ulicy Elektryków. „Spoko, bejbe. Akurat nie mam planów – wystukała na klawiaturze. – Śpię jak zwykle u ciebie”. Koleżanka nie miała nic przeciwko temu: „Znowu lipa ze starymi?” – spytała. „Straszna lipa. Opowiem ci na żywo”.

Oskar także robił coś na komórce. Średnio rozumiał Instagrama, ale starał się być na czasie. Jakiś czas temu kupił na Allegro dziesięć tysięcy fanów. Same fałszywe konta. Sztuczny fejm dodawał mu jednak pewności siebie. Za lajki pod zdjęciami też regularnie płacił.

– Jak mnie ostatnio rodzice przetyrali – zaczęła Lena.

Ojciec znów odwalił manianę; dziewczyna miała wrażenie, że z każdym dniem jest z nim coraz gorzej. Terroryzował brata, zwyzywał Lenę od młodych kurew. Do lodówki przymocował zamek. „Ja płacę za ten chleb; jeśli komuś nie podobają się zasady tego domu, niechaj sam się żywi”. Matka wyraźnie schudła. To jej dostawało się najbardziej.

– Mhm – mruknął Oskar.

– Kurwa, ja nie wiem, co z nim się stało. Za dzieciaka naprawdę się lubiliśmy.

Dziewczyna odczuwała silną potrzebę pogadania o swoich problemach. Wójcicki miał je w dupie. Nie po to szukał ładnej laski, żeby brać sobie na głowę jej szczeniackie rozkminy. Potrzebował rozrywki, a nie dodatkowych obowiązków.

– No czasem ze starymi po prostu tak jest – uciął krótko.

Lena nie wyczuła jego nastroju. Dopiero dorastała do decyzji, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. Nie wiedziała, że kilka miesięcy później wyląduje na komisariacie, składając zawiadomienie na własnego ojca. Póki co łudziła się, że jakoś to będzie. A przecież sprawy rzadko kiedy rozwiązują się same. Świat nie wybacza.

– Matka wstaje teraz codziennie przed świtem, żeby odmawiać pacierz – kontynuowała dziewczyna. – Ojciec wyłącza na noc prąd, bracki musi ładować telefon w kuchni, bo tylko tam działają korki.

Oskar wstał z leżaka. Irytowała go ta pogadanka.

– Nic nie zrobisz. Chcesz jeszcze drinka?

– Ostatnio zaczął fikać do naszej współlokatorki, ale odczepił się, jak ta postraszyła go policją. Stara Kaszuba nie da sobie w kaszę dmuchać.

Wójcicki nalał kolejny kieliszek. Prosecco z aperolem w proporcjach jeden do jednego, do tego kapka wody gazowanej. Postawił koło niej.

– Wiesz, najgorsze, że matka w ogóle nie widzi, że coś jest nie halo. Gdyby stary pił, to może łatwiej byłoby jej skumać. A tak?

– Stary nie pije, to może my się napijemy?

Stuknęli się kieliszkiem.

– Ciągłe prawi nam kazania o grzechu, nawróceniu. Przestał nam dawać kasę. Z każdą pierdołą trzeba do niego latać. Ja mam to w dupie, ale Grzesiek...

Oskar zaczął nerwowo majstrować przy gramofonie.

– Włączę coś bardziej rozrywkowego – postanowił. – Może Solange?
– No i nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić. Czuję, że wszystko jest na mojej głowie. Grzesiek zamknął się w sobie, matka wariuje. Jak myślisz? Złożyć wniosek o przymusowe leczenie? Jakiś psychiatryk?

Wójcicki położył igłę na płycie soulowej wokalistki. Z głośnika dobył się niski, zmysłowy głos.

– Wiesz, co powinnaś zrobić?

Lena pokręciła głową. Liczyła, że Oskar wpadnie na jakieś sprytne rozwiązanie rodzinnego problemu. W końcu umiał kombinować.

– Powinnaś ściągnąć ten stanik – dokończył mężczyzna.

NATASZA

Jak zawsze nawaliły się najpierw u Nataszy. Narkotyki na drogę, szybki uberek prosto na stocznię.

Ustawili się z ekipą rówieśników. Sonia, Juliusz i kilka przypadkowych osób. Znajomi znajomych, wszyscy z dobrych domów, bogaci, bezczelni, nieokiełznani. *Love strong, party hard, die young.*

Przed wejściem na Ulicę Elektryków ustawiła się długa kolejka. Dobra godzina stania.

– Elo, mordy! – zawołał Marek Łagocki. – No to wpierdaliśmy się elegancko na początek i dajemy do baru.

Ekipa ruszyła przed siebie. Kroczyli pewnym krokiem; jeśli chciało się oszukać trzysta osób stojących pokornie w kolejce do wejścia, należało zachować pozory. Nie odwracaj się, nie patrz innym w oczy, po prostu napieraj.

Nie wszystkim się to podobało. Ci bardziej narąbani nie zauważyli, większość miała po prostu wylane. Kilka metrów przed samymi bramkami przyjaciele musieli wcisnąć się w tłum, by podejść do selekcynerki.

– A ty gdzie się wpierdalasz? – fuknęła jakaś laska.

Natasza zignorowała jej uwagę.

– Moja koleżanka spytała, dokąd leziesz. Nie rozumiesz po polsku, bambusie? – dorzuciła inna typiara. Obie były ubrane w kolorowe dresy i lekko zaciągały.

– Spierdalaj, szmato! – krzyknęła Lena, pokazując jej środkowy palec.

– Ej, ziomeczki, chodźcie! – zawołał Łaga, który właśnie skończył bajerować selekcynerkę.

Dziewczyny ruszyły za resztą ekipy.

– Chuj ci w ryj, jebany asfalcie! – wrzasnęła laska z kolejki i z całej siły pchnęła Nataszę.

Dziewczyna potknęła się i poleciała w stronę barierki. Wyciągnęła przed siebie dłoń, żeby jakoś zaasekurować upadek. Oparła się o nadgarstek, który lekko chrupnął.

– Auuu! – zawyła z bólu.

– Pojebało cię, debilko?! – wrzasnęła Lena.

Sonia się obróciła. Najmniej zrobiona ze wszystkich, zachowała resztki zdrowego rozsądku. Widziała przygotowane do nagrywania telefony, wiedziała, że kilka osób w tłumie rozpoznało Nataszę.

– Odpierdol się, mówię grzecznie – rzuciła do kolorowo ubranej dziewczyny.

Chwyciła Nataszę za rękę i wciągnęła ją do środka.

*

– Kurwa, jak mnie to napierdala! – skarżyła się Natasza, masując nadgarstek.

– Dziwka niemyta – podsumowała Lena. – Nie mogłeś jej, Łaga, wypierdolić?

Łagocki wzruszył ramionami.

– A co ja miałem typiarę bić? Nie jestem taką pizdą.

– Przykra sprawa, co? – rzucił Julek. – Facetowi można by oklepać ryj, ale typiarze? Jakoś tak głupio.

Sonia poklepała kolegę po plecach.

– Już widzę, mordko, jak byś szedł z kimś na solo. Byś kurwa skończył u mojej starszej na SOR-ze.

– Słuchajcie, nie ma co mulić pizdy, tylko trzeba się napierdolić. Czuję, że ze mnie schodzi. Najpierw trochę wody, potem walimy w coś konkretniejszego.

*

Stali przy barze. Sonia podeszła do Nataszy, której wyraźnie siadł humor.

– Słuchaj, oni to wszystko nagrywali. Zabrałam cię stamtąd, bobyś za chwilę wylądowała na Pudelku.

To była jakaś jebana ustawka.

– Zabiję tę sukę.

– Nikogo nie zabijesz. Ochrona już ją wyprosiła z terenu imprezy. Możesz o niej zapomnieć.

– Serio, organizowałam jakieś zbiórki darów, wpłacałam kasę...

– Hej! – Sonia popatrzyła jej głęboko w oczy. – Narodowość nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu była patuską i tyle. A teraz chodź. Odepniemy trochę wrotki.

*

Na parkiecie zrobiło się już jasno. Najkrótsza noc w roku, temperatury jak w tajlandzkim Phuket. O tej porze do baru chodzi się już bardziej z przyzwyczajenia niż prawdziwej potrzeby podkręcenia tempa. W krwiobiegu Nataszy krążyło tyle 3,4-metylenodioksymetamfetaminy zmieszanej z alkoholem i energetykami, że i tak przez kolejne dwadzieścia cztery godziny nie zmrużyła oka.

– Jima z colą – rzuciła do barmana.

– Widzę, że koleżanka lubi na ostro – zagaił jakiś koleś. – Ja już tylko wodę.

Natasza odwróciła wzrok. Kawałek za nią stał wysoki, dość przystojny chłopak. Nerka Gucci, dresy adidasa. Próbowła przypomnieć sobie, skąd go zna. Niezdiagnozowana prozopagnozja – zaburzenie polegające na upośledzonej zdolności rozpoznawania twarzy znajomych lub widzianych wcześniej osób. Natasza bardzo dobrze rozpoznawała te twarze, na których jej zależało. Na wszystkie inne miała wylane.

– No dobra, możemy wypić po szociku. Przekonałaś mnie – rzucił beczelny dwudziestolatek. Nie potrzebował czekać, aż usłyszy jej odpowiedź. Skinął na barmana.

– O co ci, człowieku, chodzi?

Piotr Walczak puścił do niej oczko.

– Chciałbym kiedyś przyjechać rundkę z tobą za kółkiem. Ty, ja i dwieście na godzinę przez miasto po mefedronie.

Teraz go skojarzyła. Rozmawiała z typem, który kilka tygodni temu ścigał się z nią Grunwaldzką, a później zarywał do Leny.

– Ziomuś... – Wstrzymała oddech, próbując zebrać myśli. Pobudzony mózg działał według siebie tylko znanych schematów. – Po prostu odpuść.

Odeszła od baru, szukając przyjaciół. Obrazy migały jej przed oczyma. Percepcja włączyła awaryjne; świadomość krążyła pomiędzy widmowymi piętrami jaźni.

Nagle ktoś wpadł na Nataszę i wylał właściwie całego drinka.

– Kurwa, uważaj... – Influencerka podniosła wzrok. Tuż przed nią stanęła ta sama obca typiara, która kilka godzin temu rzucała się do niej w kolejce.

– To ty, jebany asfalcie! – warknęła agresywna nastolatka.

Tego już było za wiele.

Natasza nie umiała się bić; kiedy menedżerka proponowała jej udział w Fame MMA, tylko ją wyśmiała. Teraz jednak miała ochotę znokautować beczelną dziewczynę, wpierdolić jej kolano w krtań, wkręcić palce w wątrobę, obić ryj, wydrapać oczy.

– Ty ukraińska suko! Spierdalaj za Bug do swojej lepianki! Nie rozumiesz po polsku? Nie panimajesz? Wypierdalaj, kurwo, z mojego miasta!

Sprawiedliwa odpłata. Natasza pchnęła nieznajomą z całej siły. Dziewczyna zatoczyła się i upadła na plecy.

Momentalnie przy nastolatce pojawiło się dwóch umięśnionych kolegów. Kilka osób wyciągnęło telefony.

– Odpierdol się od niej – polecił z wyraźnie wschodnim akcentem jeden z osiłków.

– Sam się odpierdol, jebany banderowcu! – krzyknął zza pleców Nataszy znajomy głos.

Piotr Walczak także nie umiał w bójki; otaczał się jednak ziomkami, dla których siłownia i sporty walki stanowiły sens życia.

Przystojny złodziej dał znak do ataku.

– Wypierdalać z Polski! – warknął kumpel Piotrka, uderzając kolegę Ukrainki prosto w szczękę.

Na Ulicy Elektryków rozpętała się regularna bójka.

– Spierdalamy, kociaku! – zawołał Walczak, podając Nataszy dłoń. – To nie miejsce dla takich księżniczek jak ty!

KLAUDIUSZ

Spotkali się w starej burgerowni na gdańskim Przymorzu. Klaudiusz zszedł do położonej w podziemiach sali restauracyjnej; tam poproszono go na zaplecze.

– Dziwnie się czuję – powiedział do Wójcickiego.

– Tak to się robi, brachu – odparł Oskar.

Ochroniarz wyciągnął metalowe pudełko na telefony. Posłusznie włożyli komórki do środka. Klatka Faradaya. Doskonała blokada fal elektromagnetycznych.

– Jak w jakimś filmie szpiegowskim.

– Pegasus może się pierdolić – mruknął Oskar.

Siedzieli w niewielkiej kanciapie. Ściany obwieszane plakatami Lechii Gdańsk, na środku obdrapane biurko i kilka krzesel.

– Szef zaraz przyjdzie – rzucił krępy kelner, który oprócz serwowania burgerów z frytkami służył Rafałowi Nazarkiewiczowi jako zaufany posłaniec.

*

Klaudiusz spoglądał nerwowo na zegarek. Czekali już dobry kwadrans.

– Zawsze to tak wygląda?

– Spokojnie. Jak wparują tu służby, ty o niczym nie wiesz – uspokajał go Wójcicki.

Lewandowski zrobił wielkie oczy.

– Jak to służby?! – wykrzyknął.

– Żartuję, człowieku. – Klepnął go w plecy. – Weź trochę wyluzuj.

Niemal w tym samym momencie ktoś pociągnął za klamkę. W drzwiach pojawił się barczysty mężczyzna, na oko koło pięćdziesiątki. Czarna koszulka, skórzana kamizelka z kieszeniami. Włosy golone samodzielnie maszynką; na karku wielki, złoty łańcuch.

– Przepraszam panów za spóźnienie – powiedział ciepłym, niskim głosem, który zupełnie nie pasował do jego wyglądu. – Rafał Nazarkiewicz, bardzo mi miło.

Wymieniono zwyczajowe uściski dłoni.

– Lewandowski, cała przyjemność po mojej stronie.

– Panowie wybaczą te warunki. Wciąż pracuję nad jakimś bardziej komfortowym miejscem spotkań. W dzisiejszych niespokojnych czasach trzeba jednak nieustannie uważać.

– Klaudiusz tylko wygląda na takiego niekumatego – zaczął Oskar. – Słuchaj, Rafciu. Sprawa jest prosta. Mój przyjaciel robi za dyrektora w Narodowych Innowacjach. Wiesz, oni tam przepierdalają w chuj rządowej kasy, żeby się mówiło, że coś kombinujemy, myślimy, działamy. Polski samochód elektryczny, takie bajery...

– A to akurat nie my za niego odpowiadamy – wyjaśnił Lewandowski.

– No to zobacz, na samochodzie elektrycznym ktoś inny kręci lody. – Oskar kontynuował swoją myśl. – Za pół roku wybory, nie wiadomo, co z tym wszystkim będzie. Osobiście mam nadzieję, że partia Klaudiusza przejdzie to głosowanie, bo, kurwa, jeszcze chwila i skończymy jak Chile albo pierdolona Argentyna. Trzydzieści lat wolności, a ci nas cofają do głębokiej komuny. Żadnych inwestycji, kryzys, inflacja, złotówka tańsza niż kolumbijskie peso.

– Rozdawali ludziom kiełbasę, to wygrali – stwierdził poważnie Nazarkiewicz. – A teraz naród płaci za swoje nieprzemyślane decyzje.

– Serio, Polacy są, kurwa, tak tępi, że tego żadna ustawa nie przewiduje. Nie zniszczyli nas Hitler ani Stalin, to sami się wykończymy. Wystarczyło dać tym baranom prawo głosu. Komuna niepotrzebnie nauczyła ludzi czytać i pisać.

Klaudiusz czuł się dość niekomfortowo. Bądź co bądź przez wiele lat był z przekonania gorliwym konserwatystą. Dopiero niedawno dopadł go kryzys tożsamości.

– Popelniliśmy kilka błędów, ale wiele rzeczy udało nam się naprawić... – zaczął nieśmiało.

– Jakich, kurwa? – przerwał mu Oskar. – Rozpierzdoliliście telewizję publiczną, zniszczyliście niezawisłe sądownictwo, skłóciliście nas ze wszystkimi sąsiadami, z Unią, niczego nie wybudowaliście, spółki skarbu państwa obsadziliście katechetkami z Klubu Gazety Polskiej... Wybacz, Klaudziu. – Objął go ramieniem. – Lubię cię, brachu, ale to prawda.

– Słuchaj, przecież za Platformy... – Klaudiusz próbował oponować.

Rozjemcą okazał się Nazarkiewicz.

– Panowie, nie ma co się licytować na niepowodzenia. Jedni kradli, drudzy kradli...

– I wspaniale nam się ta rozmowa potoczyła. – Oskar podchwycił wątek. – Skoro wszyscy kradną, to i my nie możemy być gorsi.

Nazaret wyciągnął elegancką karafkę.

– To tylko woda. Proszę się nie obawiać. Nigdy nie piję przed dwunastą.

– Klaudiusz jeszcze przynajmniej pół roku będzie szefować Narodowym Innowacjom. Trzeba wypompować jak najwięcej kasy, zanim zmieni się ekipa. I zrobić to z głową.

– Tu wchodzi ustawa o zamówieniach publicznych – powiedział całkiem rzeczowo Nazarkiewicz. – Musimy się dobrze zastanowić, z którego trybu skorzystać. Z jednej strony na początek dobrze byłoby przetrzeć szlak zakupami z wolnej ręki. W pół roku trudno nam będzie ogarnąć przetarg.

– Rafciu – przerwał mu Oskar. – Trzeba szybko ściągnąć tyle kasy, ile się da. Tutaj już nie ma czasu na wojnę podjazdową. Robimy napad na bank, wypierdalamy kraty trotylem, ładujemy złoto do worków i chodu!

– Parszywa dwunastka – odparł Nazaret.

Klaudiusz miał wrażenie, że jego obecność jest całkowicie zbędna. Wójcicki z Nazarkiewiczem zaczęli szybko analizować dostępne opcje.

– Narodowe Innowacje to studnia bez dna. Mają tak szeroki zakres działania, że da się ich wydoić praktycznie na wszystkim – mruknął Oskar.

– Wielki, słomiany miś – podsumował Nazarkiewicz. Jak widać, nie tylko w prokuraturze kochali Bareję. – „Nikt nie wie, po co jest ten miś, więc nie musisz się obawiać, że ktoś zapyta”¹⁸.

PROPHETA

„Pan powiedział do Mojżesza i Aarona w ziemi egipskiej: «Miesiąc ten będzie dla was początkiem miesiący, będzie pierwszym miesiącem roku!»¹⁹.

Propheta nachylał się nad przestraszonym, związanym jagnięciem. Zwierzę cichutko beczało. Bielutki jak śnieg baranek, ułożony na ciężkim dębowym stole. O tej godzinie nikt nie mógł usłyszeć jego wołania.

Był koniec miesiąca, trzynaście minut po dwudziestej pierwszej. Stocznia opustoszała. Pracownicy okolicznych zakładów już dawno wrócili do swych domów, na niedalekiej Ulicy Elektryków dopiero zbierali się pierwsi imprezowicze. Czas zawisł gdzieś w próżni, uwięziony w połowie drogi między obowiązkiem a przyjemnością.

Mężczyzna wyciągnął z torby płócienne zawiniątko. Ostrożnie odwinął materiał, odsłaniając srebrzysty sztylet.

– „Uwielbiona jest potęga prawicy Twej, Panie, Prawica Twa, o Panie, starła nieprzyjaciół. Pełen potęgi zniszczyłeś przeciwników Twoich, Twój gniew im okazałeś, a spalił ich jak słomę”²⁰. – To powiedziawszy, chwycił za nóż.

Jego ostrze było idealnie gładkie; świetlistej powierzchni nie znaczyła ani jedna skaza czy rysa. Takim narzędziem nie kroi się chleba czy sałaty; próżno go szukać pośród kuchennych akcesoriów. Ręce, które wykuły ten nóż, nadały mu wyłącznie jeden cel: by błyskawicznie odbierał życie. *Mors meta malorum*. Śmierć kresem cierpień.

– „Wobec siły ramienia Twego stali się jak kamień”²¹ – wyszeptał Propheta. Ujął dłonią głowę jagnięcia i szybkim, sprawnym ruchem podciął mu gardło.

Zwierzę zakwiliło, lecz zaraz już było martwe.

„I wezmą krew baranka, i pokropią nią odrzwia i progi domu, w którym będą go spożywać”²².

Mężczyzna wyciągnął z wazonu gałązkę hizopu. Zanurzył roślinę we krwi zwierzęcia i wyszedł na zewnątrz.

Z wyspy Ostrów rozciągał się wspaniały widok na szykujące się do snu miasto. Po przeciwnej stronie Martwej Wisły widać było słynne dźwigi KONE.

Zmierzchało. Pomarańcz nieba przechodził powoli w granat; ponure sylwetki żurawi przyglądały się w milczeniu precyzyjnym ruchom ręki Prophety. Samozwańczy kapłan znaczył próg oraz skrzydła metalowych drzwi magazynu. Kiedy skończył, szybko schował się we wnętrzu hali produkcyjnej i przekręcił klucz.

– „Aż do rana nie powinien nikt z was wychodzić przed drzwi swego domu” – przypomniał mężczyzna. – „A gdy Pan będzie przechodził, aby porazić Egipcjan, a zobaczy krew na progu i na odrzwiach, to ominie Pan takie drzwi i nie pozwoli Niszczycielowi wejść do tych domów, aby was zabijał”²³.

Propheta był przepasany lnianą szatą. Zgodnie ze starotestamentowym przykazaniem na stopy włożył sandały, w rękę zaś dzierżył laskę. Gotowy do drogi, gotowy wyruszyć w daleki świat.

Podszedł do okna i spojrzął na Gdańsk. Nie liczył na przebaczenie. Oczekiwał sprawiedliwości.

– „Tej nocy przejdę przez Egipt” – wyrecytował opętany szaleństwem kapłan. – „Zabiję wszystko pierworodne w ziemi egipskiej od człowieka aż do bydła i odbędę sąd nad wszystkimi bogami Egiptu – Ja, Pan”²⁴.

Chwilę później mężczyzna przewrócił oczyma. Patrzył przed siebie wielkimi, przekrwionymi białkami. Obserwował to, co widzialne i niewidzialne.

Gdzieś znad oliwskich lasów podniosła się ciemna chmura. Obłok przypominał gigantyczny rój szarańczy. Zatańczył w powietrzu i niczym tajfun runął w kierunku Głównego Miasta.

Propheta śledził, jak tchnienie zemsty przelatuje przez Gdańsk, zagłada do serc grzeszników, piętnuje dusze potępionych. Biblijna kara, apokalipsa trzeciego tysiąclecia.

– *Pater, si vis, transfer calicem istum a me; verumtamen non mea voluntas, sed tua fiat.* – Zapłakał, świadomy ogromu zadań, jakie przed nim jeszcze stoją. „Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich! Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie!”²⁵.

Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Wyczerpany upadł na ziemię.

„O północy Pan pozabijał wszystko pierworodne Egiptu: od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego tego, który był zamknięty w więzieniu, a także wszelkie pierworodne z bydła.

I podniósł się wielki krzyk w Egipcie, gdyż nie było domu, w którym nie byłoby umarłego”²⁶.

CZEŚĆ DRUGA

PIELGRZYM

KONRAD KROON

Od ostatniego wyjazdu Zuzy minęły dobre dwa tygodnie. Konrad powoli odchodził od zmysłów. Zawsze tak miał, że kiedy go opuszczała, stopniowo tracił kontrolę nad własnymi myślami. Jażń Kroona błądziła po dziwnych zakamarkach: szperała w starych piwnicach, otwierała dawno zamknięte drzwi, zaglądała tam, gdzie nie powinna.

Kiedy zwalniał cugle wyobraźni, zaczynał dostrzegać więcej niż inni. Momentami ocierał się o szaleństwo. Czasem widział na ulicy osoby, których tam nie było; zapachy miały dla niego kolor, litery i cyfry – namacalny kształt. W takich to chwilach do głowy przychodziły mu nieoczywiste rozwiązania skomplikowanych problemów; prowadzone śledztwa nabierały szerszego kontekstu, ulotne wskazówki zamieniały się w twarde dowody.

Jego prababka wróżyła ludziom z kart. Podobno podczas okupacji ustawiały się do niej długie kolejki ludzi chcących poznać swój los. Pani Walewska nie uczyła się tarota; przepowiadała przyszłość, używając zwykłej talii, którą na co dzień siekała z przyjaciółkami w kanastę.

Kroon nigdy nie wierzył w podobne bzdury. Miał zbyt ścisły umysł, by dopuścić efekt działania nadnaturalnych sił do grona czynników wpływających na rzeczywistość. O ile dysponował pełnym pakietem przesłanek, wszystko potrafił uzasadnić w racjonalny sposób.

Swoje dziwne wizje tłumaczył więc jakimś bliżej niezdiagnozowanym defektem mózgu. Kilka razy w życiu był na prochach; naturalnie zataił tę informację podczas badań psychiatrycznych, które rutynowo przeprowadza każdy z kandydatów na wolne stanowisko prokuratorskie. Psychotropy zażywał z rzadka, póki co w miarę normalnie funkcjonował. Zwłaszcza kiedy miał obok siebie Zużę.

Kroon liczył się z tym, że kiedyś oszaleje. Tak jak jego ojciec. Tak jak każdy z Kroonów.

– Czego wy wszyscy ode mnie chcecie? – mruknął, zaglądając do służbowego maila.

Prokuratorzy nie traktują poczty internetowej równie poważnie jak pracownicy korporacji; jeśli jakaś informacja jest pilna, z pewnością zostanie dostarczona w zwykłej formie pisemnej.

„Pieprzeni fani epistolografii”, pomyślał, otwierając na chybił trafił jedną z wiadomości. Pismo z Prokuratury Regionalnej, przekazane do informacji wszystkich podległych jednostek. Adnotacja: WAŻNE! „Zasady rozliczania kosztów dojazdów biegłych”.

– Jakbym chciał zostać księgową, tobym poszedł na finanse, a nie na prawo.

Pośród masy nieistotnej korespondencji natrafił na pismo od Łopiejki. Policjantowi udało się ustalić numer osoby, która wezwała pogotowie do wypadku Klaudiusza Lewandowskiego.

– No w końcu coś! – zawołał uradowany.

Kiedy Zuza wyjeżdżała, Konrad zatracił się w pracy. Nigdy nikomu się do tego nie przyznał, ale cholernie lubił swoją robotę.

Wiadomość zawierała dziewięciocyfrowy ciąg znaków oraz adnotację, że numer ten znajduje się w bazie Orange. Należało teraz zwrócić się do operatora o podanie dokładnych danych teleadresowych.

Kroon włączył właściwy program.

– Zaczyna się robić ciekawie – powiedział do Fendera.

Od wyjazdu Zuzy praktycznie nie rozstawał się ze swoim czworonożnym towarzyszem, odnalezionym u pragu lata na gruzach rodzinnego domu.

Wpisał wszystkie dane w rubryki formularza, wydrukował kopię postanowienia. Podpis, pieczętka, szybki skan dokumentu. Zapytanie zostało wysłane.

– Poszło! – Odłożył myszkę i schylił się pod stół. – No co, piesku? Chciałbyś trochę pobiegać?

Nie mógł zostawić go samego w mieszkaniu. Odkąd przybłąkał się do niego Fender, Kroon dołączył do grona ekscentryków, którzy wszędzie chodzili z psem. Szefowa machnęła na to ręką: po pierwsze Konrad był jej najlepszym pracownikiem, po drugie sama miała w domu dwa wilczury. Psiarz psiarzowi oka nie wykole.

– O proszę – zdziwił się, klikając w czerwoną ikonkę nowej wiadomości.

Kilka lat temu w powszechnych jednostkach prokuratur wprowadzono nowy system informatyczny. PROK-SYS miał naturalnie mnóstwo wad, ale potrafił też czasem zaskakiwać. Na przykład tym, jak szybko

pozwalając uzyskać informacje z zewnętrznych baz danych.

– Karolina Borkowska, zamieszkała w Otominie, ulica...

Konrad skopiował dane właścicielki telefonu, z którego wezwano pogotowie, i wkleił je do wiadomości, którą zamierzał wysłać Łopiejce. Z dokumentacji medycznej wynikało, że tuż po zderzeniu ze skarpą ciało Lewandowskiego zostało przeniesione na miejsce kierowcy. Ktoś chciał upozorować wypadek lub uwolnić się od odpowiedzialności. Być może osoba, która dzwoniła po karetkę, widziała tego, kto naprawdę prowadził pojazd. Teraz należało ją tylko przesłuchać.

Z każdym krokiem Kroon coraz bardziej zbliżał się do prawdy.

MAJA

To była chyba najdziwniejsza i najbardziej niezręczna rozmowa, jaką przeprowadziła w całym swoim życiu. Jak zwykle wbiegła spóźniona na siłownię, godzinka intensywnego treningu, mokra od potu wskoczyła pod prysznic.

Nie spodziewała się, że ją tam zastanie: beczelną dziewczynę o oliwkowej skórze. Natasza trzymała w ręku jej pomarańczowy strój.

Wymieniły kilka naprawdę pokręconych zdań. Maja nie zarejestrowała momentu, w którym zaprosiła influencerkę do knajpy, a ta się po prostu zgodziła. Musiało brzmieć to jakoś tak:

– *Bitch, I owe you one.*

– Nawet mam pomysł, jak możesz się odwdziaczyć.

– No wal...

– Może po prostu zaprosisz mnie na drineczka?

Albo też:

– Jeśli jeszcze kiedyś zapomnisz stroju, to wiesz, gdzie uderzać.

– Będiesz takim moim pachołem do noszenia torby?

– Mogę być twoim pachołem, choć wolałabym być twoją typiarą.

Maja jechała rowerem do pracy, druga zmiana, mnóstwo zadań, a przez jej głowę przetaczał się prawdziwy huragan. Nie wierzyła, że znalazła w sobie odwagę, by podbić do Nataszy. Dziewczyna była w końcu gwiazdą, idolką nastolatek, miała mnóstwo kasy i innych, fajniejszych znajomych. Przecież musiała mieć znajomych! Była taka ładna, wyluzowana i imprezowa; to nie do pomyślenia, by ktoś taki także odczuwał pustkę, potrzebował drugiej połówki, kogoś, z kim mógłby poleżeć na kanapie, obejrzeć serial, zjeść bajgla z dżemem i przejść się razem po lesie. Tacy ludzie jak Natasza Keyserlingk nigdy nie kończą z takimi ludźmi jak Maja Gan; tygrysy nie żywią się warzywami, gwiazdy Hollywood nie robią zakupów w osiedlowym.

Przez cały dzień nie mogła się skupić na robocie; dobrze, że była kryminalną, a nie jakimś cholernym dochodzeniowcem. Nie wytrzymałaby dziś przykuta do biurka.

– A co ty, Majka, taka zamyślona? – spytał kolega z pracy. – Zakochałaś się czy co?

– Eee, źle spałam po prostu – odparła.

Był dopiero początek tygodnia, a one ustawiły się na czwartek. Latem możesz wyskoczyć na drinka nawet w poniedziałek, ale jesienią?

Spotkały się oczywiście w Sopocie. Natasza ceniła wygodę, nie miała zamiaru jechać uberem przez pół miasta, żeby chwilę posiedzieć w knajpie. Sopot był *fancy*, mnóstwo fajnych lokali, nawet w październiku pachniał zagranicą. Gdyby randka okazała się totalną porażką, Natasza mogłaby szybciotko ewakuować się do domu.

– Czego się napijecie? – spytał kelner.

„Jeden drink, góra dwa”, obiecała sobie Natasza. Od jakiegoś czasu funkcjonowała w trybie *fit & clean*: zerwała z narkotykami, odstawiła alkohol. Podczas wakacji dziewczyna przekroczyła cienką czerwoną linię, która oddziela beztroską zabawę od całkowitego braku kontroli. Używki to nie przelewki. Teraz nastąpiła jesień, a panna Keyserlingk wciąż płaciła wysoką cenę za tamto szalone lato.

W zeszłym tygodniu pierwszy raz pozwoliła sobie na kieliszek czerwonego wina do obiadu. Poprzestała na jednym; kulturalny posiłek, żadnego ciągu do używek. Chyba była gotowa na kolejny krok.

– Martini z ginem? – zaproponowała influencerka.

– W takim razie ja to samo.

Alkohol to doskonały wybór na pierwszą randkę. Cudowny napój rozwiązuje język, pozwala nieco wyluzować, słuchać bez żenady nieciekawych historii. Jeśli pierwsza randka na trzeźwo okazuje się strzałem w dziesiątkę, można śmiało wyciągać pierścionek. Nie trzeba dalej szukać. Jeśli podczas pierwszej randki szczerze dolewamy do kieliszków, a w powietrzu czuć nastrój imprezy, warto umówić się ponownie. Jeśli jednak na pierwszej randce jest tak drętwo, że nawet alkohol nie pomaga, najlepiej wyjść po angielsku, zablokować kontakt na Tinderze, uciec, zalać betonem i zapomnieć.

Na siłowni gadka raczej im się nie kleiła. Nie miały wspólnych tematów, Natasza trzymała dystans, Maja odczuwała coś w rodzaju strachu. Dziś jednak wszystko wyglądało inaczej.

Już po kilkunastu minutach dziewczyny zaczęły się śmiać i żartować. Nataszy rozwiązał się język, Maja co chwilę jej przerywała, żeby wtrącić jakąś swoją anegdotkę. Dziewiętnasta zamieniła się niepostrzeżenie w dwudziestą trzecią, zamknęto kuchnię, obsługa odliczała czas do fajrantu.

– Wywaliłaś dziewczynie w mordę, bo jej się po prostu należało. Nie kumam, o co ta cała afera.

– Kurde, Majka, nie powinnam laski wyzywać od Ukrainek – stwierdziła Natasza.

– No ale przecież ona była Ukrainką!

Influencerka wzięła kolejnego łyka.

– Chciałam jej dojechać, dlatego powiedziałam, żeby spieprzała do siebie. No i to jest ksenofobia.

Majka nie do końca rozumiała.

– A jak ona ci od asfaltów pojechała? To nie był rasizm?

– Był. – Przeciągnęła palcem po rancie kieliszka. – Tylko że jedno drugiego nie usprawiedliwia.

Policjantka głęboko westchnęła. O całej aferze wiedziała oczywiście już wcześniej; pół internetu huczało o tym, jak to nafaszerowana narkotykami celebrytka znieważa gości ze wschodu i wzywa do nienawiści na tle narodowościowym. Przez krótką chwilę Natasza stała się wrogiem publicznym numer jeden. Firmy pozrywały z nią kontrakty, tysiące widzów przestało obserwować. Zaczęła dostawać wiadomości z pogróżkami, życzo jej śmierci.

– Jedna głupia akcja w lipcu. Wiesz, co mi się wydaje? Ludzie nigdy nie odpuszczą sobie okazji, by kogoś zniszczyć. Powiedzmy, że trochę zwaliłaś, okej. Ale zaraz taka nagonka? Bo niby kto nie palnął nigdy żadnego głupstwa? Po prostu miałaś pecha, że cię nagrali. A to całe nieszczęśliwe cebulactwo, kiedy może w końcu wyżyć się na kimś za własne beznadziejne życie, merda ogonem, jakby im pięćset plus podwyższyli.

– Sama pchałam się na świecznik. Sława uzależnia, wiesz?

– Uważam, że cię skrzywdzili – powiedziała twardo Majka. – I zdania nie zmienię.

– Dostałam po dupie, to fakt. Ale w gruncie rzeczy na dobre mi to wyszło. W wakacje totalnie straciłam kontrolę nad własnym życiem. Kilka razy się prawie zaćpałam. Teraz znowu wszystko powoli wraca na właściwe tory. Odzyskałam wewnętrzny balans. – Spojrzała na dwa puste kieliszki. Barman nerwowo wycierał blat, kelner wymownie zerkał na zegarek. – Czas się zwijać. To co? Odprowadzisz mnie na chatę? Mieszkam kawałek stąd.

KONRAD KROON

Beata Lewandowska odmówiła składania zeznań w sprawie wypadku swojego męża. Poinformowała prokuraturę, że telefon pokrzywdzonego uległ zniszczeniu i nie będzie możliwości przeprowadzenia jego badań.

Kroon wiedział, że kobieta kłamie. Śledztwo miało ewidentnie drugie dno: polityczne, osobiste, cholera wie jakie. Konrad czuł w kościach, że rozgrywa tę partię z poważnymi przeciwnikami. Nie chciał popełnić takiego samego błędu, jaki przydarzył mu się na początku asesury. Musiał oszukać system.

„Kroon pokazuje światu fucka i idzie swoją drogą. Bo przecież ty zawsze miałeś jakiś plan! Genialny, boski, znany tylko tobie”.

Odkryć zaginioną drogę. Znaleźć ścieżkę, którą nikt nigdy nie szedł.

– Zobaczmy, jaki jestem sprytny – szepnął do Fendera.

Kilka dni temu wysłał oficjalne zapytanie do operatorów o listę wszystkich numerów, które łączyły się z telefonem pokrzywdzonego. Szukanie igły w stogu siana? Najwyraźniej, ale... walić to. Nie mógł wejść Lewandowskiej na chatę, nie mógł urządzić jej przeszukania. Stary senator by mu tego nie wybaczył.

Należało stworzyć pozory, że odpuszcza. Zwykle rutynowe śledztwo, sprawa zmierzająca w stronę

umorzenia. Zastłona dymna dla Wykopkowskiego.

„Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej, i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie”²⁷.

Konrad wyjął z drukarki zapis bilingu z ostatniej doby przed wypadkiem. Kilkadziesiąt pozycji do sprawdzenia.

– Oby tylko Łopiejko dał radę... – mruknął. – Muszę go pogonić do lepszej pracy. Inaczej nic z tego nie wyjdzie. I muszę... przestać w końcu gadać do siebie!

Wykręcił numer policjanta.

– Sierżant Marek Łopiejko, słucham? – Znajomy, nieco niewyraźny głos. Marek Łopiejko aka Marek Niezdarek. Wszyscy się z niego śmiali, nikt nie potrafił znaleźć w sobie tyle odwagi, by przenieść faceta do prewencji.

– Kroon.

– Właśnie miałem do pana dzwonić – odpowiedział, głośno mlaszcząc. Kończył przeżuwać kanapkę. – Słuchałem dziś rano właścicielkę tego telefonu, co prokurator chciał...

– I nic pan nie mówisz?! Przecież prosiłem o telefon, jak tylko pan ją obrobi!

– No przecież gadamy. – Odgłos przeżuwania. – W każdym razie ona – mlask – nic nie wie. To nie jej telefon.

– Jak to nic nie wie? Przecież telefon jest na abonament – zdziwił się Kroon.

– Niby tak, ale sam pan rozumie. Czasem tak to wychodzi.

Gadał jak cholerna wyrocznia z Delf.

– Co wychodzi?! Panie Marku, do rzeczy!

– Mówi, że nigdzie nie dzwoniła.

Kroon czuł, jak powoli skacze mu ciśnienie. Łopiejko coś wiedział, cieszył się, że ma przewagę nad dociekliwym prokuratorem.

– Jak pan mi zaraz nie powie, o co, do kurwy nędzy, tu chodzi, to zaraz osobiście przyjadę na Białą, wezmę tę kanapkę, którą właśnie pan jesz...

Funkcjonariusz zrozumiał, że chyba trochę przegiął. Zazwyczaj Kroon nie dawał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Widać piekielnie mu zależało.

– Już wszystko śpiewam, jak na spowiedzi świętej! Babeczka nazywa się Karolina Borkowska. Jest po rozwodzie, wróciła do swojego panieńskiego. Jak się dzielili majątkiem, to nie przepisała umowy, jakoś tak po ludzku się rozchodzili. Mój kumpel ze swoją starą poszedł na noże. Bitwa o dzieci, psa, wyliczał jej, kto za wymianę okien płacił...

– Panie Marku, do brzegu!

Łopiejko oprzytomniał.

– No więc tak. Telefon jest na Borkowską, ale użytkuje go jej mąż. Znaczący były mąż.

– A mąż nazywa się...

– Rafał Nazarkiewicz.

LENA

Właściwie nie miała co ze sobą zrobić. Przyjechała do Nataszy, wbiła kod na domofonie, wjechała windą na górę. Przyjaciółki nie było w domu.

„Fuck, pewnie ma teraz trening. Zapomniałam!”, zganiła się w myślach.

Oparła walizki o ścianę, usiadła na podłodze i wyciągnęła telefon. Oskar wrzucił właśnie jakąś relację z Alexanderplatz. Wskoczył na kilka dni do Berlina, podobno w interesach. Lena w dalszym ciągu nie dostała kluczy do jego mieszkania. Biznesmen uciekał przed bliskością; potrzebował dziewczyny, kochanki, utrzymanki. Nie zamierzał łądować się w żaden poważny związek. Fundował jej różne drogie prezenty, płacił, wymagał, najczęściej zaś chciał mieć po prostu święty spokój. Zwłaszcza teraz, kiedy popełnił serię błędów i tylko czekał, kiedy do drzwi zapuka mu prokurator.

Lena cholernie chciała się wyrwać z biedy, uciec od tej porąbanej rodziny. Zasługiwała na lepsze życie. Była zdolna, ładna, umiała podejmować odważne decyzje.

„Serio nie wolałabyś kogoś bardziej w swoim wieku?” – spytała koleżanka z roku.

„Wiesz co, Orska? Tak naprawdę to jesteś po prostu zwykłą kurewką. Szukałem miłości, ale ty

zwyczajnie potrzebowałaś sponsora. Pierdolona szampaniara” – podsumował niedoszły chłopak.

Siedziała na klatce i rozmyślała. A może tym razem faktycznie zwała?

– A co to za piękny kociak? – spytała Natasza tuż po wyjściu z windy.

Zobaczyła walizki, rozmazany makijaż; już wiedziała, że coś jest nie tak.

– Hej, bejbe. Chwilowo skończyły mi się opcje.

– To nie Caritas, ale dawaj – przekreśliła klucz w drzwiach – spróbujemy cię jakoś ogarnąć.

*

– ...ale ona też jest nienormalna. Właściwie to są siebie warci. Po prostu wywalili mnie z chaty, spierdalaj na bruk.

– Nie mogą cię wywalić z chaty, jesteś ich dzieckiem. Ciągłe się uczysz, nie skończyłaś jeszcze dwudziestu sześciu lat.

– No to popatrz. Niespodzianka! – odpowiedziała Lena, wyciągając z torby Moëta. – Zabrałam od Oskara. Dwa kieliszki?

Natasza pokręciła głową.

– Ograniczam się.

– W taki, kurwa, dzień jak dziś? Kiedy zostałam bezdomną? To moje największe dotychczasowe osiągnięcie.

Influencerka wyciągnęła z szafy dodatkowo komplet pościeli.

– Niestety, dla mnie jeszcze nie jesteś bezdomną. Będę musiała tu z tobą kiblować na czterdziestu metrach.

– Jak cię zacznę wkurwiać, to mi rozbijesz namiot na tarasie. W końcu taras masz duży.

– Fakt.

– To co, na pewno się nie napijesz?

Natasza kategorycznie odmówiła.

– Serio. Już piłam w tym tygodniu.

*

– ...ja ci powiem, że ten Oskar to jest niezły chujek.

– Keyserlingk, ja się nie chcę teraz z nikim na poważnie wiązać. Szukałam bogatego typu, mam bogatego typu. Jakbym potrzebowała znaleźć sobie opiekuna, tatuśka, ojczulka, to rozglądałabym się za ziomkiem po rozwodzie z odchowanyimi dziećmi...

Lena kończyła właśnie ostatni kieliszek. Sięgnęła po kolejną butelkę.

– Ile ty mu tego zajebałaś? – zdziwiła się Natasza.

– Tyle, żebym cały czas mogła chodzić napierdolona. To może chociaż zapalisz?

– Mogę co najwyżej wyskoczyć z tobą na taras.

Założyły kurtki i wyszły na zewnątrz. Wbrew pozorom nie było wcale tak zimno, jak można by oczekiwać po październiku. Sopot: z jednej strony morze, z drugiej las; dwa naturalne regulatory temperatury.

– I jak myślisz, co dalej? – spytała Natasza.

– A skąd ja mam – zaciągnęła się dymem – wiedzieć?

– Wrócisz do starych, poszukasz czegoś swojego?

– Wiesz, jak teraz mieszkania stoją? – wzburzyła się Lena. – Ale do starych nie wrócę. Po moim trupie.

– A ta policjantka coś ci mówiła?

Orska zaciągnęła się dymem.

– Dali ojcu zarzuty, znaczy chcą go oskarżyć. Pewnie będą wnioskować o nadzór kuratora albo jakieś leczenie.

– A on na to pójdzie? – Natasza przestępowała z nogi na nogę. Musiała do toalety.

– Nie wiem. Ostatnio zrobił się całkiem nieobliczalny. Nie zdziwiłabym się, gdyby w końcu zatłukł matkę. – Złapała się za głowę. – Kurwa, co za patola. Ja pierdolę...

Po policzkach Leny spłynęły łzy. Zgrywała twardą, ale czuła, że zaczyna tracić jakąkolwiek kontrolę

nad swoim życiem. Świat nie pozwolił za sobą nadażyć.

– Chodź, bejbe – powiedziała Natasza, łapiąc ją pod bok. – Najwyżej zamieszkas pod mostem.

KONRAD KROON

Nazwisko Nazarkiewicza obilo mu się już kilka razy o uszy. Kryminalni mówili, że koleś jest teraz jakimś gorącym kotem: szerokie spektrum interesów, w większości nielegalnych. Chcieli ukrećić na niego sprawę, ale skubany się dobrze krył. Kroon pytał od czasu do czasu świadków i podejrzanych, czy znają niejakiego Nazareta. Wszyscy zaprzeczali. I wszyscy kłamali.

Wezwanie polecił doręczyć za pośrednictwem policji. Teoretycznie powinien najpierw wysłać je pocztą, ale wiedział, jak to się skończy: dwa nieodebrane w terminie awiza, miesiąc obsuwy. Konrad lubił działać szybko.

Zwykle w takich sprawach prokuratorzy nie przesłuchują osobiście świadków. Zapewne gdyby okoliczności wypadku były inne, Kroon oszczędziłby sobie tej wątpliwej przyjemności.

– Masz jeszcze pięć minut, gagatku – szepnął, spoglądając na zegar ścienny. – Zobaczmy, czy cenisz punktualność.

Konrad wiedział, że sprawa Lewandowskiego tylko z pozoru wydaje się banalna. Tak samo było z prowadzonym przed laty postępowaniem dotyczącym Brodowicza. Nic nie zapowiadało nadchodzącej katastrofy. Kroon nie zamierzał drugi raz popełnić tego samego błędu. Był mądrzejszy o kilkanaście lat doświadczeń.

Musiał przesłuchać Nazarkiewicza samodzielnie. Pieprzony gangster z Nazaretu. Ciekawe, który mądry nadał mu to przezwisko.

„Jesteś gruba ryba. Ale ja nie takie szczupaki łowiłem”.

Zegarek wskazał dziesiątą zero zero. Konrad lubił wzywać na tę właśnie godzinę; zdążył zjeść śniadanie, wypić kawę, ogarnąć pocztę i przede wszystkim na dobre się obudzić.

Poczekał jeszcze piętnaście minut. Akademicki kwadrans.

– Panie Gieniu, Kroon z tej strony – zadzwonił na dyżurkę. – A do mnie to nikt się nie próbował dostać?

– Nie, panie prokuratorze. Przecież bym dryndnął – odparł ochroniarz.

– Hmm, dziwne... No nic, panie Gieniu.

– Od rana nikogo tu dziś nie było. Spokojny dzień jak cholera.

Konrad podziękował za rozmowę i odłożył słuchawkę. Nazarkiewicz osobiście odebrał wezwanie, pokwitował je własnym podpisem. Wiedział, że ma zostać przesłuchany.

Dziesiąta trzydzieści. Świadkowie nigdy nie spóźniają się do prokuratury. Ludzie boją się tej instytucji; jeśli ktoś dostaje polecony z zaproszeniem na Piekarniczą, zazwyczaj trzęsie portkami.

Sprawa nie toczyła się przeciwko konkretnej osobie. Kroon zamierzał spytać Nazarkiewicza, czy widział, kto prowadził pojazd. Tylko tyle i aż tyle.

Gangster nie stawił się na przesłuchanie.

– Zięc senatora i znany trójmiejski gangster. Coraz bardziej zaczyna mi się to wszystko podobać – powiedział Konrad, spoglądając na kalendarz z dźwigami. Kolejne tajemnice wyrastały niczym grzyby po deszczu. – Widocznie będę się musiał jeszcze bardziej postarać. A ja cholernie lubię kombinować.

KLAUDIUSZ

Zanim Klaudiusz Lewandowski w pewną chłodną wrześnieową noc, zupełnie nieprzypadkowo, wsiadł do samochodu, zanim jesienny deszcz zaczął zamazywać niewyraźne ślady zbrodni, zanim prokurator Kroon postanowił wyjaśnić sprawę tajemniczego wypadku, świat zadbał o to, by tak splątać wątki, zamieszać w gęstej sieci ludzkich losów, by nikt nigdy nie dokopał się do prawdy. By Lewandowski nie znalazł wybaczenia.

Teraz jednak trwało jeszcze lato. Wspaniałe, piękne i grzeszne. Konrad Kroon zajmował się prostowaniem swoich życiowych ścieżek, burzeniem domu rodziców, rozliczaniem własnej przeszłości. Młode dziewczyny: Natasza i Lena, zatracaly się w zabawie, lipcowe słońce wyznaczało kurs na beztroskę, mieszanek narkotyków i alkoholu pozwalała zapomnieć o problemach, ułudne szczęście maskowało te, które dopiero miały wyrzeć na powierzchnię. Beata Lewandowska coraz mocniej czuła, że oddala się od męża. A raczej że mąż oddala się od niej. Bo takim właśnie człowiekiem stawał się teraz Klaudiusz. Nieobecnym w domu, skupionym na sobie, zafascynowanym innym, lżejszym życiem. I za te wszystkie pochopne decyzje przyszło mu w końcu zapłacić. Ale jeszcze nie dziś.

*

Mimo początkowych obaw Klaudiusz przystał na propozycję Wójcickiego i Nazarkiewicza odnośnie do wspólnego lewego biznesu. Potrzebował pieniędzy, musiał udowodnić sobie, że jest kimś: potrafi zarobić bez wsparcia teścia i jego znajomości.

Spotkali się jak zwykle na obiedzie w ulubionej knajpce rybnej. Serwowano owoce morza: na przystawkę przegrzebki, później zupa z dorsza, jako główne danie homar.

– Powinniśmy wznieść toast – zaproponował Oskar.

Klaudiusz wciąż wyglądał na nieprzekonanego.

– Lepiej nie zapeszać – odpowiedział.

– Czego nie zapeszać?! – krzyknął Wójcicki. – Przecież wszystko poszło jak z płatka!

Kolega biznesmena spojrział na talerz. Właściwie to nie lubił owoców morza, po mulach bolał go często brzuch.

– A jak nas słuchają? – spytał, ściszej głoś.

Oskar ostentacyjnie wyciągnął telefon z kieszeni.

– Niech nas słuchają! Przecież nie mamy niczego do ukrycia! – zawołał, kierując usta w stronę wbudowanego fabrycznie mikrofonu. – Gratuluję mojemu drogiemu koledze, że sprawnie zarządza państwową firmą! I to jest prawdziwie nowoczesny patriotyzm! Działanie propolskie, narodowe, nastawione na rozwój!

Lewandowski zrobił skwaszoną minę. Zdziwiła go beztroska kolegi.

– Chyba straciłem apetyt.

– Co ty pierdolisz?

Niejeden rząd upadł przez owoce morza. Dobrze, że nie zamówili ośmiorniczek.

– Chodź, pójdziemy się gdzieś przejść.

– Nie ruszę stąd tyłka, dopóki nie zjem homara. Już rzygam stekami.

Wołowinę Kobe serwowano piętro niżej. Ot, Wyspa Spichrzów. Królestwo luksusu i rozpusty.

– No to jedz szybciej. Ja nie mam ochoty.

– Zaraz nabierzesz.

Oskar wyciągnął z teczki pudełko z folią spożywczą.

– A co ty, będziesz to brał na wynos? – zdziwił się Klaudiusz.

– Patrz i się ucz – odpowiedział Wójcicki, oplatając telefon kolejnymi warstwami aluminium. – Teraz twój.

Klatka Faradaya.

– Nazaret mówi, że to jedna z bardziej gładkich akcji. Popytał tam i tu, podobno nikt niczego nie podejrzewa. Sprawa jest czysta księgowo, ty wykazałeś się gospodarnością, zamawiając towary po

wyjątkowo okazyjnej cenie.

– No a skąd on miał te wszystkie kartony...

– To już nie twój interes, misiaku! Kumaszą? Nie pytaj za dużo, bo jeszcze się, kurwa, dowiesz. Im mniej wiesz, tym spokojniej śpisz.

Lewandowski nie wyglądał na zadowolonego. Nie potrafił cieszyć się sukcesem.

– Mam coś, co poprawi ci humor – powiedział Oskar, podając koledze metalowy pendrive.

– Co to ma być?

– Twoja dola. Dane do konta na rajskich wyspach.

– Żartujesz.

Wójcicki nachylił się nad swym uczniem.

– Niewierny Tomaszu! Tak to się teraz robi. Przecież nie będziesz trzymał lewej kasy w Pekao.

– No niby nie, ale jak ja to...

Oskar znów przerwał mu w pół słowa.

– Nie myśl o tej kasie. To nie są pieniądze do szybkiego wydania, to twoja lokata. Emerytura, renta, stan spoczynku.

– Ale ja potrzebuję hajsu teraz!

Wójcicki poklepał go po poliku.

– A niby po co? Żeby podzielić się z Beatą? Przecież powiedziałaś, że chcesz od niej odejść!

– Nie mogę od niej odejść – stwierdził smutno Klaud.

Na twarzy przystojnego biznesmena pojawił się zawadiacki uśmiech.

– Jeszcze nie możesz. Za mało uciułałeś. Musisz najpierw wydoić tę cholerną rodzinę. A jak zmieni się władza, nowy rząd zabierze się za rozliczenia, ty ulotnisz się na Bahamy, Kajmany, Seszele...

– No a dzieci?

– Szklanka zawsze do połowy pusta, co, misiu? – Zamknął mu dłoń na pendrivie. – Odwalimy jeszcze kilka takich akcji. A potem zrobisz, co dusza zapagnie.

NATASZA

Imprezowały od czwartku do niedzieli. Konkretny melanż na stoczni, srogie poprawiny w sopockim Sfinksie. W niedzielę trafiły na domówkę do przyjaciół Soni Salińskiej. Cztery dni na alkoholu i miękkich narkotykach.

Poniedziałek przespały; kiedy ma się dwadzieścia lat, ten cholerny dzień jest jakimś cudem zupełnie znośny. Żadnych zobowiązań, żadnego stresu.

Otrzeźwienie przyniosło dopiero wtorkowe popołudnie. Około siedemnastej Natasza wzięła gorący prysznic i poczuła, że okropnie zgłodniała.

– Zamawiamy na wynos, bejbe?

Odpaliła aplikację, przejrzała listę ulubionych knajpek. Na gastrofazie zawsze jadła trzy razy więcej, niż powinna. Ostatnio wzbogaciła się o niewielką oponkę; już słyszała w głowie głosy hejterów, że takie coś można wyhodować zimą, ale latem, kiedy jako bożyszcze wpatrzonych w smartfony nastolatek paradujesz w topie lub samym staniku, wstyd ociekać sadłem. *Sex sells*. Show-biznes nie wybacza słabości. Tak to działa w tej branży.

– Zamawiaj – stęknęła Lena, nakrywając głowę poduszką. Potrzebowała jeszcze chwili, by wrócić do świata żywych.

Natasza wybrała okazały zestaw dań i rozpoczęła swą codzienną internetową rutynę. Na Instagramie kilkaset nieodczytanych wiadomości. Kiedy jesteś takim fejmem jak Keyserlingk, fani piszą do ciebie z każdą pierdołą: skąd buty? skąd skarpetki? skąd majtki? skąd spodnie? skąd bluza? czy mam zerwać z chłopakiem? jak często wyprowadzasz psa? nie-mam-psa! czy powiedzieć starym, że jaram zioło? benzyna czy gaz? Gaz, gaz, gaz! Gaz do dechy! Jedziemy z tym koksem!

Kliknęła w ikonkę papierowego samolociku i zabrała się do korespondencji z fankami. Dużo emotikonków, przecież dzisiejsze dzieciaki nie umieją łączyć literek, zabawne GIF-y, dziesiątki serduszek, pocieszne łapki w górę.

– Za ile będzie szama? – spytała Lena.

– Jakies pół godziny.

Natasza uporała się z większością wiadomości od starych followersów. Teraz pozostała jej do obrobienia stajnia Augiasza, czyli skrzynka z wiadomościami od nowych obserwatorów. Instagramowy folder „Prośby”.

– O kurwa, Lena, obczaj to – mruknęła, przesiadając się na kanapę.

– Co?

– Ktoś nagrał, jak się napierdalałam z tą Ukrainką.

Orska spojrzała na telefon.

– Nieźle z nią pojechałaś...

– Będzie miała nauczkę – podsumowała Natasza. – Ty, patrz na to!

Na filmie pojawił się moment, w którym z odsieczą influencerce pospieszili koledzy Piotra Walczaka.

– Ja pierdolę... Ale mu wyjebał. Na stówę zładował na OIOM-ie – oceniła Lena.

Odtworzyły to nagranie jeszcze kilka razy. Jak się okazało, filmik rozszedł się wiralem po sieci. Kolejne osoby przesyłały go sobie w prywatnych wiadomościach, wrzucały na stories, udostępniały na tablicach.

– No i zapamiętaj, żeby ze mną nie zadzierać.

Siedziały tak jeszcze chwilę, oglądając relacje, w których oznaczono Lenę.

– A nie boisz się, że ci to zaszkodzi?

– Jak zaszkodzi? Przecież ona sama zaczęła.

– Na filmie to tak nie wygląda – odparła Lena. – A ci ludzie od Walczaka mu zdrowo wpierdolili.

Natasza wyciągnęła ręce przed siebie.

– Przecież ja go nawet nie znam. Bajerował mnie przy barze, ale to obcy typ. O nic go nie prosiłam.

– No wiem. Ale jednak wyszło tak, jakbyś go prosiła. Jeszcze ci się to odbije czkawką.

Zadzwoił domofon. Influencerka wstała z kanapy, żeby wpuścić gońca z jedzeniem.

– Wyjebane. A wiesz, co powiem tym, którzy potrzebują maści na ból dupy?

Lena wzruszyła ramionami. Spodziewała się jakiejś wyjątkowo elokwentnej wypowiedzi. Zamiast tego ujrzała wyciągnięty środkowy palec.

KONRAD KROON

Konrad wstał o piątej, żeby wyprowadzić Fendera. Po powrocie do domu wciąż był jeszcze nieco śpiący. Nastawił budzik na dziewiątą i z powrotem wskoczył do łóżka.

Alarm w telefonie wyrwał go z dość głębokiego snu. Wziął do ręki iPhone’a, żeby wyłączyć dzwonek. Na ekranie widniała ikonka nieodebranych połączeń.

– Co, do cholery... – mruknął pod nosem.

Prokurator rejonowa dzwoniła do niego jakieś osiem razy. Kliknął w znaczek kontaktu.

– Konrad, kuźwa, gdzie ty jesteś?

– No już jadę, w korku stoję – zablafował. Magda nigdy nie zwracała uwagi, na którą przychodził do pracy; jeśli szukała go o tak wczesnej porze, to znaczy, że coś się stało. – Zamordowali kogoś czy co?

– Słuchaj, pogrom tu mieliśmy. Kilka trupów w nocy, trzeba jechać na sekcję.

– Tak szybko? – zdziwił się Kroon. Zwykle sekcje zwłok odbywały się w ciągu kilku dni od ujawnienia zwłok denata.

– Baśka dyżurowała. Zawsze jak Baśka ma dyżur, to wszystko się pieprzy. Tsunami jakieś przeszło przez miasto. Faza Księżyca, cholera wie... dwóch wisielców i trzy trupy z nieznaną przyczyną zgonu.

– Grubo – odparł Konrad. – Ale faktycznie, wczoraj coś dziwnego wisiało w powietrzu.

– No mówię ci, jakby ktoś plagę jakąś zesłał. W innych jednostkach to samo. Najgorzej na śródmieściu.

Kroon wrócił pamięcią do czasów studiów. Przez jakiś czas wynajmował pokój w bloku na krakowskiej Krowodrzy. Pewnej styczniowej nocy na piętrze zmarły dwie sąsiadki z tego samego korytarza. Obie miały na imię Marysia i urodziły się w tym samym roku. I weź tu uwierz, że to tylko przypadek.

– Zły duch.

– Albo palec boży. W każdym razie nie mam kogo posłać, a Jaworski się spieszy. Za kilka dni jedzie na wakacje, musi to wszystko obrobić przed wylotem.

– A mało ludzi pracuje w ZMS-ie?

Rzeplińska westchnęła.

– Jest sezon urlopowy, zapomniałeś?

– No racja. Tylko my jak te osły zapierdalały w najgorętszym miesiącu lata, żeby skończyć półrocze.

– Taka karma. Słuchaj, ty już chyba skończyłeś wszystko na czerwiec i nie masz na dziś żadnej wokandy. Pojedziesz do zakładu, pogadacie sobie o kinie, doktor się ucieszy. Mam nadzieję, że jeszcze nie zaczął kroić.

– No jak to? – Kroon udał oburzonego. – Otworzyć zwłoki bez obecności prokuratora? Przecież procedura tego zabrania.

– Tak że ten... – odpowiedziała szefowa. – To jedź najpierw do ZMS-u, później przyjedziesz do firmy.

– Rozkaz! – rzucił krótko Kroon, po czym poszedł nakarmić Fendera.

*

Zajechał na Dębową chwilę przed dziesiątą. Jego czarne audi stanęło na zakazie, drogie auto z wetkniętą za szybę niewielką karteczką. PROKURATOR – głosił odręczny napis. SPIERDALAJCIE – brzmiał ukryty przekaz.

– Panie doktorze – rzucił Kroon na przywitanie.

Jaworski pochylał się nad jakimś ciałem i notował w zeszytach. Obok niego stała młoda kobieta w okularach. Wyglądała na przestraszoną.

– Proszę wybaczyć, panie prokuratorze, ale nie mogliśmy czekać. Nie pamiętam, kiedy naraz tak obsypało trupami. Pani z Oliwy wbiła się w kolejkę.

Konrad podszedł pewnym krokiem do nieznajomej dziewczyny. Szara garsonka, niskie szpilki, włosy spięte w kok.

– Jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać. Konrad jestem, pracuję we Wrzeszczu.

Zwyczajowo to kobieta wyciąga pierwszą rękę na przywitanie. Kroon ignorował tę zasadę równie mocno, jak wiele innych w jego życiu. Tak to przynajmniej miało wyglądać z zewnątrz.

– Iza. Asesor Izabela Małkowska – odparła dziewczyna.

– Urodziłem się w Oliwie. Fajna dzielnica. Jak się pracuje?

Cóż miała odpowiedzieć? Beznadziejnie się pracowało. Podczas aplikacji dziewczyna uczyła się starannie analizować akta, posiłkować orzecznictwem i dokonaniem doktryny. Koledzy z roku na starcie dostali po trzydzieści spraw do prowadzenia. Referat Małkowskiej już w pierwszym tygodniu urósł do stu sześćdziesięciu. Tego nie dało się ogarnąć.

– Dobra atmosfera, ale spraw dużo...

– Przyzwyczaisz się – pocieszył ją Kroon. – No albo cię wywalą na zbity pysk. Jak się nie będziesz wyrabiać, to krótka piłka, dziękujemy za współpracę, nie każdy umie utrzymać to tempo. Buziaczek na drogę i żegnaj, dziecińco!

Młoda asesorka momentalnie się zmieszała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Żartowałem. – Konrad mrugnął i klepnął ją po ramieniu. – Zdałaś prokuratorowi, najgorsze za tobą. Pierwsze wotum, a potem już z górki.

Dziewczyna głupio się uśmiechnęła. Nieśmiałość była jej największą bolączką. Kroon od razu ją wyczuł i wrzucił na głęboką wodę. Lubił takie zabawy.

– Trzustka o wiśniowo-różowym, miejscami przepojonym krwią mięszu, miękka, rozpadająca się, o całkowicie zatartej strukturze – powiedział doktor Jaworski. – Wątroba: trzy tysiące sto sześćdziesiąt dziewięć grama, w cienkiej torebce włóknistej, o zaokrąglonych brzegach, miąższ ceglastożółty, o niewyraźnym rysunku, połyskującym przekroju. Widoczne cechy stłuszczenia wątroby.

– Obstawiam, że się zapił. Typowy alkoholik – zgadywał Konrad.

Kroili mężczyznę lat trzydzieści dwa. Wzrost sto dziewięćdziesiąt cztery centymetry. Otwory naturalne ciała wolne od ciał obcych i zmian urazowych. Błona śluzowa jamy ustnej różowa, gładka.

– Wszystko na to wskazuje – odparł Jaworski, kończąc ostatnie zapiski. – Ale bez badań histopatologicznych nie wydam ostatecznej opinii.

Chwilę później przystąpili do wykonania kolejnego otwarcia zwłok. Asesorka z Oliwy opuściła bramy zakładu, Kroon został sam na sam z doktorem i technikami.

– Jako naukowiec zdecydowanie wykluczam wiarę w zjawiska paranormalne – powiedział Jaworski. – A jednak w takie dni jak ten, kiedy jednej nocy dochodzi do kilkunastu niewyjaśnionych śmierci...

– Zastanawia się pan nad zakupem karnetu do kościoła – dokończył Kroon. – Ale proszę się nie martwić. W dalszym ciągu można tam za darmo wejść.

KLAUDIUSZ

Żadna ze zgromadzonych na jachcie osób nie narzekała na ocieplenie klimatu. Kolejna fala upałów nawiedziła właśnie Europę. Londyn zamienił się w Saint-Tropez, Madryt w Abu Zabi. I nagle Trójmiasto okazało się lepszą opcją niż cudowna Iberia, egzotyczna Turcja czy filmowe Włochy. Dwadzieścia osiem stopni w cieniu, tropikalne noce, kiedy to możesz płaść po mieście w krótkich spodenkach czy zasnąć na plaży. Na południu i zachodzie kontynentu temperatury przekraczały czterdzieści stopni. Za dużo szczęścia. Upał niósł za sobą śmiertelne żniwo: wśród emerytów, sercowców, osób z nadciśnieniem.

Z gorącego lata najbardziej cieszone się oczywiście nad Bałtykiem. W środkowej Polsce odnotowano dotkliwą suszę hydrologiczną, w wielu miastach brakowało wody. W Trójmieście wszystkiego było pod dostatkiem.

– I po co ja mam wyjeżdżać gdzieś na wakacje, skoro mieszkam w Gdyni? – spytał starszy biznesmen ubrany w różowe polo.

– Heniu, na wczasy to tylko zimą. My z Mariolką zawsze w październiku latamy na Maderę, listopad Kanary, no a od grudnia to już tylko Afryka i Azja. Jakiś Zanzibar, może Malediwy...

Dostojny dziób białego jak śnieg jachtu miał właśnie okolice twierdzy Wisłoujście. W monakijskim Port Hercule cumowały wprawdzie lepsze łodzie, ale nie miejmy naszym za złe, że mimo trzydziestu lat kapitalizmu wciąż są na dorobku. Według polskich standardów prywatna łódź Eugeniusza Dębskiego stanowiła przejaw obrzydliwego bogactwa, tego, że umiał dobrze zakombinować, że swego czasu nie brzydził się ani czarnych, ani czerwonych.

– Kuźwa, Oskar, skąd się bierze tyle hajsu, żeby wyczarterować taką łódź? – spytał Klaudiusz.

– A kto ci powiedział, że on to wyczarterował?

Lewandowski zrobił wielkie oczy.

– No jak to kto? Przecież sam mi mówiłeś, że to jego impreza – zająknął się.

Oskar wziął od kelnerki kolejny kieliszek.

– Mordo ty moja kochana! Ty wiesz, co mnie tak w tobie urzekło? Od samego początku, od naszego pierwszego spotkania, kiedy stałeś taki bezradny koło Duchnowskiego, koło tych wszystkich sępów i paliłeś głupa? Że ty jesteś jak takie pocieszne, bezradne dziecko, które rodzice odstawili pod szkołę, a ono nie wie, którądy do szatni.

– Możesz ze mnie nie drzeć łacha?

Wójciki ścisnął go za ramię.

– Oj biedaku, biedaku. Przecież to nie jest żaden chrzaniony czarter! Skubany Dębski kupił sobie ten jacht.

– Ale jak to kupił? Przecież ta cholerna łódka musi kosztować z kilka baniek! I gdzie on ją trzyma?

– Dokładnie czternaście baniek. Oczywiście w euro.

Klaudiusz nie wierzył, że to słyszy. Czuł ten luksus, widział polerowane drewno i złote relingi, ale nie mógł pojąć, jak ktoś mieszkający w chłodnej skądinąd Polsce może wydać aż tyle pieniędzy na zbędną zachciankę.

– To jakie on podatki płaci, skoro stać go na taki jacht?!

Oskar po prostu napił się drinka.

– Jakby płacił podatki, toby jachtu nie kupił. Proste. Łódka jest naturalnie własnością jakiejś tam śmiesznej spółki. Tak to się robi.

– Ja w zeszły weekend żałowałem dzieciakom na przejazd dmuchanym bananem po Zatoce!

Wójcicki tylko się zaśmiał.

– A bo ty jesteś mentalnym biedakiem. I nigdy nie będziesz bogaty.

– Przecież ty też nie masz tyle siana, żeby kupić taki jacht.

Biznesmen pokiwał w zadumie głową.

– To prawda. Ale ja w odróżnieniu od ciebie cały czas kombinuję. Myślę dzień i noc, co by tu odwalić, żeby ukrećić wielkie lody. A ty tylko trzęsiesz tyłkiem.

Lewandowski podszedł do barierki. Spojrzał na słynny pomnik Obrońców Wybrzeża.

– Ja się do tego nie nadaję...

Oskar podążył jego śladem. Nonszalancko oparł się o reling.

– Trzymaj się mnie, a zobaczysz, co to prawdziwe życie.

– No nie wiem...

Wójcicki złapał go za połą koszuli.

– Hej, pobudka! Chcesz do końca życia męczyć się z tą twoją szarą myszą? Przecież mówiłeś, że nic do niej nie czujesz. Że tylko truje ci dupę, rozwala łeb. Popatrz na moją kicię. – Wskazał palcem na Lenę, która stała nad niewielkim basenem. – Widzisz, co to jest? To jest, kurwa, życie, jakiego dla ciebie chcę! Pieniądze, piękne kobiety, luksus i przepych.

– Przecież ja bym nie mógł zostawić żony dla takiej typiary...

– A czy ja ci żonę każę zostawiać? Albo planuję do końca życia trzymać na smyczy tę młodą eskortkę? – Zbliżył czoło do czoła kolegi. – Klaudziu, ja chcę spróbować wszystkich smaków. Być jak jebany Hugh Hefner. Kapitańska czapka, aksamitny szlafrok i dwadzieścia gorących lasek na moich udach. I wiesz, co jest najlepsze? Że one zawsze będą miały dwadzieścia lat. Jak któraś skończy trzydzieści, to won, wypierdalaj, idź się dupczyć pod mostem, gdziekolwiek, mam to w dupie. Kumasz?

– No trochę kumam...

– To lepiej skumaj, misiaku. Bo to jest świat, do którego drogę próbuję ci wskazać!

LENA

Lena snuła się po luksusowym jachcie, chętnie korzystając ze wszystkich dostępnych opcji pokładowego open baru. Poza Oskarem i jego śliskim kolegą, który wzbudzał w niej szczerą odrazę, nie znała tu właściwie nikogo. Podobał jej się przepych, cieszyły pogoda i poczucie wolności, jakie daje morze. Lena zawsze czuła się wyjątkowo wolna; ziębiły ją zasady i opinia bliskich, wiedziała, że na swój sukces musi zapracować samodzielnie.

Prawdę powiedziawszy, wolałaby znaleźć się tu w nieco młodszym gronie. Zaproszeni goście należeli raczej do pokolenia boomerów, średnia wieku oscylowała wokół sześćdziesięciu lat. Lena wymieniłaby kilku starych dziadów na słynnych raperów, dorzuciła garść topowych aktorek i urządziła porządne rejwy. Niestety, w życiu nie można mieć wszystkiego.

– No proszę! Kogo widzą moje piękne oczy! – rzucił bezczelny chłopak, którego w maju tego roku poznała na Ulicy Elektryków.

– A ty skąd się tu wzięłeś?

– Wbiłem na krzywy ryj – odpowiedział Walczak. – Fergus mnie wkręcił. No a ty?

Lena skinęła na Oskara.

– Przyszłam z chłopakiem.

– Ten oldboy to twój typ? Chyba sponsor.

Bez większego zastanowienia walnęła go w twarz.

– Zabolalo, co, aniołku? – Piotrek się zaśmiał. – Ale mnie nie oszukasz. Bo widzisz, ja robię wałki zawodowo. Tam ukradnę, tu sprzedam i biznes się kręci. Też będę miał kiedyś taki jacht.

– Póki co masz pewnie tylko kiłę.

– Jeszcze nie mam. Chociaż codziennie na to pracuję. Jak powiedział jeden znany aktor, na świecie są tysiące, miliony pięknych kobiet. Cudownych, seksownych, o zgrabnych ciałach i ślicznych buźkach. Problem w tym, że nie da się ich wszystkich zaliczyć. Ale warto próbować...

Lena mimowolnie zachichotała. Choć bardzo się przed tym broniła, polubiła Walczaka. Chłopak miał coś w sobie. Młody, bezczelny, zaradny. Zupełnie inny niż Oskar. Naturalnie luźny, wiedział, kim są Żabson i Bedoes, nie puszczał nudnego do zarzygania jazzu. No i był w jej wieku.

– No i ile już zaliczyłeś?

Wzruszył ramionami.

– Straciłem rachubę. Tu się kliknie, tam się kliknie. No co ja poradzę, że kicie same wskakują mi do łóżka?

– Jak sadzisz im takie czerstwe teksty?

– A ty słyszałaś może, o czym gadają te stare pryki? – Uniósł brodę, wskazując na zgromadzonych gości. – Łeb pęka, jak się słucha tego geriatrycznego bełkotu. Hej, kociaku! – zawołał na kelnerkę.

– Proszę bardzo – odpowiedziała dziewczyna, podając tacę z drinkami.

Walczak wziął od niej dwa kieliszki.

– Dzięki, kicia. Jak ci się znudzi struganie laski tym sflaczałym kutasom, to wpadaj wieczorem na stocznię. Mam apartament koło Elektryków. Szykuje się sroga bibka.

– Spoko. – Spojrzała na niego zalotnie.

– Jak się nazywasz na Insta?

Kelnerka podała mu nick. Walczak wysłał jej serduszko.

– Do której mogę przyjść?

– Ty możesz przyjść kiedykolwiek. – Puścił do niej oczko.

Dziewczyna także mrugnęła, po czym wróciła do pracy.

– Ja jebię, one serio na to lecą – zdziwiła się Lena. – Kurwa, nie mam pytań.

Walczak poprawił okulary przeciwsłoneczne.

– W moje furze pachnie dwusetą... O, zobacz. Widzisz tamtego typa?

– No, co z nim?

– To mój szef. No, taki jakby szef. Fergus.

Lena uniosła wysoko brwi.

– Że niby miało to na mnie zrobić jakieś wrażenie?

– Ziomek zamordował człowieka. Kilka lat temu jechał ze swoim współnikiem autem i wpierdolił się w drzewo. Na psiarni zeznał, że to był tylko wypadek, podobno stracił panowanie nad pojazdem. Ale nie wszyscy w to uwierzyli. Na mieście gadali, że bał się go po prostu kropnąć i tak to jakoś rozegrał po swojemu.

Dziewczyna właśnie kończyła zerować kieliszek. Dobrze jej wchodziło.

– Są chyba prostsze sposoby, żeby zabić człowieka.

– No mówię ci. Zbrodnia doskonała. Fergus miał tylko kilka siniaków, a jego ziomo, kurwa, śpiączka i zgon po kilku tygodniach. Dostał trzy lata na sztywno.

– Grube rzeczy...

Walczak wziął od kelnerki dwa kolejne drinki.

– Jakbyś kiedyś chciała kogoś sprzątnąć, to wsadź go naćpanego za kółko i wpierdol w drzewo.

KLAUDIUSZ

Zeszli na ląd w sopockiej marinie. Lewandowski, Wójcicki, Orska i kilku nagranych biznesmenów. Było coś koło północy.

– Ale to chyba nie jest koniec! – wrzasnął jeden z pijanych mężczyzn.

– Dajemy na Sopoty!

Ruszyli mołem w kierunku Monciaka.

– Grand Hotel?

– A co ty, Heniu, przed wojną się urodził? Na fajfy ci się zachciało?

– No to gdzie się teraz imprezuje? – zwrócił się bezpośrednio do Leny. – Gdzie bawi się dzisiaj młodzież?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Pewnie na stoczni...

– Jedziemy na stocznię! – ryknął pan Henryk.

– Pokażemy gówniarzom, jak się bawią seniorzy!

Lena nie mogła się doczekać, aż zobaczy pijanego sześćdziesięciolatka składającego niedwuznaczne propozycje nastoletnim dziewczynom.

– Ja nie chcę z nimi jechać – szepnęła Oskarowi.

– Spokojnie, zgubimy ich. Ale musisz być miła. Heniu jest ogólnopolskim importerem wyrobów

mleczarskich, gdyby chciał, wykupiłby pół Sopotu.

– To co, zamawiać taksówki? – spytał Klaudiusz.

– Tam są... Panie, panie! – wrzasnął Henryk. – Nasza... – szybki rachunek – dziewiątka na stocznię! Taksówkarz pokręcił głową.

– Zajęty jestem. Czekam na klientów.

Henryk wyciągnął portfel. Rzucił mu w twarz zwiłkiem stułotowych banknotów.

– Bierz pan kolegę i jedziemy!

Kierowca wystukał coś w aplikacji. Właśnie anulował umówiony kurs.

– To jaki adres?

*

Zajechali na Ulicę Elektryków.

– Nie no, taka kolejka, że nie wejdzimy – stwierdził zrezygnowany Klaudiusz. Prawdę powiedziawszy, brakowało mu siły na dalszą imprezę.

– Kolego, jak masz pieniądze, to wszędzie wejdziesz! – odpowiedział buńczucznie Henryk i ruszył prosto do ochroniarza. Wręczył mu plik banknotów.

– Sezamie, otwórz się – zażartował Oskar, po czym pocałował Lenę w ucho.

Szedł przez stocznnię jak młody bóg: przystojny, opalony, w dobrze skrojonym garniturze. Obok niego wędrowała najpiękniejsza dziewczyna w całym Trójmieście: długonoga blondynka o ciele modelki i twarzy anioła.

Klaudiusz czuł się przy nich jak ubogi krewny. Też miał drogi garnitur, ale nie tak odkręcony jak Oskar; niby nie wyglądał najgorzej, w portfelu trzymał całkiem sporo gotówki. Brakowało mu nie tyle pieniędzy, ile przede wszystkim pewności siebie. Wśród kolorowych świateł Ulicy Elektryków czuł się zagubiony, nie na miejscu, niepasujący do tych wszystkich roześmianych twarzy.

Lena od razu wskoczyła na parkiet. Oskar pobiegł za nią, jakby znowu miał dwadzieścia lat. Klaudiusz nie wiedział, co ze sobą zrobić. Henryk z kolegami przyatakowali bar, stawiając drinki przygodnie napotkanym dziewczynom.

Z dwojga złego Lewandowski wołał pójść tańczyć.

Obserwował ludzi bujających się w rytm muzyki elektronicznej. Obok niego całowało się dwóch chłopaków. „Gdybym ja coś takiego odwalił dwadzieścia lat temu, obiliby mi mordę”, pomyślał.

– Coś tam się dzieje – zauważył Oskar.

– Hę? – spytała Lena. Nie miała ochoty przerywać zabawy.

– Coś z Heniem i ekipą. Bramkarz się do nich burzy. Chodźcie!

Podeszli pod płot, gdzie podpici biznesmeni kłócili się z pracownikiem ochrony.

– Panowie, o co chodzi? – zagaił Wójcicki.

Ochroniarz spojrzał w jego stronę. Oskar wydawał się najbardziej trzeźwy z tego całego towarzystwa.

– Jesteście razem?

Wójcicki przytaknął.

– Ta menda chce nam zepsuć zabawę! – krzyknął Heniu.

– Nie możemy tego jakoś polubownie załatwić? – spytał Oskar, wyciągając portfel.

– Już pański znajomy proponował mi pieniądze – odparł mężczyzna. – Ci panowie zachowywali się bardzo nie w porządku w stosunku do kilku kobiet. Nie wiem, czy ktoś nie zadzwonił już na policję...

– Sama się, kuźwa, tak ubrała! – wrzasnął pijany sześćdziesięciolatek.

– Sugeruję opuścić teren imprezy – powiedział wymownie ochroniarz. Gdyby nie wręczona łapówka, sam wezwałby niebieskich.

Oskar w mig skumał, co się święci.

– Chodźcie, panowie! – polecił stanowczo.

*

– Ja, kurwa, mam ochotę na grubą imprezę! Co jak co, ale myślałem, że ty, Oskarku, umiesz się zabawić! – fuknął obrażony Henryk.

– Zabawisz się, zabawisz – odpowiedział mu Wójcicki. – Pojedziemy do mnie na chatę

i zorganizujemy, co trzeba.

Kwadrans później siedzieli w apartamencie Oskara. Impreza przeniosła się na taras.

– Proszę państwa, ten to ma *rooftop!* – zapał Henryk, spoglądając na nabrzeże Motławy i rozświetloną blaskiem lampek panoramę Głównego Miasta.

Na srebrnej tacy pojawiło się kilka ścieżek kokainy.

– Ja podziękuję – powiedział Lewandowski.

– Niczego, kurwa, nie podziękujesz. Podziękujesz, jak się poczęstujesz – zgasił go Oskar.

„Zawsze miałem kij w dupie”, stwierdził w myślach Klaudiusz. „A przecież... raz się żyje”.

Przejął od kolegi tacę i zwinięty w rulonik banknot. Wciągnął narkotyk.

– Ładnie daje, co?

Prawdę powiedziawszy, wcale nie poczuł jakiejś ogromnej euforii. Przez chwilę zastanawiał się, czy to rzeczywiście była prawdziwa kokaina.

– Nieźle, nieźle – zablefował.

Oskar spojrział na ekran telefonu.

– O, chyba będziemy mieli gości. Poczekajcie tu chwilę!

Po kilku minutach wrócił na górę w towarzystwie trzech pięknych dziewczyn.

– Noż jak Oskarek załatwi! – ucieszył się Henryk.

– Panowie pozwolą, że przedstawię. Oto Angela, Martyna i Weronika.

Lena przez chwilę poczuła się dziwnie. Jej związek z Oskarem również znajdował uzasadnienie w pieniądzu. Ale przecież ona nie była dziwką!

Dziewczyny szybko ruszyły w stronę napalonych gości Wójcickiego. Jedynie Klaudiusz miał pewne opory przed skorzystaniem z oferowanych usług.

– Mam na imię Weronika – szepnęła mu na ucho prostytutka.

– Klaudiusz jestem...

Brunetka dość szybko zorientowała się, że będzie musiała z nim chwilę pogadać. W końcu każdego klienta należy traktować indywidualnie.

– Wyglądasz na bardzo zestresowanego.

– Jakoś ten dzień mi się cholernie dłuży – bąknął bez polotu.

Zobaczyła jego obrączkę.

– Pewnie dużo pracujesz na swoją rodzinę. – Podała mu drinka. – Ale czasem musisz wrzucić na luz. Jeśli nie dla siebie, to dla nich. Żeby się nie zajechać.

Trudno się było z nią nie zgodzić. Odkąd poznał Oskara, próbował zrobić coś tylko dla siebie. Tyle że średnio mu to wszystko wychodziło.

– Napijesz się czegoś? – zaproponował mężczyzna. Jakimś cudem udało mu się przejąć inicjatywę.

– Z chęcią. Może szampana?

Nalał jej kieliszek.

– Lubisz drogie alkohole. Od razu widać, że jesteś facetem z klasą.

Przysunęła się do niego bliżej, położyła dłoń na jego udzie.

– Ja...

– Nie lubisz tak przy wszystkich, co? Ja też nie za bardzo. Strasznie tu głośno. Chodź, znajdziemy jakieś cichsze miejsce.

Chwyliła go za dłoń i zaprowadziła na dół. Klaudiusz posłusznie podreptał za nią.

PROPHETA

„Mojżesz wyciągnął rękę nad morze, a Pan cofnął wody gwałtownym wiatrem wschodnim, który wiał przez całą noc, i uczynił morze suchą ziemią. Wody się rozstały, a Izraelici szli przez środek morza po suchej ziemi, mając mur z wód po prawej i po lewej stronie”²⁸.

Propheta siedział na piasku, obserwując, jak luksusowy jacht wpływa na wody zatoki i bez pośpiechu kieruje się w stronę półwyspu. Statek mijał właśnie turkusową latarnię wzniesioną na szczycie betonowego falochronu. Światło dla poszukujących prawdy, gwiazda żeglarzy, kropla jasności pośród oceanu grzechu.

– „Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości, w ogromie swego miłosierdzia wymaż moją nieprawość”²⁹ – wyszeptał.

Mężczyzna pisał coś na piasku. Grzechy, które zliczał, nie miały zostać wybaczone. Idea nieskończonego miłosierdzia zawiodła; bez rozliczenia win świat nie mógł wrócić na właściwą drogę.

– „Obmyj mnie zupełnie z mojej winy i oczyść mnie z grzechu mojego”³⁰ – powiedział, spoglądając na luksusowy jacht.

Widział przed sobą arkę niesioną wśród spokojnych fal Bałtyku. Nie był to jednak boski statek tych, którym przeznaczono ocalenie. Barka niewinnych istot, prawych wśród pokolenia, zwierząt, ptactwa, wybranych, by zachować ich potomstwo dla całej ziemi.

– „Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną”³¹ – powtórzył słowa psalmu pięćdziesiątego pierwszego. Jedną z piękniejszych modlitw Starego Testamentu. Oszałały kapłan rozumiał ją opacznie. Wybierał poszczególne wersy Pisma i nadawał im własny, pokręcony sens.

Propheta widział przed sobą jedynie grzeszników. Choć jacht płynął kilkaset metrów od niego i prorok nie mógł dostrzec dokładnie twarzy, wiedział, że owa łódź kryje przedwieczne zło. Lucyfer sam ponoć należał do ludu aniołów, lecz zdradził Pana, by stworzyć swe królestwo z resztek tego, na co pozwolić musiała wolna ludzka wola. W tej możliwości wyboru czaił się więc grzech; nie mogło być nieskończonego dobra bez możliwości jego negacji.

– „Chcę nieprawych nauczyć dróg Twoich i nawrócą się do Ciebie grzesznicy”³².

Skupił się na niewielkim kawałku kory, który trzymał w dłoni. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i zaczął rzeźbić. Takie statki robi niemal każdy dzieciak ze swoim ojcem; drewniane łódeczki wspanialsze niż niejedna plastikowa zabawka z marketu.

Propheta wyskrobał na korze kilka tajemniczych znaków. Działał jako katowski miecz w rękach Pana, sam jednak też potrzebował posługiwać się narzędziami. Potrzebował naśladowców, oddanych wiernych, ślepych aniołów zemsty, którzy wymierzą sprawiedliwość.

Drewniana łódeczka zakołysała się na fali i z wolna odpłynęła w stronę Sopotu. Gdzieś na horyzoncie zniknął właśnie jacht pełen pijanych biznesmenów.

„Pan rzekł do Mojżesza: «Wyciągnij rękę nad morze, aby wody zalały Egipcjan, ich rydwany i jeźdźców». Wyciągnął Mojżesz rękę nad morze, które o brzasku dnia wróciło na swoje miejsce. Egipcjanie, uciekając, biegli naprzeciw falom, i pogrążył ich Pan w środku morza”³³.

KLAUDIUSZ

Po ostatniej imprezie wyprowadził się do hotelu. Beata zrobiła mu awanturę, że ostatnio ciągle przychodzi pijany i regularnie nocuje poza domem.

– Mówię ci setny raz: do niczego nie doszło!

– Pachniesz damskimi perfumami, ty skurwysynu! Kobięcym potem, kobięcym nie powiem czym!

Kręcił się nerwowo po salonie.

– Było tam pełno kobiet, ci faceci bajerowali jakieś eskorty...

– Eskorty? Skąd ty w ogóle znasz takie wyrazy?! Człowieku, ja ciebie nie poznaję!

– Już od dawna mnie nie poznajesz – palnął bez zastanowienia.

Beata podniosła wazon i rzuciła nim z całej siły w stronę Klaudiusza. Porcelanowy flakon z hukiem uderzył w ścianę, rozbijając się na kilkadziesiąt drobnych kawałków.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że odbywamy tę konwersację! To jest jakiś pieprzony koszmar! Przecież ty jesteś moim mężem, moim Klaudem...

Najtrudniej dostrzec ten moment: niewielką wzmiankę w kuchennym kalendarzu. Ulotną chwilę, kiedy przestajecie być kochankami, przyjaciółmi czy nawet kumplami; jesteście już nie tyle współlokatorami, ziomeczkami mieszkającymi w jednym kwadracie, ile po prostu współnikami spółki z ograniczoną odpowiedzialnością o nazwie „rodzina”. Ten sam budżet, zobowiązania, ta sama lista *to-do*. Bez wspólnych pasji, uczucia, emocji. Spółka Lewandowskich właśnie składała wniosek o upadłość.

– Nie pamiętam, kiedy to jeszcze byliśmy „my”.

Beata usiadła w kącie i zaczęła płakać. Opuścił ją gniew, pozostał wyłącznie smutek.

– No a dzieci? – spytała zrozpaczona.

– Ja pierdolę, Beata, nie mam siły na te gadki. Co niby z dziećmi?! Przecież tłumaczę ci jak chłop krowie na miedzy, że cię nie zdradziłem! Chłalem z nowymi partnerami biznesowymi, tyle w temacie. Staram się wyrobić sobie nowe kontakty!

Kobieta momentalnie zmieniała postawę.

– Pokaż mi swój telefon! – zażądała.

– Po cholere?

Podniosła się na nogi. Powoli zaczęła iść w jego stronę.

– Jeśli nie masz nic do ukrycia, pokaż mi telefon...

– Ty chyba oszalałaś. Ej! Oddaj to!

Beata wyciągnęła mu komórkę z kieszeni spodni. Wstukała znajomą kombinację. Ekran pozostał zablokowany. Ponownie wpisała hasło. To samo. Znowu brak odpowiedzi.

– Zmieniłeś kod? – spytała podejrzliwie.

– Oczywiście, że tak. Trzeba co jakiś czas zmieniać.

– Jakie masz nowe hasło?

– A po co ci to? – Czuł, że pali mu się grunt pod nogami.

– JAKIE MASZ HASŁO, SKURWYSYNU?!

Najlepszą obroną jest atak. Spróbował odebrać jej komórkę, ale Beata odskoczyła.

– JAKIE MASZ HASŁO?! – krzyczała.

– Nie twój zaszran interes...

Klaudiusz podbiegł do Beaty, zaczęli się szamotać.

– Puść mnie, ty debilu!

– Oddaj telefon, cholerna wariatko!

Przewrócili się, zaczęli turlać po podłodze. W końcu Klaudiusz odzyskał smartfon.

Beata ponownie zaczęła płakać.

– Robię to wyłącznie dla twojego dobra. Rozumiesz? Dla twojego dobra! Wplątałem się w niezłe bagno, wolę, żeby to ciebie nie dotyczyło. Im mniej wiesz o moich interesach, tym lepiej.

– Już niczego nie chcę o tobie wiedzieć! – krzyknęła.

Klaudiusz wyszedł na korytarz, wyciągnął z szafy niewielką kabinówkę. W sypialni władował do niej kilka par majtek, trzy koszule, szczoteczkę do zębów i parę innych szpargałów.

– Myślę, że oboje potrzebujemy od siebie odpocząć. Krótka przerwa dobrze nam zrobi.

Smutek znowu zamienił się w gniew.

– Jesteś skończonym chujem.

*

Zamieszkał w hotelu na Starym Mieście. Miał stąd blisko do pracy; siedziba Narodowych Innowacji mieściła się w szklanym biurowcu naprzeciwko placu Solidarności. Elegancki, nowoczesny gmach usytuowany tuż obok stoczni.

Umówił się z Oskarem na przejażdżkę do Gdyni. Mieli oglądać jakąś nową inwestycję koło Sea Towers. Klaudiusz zaoferował, że będzie kierowcą.

Wyszedł z lobby i rozejrzał się po parkingu.

– Cholera, przecież tu go wczoraj postawiłem...

Obszedł dookoła cały budynek. Nigdzie nie znalazł samochodu.

– Ja pierdołę, przecież nie mogli go zwinąć...

Usiadł na ławce, wybrał numer do Oskara.

– No co tam, brachu, za ile będziesz? – spytał Wójcicki.

– Kuźwa, chyba mnie okradli.

– Jak to okradli? Portfel ci ktoś zajął?

– Nie portfel. Furę – wyjaśnił Klaudiusz.

Chwila ciszy w słuchawce.

– Wkręcasz mnie, nie? Ustawiliśmy się za czterdzieści minut na bulwarze. Malicki nie lubi, jak ktoś mu każe czekać. A ja czuję w powietrzu zapach dolarów. To ważne, dzieciak.

– Mówię ci, że zwinęli mi auto! Czego nie rozumiesz? Kręcę się od kwadransa po parkingu i nigdzie go nie ma!

– Może zaparkowałeś na innej ulicy...

Lewandowski się wkurzył. Nowoczesne bmw było jego oczkiem w głowie. Co tydzień jeździł na

myjnię, pełny pakiet z woskowaniem, nie trzaskaj drzwiami, nie jemy w samochodzie, skąd tu się wzięła ta ryska?

– Masz mnie za debila?!

– No dobra, dobra. Walić to. Pojedziemy taksówką!

– Jak to „walić to”? Auto mi zajebali!

Oskar ostentacyjnie ziewnął.

– To leasing dostał po dupie, nie ty. Bank nie zbiednieje.

– Ja pierdołę, Oskar, ten samochód nie był w leasingu! Kupiłem go za gotówkę!

Kolega o mało nie udławił się mineralną.

– Za gotówkę? Czy ciebie pogrzało? Kto dziś tak robi?!

– Dobra, nie mam czasu z tobą gadać. Taki z ciebie kumpel. Dzwonię na policję.

Wójcickiego wyraźnie rozbawiła ta cała sytuacja. Klaudiusz totalnie nie znał się na interesach. Zamiast trzaskać koszty na leasingu, ten kupował auto za gotówkę. W ten sposób nigdy nie zarobi się pierwszego miliona.

– Na pały?! Czekaj, królu złoty! Prześlij mi SMS-em numery blach.

– A po cholere ci to?

– Wyślij numer i nic nie rób. Czekaj spokojnie. Poczaruujemy trochę. Wybierz jedną kartę, obserwuj moją dłoń, za chwilę pojawi się króliczek.

– No przecież muszę na policję, jaką kartę, jaki króliczek... – Lewandowski nic nie rozumiał.

– Czekaj spokojnie, głąbie! Kumaszc? Hokus-pokus, czwórka trefl, nigdzie nie dzwoń, kawalerze! Na żadne pały, na żadną straż, do żadnego pieprzonego arcybiskupa! Załatwię to!

Połączenie zostało zakończone.

Klaudiusz miał mętlik w głowie.

– Hokus-pokus, czwórka trefl – powtórzył. – Co on pierdoli?!

Zgodnie z poleceniem wysłał koledze numer rejestracyjny i usiadł na ławce. Po ulicy kręciło się sporo turystów. Zmierzali w stronę śródmieścia.

– Przepraszam, którędy na starówkę? – spytała jakaś kobieta.

– Tu jest starówka – odparł poirytowany.

– No ale Neptun, Żuraw...

– To na Głównym Mieście.

Przyjezdnym zazwyczaj trudno zorientować się w skomplikowanej geografii miasta. A przecież Gdańsk to tak naprawdę jedna długa ulica, po lewej wzgórze, po prawej zatoka...

– O to pytałam – odparła turystka. Odrobinę zbyt szorstko. Odrobinę zbyt arogancko.

– Do kurwy nędzy, Gdańsk nie ma starówki! – wrzasnął Klaudiusz. Potrzebował spuścić trochę pary. W domu też tak wybuchał z byle powodu. – Pytała pani o starówkę, a starówka jest właśnie tutaj! Tu, gdzie te PRL-owskie bloki. Jasne?! I żadnej innej starówki w Gdańsku nie ma! A Neptuna, Żurawia i chuj wie, co jeszcze, znajdziecie na Głównym Mieście! Proste? Nie na Starym, nie na Nowym, nie na Okrągłym, tylko na Głównym, na GŁÓWNYM, kurwa, MIEŚCIE!

Turyści w popłochu przebiegli na drugą stronę ulicy. Z wariatami lepiej uważać.

– Pies wam mordę lizał... – mruknął Lewandowski.

Chwilę później zadzwonił telefon.

– Znalazł się twój samochód, nieboraku – powiedział Oskar.

– Jak to się znalazł? Gdzie?!

– Hokus-pokus. Wybierz jedną kartę... Przyjeżdżam taryfą i uderzamy na Gdynię. Po drodze ci wszystko wytłumaczę. Czwórka trefl, braciszku. Czwórka trefl.

*

Mijali właśnie Operę Bałtycką. Kiedy Klaudiusz dosiadał się do taksówki, Wójcicki wisiał na słuchawce. Był w szampańskim humorze, mocno gestykułował, sypał bon motami sprawniej niż Leszek Miller.

Opowieść o skradzionym samochodzie musiała poczekać.

– ...i właśnie dlatego chuja nam zrobią, Mareczku! Jesteśmy dla nich za sprytni! Najpierw awaryjne,

trochę po hamulcu, wsteczny, a potem eleganckie zawracanko na autostradzie! Takie numery odwalają tylko chłopaki z Wybrzeża! Pamiętaj: jak następnym razem zjedziesz na stare śmiecie, obowiązkowo wódeczka w SPATiF-ie! Z tobą i twoją śliczną żonką, *en effet!* Trzymaj się, złociuteńki!

Odłożył telefon i jeszcze przez chwilę śmiał się do ekranu.

– No i co z tym autem?

– Jakim znowu autem...? – spytał Oskar, wciąż spoglądając na wyświetlacz smartfona.

– Ja pierdolę, człowieku! Zaraz nie wytrzymam! – fuknął Lewandowski. – Moim autem! Moim nowiutkim bmw!

Kolega uśmiechnął się serdecznie.

– No jak to co, braciszku? Hokus-pokus. Wszystko załatwione.

– Trzymajcie mnie! Czy ty się bawisz ze mną w jakąś cholerną familiadę? Zgaduj-zgadula, a teraz suchy żart prowadzącego?

– Poznałem kiedyś Strasburgera. To było na takim przyjęciu w Bristolu...

– Oskar! Błagam cię!

Wójcicki położył mu rękę na kolanie.

– Dobrze już, dobrze. Nie pękaj. No więc zadzwoniłem, do kogo trzeba. Poszukali twojego samochodu, wieczorem odstawią go na miejsce.

– Ale jak to odstawią? Kto odstawi?!

– No ten, co go zajebał. Zajebawcz go odstawi.

– A skąd ty wiesz, kto sprzątnął mi auto?

Oskar pokręcił z politowaniem głową.

– Czwórka trefl. Znam ludzi, którzy znają ludzi... Kojarzysz Fergusa?

Lewandowski nie pamiętał nikogo o takim przezwisku.

– Nie bardzo.

– Był wtedy na jachcie Dębskiego. Stary złodziej. Raczej szemrany typ, ale ostatnio sporo inwestuje w legalne interesy. Po pewnym czasie każdy się przebranżawia.

– No może...

– Oj Klaudziu, Klaudziu. Po to zabrałem cię na ten cholerny statek, żebyś wyrobił sobie kontakty. A nie smalił cholewki do mojej Lenki.

Lewandowski zrobił wielkie oczy.

– Gadasz głupoty! Ja do Lenki?! Człowieku, ja...

– Żartuję! – Pstryknął go w ucho. – Musisz trochę bardziej wyluzować, kumaszu?

– Słuchaj, zdenerwowany jestem. Mów, co z autem!

– No nic z autem. Dryndnąłem do Fergusa, spytałem, czy mógłby zasięgnąć ucha. Poprosił o numery. Hokus-pokus. Kilka minut później zadzwonił do mnie i powiedział, że problem rozwiązany. Auto wraca do talii. Tyle w temacie.

Klaudiusz próbował dopasować wszystkie elementy układanki. Zawsze lubił filmy, w których na sam koniec dokładnie tłumaczono każdy wątek.

– Czyli że to on go ukraść?

– A czy ja, kurwa, robię w motoryzacji? Może on, może nie on. Ważne, że auto się znalazło. Takim ludziom jak my nie dzieje się krzywda, czaisz? Żyjemy ze wszystkimi w zgodzie, nie żalujemy przysług, hojnie odwdzięczamy się za dobre słowo.

– No ale ja mu chyba nie będę się musiał niczym odwdzięczać. Koleś ukraść mi furę i jeszcze mam mu dziękować, że łaskawie oddał?

Oskar przewrócił oczyma.

– Ty jesteś przypadkiem beznadziejnym. Niereformowalny, tępy beton.

– Co niby źle mówię?! – oburzył się Lewandowski.

– Człowieku! Każda gra ma swoje zasady! Chcesz wejść do trójmiejskiej ligi? Kopać piłkę na najlepszych stadionach? To podawaj do kolegów z drużyny albo wypierdalaj z boiska!

*

Klaudiusz siedział na ławce przed hotelem, jarał fajkę za fajką. Kiedyś popalał okazyjnie, teraz

kupował paczkę dziennie. Trudno tak po prostu rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady; Klaud próbował rozstać się ze swoim starym życiem, ciągle gonił Oskara, chciał wejść w jego markowe buty, stąpać tak samo gładko, zwinnie wywijać się od niepowodzeń, częstować wszystkich uśmiechem i ostrym żartem.

Póki co problemy tylko narastały. Niby zarobił trochę ekstra gotówki, ale wciąż czuł się zależny finansowo od teścia; dodatkowo zawalił sprawę z Beatą. Wiedział, że już jej nie kocha, właściwie to nawet nie lubi. Ale przecież nie zamierzał jej mówić tego w twarz.

– Po prostu jak zwykle spierdoliłem... – szepnął.

Przed hotel zajechało jego srebrne bmw. Z auta wyskoczył młody chłopak; Klaudiusz kojarzył go z rejsu.

– Były straszne korki na mieście – rzucił Piotr Walczak. – Ale wszystko umyte, furka się błyszczy jak psu jajka.

Faktycznie. Samochód właśnie wrócił z myjni.

– Czy ja się w końcu dowiem, o co w tym wszystkim chodzi?

– Chodzi o to, że... hokus-pokus – odpowiedział młodzieniec. – Czwórka trefl.

Rozdział 10 | Październik

KONRAD KROON

I znów była jesień. Deszcz kapał z parasolek, woda z kałuż brudziła nogawki, zmoknięci pasażerowie tłoczyli się pod wiatą przystankową, chcąc choć na chwilę znaleźć schronienie przed październikową słągą.

Prawdziwy dżentelmen nigdy nie podbiega do tramwaju ani nie denerwuje się, gdy ktoś zapomni o jego zaproszeniu na popołudniową herbatę. Kroon lubił myśleć o sobie jako o członku owego elitarnego grona, które w każdych okolicznościach zachowuje spokój ducha. Dlatego też kiedy Rafał Nazarkiewicz nie stawiał się na przesłuchanie, Konrad, zamiast ciskać gromy, po prostu wydał postanowienie o zatrzymaniu i przymusowym doprowadzeniu świadka.

Funkcjonariusze zastali gangstera podczas porannej toalety. Kochanka mężczyzny wpadła w panikę, on sam był tylko trochę zdziwiony. Właściwie to odczuł ulgę, dowiedziawszy się, że sprawa dotyczy jakiegoś wypadku samochodowego z września, a nie przemytu kilku kilogramów kokainy. Ot, rutynowa przejazdka na Piekarniczą.

– Proszę wybaczyć kajdanki – powiedział Kroon. – Ale coś nie mógł pan tu trafić.

– Jakoś tak mi było ostatnio nie po drodze – odparł gangster.

– A kiedykolwiek było panu po drodze?

Nazaret tylko się zaśmiał.

– Szczerze powiedziawszy, to nie.

Prokurator wiedział, że ma do czynienia z tak zwaną starą recydywą. Przestępca rodem z minionej epoki, dawne zwyczaje, wrodzona niechęć do organów ścigania. Trudny partner do walca.

Kroon wyciągnął iPhone'a, wybrał właściwy numer. Nazaretowi coś zadzwoniło w spodniach.

– Czy to pański telefon?

– Najwidoczniej – odpowiedział Nazarkiewicz.

– Z tego numeru wzywano karetkę do wypadku samochodowego na ulicy Słowackiego. Wrzesień, tego roku.

– Nie przypominam sobie.

– Samochodem poruszał się Klaudiusz Lewandowski. Zna pan kogoś takiego? – spytał Kroon.

Dociekliwy prokurator przyparł gangstera do muru. Prosta sztuczka, a ten dał się na nią złapać jak jakiś głupi szczeniak.

– Wokół mnie kręci się bardzo wiele osób. Lewandowski? Nie przypominam sobie. Może go poznałem, może nie.

– Panie Nazarkiewicz, robi się wokół pana coraz bardziej gęsto.

– Też czuję tę duchotę. Może trzeba otworzyć jakieś okno?

Konrad leciutko zmrużył oczy.

– Boję się, że jak otworzę okno, to pan mi przez nie ucieknie. A to nie czas na zabawę w berka.

– Czterdzieści lat bawię się z wami w berka. Inaczej nie umiem. – Nazaret nie zamierzał współpracować.

– Czy był pan tego dnia na Słowackiego?

– Być może.

– Czy dzwonił pan po karetkę?

– Nie przypominam sobie.

– Ale nie wyklucza pan tego?

Szybka więzanka. Nazaret zamilkł.

– Panie Nazarkiewicz, czy wzywał pan ze swojego telefonu karetkę w sprawie wypadku na ulicy Słowackiego?

Cóż było robić? Kroon złapał go za rękę. Musiał odpowiedzieć to, co w tych okolicznościach odpowiedziałby każdy zawodowy przestępca.

– We wrześniu zgubiłem gdzieś komórkę. Znalazłem ją dopiero po kilku dniach w skrzynce na listy.

Kiepska bajeczka. Konrad zaliczył kolejne trafienie.

– Ja ostatnio znalazłem ulotkę zachęcającą do wymiany okien. Żadnych telefonów.

– Czyli jednak zamierza pan otworzyć mi jakieś okno... – rzucił zawadiacko gangster.
– Panie Nazarkiewicz, otwieram panu jedynie takie okno, w którym może pan się szczerze przyznać. – Splótl palce. – Odkupić swoje winy.
– Nie wierzę w odkupienie win.
Konrad zrobił wymowną pauzę.
– Szczerze powiedziawszy, ja też nie. Za grzechy trzeba po prostu zapłacić. Rozliczyć się z przeszłością.
– Pan to wszystko protokołuje? – Nazaret wskazał dłonią na komputer.
– Na razie zaprotokołowałem jedynie garść bzdur: że zgubił pan telefon i znalazł go w skrzynce na listy. Wie pan, jak to się obroni przed sądem?
– Chyba nie najlepiej.
Spojrzeli sobie głęboko w oczy.
– Panie Nazarkiewicz, wali tu jak w gorzelni. Czas wypić, co się nawarzyło.
– Podziękuję za kieliszek. Jak w tej reklamie. Nie piję, prowadzę.
Konrad znów lekko zmrużył oczy.
– Czyli jednak pan prowadził?
– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie.
– Talia zaczyna się sypać?
– Za to pytanie też niestety będę musiał podziękować – powiedział twardo przestępca. Od dłuższego czasu czuł, że kończy mu się pole manewru.
– Panie Nazarkiewicz, pętla się powoli zaciska. Z każdym kolejnym naszym spotkaniem będzie pan na gorszej pozycji.
– Czyli planuje pan następne? – spytał nieco zdziwiony. – Nie jestem zatrzymany?
– Jeszcze nie.
– Zatem możemy się pożegnać?
Kroon wstał zza biurka. Układanka powiększyła się o kilka kolejnych puzzli.
– Tak, możemy się pożegnać – odparł, otwierając drzwi. – Ale to nie będzie długie rozstanie. Obiecuję panu.
BEATA

Oficjalnie pracował w agencji ochrony; był tam kimś w rodzaju kierownika. Spotkali się w niewielkim pokoiku wyłożonym sidingiem. Pomieszczenie nie miało okien, na szafce pracował zagłuszacz.

Pierwszy raz przysła do niego pod koniec lata, z polecenia pani Duchnowskiej. „To nasz człowiek, Beatko. Mamy dług u senatora Nawrockiego, niech to będzie delikatny ukłon w jego stronę”.

– Na pewno się pani niczego nie napije? Nawet wody?
– Dziękuję.

Tycjan wyglądał na emerytowanego policjanta. Przez wiele lat pracował w służbach, po transformacji głównie odcinał kupony. Nie brzydził się brudnej roboty, nie miał żadnych skrupułów. Gdyby nie tacy ludzie jak Tycjan, Jan Duchnowski nigdy nie zostałby jednym z najbogatszych Polaków.

– Rozmawiałem z mecenasem Wykopkowskim. Podobno trzeba dokończyć naszą robotę.

Beata czuła lekkie zdziwienie. Myślała, że sama mu o tym powie. Najwidoczniej stare pokolenie bardzo pilnowało, żeby sprawa Klaudiusza nie wypłynęła na powierzchnię. Bez względu na wynik wyborów senator Nawrocki musiał pozostać nieskazitelny.

– Problem nie został rozwiązany – rzuciła chłodno kobieta.

Tycjan spoglądał na nią w zadumie. Nie brakowało jej determinacji. Prawdziwa modliszka.

– Proszę powiedzieć, po co to pani teraz? – spytał po dłuższej chwili. – Mąż jest w śpiączce, prawdopodobnie umrze. Już pani nie zaszkodzi.

– Niektórzy mogą szkodzić nawet zza grobu.

– Tymczasem jeszcze nie doczekaliśmy nawet pogrzebu... Ale niech się pani nie smuci. Martwi nie mają głosu. A ja skończę, co zacząłem.

KONRAD KROON

Od kilku tygodni Zuza siedziała za oceanem. Nigdy przesadnie nie dbała o to, by pisać, teraz dodatkowo trudną relację komplikowała różnica czasu.

Ostatnią wiadomość skreśliła do niego jeszcze przed weekendem, kilka niedbałych zdań z błędem, wciśniętych pomiędzy ikonkę dwóch przytulających się kotków. Wyślij komuś zdjęcie kotka, a wszystko będzie w porządku.

Z Konradem nic nie było w tej chwili w porządku. Wariował, umysł błędził niebezpiecznie blisko przeklętych rewirów szaleństwa. Zawsze kiedy Zuza wyjeżdżała, Kroon zatracił się w pracy. I zawsze wtedy cholernie dobrze wykonywał swoją robotę.

– To miał być zwykły wypadek, a sprawa śmierdzi bardziej niż ryby z Odry.

– I weź tu mieszkaj za granicą. Gdzie jeszcze władza ma tak pięknie na wszystko wysrane? – odparł Hołura.

Siedzieli w gabinecie naczelnika kryminalnych. Konrad jechał zjeść do Wrzeszcza, po drodze zatrzymał się na Białej i wstąpił na komisariat.

– Problem w tym, że na sprawę Lewandowskiego nie powinni mieć wysrane. To przecież jeden z nich.

– Ano tak. Zięc senatora Nawrockiego.

– Dlatego prosiłem pana o pomoc. Tu trzeba wszystko poprowadzić modelowo.

– Powiedziałem moim chłopakom. Coś tam sprawdzali dla Łopiejki.

– Panie Grzesiu, Łopiejko tego nie udźwignie. To powinien dostać doświadczony glina...

Naczelnik prychnął.

– U nas nie ma już takich. Albo siedzą na emeryturze, albo zgarnęli ich do wojewódzkiej.

– Dlatego potrzebuję pomocy kogoś z kryminalnych. Zrobię wszystko za Łopiejkę, ale przecież nie będę po mieście biegał. A tutaj trzeba trochę podrażnić, popytać...

– Prokuratorze, przecież pan wie, że tak się tego zazwyczaj nie robi.

Kroon bardzo dobrze o tym wiedział. Kiedy kilkanaście lat temu prowadził sprawę Brodowicza, dał się przechytrzyć systemowi. Teraz nie zamierzał opuszczać gardy ani grać według z góry narzuconych reguł.

– Nadzwyczajne sprawy wymagają nadzwyczajnych rozwiązań. A przede wszystkim wymagają pracy operacyjnej.

Hołura wciąż wydawał się nieprzekonany.

– No nie wiem. Nie mam ludzi...

Konrad nachylił się nad stołem.

– Lewandowski nie prowadził tego przeklętego samochodu. Ktoś przeniósł jego ciało. Łopiejko w dalszym ciągu nie ustalił faktycznego właściciela pojazdu, jest zarejestrowany na jakiegoś słupa. Układ hamulcowy nie był sprawny. Ktoś próbował doprowadzić do wypadku. A dodatkowo po karetkę dzwonił nie kto inny, tylko sam Rafał Nazarkiewicz.

– Pieprzony Nazaret. Chłopaki z miejskiej coś na niego kręcą.

– Podobno długo już kręcą i coś ukręcić nie mogą. Panie Grzesiu, potrzebuję jednego ogarniętego policjanta. O więcej nie proszę. Nie musi być doświadczony, ja nim pokieruję.

– Kogoś, kto będzie współpracował bezpośrednio z Łopiejką?

Konrad wstał od stołu.

– Kogoś, kto będzie współpracował bezpośrednio ze mną.

MAJA

Zdziwiła się, kiedy naczelnik wysłał ją do Kroona. Koledzy z wydziału ciągle ją w coś wkręcali, takie kocenie „młodej”, myślała, że to kolejny numer. Kryminalni nie współpracowali bezpośrednio z prokuratorami, widywali się jedynie od wielkiego dzwonu.

Zapukała do jego pokoju, drobna dziewczyna w jeansach i ortalionowej bomberce.

– Dzień dobry, jestem...

– Starsza posterunkowa Maja Gan – dokończył Kroon. – Pamiętam panią.

– Doprowadzałam takiego pasera samochodów...

– Piotra Walczaka. To także pamiętam. Miała pani na sobie tę samą bluzkę. Proszę usiąść.

Konrad wyciągnął akta sprawy. Cieniutki tom raptem kilkudziesięciu kart. Tekturowa teczka powinna być co najmniej cztery razy grubsza.

– Na początku września na Słowackiego rozbił się samochód. Pozornie zwykły wypadek, jedyne obrażenia odniósł rzekomy kierowca, niejaki Klaudiusz Lewandowski. Ustaliłem, że to nie on prowadził pojazd. Tuż po zdarzeniu ktoś przeniósł jego ciało. Żona mężczyzny pochodzi ze starej politycznej rodziny Nawrockich. Nie chce współpracować, ukryła lub zniszczyła telefon męża, korzysta z pomocy doświadczonego adwokata. Ewidentnie ma coś na sumieniu. Pogotowie zostało wezwane przez Rafała Nazarkiewicza, który...

– Nazaret – szepnęła policjantka. Marzyła, by prowadzić sprawę przeciwko komuś takiemu jak słynny gangster.

– No właśnie... Nazaret. Kolejny puzzel na długiej liście niewiadomych.

Kroon wręczył dziewczynie wydruk z komputera.

– Co to za telefony?

– To lista numerów, z którymi w dzień wypadku łączył się pokrzywdzony.

– Całkiem ich sporo – stwierdziła dziewczyna.

– W rzeczy samej. Nie mogę tych wszystkich ludzi wezwać na świadków, ale należałoby z nimi pogadać. Gdzieś pośród nich może czaić się sprawca. – Założył nogę na nogę. – Musi pani pobiegać trochę po mieście. Potrzeba mi solidnej policyjnej roboty. Sprawdzić, dokąd i skąd jechał, z kim się widział, jakich miał wrogów. Potrzebujemy zawęzić krąg osób podejrzewanych.

– Brzmi jak fajna zabawa – odpowiedziała z uśmiechem.

– Podoba mi się pani entuzjazm. Do tej sprawy potrzeba zapалу, ale i sprytu. Proszę mnie o wszystkim informować na bieżąco. Nie wiemy, kto jest naszym przeciwnikiem. A w każdym razie... jeszcze tego nie wiemy.

NATASZA

Natasza spoglądała na swoją współlokatorkę, która właśnie leczyła srogiego kaca. Odkąd Lena wyprowadziła się od rodziców, właściwie nie przestawała imprezować. Zupełnie jakby starała się zagłuszyć mocne wyrzuty sumienia.

– Ja to posprzątam – mruknęła w stronę koleżanki, która właśnie wrzucała do pralki zarzygane prześcieradło. – Daj mi jeszcze kilka godzin.

– Tak jakbyś kiedykolwiek tu coś przetała.

– Bejbe, mam gorszy okres – jęknęła Lena, po czym nakryła głowę poduszką.

– Odkąd cię znam, masz gorszy okres...

Dopiero koło dziesiątej dziewczyna zaczęła dochodzić do siebie.

– Muszę wyjść, odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

– Tylko nie wracaj – mruknęła Natasza, montując coś na komputerze. Po wakacyjnej aferze powoli odbudowywała stracone zaufanie widzów. Starła się nie odpuszczać; regularnie nagrywać nowe filmy, w których prezentowała się jako ciepła, empatyczna osoba.

– Wściekła osa się znalazła. Lepiej skocz mi do Żabki po jakieś fajki. Albo wino i fajki. *Whatever*.

Natasza rąbnęła pięścią w blat.

– Czy ciebie pogrzało do reszty?!

– Bekę se kręcę, luz.

– Ja pierdolę, serio już z tobą nie wytrzymuję! Dawno mnie nikt tak nie wkurwia!

Lena otworzyła drzwi na balkon. Wyciągnęła z kieszeni spodni zagubioną paczkę papierosów.

– Tylko żartowałam, typiaro! Mam przecież szlugi. Wrzuć na luz troszkę.

– Przecież to nie chodzi o jakieś pieprzone fajki! – krzyknęła Natasza.

– To ja już nie wiem, o co ci chodzi. Bo chyba nie o tę lesbę z psiarni...

Natasza zerwała się na nogi.

– Co ty powiedziałaś?!

– Noż kurwa, nagle się taka porządna zrobiłaś. A jak w wakacje ciągnęłaś koks wszystkimi dziurkami tak, że ci pikawa stała, to kto cię ratował? Ta twoja niunia z policji?

– Nie wierzę własnym uszom...

Prawdę powiedziawszy, Lena wciąż była jeszcze nieco pod wpływem. Nie zastanawiała się zbytnio, co mówi.

– No taka jest prawda. Się znalazła porządna. – Podeszła do niej chwiejnym krokiem. – Ale ja wiem, Keyserlingk, co z ciebie za ziółko!

– Wywalasz z chaty.

Lena wskazała na nią petem.

– Prawda w oczy kole, co?

– Wypierdalasz stąd!

– A jak ja powiem tej twojej lasce, że jesteś narkomanką, to dalej będzie wielka *love*? Czy może zakuje cię w kajdany i wpierdoli na dołek?

– Wywalasz z chaty. Rozumiesz?!

Pijana dziewczyna rozsiadła się wygodnie na kanapie.

– Oj, Keyserlingk, Keyserlingk, nikt cię nie zna lepiej ode mnie...

Natasza wyciągnęła z szafy torbę. W pośpiechu zaczęła pakować do niej rzeczy koleżanki.

– Dzwon po tego swojego bogatego pimpa.

– Ty tak na poważnie?

Influencerka wystawiła walizkę za próg i stojąc w otwartych drzwiach, wskazała wymownie w stronę korytarza.

– Wypierdalasz stąd. Rozumiesz?

JULEK

Ściemniło się. Wyszedł z Żabki i schował do kieszeni proteinowego batonika. Masa, rzeźba, forma. Wypadałoby trochę przypakować, ostatnimi czasy wyglądał jak ćpun. Nie żeby nie brał... Właściwie to brał trochę za dużo. Imprezował od czwartku do niedzieli, później łapał dwudniowy zjazd. Kiedy dochodził do siebie, znów miał ochotę.

Po narkotykach potrafił nie jeść przez całą dobę. Ostatnio poznał takiego chłopaka, który zwracał przesadną uwagę na wygląd. „Za chudy jesteś, mordeczko”.

– No chuj, zjem tego batona – mruknął, wchodząc w ciemną uliczkę. Latarnie nie działały.

Stanął przy śmietniku i zaczął rozpakowywać papierek. Trochę trzęsły mu się dłonie. To pewnie z zimna. No bo przecież nie przez dragi...

Nagle jego ciało przeszył gwałtowny strumień bólu. Ktoś uderzył go z całej siły po nogach. Julek upadł na chodnik i głośno zawył.

Posypały się kolejne ciosy. Metalowa pałka łamała kości, miażdżyła chrząstki, paraliżowała mięśnie. Kilka mocnych uderzeń zakończonych kopniakiem w krocze.

Julek leżał na brzuchu i błagał o litość.

– Nie mam kasy, mam tylko komórkę... – wychrypiał.

– Nie odwracaj się – usłyszał w odpowiedzi.

Napastnik był zamaskowany, na ulicy panował gęsty mrok.

– Proszę, weźcie wszystko, co chcecie... Nie zabijajcie mnie, ja nic nie powiem!

Poczuł na twarzy metaliczny chłód. Agresor delikatnie wodził końcem pałki po jego policzku. Zupełnie jakby chciał dać do zrozumienia, że stać go na wiele więcej.

– Nastąpił czas rozliczeń – oznajmił surowy męski głos.

MAJA

Od razu zabrała się do pracy. Gorliwość początkującego, robiła w kryminalnych dopiero od kilku miesięcy, bardzo chciała się wykazać.

– Panie prokuratorze, z tej strony starsza posterunkowa...

– ...Maja Gan – dokończył Kroon. – I co pani dla mnie ma?

Policjantka poprawiła słuchawkę.

– Sprawdziłam kamery Tristara, później zabezpieczyłam jeszcze kilka dalszych nagrań. Na ich podstawie ustaliłam z grubsza, którymi ulicami poruszał się samochód Lewandowskiego.

– Bardzo dobrze. Sprawdzi pani, które z numerów logowały się do stacji bazowych w pobliżu trasy

przejazdu.

– Oczywiście – odparła policjantka. – Mieliśmy farta, że jeszcze ich nie skasowano.

– Łopiejko miał to zrobić już dawno temu – stwierdził sucho Kroon. – Ale dobrze, że coś się udało ustalić.

– No i miał pan rację z tym kierowcą. Na zdjęciach nie widać dokładnie twarzy, ale wiemy, że w stronę lotniska jechały przynajmniej dwie osoby.

– Jedna z nich leży w śpiączce, ale druga... gdzieś tam na nas czeka.

Rozdział 11 | Lipiec

KLAUDIUSZ

Siedzieli z Oskarem w Sopocie przy jednym z nadmorskich barów. W oddali ciągnęła się jasna sylwetka mola, na leżakach opalały się zgrabne, młode dziewczyny.

– Która by ci się podobała, mordeczko? – spytał Wójcicki.

– A daj spokój... – westchnął Klaudiusz.

Oskar poprawił słomkowy kapelusz. Wydawało się, że lipcowe upały zupełnie mu nie doskwierają.

– Masz rację. Po co się ograniczać do jednej.

Wójcicki skinął na kelnera. Zamówił butelkę szampana i polecił zanieść ją do stolika dwóch ślicznych brunetek.

– Ty tak na poważnie? Przecież chodzisz z Leną...

– Myślisz, że byłaby o mnie zazdrosna? – Zamyślił się. – Co z oczu, to z serca. Chociaż z drugiej strony chciałbym zobaczyć, jak rozkwasa im mordy. Trzy piękne kobiety umazane posoką. Krwawe gody na moją cześć.

Klaudiusz ciężko opuścił głowę. Męczyła go temperatura, niepotrzebnie ubrał długie spodnie.

– Jak ty to robisz? Skąd bierzesz tyle beczelności?

Zaskoczone niespodziewanym prezentem brunetki zerknęły w stronę Oskara. Ten uniósł swój kieliszek i z oddali posłał im buziaka. Dziewczyny się zaśmiały, odwzajemniając toast.

– To się nazywa apetyt na życie, misiaczku. Nieposkromiony, dziki, nigdy niezaspokojony.

– Chciałbym choć przez jeden dzień być takim draniem jak ty – stwierdził smutno Lewandowski.

– A ja bardzo chciałbym nauczyć cię, przyjacielu, jak być takim draniem. – Rozsiadł się wygodnie w białym wiklinowym fotelu. – Ale mój luz nie bierze się znikąd. Powiedz mi, co widzisz?

Klaudiusz spojrzał przed siebie.

– Nie wiem. Morze, zatokę, półwysep?

– No właśnie. Ty widzisz wodę, a ja widzę pieniądze.

Lewandowski niczego nie rozumiał.

– Hę?

– O tym właśnie chciałem z tobą pogadać, Jogi Babu. Szykuje się dobra okazja, żeby zarobić trochę siana. Bardzo dużo siana.

– Potrzebuję siana – odparł Klaud.

– A widzisz? To się dobrze składa.

Wójcicki przesunął bosą stopą materiałowego espadryla.

– Dawaj – ponaglił go Lewandowski. Ostatnimi czasy coraz częściej był gotów rzucić się na głęboką wodę.

– Szykuje się spory przetarg na elektrownie wiatrowe. Rząd chce je budować gdzieś za linią brzegową; żeby całość nie skończyła się klapą, dzielą inwestycję na kilka mniejszych etapów.

– No i co z tego? Nie znam się na elektrowniach.

Oskar dorzucił sobie do drinka kilka dodatkowych kostek lodu.

– Żaden z nas się nie zna. Dębski ma możliwość przejęcia spółki, która działa w tej branży. Prosił, żebym z tobą pogadał.

Klaudiusz nie zrozumiał.

– Ale co ja mam do tego?

– No jak to co? Kochaniutki! Masz najmocniejszą kartę w talii. Czwórka trefl, pamiętasz?

– Co...

– Kurwa, nieważne. Głupi żarcik. – Wójcicki nachylił się nad kolegą. – Pogadasz z teściem. Powiesz, że jesteś cichym współnikiem spółki, że to dla was ważne.

Pogadać z teściem? Kolejny raz błagać papę Nawrockiego o jałmużnę? Nigdy w życiu.

– Nigdy w życiu! – palnął bez zastanowienia.

Oskar jedynie ciężko westchnął.

– Ty to jesteś, kurwa, betonowy. Wiesz, jaka to będzie kasa?

– Żadna kasa nie przekona mnie do tej toksycznej, popieprzonej rodziny...

Założył ramię na ramię, pozycja zamknięta, nie zamierzał ustępować.

Wójcicki oparł dłoń na jego nadgarstku.

– A taka kasa, która pozwoli ci się od nich uwolnić? Jeden strzał, dzięki któremu spierdolisz od Beaty, teścia, teściowej i wszystkich tych popaprańców?

Propozycja brzmiała kusząco.

BEATA

Zwyczajowa rodzinna kolacja. U Nawrockich od pokoleń dbano o to, by spotykać się przy posiłkach. Przynajmniej raz w tygodniu.

Senator Nawrocki siedział gdzieś w Brukseli. „Całe szczęście”, pomyślała Beata. Matka czuła, że coś jest nie tak. Nie wiedzieć czemu powstrzymywała się od kąśliwych uwag na temat zięcia, być może czekała, aż wszystko samo się rozpadnie. Prawdę powiedziawszy, nie musiała zbyt wiele robić.

Beata była świadoma, że Klaudiusz już jej nie kocha. Czy ona kochała jego? Chyba też nie.

– No i jak ci tam, synku, w pracy leci? – spytała senatorowa. – Słyszałam, że często cię nie ma w domu.

Po kilku dniach pobytu w hotelu Klaud postanowił wrócić. Czy Beata poskarżyła się matce?

– A wiesz, mamuś, taki mamy teraz gorący okres.

– No tak. Lato, sukienki...

Jednak postanowiła użądlić. Beatę zabolalo chyba bardziej niż Klauda. Spojrzała na męża, ten spuścił wzrok. Od dłuższego czasu unikał jej spojrzenia. Zupełnie jakby coś ukrywał.

NATASZA

Zaliczały z Leną kolejną trzydniówkę. Lipiec nie szczędził tropikalnych nocy, decyzja o detoksie nie zdążyła jeszcze nikomu nawet przejść przez myśl. Bo przecież żeby powstać, trzeba najpierw upaść. Albo jak to miało mieć miejsce w przypadku Nataszy: solidnie wyrznąć twarzą o glebę.

Po aferze w mediach społecznościowych znana tiktokerka straciła większość zleceń, nie potrafiła uporać się z hejtem. Jeszcze więcej ćpała, imprezowała praktycznie non stop. Jak to mówią, alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w dużych ilościach.

– Zapomnij o Soni – stwierdziła Lena. – Ja bym cię nigdy tak nie zostawiła.

Kilka dni temu dziewczyna Nataszy czegoś się wystraszyła; zerwała kontakt i uciekła za granicę. Od zeszytych wakacji panna Salińska lękała się prawdziwych relacji, wystrzegała miłości, nie chciała się zakochać. Złamane serce nie tak łatwo skleić. Rozlany tatuaż przypominał jej o kilku zbyt pochopnych decyzjach. Krzycz, jeśli żyjesz. Uciekaj, póki możesz.

– Nie mam na to wszystko siły – szepnęła Natasza. Nieszczęścia chodzą parami. Najpierw fala internetowej nienawiści, później porzucenie.

– Znajdziesz siłę. Bo jesteś największą fajterką, jaką znam – zapewniła Orska.

Lena była jej najlepszą przyjaciółką. Tak w te wakacje, jak i wcześniej dziewczyna zawsze stawiała bliskich na pierwszym miejscu. Natasza zawsze mogła na nią liczyć.

Ale świat to podstępny zawodnik. Nie toleruje naszych błędów, nie wybacza naszego miłosierdzia. Kiedy kilka miesięcy później to Lenie zaczęło walić się życie, Natasza po prostu odwróciła się do niej plecami. Teraz jednak panna Keyserlingk potrzebowała towarzystwa. I czegoś, co pozwoli jej choć na chwilę zapomnieć. Bo jeszcze nie dorosła do decyzji o odwyku. Zamiast obrać kurs na umiar, postanowiła jak zwykle podkręcić tempo.

– Weźmiemy coś jeszcze? – spytała influencerka.

– Co tylko chcesz.

*

Wędrowała pośród kolorowych obrazów Ulicy Elektryków. Muzyka dobiegała gdzieś z oddali, a ona błędziła za niewielkim białym światełkiem. To był jej drogowskaz.

Przystanąła przed wejściem do jednej z hal stoczniowych. Pod sufitem rozwieszono wielką fosforyzującą planetę. Zza sceny migały niebiesko-czerwone diody laserów.

– Idziemy do kibla?

Dziwny głos, jakby nie pochodzący z tego świata.

– Idziemy?

Wpatrywała się w świetlistą kaskadę. Melodia i obraz zlewające się w jedno wszechobecne doznanie.

Candy trip. Kwas i kryształ; ecstazy i LSD.

– No chcesz przyjechać?

Spojrzała za siebie. Nad jej plecami nachylał się Julek, kolega z imprez. Złapała go za policzek.

– Ty jesteś gejem, ja jestem gejem... – powiedziała lub przemilczała. Młodzieniec widział tylko jej uśmiechniętą twarz, nienaturalnie duże źrenice. Sam ledwo stał na nogach: mocno zaciśnięte szczęki, suchość w gardle. Potrzebował się odświeżyć.

– Idziemy przyjechać? – powtórzył po raz czwarty.

– Idziemy – szepnęła Natasza.

Chwycił ją za dłoń i poprowadził do sąsiedniej sali. Modny foodhall, pośrodku pomieszczenia siedziska z palet, wokół bary z alkoholem i jedzeniem. Przeszli po czarno-białej posadzce, za schodami skręcili w stronę toalet. Zamknęli się w kabinie.

Julek wyciągnął biały proszek, usypał kreski na spluczce toalety.

– No to jeps!

*

– Natasza, Natasza!

– Kurwa, Lena, ona...

– Ja pierdolę, czy ciebie do reszty pojebało?!

– Dzwon po pogotowie!

*

Wszystko działo się wolniej niż zazwyczaj. Rozmazane twarze ratowników, maska tlenowa założona na twarz.

Karetka pędziła ulicą Jana z Kolna wzdłuż popularnej linii tramwajowej prowadzącej do Nowego Portu. Za wiaduktem wbili się do Wrzeszcza, po kilku minutach zajechali do szpitala na Zaspie.

Doktor Salińska od razu przystąpiła do pracy. Podwyższona temperatura ciała, napady drgawkowe, przyspieszona praca serca.

– Pani Nataszo, czy pani mnie słyszy?

– Tamta droga... – wybełkotała pacjentka. – Samochód jechał bardzo szybko w stronę lasu. Czy tam były drzewa?

– Proszę założyć cewnik, dać mocz na badania, pobrać krew i puścić pięćset PWE – poleciła lekarka.

– Czy ja umieram? Czy świat umiera?

Obrazy nie ustawały. Goniły przed jej oczami, ukazując tysiące możliwych przyszłości. Przez chwilę Natasza myślała, że zrozumiała. Przypomniała sobie mężczyznę, który spoglądał na nich z tłumu, ważył grzechy, oceniał.

Świat panny Keyserlingk otwierał się na nowe galaktyki. Podano kolejne leki.

KONRAD KROON

Stał po drugiej stronie ulicy, gładząc pysk srebrzystego psa. Modernistyczny dom rodziny Walewskich powoli zamieniał się w kupę gruzu.

– Panie Konradku, ale wszystkie pozwolenia to pan skołował? – spytał kierownik budowy. – Bo pan wie, ja to panu na słowo...

– Będzie dobrze, mistrzu – odparł Kroon.

Tak właśnie żegnał się z przeszłością. Tysiące wspomnień, niektóre przyjemne, większość cholernie bolesna. Musiał w końcu pogrzebać dawne lęki, wziąć życie w swoje ręce i zacząć nowy rozdział.

– Aż szkoda patrzeć – mruknęła starsza sąsiadka. – Ale jak mawia poeta, „trzeba z żywymi naprzód iść”...

– ..., „po życie sięgać nowe” – dokończył Konrad.

Rozstanie z gnębiącymi go upiorami. Taki właśnie warunek postawiła mu Zuza. Jeśli chciał z nią dalej być, musiał wreszcie stanąć na własnych nogach, odzyskać prawdziwego siebie.

– „Bezsilne gniewy, próżny żal!”³⁴ – powiedziała z zadumą sąsiadka, odchodząc swoją drogą.

*

Obserwowanie, jak ginie rodzinny dom, wzbudziło w nim pewien niepokój. Zuza wyjechała. Czasem trudno było za nią nadażyć, Konrad nie miał jak schować się w jej bezpiecznych ramionach.

Stał nieopodal lasu, w samym sercu zabytkowej Oliwy. Odruchowo ruszył przed siebie, podążając ścieżką, którą kilkadziesiąt lat temu pokazała mu matka.

– Chodź, piesku – powiedział do Fendera.

Minął Staw Młyński i skracając sobie drogę przez nowo wybudowane osiedle, stanął u progu kościoła.

Zawsze kiedy ojciec dostawał ataku szału, Konrad ukrywał się w tej starej gotyckiej świątyni. Archikatedra oliwska.

– Poczekasz tutaj – polecił Fenderowi, który grzecznie usiadł nieopodal wejścia.

*

Wkroczył do wnętrza bazyliki. Od razu uderzył go chłód tego miejsca oraz majestat skomplikowanej architektury, niczym klejnot ukryty we wnętrzu polnego kamienia. Sekret schowany pośrodku zwykłego, ceglanego muru.

Konrad przystanął, by uczynić znak krzyża.

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.* – Formuła trynitarna. „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”.

Ruszył powoli przed siebie. Długi rząd ławek prowadził do centralnego miejsca świątyni. Za jego plecami wznosiły się słynne organy, dziewięćdziesiąt sześć metalowych piszczałek rozmieszczonych wokół świetlistego witraża Najświętszej Marii Panny. Matka Zbawiciela. Kroonowi od lat brakowało prawdziwej matki.

Kłękął pośrodku nawy głównej. Złożył dłonie do modlitwy i wpatrzył się w misterne rzeźbienia barokowego ołtarza.

– *Gloria in excelsis Deo et in terra pax hominibus bonae voluntatis* – zaintonował w myślach. „Chwała na wysokości Boga, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Czternaście ciemnych kolumn korynckich. Ciężkość ziemi, ciężar doczesności. Nad nimi wznosił się ogromny lej, przypominający niebiańskie obłoki. Przy jednym z nich przykucnął Mojżesz, trzymający w dłoniach tablice Prawa i Łaski. Prorok, który przeprowadził Izraelitów przez Morze Czerwone.

Kompozycja zmierzała do centralnego punktu zakończonego niewielkim oknem. Wniebowzięcie. Prawdziwe światło. Bóg z Boga. Światłość ze Światłości.

– *Laudamus Te, benedicimus Te, adoramus Te, glorificamus Te* – wyznał mężczyzna. „Chwalimy Cię, Błogosławimy Cię, Wielbimy Cię, Wystawiamy Cię”.

Organista zajął miejsce na drewnianym siedzisku. Ciszę skupienia przerwał potężny akord *Toccaty* Jana Sebastiana Bacha. Pośród bielonych ścian strzelistego sklepienia wybrzmiał jeden z najbardziej znanych motywów w historii muzyki.

Charakterystyczny rapsodyjny ozdobnik zagrany na górnych klawiszach. Tuż za nim, jakby echem, zarezonowały podobne dźwięki wydobyte z niższych części skali. Zawołanie i podwójna odpowiedź.

– *Gratias agimus Tibi propter magnam gloriam Tuam, Domine Deus, Rex caelstis, Deus Pater omnipotens* – wyszeptał. „Dzięki Ci składamy, bo wielka jest chwała Twoja, Panie Boże, Królu nieba, Boże Ojczy wszechmogący”.

Spirala dźwięków stopniowo zeszła na dół, by wreszcie przekształcić się w majestatyczny dysonans. Napięcie zostało rozładowane.

– *Domine Fili Unigenite, Iesu Christe, Domine Deus, Agnus Dei, Filius Patris!* – zawołał, próbując przebić się przez dźwięki *Toccaty*. „Panie, Synu Jednorodzony, Jezu Chryste, Panie Boże, Baranku Boży, Synu Ojca”.

Kroon miał wrażenie, że owa kantata zadedykowana jest wyłącznie jemu. Czuł się jednością z tym

miejscem, jego słodkim zapachem, niebiańską architekturą i boską muzyką. Cud stworzenia, człowiek umieszczony pośrodku nieskończonego kosmosu. Istniał jakiś plan, harmonia, którą po prostu należało zaprosić do swojego życia. Którą już dawno powinien był wpuścić do środka.

– *Qui tollis peccata mundi miserere nobis.*

„Który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami”.

Konrad musiał pogrzebać przeszłość.

– *Qui tollis peccata mundi suscipe deprecationem nostram.*

„Który gładzisz grzechy świata, przyjm błaganie nasze”.

Musiał odzyskać harmonię.

– *Qui sedes ad dexteram Patris miserere nobis.*

„Który siedzisz po prawicy Ojca, zmiłuj się nad nami”.

Musiał odnaleźć swój cel.

NATASZA

Po kilku dniach Natasza wróciła do domu. Lena poinformowała Oskara, że potrzebuje teraz zająć się przyjaciółką.

Wójcicki dał jej wyraźnie do zrozumienia, co o tym myśli. „Nie tak się umawialiśmy. Miałas spędzać czas ze mną, a nie znikać na całe dni”. „Jesteś zazdrosny, kocie?” Kochanek nie odpowiedział. Traktował dwudziestolatkę jak swoją prywatną własność.

Leżały na kanapie w salonie, w tle leciał jakiś głupi serial.

– Ja naprawdę myślałam, że umieram... Ale wiesz, co jest najgorsze? Wcale się tego nie bałam. Zawsze myślałam, że po drugiej stronie czeka na mnie pustka. A jej tam wcale nie było.

Lena gładziła dziewczynę po czole.

– To co tam było?

– Obrazy. Kolorowe, piękne, magiczne.

Orska spojrzała na nią z ukosa.

– Czy to jest ten moment, w którym możemy już z tego żartować?

– No dawaj...

– Byłaś naćpana jak szpadel. Nic dziwnego, że widziałaś inne światy.

Natasza zachichotała. Usiadła na oparciu kanapy.

– Może to były haluny, ale... nigdy w nic nie wierzyłam. Dalej nie wiem, czy mam wierzyć...

– Potrzebujesz terapii – bąknęła Lena.

Keyserlingk przyznała jej rację.

– To inny temat. Chyba dorosłam do tego, by oddać się w ręce specjalisty. Sama sobie z tym wszystkim nie poradzę. Urwały mi się zlecenia, w necie codziennie wylewają na mnie wiadra szamba.

– Zapomną. Zawsze zapominają. Za chwilę ktoś inny odjebie jakąś dramę w sieci.

Andy Warhol zwykł mawiać, że w przyszłości każdy człowiek zaliczy pięć minut sławy. Czy na każde pięć minut sławy przypadało piętnaście minut hejtu?

– Wiem. W każdym razie chciałam ci powiedzieć... Zerknęłam na drugą stronę lustra. I nawet jeśli tam nic nie ma, nawet jeśli te wszystkie kolorowe wizje to jedynie szaleństwa zbłąkanego umysłu... chyba nie boję się już śmierci.

– Keyserlingk, ty wariatko. Naprawdę potrzebujesz shrinka.

PROPHETA

Przystanął na dziedzińcu archikatedry oliwskiej. Lniany kaptur okrywał zmęczoną twarz samozwańczego kapłana w białym pokutnym stroju przybrudzonym pyłem drogi i znojem świata. Ścisnął w dłoni grubo ciosany drewniany krzyż pielgrzymi. Wędrował z nim po mieście i okolicznych lasach, dźwigając ciężary grzechu. Grzechu, który mogła zmyć jedynie krew.

Podreptał w stronę dwóch strzelistych wież. Tuż obok wejścia warował srebrzysty husky.

Mężczyzna wyciągnął prawą dłoń. Pies podszedł do niego i polizał go po ręce.

– *Qui tollis peccata mundi, miserere nobis* – wyszeptał Propheta. „Który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami”.

Z wnętrza bazyliki dochodziły dźwięki *Toccaty*. Boska kantata zadedykowana władcy wszechświata. Genialne dzieło Jana Sebastiana Bacha.

– *Qui tollis peccata mundi, suscipe deprecationem nostram* – powtórzył kapłan. „Który gładzisz grzechy świata, przyjm błaganie nasze”.

Harmonijna muzyka przypominająca o przedwiecznym dziele stworzenia. Absolutnym planie, w którym każde istnienie miało do odegrania swoją rolę.

Propheta wiedział, po co został posłany. Wiedział, na czym polega jego powołanie.

Raz jeszcze spojrzął na psa, który zlizywał resztki ludzkiej krwi z jego pomarszczonej starczej dłoni.

– *Qui sedes ad dexteram Patris, miserere nobis* – rzekł nie bez trudu. „Który siedzisz po prawicy Ojca, zmiłuj się nad nami”.

Rozdział 12 | Październik

KONRAD KROON

Nikt już nie pamiętał o lecie. Klaudiusz Lewandowski leżał w śpiączce; Natasza wystawiła Lenę, za nic mając wsparcie, jakie otrzymała od niej w zeszłe wakacje, kiedy influencerka zaliczyła narkotykowy zjazd. Każdy dobry uczynek zostanie ukarany.

Orska musiała pilnie znaleźć sobie jakieś nowe lokum. Naturalnie nie mogła wrócić do domu. Odkąd zdecydowała się złożyć zawiadomienie na ojca, matka nie chciała jej widzieć. Trudno jest zmieniać świat. A jeszcze trudniej prosić go o wybaczenie.

*

Konrad siedział w robocie i dłubał przy sprawie Lewandowskiego. Można powiedzieć, że miał szczęście. Czasem dostajemy to, czego pragniemy, innym razem to, czego potrzebujemy. Kroonowi trafił się dubel.

– Pani Maju? – odebrał telefon.

Ostatnimi czasy ciągle wisiał z nią na linii. Starsza posterunkowa Gan regularnie informowała prokuratora o postępach w śledztwie, Konrad dzielił się z nią swoimi przemyśleniami i zlecał nowe czynności. Była jego prawą i lewą ręką; oczami i uszami analitycznego umysłu.

– Pogadałam z kilkoma osobami z listy. Głównie pracownicy Narodowych Innowacji, jakiś muzealnik, koleś, co robi w grach komputerowych... żaden z nich nic nie wiedział.

– Mam nadzieję, że nie pytała pani wprost.

– Oczywiście, że nie. Zawsze szyję na okrętkę.

– Wyśmienicie – pochwalił ją Kroon.

– Zaczęłam od tych, którzy na pierwszy rzut oka wydawali się nieistotni. Skrobnę później z tego notatkę i puszcę panu mailem. W każdym razie... pociągnęłam za język kolegów z wojewódzkiej. Lewandowski przez długi czas kręcił się blisko niejakiego Oskara Wójcickiego.

Konrad dowiedział się o tym od znajomego z prokuratury okręgowej.

– Chyba pani o tym wspominałam.

– Tak, wspominał pan. Majstrowali razem przy jakimś przetargu. Wójcicki włożył w to sporo kasy, ale gównem z tego wyszło. Lewandowski wystawił go do wiatru.

– Piękny motyw – ocenił Kroon.

– Na razie tylko motyw. Ale proszę się nie martwić, zamierzam dalej drążyć. A co do samochodu...

– No właśnie. Łopiejko przesłuchał już kilku właścicieli. Auto nigdy nie zostało przerejestrowane. Koleni kupcy przekazywali je sobie zwykłą umową pisemną, nie troszcząc się o zawiadomienie właściwego starostwa.

– Po nitce do kłębka – podsumowała policjantka.

– Warto by to było przyspieszyć. Wiem, że policjanci z innych jednostek nie przejmują się zbyt wiele pomocami prawnymi...

Maja przerwała mu w pół słowa.

– Panie prokuratorze, zamierzam sama trochę pojeździć i popytać. Na razie wszystko kręci się w obrębie naszego województwa, dam radę to ogarnąć.

Potrzebował kogoś takiego jak starsza posterunkowa Gan.

– Dorzucę się pani do wachy...

LENA

– A co to za walizki? – spytał Oskar, wpuszczając dziewczynę do środka.

– Postanowiłam wykonać kolejny krok. Musimy posunąć do przodu nasz związek – rzuciła i minęła go w progę.

Wójcicki nie wyglądał na zadowolonego. Podrapał się po plecach. Zeszłej nocy cholernie pogryzły go komary.

– Jak to kolejny krok? I jaki, do cholery, związek? Chyba bardziej relację...

Mieli jasny układ. On sywał kasą, ona stawiała się na każde jego zawołanie.

– Nie panikuj. Po prostu chwilowo nie mam się gdzie podziąć.

Zostawiła walizki w salonie, po czym zajrzała do lodówki.

– Jak to, kurwa, nie masz gdzie się podziąć...

Inni koledzy wynajmowali swoim eskortom mieszkania. Oskar nie chciał pakować w tę zachciankę aż tyle kasy; ostatnio też mocno odczuwał tymczasowość swojego biznesu. Powoli tracił grunt, pasywa przewyższały aktywa. Nie stać go było na taką rozrzutność.

– Starzy mnie wypierdolili z chaty. Nie pamiętasz?

– No tak, ale kto, kurwa, w tym wieku mieszka jeszcze z rodzicami?

Dwa koma sześć miliona dorosłych Polaków. Czterdzieści siedem i pół procent rodaków w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu czterech lat. Lena nawet nie dobiła do swojego ćwierćwiecza.

– Waletowałam u ziomalki, ale się trochę poprzytykałyśmy. W wakacje wyciągnęłam ją z niezłego syfu i mam za swoje. Miękkie serce wymaga twardej dupy. Nataszka jest teraz czysta. – Orska wyciągnęła kieliszek. Nalała sobie wina. – Przeszkadza jej, że piję. Ale spokojna głowa. Jeszcze się nawróci.

– No mam nadzieję. Bo my się tu razem nie pomieścimy. Ja nie mam warunków.

Dwupoziomowy apartament, sto czterdzieści metrów kwadratowych. Typowa polska ciasnota.

– Wiem, kochanie – pogładziła go po klatce piersiowej – ale nie będę ci zawadzać. Obiecuję.

Oskar wydawał się nieco spięty. Od dłuższego czasu nie mógł zasnąć bez prochów. Bał się, że lada moment obudzi go odgłos wyważanych drzwi. „Na ziemię, kurwo!” A teraz jeszcze te pieprzone komary...

– A zresztą może już czas spierdalać za granicę...

– Ale uciekłyś beze mnie? – spytała zalotnie Lena. Podała mu drinka.

– Muszę jeszcze ogarnąć kilka spraw. Posprzątać cały ten syf.

Dwudziestolatka wyjęła z kieliszka kostkę lodu i ułożyła sobie na ustach. Dotknęła nią szyi kochanka i rozpinając mu powoli koszulę, zaczęła zjeżdżać coraz niżej. Kryształowa bryła topiła się na umięśnionym torsie mężczyzny, znacząc swą drogę długim, mokrym śladem.

– Za chwilę posprzątam – szepnęła Lena.

Wójcicki poczuł, jak wraca mu dobry humor. Seks zawsze poprawiał samopoczucie.

– Żeby posprzątać, trzeba pobrudzić...

BEATA

Tym razem spotkali się u niej w mieszkaniu. Tycjan zasłonił rolety, włączył radio, na stole ustawił zagłuszacz. Żadnych świadków. Żadnych wścibskich sąsiadów.

– Moi ludzie odblokowali telefon pani męża. Trochę to zajęło, w końcu nie mamy Pegasusa, ale... kiedyś dawaliśmy radę bez tego izraelskiego szajsu.

Beata wpatrywała się nieruchomo w ogorzałą twarz emerytowanego agenta. Człowiek do spraw specjalnych wypożyczony jej przez rodzinę Duchnowskich. Nie chciałaby, żeby grał w przeciwnej drużynie.

– I czego się dowiedzieli?

Mężczyzna przygryzł wargi. Jakoś głupio mu było powiedzieć jej to prosto w oczy.

– Tego samego, o czym wiedzieliśmy już we wrześniu.

– Pierdolony chuj – wypaliła Beata.

Tycjan pokiwał w zadumie głową.

– W tych okolicznościach to chyba najwłaściwsze określenie... Tak czy inaczej, należy skończyć sprzątanie.

– Czy to nie wycieknie? Wybory wyborami, ale mój ojciec...

– Pani ojciec nie zostanie z tym w żaden sposób powiązany – zapewnił mężczyzna. – Proszę się o nic nie martwić.

Beata przypomniała sobie spotkanie z prokuratorem Kroonem. Czy śledczy wiedział? Wyglądał, jakby czytał z wnętrza jej duszy, przenikał do środka umysłu, wyłapywał każde kłamstwo. Czy miała szansę z kimś takim jak Kroon?

– Co pan zamierza?

– Jest kilka osób, które mogły wiedzieć o sprawie. Poza samym, że tak powiem... zainteresowanym. Pogadam z nimi wszystkimi, upewnię się, że nikt nie puści pary z gęby.

- No a ON? – spytała Beata. Czują, jak bierze ją obrzydzenie.
- Nim zająłem się na samym początku. I zapewniam panią, że będzie milczeć jak grób.

FLARA

Kiedy Kroon nie odbierał stacjonarnego, zazwyczaj odpuszczała. Rzadko kiedy dzwoniła do niego na komórkę; przez ostatnich kilka lat współpracy przyzwyczała się, że prokurator nie lubi, kiedy truje mu się dupę w wolnym czasie.

Tym razem rzeczy miały się zupełnie inaczej. Odkąd Zuza wyjechała za ocean, Konrad podczas każdej rozmowy przypominał Flarze, by nie krępowała się dzwonić na jego prywatny numer.

Policjantka od razu zauważyła, że z Kroonem coś jest nie tak. Od sprawy Brodowicza praktycznie nigdy nie angażował się w prowadzone postępowania. Teraz siedział po godzinach, ciągnął wątki, dopieszczał każde dochodzenie. Ucieczka w pracoholizm. Życie prywatne naprawdę musiało mu się walić.

- Cześć, Flara – rzucił na przywitanie. Zawsze posługiwał się jej ksywką.
- Pamięta pan prokurator nasze zneżyty w rodzinie Orskich?
- Nawiedzony koleś, który każe leżeć żonie krzyżem na podłodze i pościć od rana do nocy? Jakże mógłbym zapomnieć.

Kroon pamiętał każdą swoją sprawę.

- Dokładnie. No więc sytuacja zaczęła się nieco...
- ...pierzelić – dokończył Konrad.
- Mówiąc delikatnie. Orski dostał ostatnio jakiegoś napadu szału, spoliczkował starą, rzucał meblami...
- Jakies niebezpieczne narzędzia? Poważniejsze obrażenia?
- Na szczęście nie – odparła funkcjonariuszka, zabijając kolejną muszkę. Od kilku dni cały komisariat opanowała prawdziwa plaga owocówek.

– Ale rozumiem, że rodzinna sielanka nieprędka powróci?

Flara pomyślała o własnej rodzinie. Syn, którego wychowywała babcia, jego stary, co dał nogę za granicę, no i... trzaskająca nadgodziny na komisariacie matka. Justyna Flarkowska sama nie wiedziała, czym jest rodzinna sielanka.

- No raczej nie powróci.
- Trzeba będzie pana wyprowadzić z domu – domyślił się Kroon. – Pakiet pielgrzyma.
- W tej sprawie dzwonię.

Zgodnie z artykułem 275 § 3 Kodeksu postępowania karnego, jeżeli zachodzą przesłanki zastosowania tymczasowego aresztowania wobec oskarżonego o przestępstwo popełnione z użyciem przemocy lub groźby bezprawnej na szkodę osoby najbliższej albo innej osoby zamieszkującej wspólnie ze sprawcą, zamiast tymczasowego aresztowania można zastosować dozór, pod warunkiem że oskarżony w wyznaczonym terminie opuści lokal zajmowany wspólnie z pokrzywdzonym oraz określi miejsce swojego pobytu.

Tak zwany „pakiet pielgrzyma” stosuje się w sprawach przeciwko sprawcom przemocy domowej. Zastosowane środki zapobiegawcze obejmują zazwyczaj połączone ze sobą: nakaz opuszczenia lokalu, obowiązek stawiania się w wyznaczone dni w danej jednostce policji oraz zakaz kontaktów z osobą pokrzywdzoną.

- Kiedy go chcecie związać?
- Już siedzi na dołku – odparła Flara.
- A kiedy mijają cztery osiem?
- Jutro o dziewiętnastej.

Kroon spojrział na zegarek.

- Zatem zapraszam z samego rana.

MAJA

Dobrymi wiadomościami lubiła się chwalić osobiście. Kilka dni jeździła po województwie, rozmawiając z kolejnymi właścicielami rozbitego na drzewie volkswagena. Wiele umów przekazujących sobie własność: Kowalski sprzedał Nowakowi, Nowak Czerwińskiemu, Czerwiński Zarebskiemu,

Zarębski... no właśnie.

– Dzień dobry, panie prokuratorze!

Nauczyła się nie pukać.

– Pani Maju... – Kroon przeglądał jakieś papiery. – Właśnie o pani myślałem. Przyszła toksykologia Lewandowskiego. Trochę alkoholu, ale to wiedzieliśmy już wcześniej. Proszę jednak spojrzeć na ten wykaz.

Policjantka przejęła od Kroona dokument.

– Jakby sam prowadził auto, rozbiłby się jeszcze na parkingu.

– Tak to jest z tymi prawicowymi świętoszkami. Lubią brzydką zabawę.

W chwili wypadku Klaudiusz Lewandowski znajdował się pod znacznym wpływem środków odurzających. A przecież jego środowisko polityczne publicznie nawoływało do podwyższenia kar za posiadanie narkotyków. Senator Nawrocki był główną twarzą tej akcji.

– Myśli pan, że ktoś go odurzył? – spytała Maja.

– Kokainą? Nie sądzę. Jakby chcieli go otumanić, wybraliby coś bardziej wyrafinowanego. Na przykład GHB. No ale musimy sprawdzić i ten wątek. Popyta pani ludzi, czy lubił przyćpać.

– Oczywiście.

– A co z tym autem?

– Ja właśnie w tej sprawie. Ustaliłam aktualnego właściciela pojazdu. Był notowany. To niejaki Piotr Walczak.

Kroon zaniemówił. Trójmiasto jest takie małe.

– Mieliliśmy przyjemność.

– Czy mam go pociągnąć za język? Po kilku tygodniach na Kurkowej powinien być bardziej rozmowny niż ostatnio.

Konrad rozejrzał się po swoim gabinecie. Kilka metrów kwadratowych, naprzeciw zawalonego aktami biurka ściana, za oknem brzydka fasada sądu. Powoli się tu dusił.

– Sam z nim porozmawiam.

– Na pewno? Bo gdyby pan chciał...

– I tak wybieram się do aresztu. Muszę przedstawić Walczakowi kilka kolejnych zarzutów w sprawie paserki samochodów. A przy okazji zadam mu parę przyjacielskich pytań.

KONRAD KROON

Następnego dnia przyjechał do pracy wcześniej niż zwykle. Skręcając ze Słowackiego w Potokową, dał naczelnikowi znak, że mogą już się pakować.

Szybka wycieczka do kuchni, smacznej-kawusi, odpalił komputer, skreślił wstępny projekt postanowienia o zastosowaniu dozoru i nakazie opuszczenia lokalu mieszkalnego.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

– Proszę... O, cześć Flara.

– Dzień dobry. Przywieźliśmy Orskiego – poinformowała funkcjonariuszka.

– I jak forma? – spytał Kroon.

– Jego czy moja?

Konrad poklepał ją po plecach.

– O twoją nawet nie pytam. Za długo się znamy.

Flarkowska oparła się plecami o parapet.

– Uspokoił się. Przy zatrzymaniu był strasznie pobudzony, ale odkąd trafił na dołek, spokorniał. Tylko bredzi coś tam cały czas do siebie. Moim zdaniem jest nieźle odklejony.

– Dam mu bilecik do Maciejewskiego.

W sprawach, w których zachodziła wątpliwość co do poczytalności oskarżonego w chwili popełnienia zarzuczonego czynu, jak i jego aktualnego stanu zdrowia psychicznego, procedura nakazywała zasięgnąć opinii dwóch biegłych psychiatrów. Doktor Maciejewski był ordynatorem jednego z oddziałów Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Kocborowie; poza tym prowadził prywatną praktykę. Prokuratura regularnie korzystała z jego usług jako biegłego sądowego do przeprowadzania badań podejrzanych.

– Ciekawe, czy się stawi...

– Jak się nie stawi, to mu zamówimy niebieską taksówkę – stwierdził Konrad. – Przerabialiśmy już ten temat.

– Fakt.

Flarkowska podała Kroonowi akta główne sprawy.

– Da nam pan prokurator znać, kiedy będzie go można wprowadzić.

– Dlaczego ty ciągle mówisz do mnie per pan prokurator?

– A jakoś tak... nie umiem inaczej.

*

Kroon szybko przeleciał przez kilkadziesiąt nowych kart, które pojawiły się w teczce od ostatniego razu. Miał mocne dowody na skazanie.

Uzupełnił druk postanowienia o aktualne dane podejrzanego, po czym wyszedł na korytarz.

– Zapraszam.

Hieronim Orski siedział na drewnianej ławeczce i wpatrując się we własne buty, mówił coś do siebie.

– Ósma rano. Tak wcześnie to pan prokurator jeszcze nie zaczynał... – rzucił drugi z konwojujących mężczyznę policjantów.

– „A było to wczesnym rankiem”³⁵ – wyszeptał podejrzanym.

– Czy mamy pana rozkuć? – spytał policjant. – Czy może wejść do środka? Wie pan, temu tu potrafi odbić szajba...

Kroon pokręcił głową.

– Sam sobie poradzę. Panie Hieronimie, zapraszam do gabinetu.

Mężczyzna wstał z ławki i wolnym krokiem podążył we wskazanym kierunku.

– „Oni sami jednak nie weszli do pretorium, aby się nie skalać”³⁶ – powiedział niemal bezgłośnie.

Prokurator zamknął za sobą drzwi. Podsunął podejrzanemu krzesło.

– Proszę usiąść. Ja się nazywam Konrad Kroon, jestem prokuratorem nadzorującym toczące się przeciwko panu postępowanie. Czy wie pan, dlaczego został tu doprowadzony?

– „...„wyszedł do nich na zewnątrz i rzekł: «Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi?»”³⁷ – mruknął Orski.

Kroon nie dosłyszał.

– Proszę powtórzyć – polecił.

– „Piłat wyszedł do nich na zewnątrz i rzekł: «Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi?»”.

Konrad spojrział na mężczyznę. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, jak każdy w jego wieku. Raczej solidnie zbudowany, w przeszłości pewnie pracował fizycznie. Musiał mieć sporo krzepy. Łysina, ogorzała twarz, duże przekrwione oczy. Kroon zawsze mierzył wszystkich od stóp do głów; Orski mimo kiepskiej pogody chodził w skórzanych sandałach.

Szybka analiza. Zamknięty w sobie sprawca przemocy domowej; nie posuwał się do fizycznej agresji, ofiary niszczył głównie słowem. Słowem. Czyżby TYM SŁOWEM?

„Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi?”.

– „Gdyby to nie był złoczyńca, nie wydalibyśmy Go tobie”³⁸ – odpowiedział prokurator.

Był to pierwszy moment, w którym Hieronim Orski spojrział Konradowi w oczy. Pontonowy most przerzucony przez wartką rzekę grzechu. Mieniąca się czerwienią Strzyża. Mężczyzna zrozumiał, że w końcu trafił na równego sobie przeciwnika.

– Odbiorę od pana dane osobowe. Mam je zapisane w policyjnym protokole przesłuchania, ale gdyby coś się zmieniło... proszę dać mi znać.

Kroon odczytał wszystkie kolejne pozycje formularza. Imię, nazwisko, PESEL, adres... Orski jedynie przytakiwał.

– Jaki jest pański stan zdrowia psychicznego? Czy leczył się pan kiedyś psychiatrycznie, neurologicznie, przeciwalkoholowo? Jest pan od czegoś uzależniony?

– Nie leczyłem się i nie jestem.

Żaden świr nie przyzna się nigdy, że jest trzaśnięty. Jedynie symulanci zasypują prokuratorów długą listą swoich dolegliwości.

– No dobrze. Przejdziemy zatem do istoty sprawy. Policyjny zarzut pan zrozumiał. A czy przyznaje

się pan do jego popelnienia?

Podejrzany nie odpowiedział.

– „Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować?”³⁹ – wyrecytował Kroon.

– „Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry” – odparł Orski. – „Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie”⁴⁰.

Kroon wrócił na grunt prowadzonej sprawy.

– Ma pan żal do żony? Ona nie odezwała się ani słowem. Odmówiła składania zeznań.

Mężczyzna nie wyglądał na zdziwionego. W dalszym ciągu milczał.

– Czy odmawia pan składania wyjaśnień? To także pańskie prawo.

– „Wtedy zapytał Go Piłat: «Nie słyszysz, jak wiele zeznają przeciw Tobie?». On jednak nie odpowiedział mu na żadne pytanie, tak że namiestnik bardzo się dziwił”⁴¹.

Kroon splótł palce.

– Pan wie, że nie jestem TYM prokuratorem?

Najstydniejszy członek jego grupy zawodowej. Najgłośniejszy proces sądowy świata. Tyle pozornych podobieństw. Tak wiele faktycznych różnic.

– Do niczego się nie przyznaję. Jesteśmy porządną, bogobojną rodziną.

„Bogobojną z naciskiem na «bojną»”, pomyślał Kroon.

– Pańska córka jest innego zdania.

– To ladacznica – skwitował Orski.

– Nieładnie tak mówić o własnej latorośli – zauważył prokurator.

Hieronim zerknął gdzieś w róg pokoju.

– Stąpa po ścieżce grzechu. Próbuję jej pomóc, ale... nadaremno.

„Mam nadzieję, że nie pomaga jej tak samo jak żonie”, podsumował Konrad.

– Co ma pan na myśli?

– Szóste przykazanie – skwitował podejrzany.

Kroonowi nikt nie musiał przypominać dekalogu. Dziesięć poleceń spisanych na dwóch kamiennych płytach. Tablice Prawa i Łaski.

– Nie cudzołóż.

– Nie cudzołóż – powtórzył Orski. – A także czcij ojca swego i matkę swoją.

Trudno się było nie zgodzić. Co jednak, jeśli rodzice sami byli grzesznikami? Kroon wychowywał się w przemocowej rodzinie. Do dziś zbierał tego żniwo.

– Zeznania pańskich dzieci zostały potwierdzone przez osoby postronne. Sąsiadów, znajomych. Tak wyglądają fakty.

– „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu”⁴².

– „A cóż to jest prawda?” – spytał retorycznie prokurator.

Znów siedzieli chwilę w ciszy.

– Odmawiam składania jakichkolwiek wyjaśnień. Chciałbym zakończyć nasze spotkanie. Czy zostanę aresztowany?

– Zastosuję wobec pana środek zapobiegawczy w postaci nakazu opuszczenia lokalu mieszkalnego. Pojedzie pan teraz z policjantami na Waryńskiego i spakuje swoje rzeczy. Czy ma pan dokąd się udać?

– Sługa Boży wszędzie odnajdzie swój dom.

Kroon pokiwał w zadumie głową.

– Przyjmuję to za „tak”. Dodatkowo nałożę na pana obowiązek cotygodniowego stawiania się na komisariacie policji na Białej. I oczywiście zakaz kontaktów z rodziną. Żadnych telefonów do córki, syna, żony. Sto metrów odległości. Czy dobrze się zrozumieli?

– Zrozumiałem – odparł Orski.

– Jeśli złamie pan któryś z tych zakazów... pozostanie mi pana zamknąć.

Prokurator wręczył mężczyźnie protokół przesłuchania do podpisu. Następnie przystawił okrągłą pieczęć na czterech kopiach postanowienia. Jedną z nich podał Orskiemu.

– Złóżę do sądu wnioski o wyznaczenie obrońcy z urzędu. A za cztery dni... Stawi się pan na

Myśliwskiej u doktora Maciejewskiego. – Przesunął po blacie druk wezwania. – Godzina dziesiąta zero zero. Proszę się nie spóźnić.

– Nigdy się nie spóźniam.

Kroon wstał zza biurka.

– To wszystko z mojej strony.

Nie uściśnęli sobie dłoni. Nie to miejsce i czas. Nie te okoliczności.

Prokurator otworzył drzwi na korytarz.

– Pani Justyno? – zawołał do Flary. – „Oto człowiek!”

CZEŚĆ TRZECIA

GANGSTER Z NAZARETU

Rozdział 13 | Lipiec

KLAUDIUSZ

Klaudiusz zastanawiał się, czy Wójcicki kiedykolwiek w życiu był w normalnej pracy. Całymi dniami jeździł po mieście, przesiadywał w knajpach, ciągle wisiał na telefonie. Jakby pieniądze same spadały mu z nieba.

- Mam tylko kwadrans. Dzisiaj dopinamy ważny projekt...
- Projekt-srojekt. Co niby dopinasz? Przecież ty się na niczym nie znasz – wypunktował Oskar.
- Weź spierdalaj...
- A czy ja mówię, że to źle? Nie oceniam cię, tylko stwierdzam fakty.

Spotkali się w niewielkiej kawiarni na Łąkowej. Lewandowski jechał tu z pracy równe pół godziny w korkach. Jechał/stał/jechał. Na Głównym Mieście trwał właśnie Jarmark Świętego Dominika. Większość ulic wyłączono z ruchu, pomiędzy kamieniczkami ustawiono stragany i kramy.

Klaudiusz próbował się jakoś wykręcić ze spotkania, ale kolega napierał: „Słuchaj, to megaważne. Chwilkę dla mnie musisz znaleźć”.

No więc włókł się autem przez Gdańsk, nie miał gdzie zaparkować, do kawiarni wpadł spocony i dość podenerwowany. Oskara jeszcze nie było. „No co z tobą?!” – wrzasnął do słuchawki. „Jarmark jest, misiu. Ale spokojna twoja rozczochna. Zaraz jestem”.

Przyjechał pół godziny później hulajnogą elektryczną. Rozpięta koszula, spodnie do kostek. Włoski turysta z Portofino.

– Wkurwiasz mnie od samego początku! Najpierw trujesz dupę, że muszę się urwać z roboty, chociaż mam zapierdol. Jadę tu w specjalnie dla ciebie, kij wie czemu akurat tu, na drugą stronę miasta, jakbyśmy nie mogli się gdzieś bliżej mojego biura spotkać. Przyjeżdżasz na tej pieprzonej hulajnodze, cały *happy*, pół godziny po czasie, i pierwsze, co robisz, to mnie obrażasz!

- Wiesz co? – rzucił Oskar.
- No co?!
- Faktycznie mogliśmy wyskoczyć na stocznię. Nie pomyślałem...

Klaudiusz miał ochotę przywalić mu w twarz.

– Ty mnie, człowieku, do grobu wpędzisz – westchnął i wziął łyk kawy. Gorąca kawa w upalny letni dzień.

Kelnerka podeszła do stolika.

- A czy pan już się na coś zdecydował?
- Dla mnie frappuccino – powiedział Oskar. – Tylko proszę nałożyć dużo lodu. Straszny skwar dziś. Wpatrywali się chwilę w siebie. Lewandowski powoli się uspokajał.
- No to gadaj. Czego ode mnie chciałeś?
- Chciałem cię zobaczyć. – Złapał go za policzek i zaczął miętolić po twarzy. – Stęskniłem się, misia!

Klaudiusz pacnął go w dłoń. Prawdziwy *drama queen*.

– Weź spierdalaj! – krzyknął teatralnie, odskakując od stolika.

Wójcicki wyglądał na wyraźnie rozbawionego.

– Drocę się z tobą, misiu! Słuchaj... Zbliża się czas składania ofert do przetargu. Elektrownie wiatrowe na wodzie. Pamiętasz?

- No pamiętam.
- Ogarnąłeś już teścia?

Klaudiusz znów zajął miejsce na krześle.

- Jeszcze nie...
- Misiu! Misiu! Halo!!! – zawołał Oskar. – Halo, pobudka!
- Jakoś nie mogę się zebrać...

Wójcicki nachylił się nad marmurowym blatem.

– Jak to nie możesz się zebrać? To jest najważniejsza rzecz, którą masz teraz zrobić. Wiesz, jakie stoją za tym pieniądze?!

– Nie mam żadnych pieniędzy. Jestem skończonym biedakiem...
– Dlatego ty nie wkładasz hajsu – przypomniał kolega. – Dębski sypie gotówką, ja się dorzucam, a ty masz tylko ogarnąć senatora. Czego nie kumasz?
– To jak cała ta spółka...
– Każdy daje, co może. Części nie muszą być równe. Dębski zgarnia osiemdziesiąt procent zysku, ja piętnaście, ty pięć. Ale pięć procent od takiej sumy... ty wiesz, co to jest za kasa?
Klaudiusz stukał nerwowo palcami o krawędź stolika.

– Liczyłeś mi to już...
– No właśnie. To tyle, żebyś mógł zacząć żyć jak trzeba. Znasz ten dowcip? Jeszcze tylko wpierdol od ojca i wakacje. No właśnie. To włącz w dupę Nawrockiemu, uśmiechnij się do Beaty, oszukaj ich wszystkich, oczaruj, jak ty to potrafisz, a potem kopnij w tyłek i spierdalaj z tego smutnego jak pizda kraju!

ZUZA

Delikatnie całował ją po brzuchu. Dała mu się zniewolić, pieścić, zdominować. Od czasu do czasu lubiła grać rolę ofiary.

Wracała myślami do Kroona. Seks z nim był naprawdę dobry; Konrad wiedział, co robić w łóżku, miał wysportowane ciało i całkiem wysokie libido. Problem w tym, że ją kochał. Nawet kiedy bawili się brzydko, widziała te pełne miłości oczy, ten jasny sygnał, że za nic w świecie nie zrobi jej krzywdy.

Zuza od zawsze lubiła się kochać. Zazwyczaj delikatnie i zmysłowo, czasem jednak... Ciągłe przekraczała granice. Po ostatniej nocy wciąż piekła ją skóra, na szyi znaczył się siny ślad. Przygodny kochanek zaferował wszystko to, czego nie mógł dać jej Konrad.

– Aaaa! – pisnęła, kiedy mężczyzna ugryzł ją w wewnętrzną stronę uda.

Leżeli w jego pracowni. Spotkała go podczas wernisażu znajomej artystki, raz na jakiś czas umawiali się na niezobowiązujący seks. Ustalili hasło bezpieczeństwa; jedyna zasada sprowadzała się do braku jakichkolwiek reguł.

Ostatnimi czasy Kroon zmienił się nie do poznania. Znów odzyskał sporą część młodzieńczej werwy. Zburzył rodzinny dom, zaczął grać na gitarze, wszędzie biegał z Fenderem. Rozstanie z bolesną przeszłością. W jego oczach znów zagościł ten dawny blask; już nie przyklejał się tak mocno do Zuzy, chodził własnymi ścieżkami. Zrobił wszystko to, o co prosiła. Wszystko to, czego od niego wymagała.

A jednak... rzeczywistość płynie. „Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”⁴³. Kiedy bawimy się naszymi lalkami z dzieciństwa, nie czujemy tego samego, co czuliśmy kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu. Czterdziestotrzyletni Kroon nie mógł być więcej narwanym chłopakiem sprzed dwudziestu lat; zbyt wiele doświadczeń, prób i rozczarowań. Zbyt wiele wyschniętych rzek.

– Aaaa! – Partner ugryzł ją nieco mocniej niż poprzednio.

Odbyli szczerą rozmowę, Konrad zrozumiał, w czym leży problem, wprowadził plan naprawczy. Zmienił się tak, by spełnić jej oczekiwania. W zamian pragnął wyłącznie jednego: miłości. Nie musiała być wierna, nie musiała być tylko jego; musiała go jednak kochać.

Czy Zuza kochała jeszcze Kroona?

– A teraz cię rozpierdolę – szepnął kochanek. Chwycił dziewczynę mocno za szyję i zaczął dusić.

Zuza odruchowo wbiła paznokcie w prześcieradło. Ból przeplatał się z podnieceniem. Na jej nagim ciele pojawiły się świeże krople potu. Obrócił ją na brzuch i wciąż nie przestając trzymać za szyję, skrępował kajdankami ręce.

– Mmmm – próbowała coś powiedzieć, ale w jej usta wetknął właśnie plastikowy knebel.

Właściwie to miała się zbierać. Spotkanie teoretycznie dobiegło końca. Kochanek był jednak wciąż niezaspokojony.

Zuza czuła, że mężczyzna robi wszystko zbyt ostro. Ból promieniował z krocza, rozchodził po dolnej części pleców i znów do niej wracał. Z każdym miarowym ruchem czuła, jakby ktoś przypiekał ją od środka. Próbowła protestować, ale nie mogła. Nie miała jak.

– Jesteś szmatą – mruknął, nachylając się nad jej uchem. – Bezwartościowym śmieciem.

Cierpiała. Inaczej niż przez resztę upojonej nocy, inaczej niż kiedykolwiek do tej pory. Ona także się zmieniała. Coraz trudniej było ją zaspokoić.

Kochanek rzucił ją na podłogę. Zuza uderzyła głową w kant szafki, z łuku brwiowego trysnęła krew. Nie dała mu żadnego znaku. Nie wypowiedziała umówionego hasła. Cierpiała i... bardzo jej się to podobało.

Bo Zuza kochała smutne zakończenia.
KLAUDIUSZ

– ...oto ofiara spełniona – zaintonował kapłan. Oliwskie organy wypełniły świątynię dźwiękami podniosłej muzyki.

Celebrans powoli opuszczał prezbiterium. Msza dobiegła końca.

– ...czekaj, Kornelka! – Beata zganiła córkę. – Poczekaj na dziadka.

Poczekaj na dziadka. Całe życie wszyscy w rodzinie dostosowywali się do potrzeb senatora Nawrockiego. Do jego zachcianek, pomysłów i oczekiwań.

W tej chwili mężczyzna zdecydował się dośpiewać psalm do końca. Lekko gubił melodię i gdyby nie prompter, zapewne zgubiłby też słowa. Kiedy melodia wybrzmiała, klęknął i oddał się modlitwie. Ostentacyjnie, tak by wszyscy widzieli, przecież nie po to siadał w pierwszej ławce, żeby zmyć się po angielsku. Był prawdziwym katolikiem, Polakiem; wartości, które reprezentował, sięgały pierwszych Piastów. Jesteś taki jak ja albo nie kochasz naszej Ojczyzny.

W końcu nastał ten moment. Senator Nawrocki podniósł się z kłęcznika, uczynił znak krzyża. Jak na komendę wszyscy członkowie rodziny powtórzyli jego gest. W imię Ojca i Syna...

Mężczyzna opuścił ławkę. Raz jeszcze skłonił się przed tabernakulum, obrócił na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia. *Pater familias*. Głowa rodu. Pochód podążył za senatorem.

Szli w stronę wyjścia, wpatrując się w skomplikowaną kompozycję organów. Jakiego trzeba geniuszu, by stworzyć takie dzieło? Tyle piszczałek, klawiszy i pomp; miniaturowa orkiestra zaklęta w jeden tajemniczy instrument. Oliwskie organy stanowiły prawdziwy cud: misternie rzeźbione, wyposażone w ruchome elementy, figury, ozdobniki.

Po wyjściu na zewnątrz momentalnie uderzył ich skwar południa. Przyjemny chłód świątyni pozostawił za sobą ogromną tęsknotę. Tak wielu szukało schronienia w tej katedrze.

– Idziemy na lody? – spytała Kornelia.

– Najpierw obiad...

– Obiecałaś, że będą lody!

– Ale po obiedzie, do jasnej cholery! – krzyknęła Beata.

– Możemy iść na lody – zaproponowała pani Nawrocka.

Senatorowi było to nie w smak.

– To może wy skoczycie po lody, a my z tatą zarezerwujemy stolik? – zaproponował Klaudiusz.

– Przyszliśmy tu razem – zaczęła Beata.

Wszyscy spojrzeli z wyczekiwaniem na papę Nawrockiego. Jaki będzie jego osąd? Co postanowi alfa i omega?

– Nie chcę psuć dzieciom zabawy. W końcu niedziela to czas świętowania, pierwszy dzień tygodnia, w którym nasz Pan zmartwychwstał. Powinniśmy się tym radować.

– Dzięki, dziadku – bąknęła Kornelka.

– Zatem chodźmy, Klaudiuszu. Znajdziemy jakiś wygodny stolik w miłym i zacienionym miejscu.

Drużyna rozdzieliła się na dwa zastępy.

– Ja chcę truskawkowe, waniliowe, czekoladowe... – wyliczała wnuczka ciągnąca babcię w stronę lodziarni.

Mężczyźni ruszyli wzdłuż muru katedry.

– Pamiętaj, Klaudiuszu, że rodzina to najlepsze, co cię w życiu może spotkać – przypomniał senator. – Zadanie oraz wyzwanie. Rodzina stanowi żywy obraz Boga. Jeśli nie dbasz o swoją rodzinę, nigdy nie będziesz w pełni kochał Boga.

– Tak, wiem, tato.

Zastanawiał się, czy teściowa opowiedziała mu, że na kilka dni wyprowadził się z domu. Że przyszedł pijany i jej naubliżał.

Cholernie bał się tej rozmowy. „To jak zerwanie plastra, misiu bury. Wypinasz dupę, chwila bólu i już po sprawie” – pouczył go Oskar. „Zgarniasz hajs i wypierdalasz to chujowe życie na śmietnik. Bo chcesz je wypierdolić?”

Jeszcze kilka miesięcy temu się wahał. Nie kochał Beaty, ale bałby się tak po prostu z nią rozwieść.

Teraz wiedział, że inaczej nie da rady. Udusi się tym zakłamaniami, pozorami, wiecznym zgrywaniem idealnego związku, zgrywaniem przed sąsiadami człowieka sukcesu. Nigdy nie był człowiekiem sukcesu, bo nigdy nie miał odwagi zaryzykować. I jeśli chciał w końcu odnaleźć szczęście, musiał grać *va banque*.

– Mam taką sprawę, tato...

– No?

– Wiesz, tyle razy opowiadałeś mi o sile mężczyzny. O tym, że dzieci muszą widzieć silnego rodzica...

– To oczywiste. Ty jesteś dla nich wzorem. Inaczej nigdy nie wyrosną na porządnym, normalnym ludzi, jeśli nie będą mieć przed sobą porządnego wzorca. Ojciec pracuje, matka dba o dom.

Chyba złapał przynętę. Klaudiusz uderzył w klasyczny model rodziny, a ten po prostu łknął haczyk. Spławik zatańczył na powierzchni jeziora.

– Wiesz, czasy mamy niepewne, za kilka miesięcy wybory... Wiele się może zdarzyć. Oczywiście wierzę, że Polacy wybiorą mądrze, gdyby jednak coś poszło nie tak...

– Niemcy bardzo się starają, żebyśmy przegrali – odparł senator. – Ładują w to kupę pieniędzy. Kampanie nienawiści wymierzone w Polskę. W naszą suwerenność. W prawdziwych Polaków.

– I tak sobie myślę, że muszę przecież mieć jakiś plan B. Nie dla zaspokojenia własnych zachcianek, ale po to, by zapewnić Beacie i dzieciom godną przyszłość.

– W samorealizacji nie ma niczego złego. Odrobina egoizmu, zdrowego egoizmu, to fundament każdego self-made mana. Ale przejdź do rzeczy.

Klaudiusz przełknął ślinę.

– Zainteresowałem się tematyką elektrowni wiatrowych. Razem z kilkoma partnerami wrzuciliśmy trochę środków w pewną spółkę... Jestem w niej oczywiście jedynie cichym współnikiem... Tak jednak analizowałem całą sytuację i gdyby po wyborach Narodowe Innowacje zostały odbite przez liberałów...

Senator przystanął.

– Nie znam się na energetyce.

– Wiem, że nie. Ale ten resort... Tato. Nie mamy szans w normalnym przetargu. Przeciwno nam stoi obcy kapitał. Niemiecki, francuski. Jak mamy być gospodarzami naszego kraju przy takiej nierówności ekonomicznej? Zrujnowali nas wojną, zniszczyli elity...

– To poważna rzecz – odparł spokojnie senator. – Ale też jestem zdania, że już wystarczająco zostaliśmy rozkradzeni.

– Tato, pogadałbyś z kim trzeba. Nasza spółka ma doświadczenie, grono specjalistów... Po prostu uważam, że trzeba postawić na swoich.

Nawrocki położył mu rękę na ramieniu.

– Synu. W życiu można stawiać tylko na swoich.

LENA

Dwór Artusa należał do najbardziej reprezentacyjnych budynków Gdańska. Kilkaset lat temu bogaci mieszczaństwo, którzy dorobili się złota na handlu zbożem i innymi towarami, doszli do wniosku, że czegoś im jednak do szczęścia brakuje. Mieli władzę, pieniądze... brakowało prestiżu. A nic tak nie kręci ludzi jak sława.

W Europie panowała w tym czasie moda na legendy arturiańskie. Rycerze Okrągłego Stołu, zamek Camelot, te sprawy. Gdańszczanie zaczęli organizować się w bractwa. Z różnymi rytuałami, honorami, taka zabawa w szlachetnie urodzonych. Każdy widział te filmy o zdeprawowanych amerykańskich milionerach, którzy zakładają różne tajne stowarzyszenia. Pierścienie, maski, krew dziewic... Fajnie zaimponować lasce i sąsiadowi nową furą, ale jeszcze grubiej powiedzieć, że jest się rycerzem. Jestem rycerzem. Elo!

W tamtych czasach rycerzem nie dało się zostać ot tak, z ulicy. Społeczeństwo dzieliło się na stany: jakżeś się urodził szlachcicem, to wspaniale, jak nie, to nara. A że gdańszczanie od zawsze byli cwani, założyli sobie bractwa. Byli takimi „prawie rycerzami”: organizowali turnieje, uczyli fechtunku, nadawali tytuły.

Każdy rycerz potrzebuje swojego zamku. Po wypędzeniu Krzyżaków z miasta i rozebraniu ich twierdzy gdańszczanie przysięgli, że więcej takowego mieć nie będą. Zamiast tego w najbardziej reprezentacyjnym punkcie grodu wzniesli niejaki *Artushof*, czyli Dwór Artusa.

Spotykali się tam regularnie, by... no dobra, co może robić banda samców alfa z hajsem, którym uda się na chwilę wyrwać z chaty? *Nunc est bibendum*. Teraz pijmy!

No więc tak, panowie przede wszystkim balowali. I w tym zakresie przez wieki nie zmieniło się tu wiele.

– Może kieliszek? – zaproponował kelner.

– Z chęcią – odparła Lena.

Przyszła z Oskarem na jakąś galę biznesową. Bardzo nie lubiła takich napiętych imprez; wokół pełno starych dziadów, same fałszywe twarze. Gdyby nie alkohol... byłaby stracona.

– Słuchaj – rzucił Wójcicki – porozmawiaj sobie tu teraz z paniami, a ja skoczę na chwilę na papieroska.

– Ja też chcę zapalić...

– Poczekaj tu, powiedziałem – polecił stanowczo Oskar. Chwilę później puścił jej oczko. – Panowie muszą porozmawiać. Na osobności.

– Nic się nie martw, kochany, zaopiekujemy się twoją śliczną ptaszyną – zapewniła pani Duchnowska.

– Wspaniale – odparł Wójcicki, po czym zniknął w sąsiedniej sali.

Pozostały trzy stare kobiety, które nie wiedziały, co robić z pieniędzmi.

– Wskoczyliśmy na weekend do Mediolanu – obwieściła ruda.

– Dajże spokój, tam tyle ludzi. – Brunetka machnęła ręką.

– No sporo. Wolę to miasto po sezonie. Ale musiałam na zakupy...

Lena miała ochotę zapaść się pod ziemię. Zupełnie nie miała o czym z nimi gadać.

– A u nas to sklepów nie ma? – rzuciła Duchnowska. Obie kobiety spojrzały na nią jak na wariatkę.

– Chanel, Hermes, LV? – wymieniała ruda. – Kochana, wszędzie tylko te tanie sieciówki dla plebsu...

– Lena? – zawołał ktoś z oddali.

Dwudziestolatka się odwróciła. Tuż za jej plecami stał Emil, sąsiad z Waryńskiego.

– Panie wybaczą – powiedziała Orska. Odeszła kilka kroków. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię tu widzę.

– Od kiedy chodzisz na takie przyjęcia?

– Od nigdy. Mój chłopak mnie zabrał – wyjaśniła. – A ty?

– Od nigdy. Pracuję tu.

Spojrzała na jego identyfikator. Muzeum Gdańska. Zaśmiali się.

– No co tam w ogóle słyhać? Dobrze wyglądasz.

– A dzięki. Ty też. Nasza gwiazdo.

Emil był naprawdę przystojny. „Aż szkoda takiego marnować”, pomyślała Lena.

– Widziałaś gdzieś Oskara? – usłyszała znajomy głos.

Odwrócili się. Nieopodal drewnianej ławy stał Klaudiusz.

– O, hej.

Nadstawiła mu policzek. Szczerze powiedziawszy, nie bardzo za nim przepadała, ale należało zachować pozory. Klaud delikatnie ją pocałował. Wyciągnął dłoń na powitanie ku pracownikowi muzeum.

– Lewandowski.

– Emil jestem, znaczy... Różański.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

– Oskar wyszedł na fajkę. – Wskazała ręką w stronę drzwi. – Pewnie się za tobą stęsknił.

KLAUDIUSZ

Od kilku dni miał iście szampański humor. Zaczęło mu lepiej iść w pracy, Beata wyjechała z dziećmi nad jezioro, teść zapewnił, że sprawy idą w dobrym kierunku.

Przed imprezą w Artusie skoczył na drinka. Pobajerował trochę barmankę, wprowadził do niczego nie doszło, ale dowartościował się, ego odbiło od dna. Powoli wychodził na prostą.

– O, cześć, Klaudziu – powiedział Oskar.

Wójcicki stał na przedprożu w towarzystwie kilku biznesmenów. Duchnowski, Krukowski i kilku

innych.

– Witam panów. – Wymieniając uściski, każdemu z nich zaserwował swój nowy uśmiech. Egzamin z ogłady i luzu zaliczony na piątkę z plusem.

– Opowiadaliśmy sobie właśnie o tym, co dzieje się w Lotosie. Znaczy Orlenie.

– Daj spokój. Nie wyprzedaje się rodowych klejnotów.

– Będziemy za chwilę drugą Argentyną...

Dawny Klaudiusz zapewne spłonąłby rumieńcem; w tym towarzystwie jako jedyny otwarcie popierał partię rządzącą. Lewandowski jednak powoli odcinał się od przeszłości. I choć przemiana z poczwarki w motyla wciąż nie została zakończona, to jednak nie był już tym samym chłopakiem, który w każdych okolicznościach dał się położyć na ołtarzu propolskiej-narodowej-jedynej-słusznej narracji. Klaudiusz Lewandowski w końcu postanowił zadbać o własne interesy.

– No jak to – zaprotestował. – Przecież Polak, Węgier dwa bratanki!

Spojrzeli na niego jak na trędownatego.

– I do gazu, i do szklanki – dokończył. – Nie mówcie, panowie, że i wy na tym nie skorzystaliście. Z tego, co wiem, pan Krukowski wygrał przetarg na pośrednictwo w zakupie nowych cystern, a pan Duchnowski...

Czyli jednak był jednym z nich.

– Gramy takimi kartami, jakimi możemy – odparł Duchnowski.

– Czwórka trefl, co? – spytał retorycznie Klaud.

Oskar obserwował z dumą, jak jego dawny uczeń odbiera dyplom z kapitalizmu.

– Pieniądze nie mają barwy politycznej – stwierdził Krukowski.

Klaudiusz położył mu rękę na ramieniu. Czuł się częścią ich bractwa.

– Nie, panie Marcinie. Pieniądze mają wyłącznie barwę szczęścia.

*

Lechu od razu przypadł mu do gustu. Zresztą taka była główna zaleta Lecha, że od razu przypadła wszystkim do gustu. Poznali się podczas imprezy w Artusie i tak im się gadka kleiła, że skoczyli jeszcze na jednego.

– Dobra, misiaki – powiedział Oskar. – Zostawimy was tutaj i lecimy do mnie na chatę. Mamy jeszcze trochę spraw do omówienia.

– Jakbym miał taką piękną dziewczynę, to też bym z nią sporo omawiał – rzucił Klaud. Był już nieźle wstawiony.

Lenę zniesmaczyła ta uwaga. Patrzył na nią jakoś tak dziwnie tymi swoimi jaszczurzymi oczyma. Stary oblech. Nie rozumiała, dlaczego jej chłopak tak bardzo polubił Lewandowskiego.

– Bawcie się dobrze!

Wymienili się serdecznymi przyjacielskimi buziakami i pomachali na pożegnanie. Wójcicki z Orską odbili w stronę Motławy.

Lechu i Klaud imprezowali dalej.

– Czyli mówisz, że domy z kontenerów?

– Przy tych cenach najmu? Zapaści na rynku mieszkań? Żyła złota.

Lewandowski spojrzał na ulicę. Siedzieli na Chlebnickiej, sącząc drinki. Z Dworu Artusa wyszła grupka młodych ludzi. Rozpoznał wśród nich znajomego Leny. Chłopak śmiał się głośno i mocno gestykułował.

– Ale że takie domki wakacyjne?

– Jakie wakacyjne – oburzył się Lechu. – Normalne, całoroczne. Kompaktowa konstrukcja, fakt, ale można w nich kimać od stycznia do grudnia.

– Hmm...

Grupka młodzieży skończyła palić. Weszli do sąsiedniego pubu.

– Byliśmy kiedyś z Beatą na wakacjach w takich stodołach. Przyjemna sprawa.

– To jest teraz bardzo modne. A konstrukcja? Banalnie prosta. Przynajmniej w porównaniu z klasycznym budownictwem.

– I mówisz, że gdzieś teraz szykuje się taka inwestycja? – spytał Klaudiusz.

– Budują pod Pruszczem takie miniosiedle. Znaczy mają budować. Dla tych tam ze wschodu...

– Duże?

Lechu wziął kolejnego łyka.

– Nieduże. Ale musi być na szybko. Na wczoraj. Wszedłbym w to, ale nie mam jak się skeszować. Przynajmniej nie na całość.

– Dlaczego?

Nowo poznany kolega wzruszył ramionami.

– Upchałem kupę kasy w różne biznesy. Nie lubię trzymać gotówki. Zresztą przy tej inflacji kto lubi.

– No a jaka tam jest stopa zwrotu?

– A bo ja wiem... Na szybko licząc, tak z trzydzieści procent. Może trochę więcej. No to powiedz mi, na jakiej lokacie byś tyle zarobił.

Klaudiusz nigdy nie zarobił dużych pieniędzy. Za bardzo się bał. Nie potrafił ryzykować.

– Na żadnej.

– No właśnie. Dlatego trochę przykro patrzeć, jak taka kasa przejdzie mi koło nosa. Ale co zrobisz?

Oka se nie wykolesz.

Nigdy nie zarobił dużych pieniędzy. Żeby wyjąć, trzeba najpierw włożyć.

– Ile trzeba zainwestować? – spytał Klaudiusz.

– Niedużo. Kilka stóweczek. Tylko że to jest szybka kasa. Na rynku nie ma teraz materiałów, a ja mam takiego jednego ziomka, co mi to może po znajomości ogarnąć. Kilka tygodni i jesteś zarobiony. Bo oni to potrzebują na wczoraj. Do poprzednich przetargów nikt się nie zgłosił, teraz będą zamawiać z wolnej ręki.

Szybka kasa. Klaudiusz nigdy nie zarobił szybkich pieniędzy. Za bardzo się bał.

– Słuchaj, skombinuję ci ten hajs – rzucił po krótkim namyśle.

KONRAD KROON

Trudno stwierdzić, kto bardziej uwielbiał takie długie spacerować: Fender czy on. Czworonożny przyjaciel stał się dla Kroona niezastąpionym towarzyszem długich trójmiejskich wędrówek. Biegali razem po plaży, przemierzali strome wzgórza oliwskich lasów, błędzili wśród zakamarków miasta.

Czarne audi TT zaparkowało w okolicach Mlecznego Piotra, nieopodal Motławy. Tym razem zjechali na stocznnię.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytał Konrad, wpatrzony w upiorne figury.

Wynurzające się powoli z wody rzeźby budziły nieodparte skojarzenia z odważnymi wizjami powojennych futurystów. Metalowe szkielety robotów przypominały rozbitków z kosmicznej arki; ogromnego statku, który płynął wśród gwiazd w poszukiwaniu nieznanych planet i dziwnym trafem wylądował akurat tu, na Ziemi, tuż obok dźwigów stoczniowych i pokrytych rdzawym nalotem hal produkcyjnych. Przybysze zmierzali w stronę suchego lądu, wyłaniali się z Motławy, krocząc śmiało przed siebie. Nieustępliwie, zdecydowanie; jakby zamierzali przejąć to miejsce, zaprowadzić w nim własne rządy, rozliczyć grzechy ludzkiej rasy, ofiarować własną, kosmiczną sprawiedliwość. Bezwzględni oprawcy, których nikt nie mógł powstrzymać. Nawet Kroon.

– Ja też nie – odpowiedział sam sobie. – Stocznia to nieźle popierdolony kawałek wszechświata. Mojego wszechświata.

Szybkim krokiem ruszyli w stronę linii kolejowej. Fender dreptał noga w nogę ze swoim panem. Nigdy go tego nie uczył. „Tresujesz go?” – pytali znajomi. „Sam się wytresował” – odpowiadał Kroon.

Przeszli kładką nad torami, później parkiem Steffensów zawędrowali w okolice Opery Bałtyckiej. Pod wiaduktem skręcili w stronę Dolnego Wrzeszcza.

– Wczoraj miałeś naturę, dzisiaj poznasz trochę miasta – rzucił do zwierzęcia. Srebrzysty husky zdawał się wszystko rozumieć.

Stocznia, a później Langfuhr. Dlaczego taka kolejność? Konrad często wracał myślami do opowieści zeszłych wakacji. Zabójstwo Weroniki Zatorskiej. Sprawa, która prawie pozwoliła mu się obudzić.

„Kim, do cholery, była ta cała Julia?”, pomyślał.

Tajemnicza dziewczyna, która odcisnęła swe zagadkowe piętko na czasoprzestrzeni. Żaden ze świadków nie umiał powiązać jej z prowadzonym śledztwem. A jednak. Wszyscy ją pamiętali. Dwadzieścia lat, lekko skośne oczy. Żadnego nazwiska, telefonu, adresu. Jakby nigdy nie istniała. Jakby zstąpiła z samych

gwiazd, wyskoczyła z kosmolotu, by później znów wrócić do swojej galaktyki. Czy ona także wyłoniła się z Motławy, by zaprowadzić własne rządy? Własną, diabelską sprawiedliwość. Czy Kroon mógł się wtedy zachować inaczej? Czy kiedykolwiek miał ją w ogóle spotkać?

Nieświadomie zabłądził nad Strzyżę. Niewielka, nieistotna rzeczka. To przy niej ujawniono ciało Weroniki. Początkowo nic nie wskazywało, że została zamordowana. Żadnych nietypowych obrażeń, brak oznak działania osób trzecich. Konrad umorzył sprawę. Postąpił tak, jak musiał. A świat mu tego nie wybaczył.

Rok temu pierwszy raz w swojej karierze podjął niewłaściwą decyzję. Po prostu, tak po ludzku, się pomylił. A przecież Kroon się nigdy nie mylił. Zawsze potrafił wyszukać zagubioną drogę, odnaleźć zaginioną przesłankę.

Czy tajemniczej Julii nie zesłano właśnie po to, by obudzić Kroona z nazbyt długiego snu? By po latach katalepsji odzyskał w końcu dawnego siebie?

Julia, która nie pozwalała nikomu zasnąć. Julia, która jemu jednemu nie dała się obudzić.

– Cholera – mruknął, spoglądając na płytkie o tej porze roku lustro rzeki. W czerwonej wodzie zobaczył własne odbicie.

Strzyża spływała krwią.

– O kurwa... – Chwycił się mocno barierki.

Czasem mu się to zdarzało. Niepokojące wizje, które w najmniej oczekiwanym momencie zaglądały do jego umysłu. Piekielne obrazy, demony Boscha i Memlinga.

Czuł, że odpływa. Powoli tracił kontakt z rzeczywistością. Miasto stało się raptem szare i bezbarwne. Jedynym kolorem, jaki widział, była czerwień Strzyży.

Przysiadł na chodniku. Pogładził po pysku Fendera i wtedy zobaczył jego oczy. Płonęły żarem, krwawy karmazyn skąpany w zemście. Odwecie. Surowej muzyce sprawiedliwości.

– Czy wszystko w porządku?

Rzeka przybrała barwy ostatecznego rozliczenia win. Starotestamentowej pieśni, która miała zburzyć mury Jerycha.

– Proszę pana, czy wszystko w porządku?

Konrad odpłynął. Błądził w koszmarnym wymiarze zawieszonym gdzieś pomiędzy teraźniejszością a przeszłością. Tam, gdzie jutro nie miało znaczenia. Sprawa Zatorskiej, tajemnicza Julia, śledztwo Brodowicza, wypadek Lewandowskiego...

– Proszę pana, czy pan mnie słyszy?! – krzyknęła kobieta.

Momentalnie wrócił do siebie.

– Taaak – wychrypiał. – Dziękuję. Po prostu zakręciło mi się w głowie.

– Nie dziwię się. Taki dziś upał. Sama ledwo idę.

Powoli podniósł się na nogi.

– Niech pan nie wstaje. Kupić panu coś do picia?

Skąd u przypadkowych ludzi taka życzliwość?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Na pewno – powiedział. – Jeszcze raz dziękuję.

Oparł się o barierkę. Strzyża w dalszym ciągu spływała krwią. A więc nie była to sprawka jego szalonego umysłu.

– Cholerne dzieciaki. Figlarze – mruknęła kobieta. – Na Świętego Patryka ktoś ostatnio wsypał tu jakiś zielony proszek. Że niby taka Ameryka u nas. A teraz... Proszę zobaczyć. Czerwony barwnik. Jakbyśmy nie dość mieli śmieci w wodzie. – Westchnęła ciężko. – Ech, świat zmierza do swego kresu. I nic na to nie poradzimy.

KLAUDIUSZ

Szybka kasa. Łatwy zarobek. Pewny zysk.

Klaudiusz Lewandowski postanowił, że odtąd kończy z miękką grą. Na bankiet w Dworze Artusa przyszedł z mocnym zamiarem poprawy i postawiony sobie cel osiągnął. W końcu uwolnił się od mentalnych ograniczeń, społecznych oczekiwań, od dawnego „ja”. W końcu uwolnił się od Beaty.

Potrzebował zarobić. Tego nauczył go Oskar. Odważnie iść przez życie, stale podbijać stawkę, zamawiać tylko najdroższe szampany.

„Nie no, mordeczko, teraz ci nie pożyczę. Elektrownię robimy, zapomniałeś?” – powiedział Oskar, poproszony o kasę.

„Spoko. Jakoś sobie poradzę”.

Klaudiusz nie zamierzał odpuszczać. Już nigdy. Nigdy nie zamierzał odpuszczać.

– Wejdz i poczekaj. Szef zaraz przyjdzie – polecił barczysty ochroniarz.

Lewandowski rozsiadł się w znajomej kanciapie bez okien. Żadnych telefonów, pełna konspira.

– Witam szanownego kolegę – rzekł swym ciepłym, niskim głosem Nazaret. Kiedy łamał komuś nogi, mówił równie przyjemnie. Mogliby zatrudnić go w radiu.

– No witam, witam – odparł Klaud. A przecież to nie on był gospodarzem. Współczesna nowomowa. Wystarczy zwykle „dzień dobry”, przypominał profesor Bralczyk.

– Słyszałem, że jesteś w potrzebie – zaczął Nazarkiewicz.

– I to pilnej. Palącej.

Gangster zanurzył się w skórzanym fotelu.

– Od czego ma się przyjaciół. Mów, proszę, co cię trapi.

– Potrzebuję pożyczyc kilka stówek. Na krótki termin. Góra miesiąc.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Ile stówek?

– No, tego...

Gospodarz wyciągnął z szuflady kartkę i ołówek. Przysunął w stronę Klaudiusza.

– Mam napisać kwotę?

– Napisz. Zobaczymy, co uda się załatwić.

Lewandowski skreślił ciąg cyfr. Całkiem pokaźna sumka.

Nazarkiewicz spojrział na karteczkę.

– Będą na popołudnie.

Nawet nie mrugnął.

– Na dziś?! – Klaudiusz nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu.

– Na dziś. Mówiłeś, że to pilna potrzeba.

– Wow! – wykrzyknął Lewandowski. Później przyszła chwila otrzeźwienia. – A ile będę musiał oddać?

Gangster przejął od niego karteluszek.

– Mówisz, że na miesiąc?

Lewandowski potwierdził.

– Miesiąc maks.

Skreślił swoją propozycję. Obrócił kartkę do Klaudiusza.

– Hmm.

Wyszło sporo. Znaczna pożyczka na krótki termin, to i spore oprocentowanie. Ale przy zysku na inwestycji sięgającym trzydziestu procent i tak mógł nieźle zarobić. Więcej włożysz, więcej wyjmiesz – powiadają.

Klaudiusz nie miał zbyt wielkiego kapitału. Jeszcze nie. Środki należało dopiero zgromadzić. „Walniesz kilka krótkich akcji i górka będzie rosła” – zdradził mu kiedyś Oskar. „A potem będziesz obracał naprawdę tłustym hajsem”.

– I co? Wchodzisz w to?

Kolejna chwila na zastanowienie. Odrobina refleksji.

– Wchodzę.

Prawie uściśniły sobie dłonie. Wtedy jednak Klaudiusza naszła dziwna obawa. Oznaka potencjalnych problemów. Niewielkie uklucie gdzieś z tyłu głowy.

– A co, jeśli nie oddam?

Nazaret tylko się uśmiechnął.

– Wiem, że oddasz. Wszyscy zawsze spłacają swoje długi wobec mnie. Ale nic się nie martw. Jesteś solidna firma. Wierzę w ciebie.

Rozdział 14 | Październik

PROPHETA

– „A gdy przebywali jakiś czas w więzieniu – wyrecytował Propheta – (...) tej samej nocy obaj mieli sen o różnych znaczeniach”⁴⁴.

Stał nieopodal ulicy Kurkowej, skryty w cieniu okolicznej kamienicy. Dzień był chłodny, deszczowy. Ścisnął w dłoni starą, pomiętą księgę i obserwując wejście do aresztu śledczego, odczytywał kolejne fragmenty tekstu.

– „Kiedy Józef przyszedł do nich z rana, zobaczył, że byli zafrasowani. Zapytał więc obu – Propheta przewrócił stronę – «Czemu to dzisiaj macie twarze tak zasepione?». Odpowiedzieli mu: «Mieliśmy sen i nie ma nikogo, kto mógłby nam go wytłumaczyć». Rzekł do nich Józef: «Wszak wytłumaczenia należą do Boga. Opowiedzcie mi je»”⁴⁵.

Przed wejściem do budynku pojawiła się znajoma sylwetka. Czterdziestokilkuletni mężczyzna odziany w skórzaną kurtkę. Prefekt Judei, samozwańczy sędzia.

– „Trzymałem na głowie trzy kosze białego pieczywa. W koszu, który był na wierzchu, znajdowało się wszelkie pieczywo, jakie wyrabia piekarz dla faraona. A ptactwo wydziobywało je z tego kosza, który był na mojej głowie”⁴⁶.

Biblijne proroctwo. Jak często sny odkrywają przed nami przyszłość? Ile z tych wizji to jedynie pułapki zmęczonego umysłu; ile skrywa prawdziwe objawienie?

Trzy sny. Trzy przepowiednie rzucone zbłąkanemu prokuratorowi. Trzy ostatnie szanse.

Propheta spoglądał na znajomego mężczyznę. Syna marnotrawnego, który ośmielił się podnieść rękę przeciw słudze Bożemu. Który stanął na drodze boskiej sprawiedliwości.

– „Józef tak odpowiedział: «Znaczenie snu jest takie: Trzy kosze – to trzy dni. Za trzy dni faraon rozkaże ściąć ci głowę i powiesić twe ciało na drzewie. Wtedy ptaki będą rozdziobywały twe ciało»”⁴⁷.

KONRAD KROON

Nienawidził tego miejsca. Strażnicy więzienni byli tak samo szorstcy wobec prokuratorów i adwokatów, jak wobec całej reszty płaczących żon, kobiet z dziećmi, rozpaczonych matek, to dobry chłopak był i mało pił, gdzie pani się pcha, proszę do tyłu, ale przecież, do tyłu, powiedziałem!

Prokuratorzy wchodzili co prawda osobnym wejściem, nie stali we wspólnej kolejce, ale i tak musieli na własnej skórze odczuć, że nie oni tu rządzą. Kontrola osobista, żadnej elektroniki, podstępne pytania: kto? do kogo? po co?

„Przyszedłem dla przyjemności, lubię wpadać do pierdła pomiędzy siłownią a basenem”. Smutne, surowe twarze. Żadnej reakcji na żart. Jak gdyby całą osobowość zostawili za murem, jakby więzienny uniform pozbawiał ich resztek uśmiechu i człowieczeństwa.

Eksperyment stanfordzki udowodnił, że z każdego, nawet najłagodniejszych osób da się uformować bezwzględnych oprawców, jeśli tylko stworzy się po temu odpowiednie warunki. Pracownicy aresztu byli w większości porządnymi ludźmi; wewnętrzne reguły środowiska, pewien niepisany kodeks, narzucały określone zachowania, swoisty styl bycia. Jesteś klawiszem, to bądź, kurwa, klawiszem.

– Proszę za mną – polecił strażnik.

Przeszli przez bramę i podążyli w stronę sąsiedniego budynku. Tu krata, tam krata, schodami na górę.

– Dokument poproszę.

Znów musiał okazać komuś legitymację.

– To pan? – Mężczyzna spojrzał na plastikową plaketkę. Prokurator wyglądał tak samo jak na zdjęciu.

– Wiecznie młody, co? – rzucił nonszalancko.

Strażnik nie odpowiedział. Zamiast tego po prostu zwolnił przycisk blokady.

Wprowadzili Kroona do niewielkiego pokoiku spotkań.

– Proszę poczekać – rzekł funkcjonariusz, po czym zamknął za sobą drzwi.

– Jak ja tego nienawidzę... – mruknął Konrad.

Ilekcio odwiedzał to miejsce, czuł irracjonalny lęk, że go stąd nie wypuszczą. Że nagle zostanie

poinformowany o przymusowej detencji, panie Kroon, do celi proszę, ale jak to do celi, srak, tu jest wyrok, dziesięć lat, ale za co, za ładne oczy!

W więzieniu czas płynie zupełnie inaczej. Konrad nie wziął zegarka, telefon kazali mu zostawić w depozycie. Nie wiedział, jak długo musiał czekać, pięć minut, dwadzieścia, może równe pół godziny.

– Ja pierdolę – sapnął, spoglądając przez zakratowane okno.

Trzasnęła zasuwa. Do celi wprowadzono młodego, wychudzonego chłopaka.

– Piotr Walczak – poinformował strażnik.

– Miał być Nikoś – bąknął Kroon.

Funkcjonariusz nie czaił bazy.

– Słucham?

– Nikoś. Nikodem Skotarczak. *Non fui, fui, non sum, non curo*. Taki znany gangster.

„Nie byłem, byłem, nie ma mnie, więc nie dbam o to”. Inskrypcja nagrobna na kamiennej płycie, pod którą spoczęły zwłoki najsympatyczniejszego przestępcy z Wybrzeża. Wszak cokolwiek by się działo, świat i tak zawsze pójdzie swoją drogą.

– Aaaa, żart – odparł strażnik. – Rozumiem. Jak pan prokurator skończy, proszę zadzwonić.

– Oczywiście.

Metalowe drzwi znów trzasnęły z hukiem.

Walczak stał dalej w tym samym miejscu pokoju, w którym go zostawiono. Areszt na Kurkowej wysłał z niego całą werwę i bezczelność. Brakowało mu markowych okularów, nowiutkich adidasów, przesadnie drogich perfum. Brakowało mu wszystkiego.

– Poznaje mnie pan? – spytał śledczy.

– Pan prokurator...

– ...Konrad Kroon. Proszę spocząć.

Usiedli właściwie w tym samym momencie. Szkolny, obdrapany stolik, dwa metalowe krzeselka.

– Przyszedłem ogłosić panu kolejne zarzuty. Zbadaliśmy resztę zabezpieczonych części samochodowych... Muszę przyznać, że miał pan niezły ruch w interesie.

Konrad odczytał skomplikowaną formułkę opisującą przypisane chłopakowi przestępstwa. Młodzieniec, zgodnie z oczekiwaniami, nie przyznał się. Odmówił składania wyjaśnień.

– Czy to wszystko? – spytał Piotrek.

– Jeśli chodzi o paserkę... tak. Ale mamy jeszcze problem ciała.

Walczak zrobił głupią minę.

– Jakiego ciała?

– Pański volkswagen. Zapomniał go pan wprowadzić zarejestrować, ale w końcu udało nam się dojść do szczęśliwego posiadacza. Po nitce do kłębka. – Pokazał chłopakowi zdjęcie rozbitego auta. – To pańskie?

– Ja...

– Przechodzimy na niemiecki? *Bitte schön*48.

– Co? Proszę...

– *Werden wir wie kultivierte Menschen reden?*49

Dwudziestolatek był coraz bardziej zmieszany. Jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy nosił w sobie całą młodzieńczą butę, kiedy zarywał dziewczyny na Elektryków i ścigał się mazdą po mieście, pewnie inaczej by śpiewał.

Miesiąc aresztu. Koledzy z celi nie byli dżentelmenami.

– Ja nic z tego nie rozumiem.

– To pana samochód czy nie?

Walczakowi pociły się ręce. Jakie ciało? Przecież auto nawet nie było kradzione...

– No mój...

– W tym samochodzie zginął mężczyzna. Klaudiusz Lewandowski. Mówi to coś panu?

Kroon od dawna nie protokołował. Paserka samochodów a wypadek na Słowackiego to dwa odrębne postępowania. Aktualnie przeprowadzał coś na kształt rozpytania. Niezobowiązująca rozmowa mająca stworzyć grunt do ewentualnych dalszych czynności.

– No mówi, ale ja... ja nie miałem z tym nic wspólnego! Po prostu pożyczyłem mu furę...

Konrad okazał osadzonemu kolejne zdjęcia z oględzin pojazdu.

– Panie Walczak. Zamknęliśmy sprawę paserki. Teraz po prostu rozmawiamy. Klaudiusz Lewandowski podróżował pańskim samochodem. W wyniku wypadku doznał poważnych obrażeń. Przebywa w śpiączce, nie wiadomo, czy przeżyje.

– O kurwa...

Kroon ostentacyjnie zamknął teczkę z aktami.

– No właśnie. *Die Kurve*...50

Piotr kalkulował na szybko. Od jakiegoś czasu handlował kradzionymi samochodami, żył jak król. Wiedział, ile za to grozi. Za nic w świecie nie chciał zostać jednak wrobiony w morderstwo.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

Prokurator spojrział mu głęboko w oczy. Szukał strachu, otworzył drzwi, zobaczył panikę. To była jego szansa.

– Rzecz w tym, że póki co jedyną osobą powiązaną z tym – mocno zaakcentował kolejny wyraz – WYPADKIEM... jest pan.

– Poznałem Lewandowskiego w te wakacje. Jego szwagier wydzierżawił mi warsztat. Pod koniec września wpadł do mnie przestraszony, mówił, że pilnie potrzebuje fury. Zabrał kluczyki i...

– ...i dostał auto z uszkodzonym systemem hamulcowym. Wspaniały zbieg okoliczności.

– Zwinął to auto z warsztatu! – krzyknął przerażony dwudziestolatek. – Mówiłem mu, że ma je zostawić!

Kroon uważnie obserwował ciało podejrzanego. Nieświadome reakcje organizmu. Chłopak nie kłamał.

– Przecież on nie prowadził tego samochodu. Ja to wiem i pan to wie.

Walczak zrobił wielkie oczy.

– Przyjechał sam! Uberem chyba czy hulajnogą!

Wariograf pracował. Konrad spoglądał na delikatnie drżenie policzków, nerwowe pocieranie dłoni. Prawda czy Fałsz? Aparat wskazał literkę „P”. Szczera odpowiedź.

– Pojazdem poruszały się dwie osoby. Jedna z nich cudem uszła z życiem. Druga rozplynęła się we mgle.

Myśli Walczaka bieły jak szalone: Mogli go sprawdzić. Przecież nie siedział w tym samochodzie. To nie on prowadził. Nie jego biologia, nie jego odciski palców... *Fuck!* W samochodzie pełno było śladów Walczaka! W końcu to jego fura.

I jak, do diabła, mają mu uwierzyć, że to nie on? Zbyt wiele przypadków. Dowalą mu jeszcze zabójstwo.

– Panie prokuratorze, serio to nie ja. Paserka... no nie przyznaję się do żadnej paserki, ale ta sprawa Lewandowskiego... Serio, ja wiem, jak to wygląda...

– No jak to wygląda? – Konrad atakował. Przełamał linię wroga, teraz szykował się do wysadzenia kwatery dowództwa. – Wpływowy biznesmen bierze pański samochód, z niesprawnymi hamulcami, siedzi na miejscu pasażera, rozbija się o barierkę, cudem unika śmierci. Na nagraniach widać, że pojazdem poruszają się dwie osoby, w środku jest pełno pańskiego materiału genetycznego... Poza tym przed samym wypadkiem regularnie dzwoniliście do siebie. A jakby tego było mało, karetka została wezwana przez – Konrad zawiesił głos – jednego z najbardziej aktywnych trójmiejskich gangsterów...

– Jakich gangsterów? – przestraszył się Piotr.

– O Nazarkiewiczu pan słyszał?

No pewnie, że słyszał.

– Nazaret...

Narkotyki, wymuszenia, gruba gangsterka. Piotrek nikomu krzywdy nie robił. Po prostu handlował kradzionymi furami, ot, wielka rzecz.

– Ja nie mam z nim nic wspólnego!

Test prawdy. Kroon bacznie go lustrował. Zaliczone.

– Panie Piotrze... – Wstał zza biurka. Zaczął krążyć po ciasnej celi. – Na pańskim miejscu przypominałbym sobie lepiej, kto miał z tym coś wspólnego.

„Kurwa – pomyślał paser. – Lewandowskiego otaczali sami wrogowie. Wleciał w tamte wakacje na pełnej piździe; raptem trzy miesiące lata i spierdolił sobie niemal u wszystkich w mięście”.

– Prokuratorze, ale ja nie mogę tak na protokół...

Bingo. Zawodnik pękł.

– A czy widzi pan tu gdzie protokół?

Walczak nerwowo dreptał stopami. Dziesięć uderzeń na sekundę, podeszwa, podłóżę, podeszwa, podłóżę. *Restless legs syndrome*, czytaj: zespół niespokojnych nóg.

– Ale serio... zabiją mnie, jak sypnę...

– Potrzebuję kilku wskazówek. Jakiegoś tropu.

Piotr złapał się za brodę.

– Nie lubili go na mieście. Miał pełno wrogów...

– Jakies nazwiska?

– Kurwa... przepraszam... nie lubili się z Nazaretem. Podobno Lewy wisiał mu hajs. Ale serio... nie znam szczegółów. Trzeba by z ludźmi Nazarkiewicza pogadać. To zupełnie nie moja ekipa.

A więc wszystkie drogi prowadziły do Rzymu. Gangster z Nazaretu.

– Rozumiem.

– No i jeszcze był w sumie Fergus...

Szef Walczaka. Ciekawe, co powie na swojego *capo di tutti capi*?

– Podobno Fergus ma nie po kolei w głowie – zauważył Kroon.

– To prawda. Ale, panie prokuratorze... my dalej poza protokołem?

Konrad pokiwał głową.

– Bo ja dalej tych zgód na rozmowy telefoniczne nie dostałem.

– Myślę, że coś się uda podzielać... Oczywiście poza protokołem.

– Lewy załazł za skórę Fergusowi. Tyle że Fergus... w dniu wypadku Fergusa nie było w Trójmieście.

– Może kogoś poprosił o przysługę.

Piotr pokręcił głową.

– To nie w jego stylu. Fergus zawsze sam rozwiązywał swoje problemy. Własnoręcznie. Nie brał nikogo do czarnej roboty. Taki honorowy bardziej...

– Czyli Nazaret – podsumował Kroon.

Walczak wzruszył ramionami.

– Sporo osób miało problem z Lewandowskim. Ale Nazaret... panie prokuratorze... nikt na mieście nie chciałby mu podpaść.

*

Nie spodziewał się, że Walczak sypnie. Chłopak mógł go oczywiście próbować kitować, ale... Kroon od zawsze wiedział, kiedy ktoś blefuje.

Odebrał z depozytu swoje rzeczy i wyszedł na zewnątrz. Przez chwilę miał wrażenie, że jest obserwowany. Rozejrzał się wokoło.

– Zdawało mi się... – szepnął.

Otworzył samochód i usiadł za kierownicą. Wjeżdżając na Kartuską, wykręcił znajomy numer.

– Gan, słucham?

– Pani Maju... sprawdzi mi pani kilka rzeczy.

LENA

Wracała z komisariatu. Aspirant Flarkowska dotrzymała słowa, ojciec został eksmitowany. Aż trudno w to uwierzyć.

Nigdy nie sądziła, że z pomocą przyjdzie jej psiarnia. Chłopaki z Wrzeszcza bardzo nie lubiły niebieskich, ulica sama rozwiązywała swoje problemy. Poszła na komisariat, trzymając wysoko gardę; naczytała się różnych artykułów, co zrobić, żeby nie zostać zlaną przez policję.

O dziwo, Flarkowska starała się przede wszystkim słuchać. Obiecała pomóc. Dwudziestolatka nigdy do końca jej nie uwierzyła, aż tu nagle... stary dostał zarzuty, teraz odseparowano go od żony. Czyżby świat naprawdę potrafił być znośnym miejscem?

Odruchowo skręciła w Waryńskiego. Przeszło jej przez myśl, by odwiedzić matkę.

„Nasz dom? – bolesne słowa. – O nie. To nie jest już twój dom. A my nie jesteśmy twoją rodziną”.

W oddali dostrzegła znajomą postać.

– Hej! – zawołała.

Emil podskoczył.

– Lena? O, cześć...

– Coś ty taki blady? Za dużo przyćpałeś?

Sąsiad spuścił wzrok.

– A jakoś tak kiepsko dziś spałem.

– Ostry melanżyk? – spytała Orska.

– A nie – odparł młodzieniec. – Po prostu tak jakoś...

– Tak jakoś – powtórzyła.

Uśmiechnął się głupio.

– Wpadłeś do rodziców?

Nie mógł nie wiedzieć. Pewnie cały Wrzeszcz o tym gadał.

– Chyba raczej do matki – bąknęła.

Spojrzeli oboje w stronę obdrapanej kamienicy. Wychowywali się tu od dziecka, Emil był kilka lat starszy.

– Pozdrów ją ode mnie – mruknął chłopak.

Lena poklepała go po plecach. Ruszyła w stronę tramwaju.

– Pozdrowię. Jeśli kiedyś będzie chciała ze mną pogadać.

MAJA

Policjantka od dłuższego czasu miała wrażenie, że ktoś depta jej po piętach. Była zbyt mądrą dziewczyną, by dać się tak łatwo ograć.

Skręciła w boczną uliczkę, podbiegła kilka kroków, wskoczyła do bramy. Drzwi miały wyłamany zamek. „Spoko opcja”, pomyślała, zakradając się na półpiętro. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Po chodniku szedł starszy mężczyzna, koło pięćdziesiątki czy sześćdziesiątki. Łysawy, lekka opalenizna zdradzała zamiłowanie do aktywności fizycznej.

– Spacerków się zachciało? – szepnęła do siebie.

Nieznajomy przystanął. Zupełnie jakby czegoś szukał.

Maja wyciągnęła telefon. Skryta za ramą okna cyknęła mu szybko z góry kilka zdjęć. Jakość nie była wprawdzie najlepsza, sporo ziarna, ale nie mogła ryzykować, że ją nakryje.

Mężczyzna uniósł głowę. Lustrował okoliczne kamienice. W pewnym momencie uśmiechnął się i poszedł dalej.

*

Maja umiała łatwo nawiązywać kontakty. Była bezpośrednia i otwarta, nie bała się usłyszeć „nie”. Takie cechy czyniły z niej idealną pracownicę pionu kryminalnego.

– Kuźwa, Majeczko – kolega poglądził się po brodzie – trafiłaś w jakiś niezły syf.

Siedzieli u niego w pokoju na Okopowej. Komenda Wojewódzka Policji. Wysoka liga.

– Gangus?

Paweł dolał jej kawy.

– Gorzej niż gangus. Emerytowany pies.

– Zaczyna się robić ciekawie – odparła dziewczyna.

Policjant przytaknął.

– To Tycjan. Oficjalnie prowadzi jakąś tam agencję ochrony, biuro detektywistyczne czy coś w ten deseń. Ale w przeszłości... koleś robił w służbach. Do dzisiaj ma pełno kontaktów na mieście. Nie zdziwiłbym się, gdyby – zniżył głos – gdyby miał znajomości nawet i u nas. U starych funkcjonariuszy. Wiesz, tamte czasy... Stare zobowiązania, że tak powiem.

– Czego, do cholery, może chcieć od Lewandowskiego?

– Nie mam bladego pojęcia. Przez wiele lat pracował głównie dla Jana Duchnowskiego.

– To ten biznesmen z Gdyni – stwierdziła Maja.

– Tak. Trudno powiedzieć, na czym się dokładnie dorobił, ale na pewno na niczym legalnym. Prokuratura dwa razy go o coś oskarżała i dwa razy dostała po dupie.

– Kręcicie coś na niego?

Kolega zaprzeczył.

– Już nie. Daliśmy spokój. Ziomek jest niezatapialny.

– No a jaki związek ma z tym koles, który rozwalił się na drzewie?

Paweł wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może sam się nie rozwalił.

– Kroon ustalił, że to nie Lewandowski prowadził pojazd. Ktoś przeniósł ciało.

– No widzisz... Słuchaj, Majka, nie angażuj się w to za bardzo. Robię w tej firmie już tyle lat, że wiem, kiedy odpuścić. Tycjan jest człowiekiem Duchnowskiego. Pół Wybrzeża siedzi u niego w kieszeni. A senator Nawrocki, teść twojego pokrzywdzonego, należy do tej samej klikki co Duchnowski.

– A co mnie to?

Policjant znów zniżył głos.

– Wiesz, jakie mamy czasy. A u nas w firmie zawsze chodziliśmy pod dyktando polityków. Marsze kobiet, gazem w demonstrantów... Kuźwa, ludzie lubią płamić mundur.

– Dalej nie wiem, jaki to ma związek z Lewandowskim.

– Czuję, że pakujesz się na minę. Jeśli Tycjan chodzi po mieście i zaciera ślady... Duchnowski albo senator chcą, żeby sprawa nie wypłynęła.

Mają zatoneła w myślach.

– No ale Kroon każe mi drążyć...

– Zwykły prokurator z rejonu? Nie dziwi cię, że takiej sprawy nie prowadzi okręgówka?

– Może nie mają czasu – odpowiedziała.

– Raczej nie mają ochoty.

Spojrzeli na siebie.

– To dlaczego Kroon dalej ciągnie temat?

– A bo ja wiem. Może jest idealistą. Albo samobójcą. W gruncie rzeczy... wychodzi na to samo.

*

Po rozmowie z kolegą miała tylko większy mętlik w głowie. Paweł wyjaśnił jej pokrótce, co się dzieje na mieście, razem przeanalizowali listę numerów, z którymi łączył się Lewandowski. Skreślili martwe tropy, omówili osoby, które mogą coś wiedzieć.

„Serio, odpuść” – brzmiała ostateczna rada. Paweł posłużył jej swoim doświadczeniem, powiedział, co zrobić, żeby dotrzeć do prawdy. I ostrzegł, że pewnie najlepiej jej w ogóle nie szukać. „Prawda to straszna suka. Narobi ci tylko szamba”.

Nie wiedział o niej jednego. Majka cholernie nie lubiła odpuszczać. Podobnie jak Kroon. Wyciągnęła telefon i wykręciła jego numer.

KONRAD KROON

Spotkali się w holu głównym Sądu Okręgowego w Gdańsku. Stary, majestatyczny budynek, pamiętający jeszcze czasy cesarstwa pruskiego. *Suum cuique* – głosił napis umieszczony nad jednym z wejść. „Každemu to, co mu się należy”.

– Dobrze wyglądasz, Konrad. Zdradzisz mi, w czym tkwi twój sekret? Zero pracy, dużo ruchania?

Kroon tylko się zaśmiał.

– Ostatnio w ogóle nie rucham, za to sporo pracuję.

– Nie poznaję kolegi – stwierdził Kieltrowski. – Kryzys wieku średniego?

Konrad spojrział na kumpla. Znali się jeszcze z pracy we Wrzeszczu; w zeszłym roku Kieltrowski awansował do Okręgu. Robił błyskawiczną karierę, mówiło się, że ma zostać naczelnikiem.

– Zuza siedzi w Stanach, to co mam robić?

– Z pieskiem na spacerach... Słyszałem, że wszędzie ciągasz tego cholernego wilczura.

Kroon przytaknął.

– Fender.

Krzysiek poklepał go po plecach.

– Dziwaczejesz. Tyle ci powiem. No ale dobrze, że nie zostałeś kociarą.

Obserwowali, jak jakiś facet wyklóca się o coś z ochroniarzem. Typowa sądowa przepychanka.

– Pamiętasz, pytałem się ciebie o taką jedną sprawę. Klaudiusz Lewandowski.

– No, ten twój wypadek. Jasne, że pamiętam. Polityczna sprawa.

Konrad westchnął.

– Niby polityczna, a jednak... Wiesz, jak się u nas prowadzi polityczne sprawy. Telefony z góry, ciągle fakсы...

– A tutaj?

– Zupełnie nic. Koleś jest zięciem Nawrockiego, a ten ma wywalone. Jego córka odmówiła składania zeznań – wyjaśnił Kroon.

– Może chcą się od tego odciąć?

– Ale od czego dokładnie?

Kieltrowski rozejrzał się wokół.

– Słuchaj. Ten twój cały Lewandowski to niezłe ziółko. Kręcił się wokół mojego podejrzanego, niejakiego Oskara Wójcickiego.

– Nie znam człowieka.

– Taki żigolak. Żyj szybko, umieraj młodo. Będę go niedługo zamykał.

– Gruba sprawa? – spytał Kroon.

– Kilkadziesiąt tomów. Przekręt na Vacie, wiadomo.

– Myślałem, że już się nauczyli, jak nie dać się złapać na Vacie.

Krzysiek poprawił togę. Za chwilę zaczynała się jego rozprawa.

– Dziesięciu nas wykiwa, trzech da się złapać. Wiesz, jak jest. W każdym razie dni Wójcickiego są policzone. Już mi się nie wymknie.

– No a Lewandowski?

– Wiem, że się kumplowali. Ale Lewandowski nie miał związku z moją sprawą. Inaczej może bym ci zabrał ten wypadek.

Kieltrowski wstał z ławki.

– Daj mi znać, jakbyś się czegoś jeszcze dowiedział – poprosił Kroon.

– Pewnie. Swoją drogą... Myślałem, że po sprawie Brodowicza nie weźmiesz nigdy więcej politycznego śledztwa. Tak się zaklinałeś...

Konrad również zbierał się na rozprawę. Wziął do ręki teczkę i stanął obok kolegi.

– Ile można uciekać, Krzysiu?

– Nie wierzę w to, co słyszę. – Kieltrowski wyszczerzył zęby. – To co, mam ci szykować miejsce w Okręgu?

Kroon machnął mu na pożegnanie.

– Daj mi najpierw zakończyć tę sprawę...

LUDWIK

Państwo Kreftowie żyli tu z dziada pradziada. Kiedy na okolicznych polach i łąkach zaczęto wznosić nowe osiedla, oni w dalszym ciągu uprawiali ziemię. „Nie bądź frajerem, sprzedaj” – radzili sąsiedzi. „Ile wyciągniesz z roli?” – pytali retorycznie. Kreftowie obserwowali, jak ich dawni znajomi, klepiący taką samą jak oni biedę, przesiadają się do nowych aut. Jak jeżdżą na egzotyczne wczasy, kupują drogie ubrania. Kreftowie wiedzieli swoje.

Niepostrzeżenie spokojne przedmieścia zamieniły się w kolejną dzielnicę Gdańska. Na pastelowych wzgórzach wyrosły nowe bloki. Rzadko uczęszczanymi gruntowymi drogami ciągnęły sznury aut. Sielski krajobraz przekształcił się w chaotyczną ofiarę nieprzemyślanej, bezładnej suburbanizacji. Ale Kreftowie wiedzieli swoje. Żyli tak jak zawsze. Lecz świat się nie dał oszukać.

– Heniu, dzwoń po milicję!

– Przecież ona jeszcze dycha, trzeba jej pomóc!

– Jezus Maria, dzwoń na milicję, powiedziałam!

Gospodarze czekali na przyjazd radiowozu. Pośrodku pastwiska leżała ich martwa krowa. Miała

rozcięty brzuch. Od wymion do samej szyi ciągnęła się długa, krwawa kreska. Wnętrznosci zwierzęcia wyciągnięto na zewnątrz.

– Halo, Ludwiś? – krzyknęła do słuchawki pani Kreftowa. – Dopust boży! Mućkę nam zamordowali!

– Krowę? Może zdechła – odpowiedział syn. Wciąż jeszcze dochodził do siebie po wczorajszej nocy.

– Chryste Przenajświętszy brzuch jej rozcięli! Zmasakrowali, sataniści jedni!

– Co powiedziałaś? – zdziwił się Ludwik. Usiadł na łóżku.

– No mówię ci, synuś, zaszlachtowali ją bandyci jacyś! Szybciej poszlim do kościoła, wróciłam, a ona leżała taka na polu nieboraczka. Ojciec zadzwonił na milicję!

Dopiero teraz oprzytomniał. Ludwik od dłuższego czasu oszukiwał Nazareta. I teraz za to beknie.

– Na żadną milicję, słyszysz?! Nie dzwoń na żadne pały! Żadnej policji! Poczekajcie tam na mnie!

Rozdział 15 | Sierpień

KLAUDIUSZ

Został wezwany na dywanik. Tak to przynajmniej odebrał. Kiedy w grę wchodzi naprawdę duże pieniądze, trzeba grać twardo.

– Nie będziemy owijać w bawełnę – zaczął Dębski. – Za chwilę wjeżdżamy z grubą kasą. Potrzebujemy gwarancji.

– Będą gwarancje – zapewnił Oskar. – Klaudziu to jest honorowy gość.

– Rozmawiałem z teściem...

– Widzisz, już rozmawiał! A ty się martwiłeś!

Dębski spojrział na nich zza swoich cieniutkich okularów.

– I co powiedział senator?

Kurwa. Trudno powtórzyć, co dokładnie powiedział. Bełkotał coś tam w narzeczu Nawrockich.

Klaudiusz zlustrował siedzących z nim w salonie mężczyzn. Nie wyglądali na skorych do żartów.

– Pomoże nam – odparł po dłuższej chwili.

– No jasne, że pomoże! – zawołał Wójcicki. – Klaud jest jego oczkiem w głowie! Synem, którego nigdy nie miał!

Biznesmen wpatrywał się w Lewandowskiego.

– Kolego, to nie są małe pieniądze. Ta inwestycja to nie sztubacka gra na sopockich wyścigach. Za duża stawka. Musimy mieć pewność.

– No i mamy, kuźwa, pewność! – pisnął Oskar. – Klaudowi zależy na rządowych pieniądzach bardziej niż mnie czy tobie!

– A to niby dlaczego?

– Bo bez nich nigdy nie uwolni się od tej popierdolonej, jadowitej rodziny!

BEATA

Klaudiusz wrócił do domu przed czasem. Dzieciaki siedziały jeszcze na półkoloniach, w mieszkaniu nie było nikogo.

– Hej, skarbie.

Beata zdziwiła się, słysząc te słowa. Ostatni raz nazwał ją skarbem... Nie pamiętała kiedy, ale przecież musiał tak do niej mówić.

Stał w korytarzu, w rękach ścisnął spory bukiet róż. Taka klisza dla zawiedzionych serc, ale kobieta naprawdę się ucieszyła.

– Co to za kwiaty?

– Róże. Nie poznajesz?

Wstała z fotela.

– Poznając. Ktoś ma imieniny?

Wręczył jej bukiet.

– Spierdoliłem ostatnio. Chcę zacząć od nowa...

Nie zorientowała się, że kłamie. Jednak nadzieja umiera ostatnia.

– Kuźwa, Klaud, serio, tyle się ostatnio wydarzyło...

Przytulił się do niej, zaczął całować po szyi. Namiętnie, gorąco, jak dawniej. Jak wtedy, gdy jako dwa młode szczone kochali się w gabinecie jej ojca.

– Kocham cię. Zwaliłem sprawę, ale naprawdę cię kocham.

Rozpiął jej bluzkę, chwilę później na podłodze wylądował koronkowy stanik. Piersi wciąż miała jędrne, Klaud delikatnie pocałował każdą z nich.

Przewrócili się na kanapę. Seks w biały dzień; przywilej bezdzietnych.

Najpierw rozpięła mu spodnie. Chciała wsunąć rękę do środka, ale on ją powstrzymał.

– Czekaj – powiedział. – Dziś chodzi tylko o ciebie.

Zsunął się na podłogę, ściągnął jej majtki.

– Klaud...

Delikatnie pieścił wewnętrzną stronę jej uda, z każdym pocałunkiem przesuwał się nieco wyżej.

– Aaaa – jęknęła.

Beata założyła nogi na jego plecy, leżała oparta o kanapę, on klęczał na ziemi. Kiedy regularnie współżyli, zawsze kończyło się na szybkim numerku. Klaud dochodził, obracał na drugi bok, szedł spać. Nie myślał o jej potrzebach.

Nie wiedziała, jak bardzo tego pragnie. Jak bardzo brakowało jej seksu.

– Klaud...

Rękami delikatnie uciskał jej pośladki, ustami całował krocze. Co jakiś czas Beata napinała gwałtownie mięśnie grzbietu. W końcu jej ciało przeszedł mocny dreszcz.

Faceci po seksie zazwyczaj tracą ochotę na dalszą zabawę. Kobiety...

Beata zsunęła się na podłogę, usiadła na Klaudzie. Nastąpił czas rewanzu. Rozpięła mu koszulę, zaczęła całować po brzuchu. W pewnym momencie przypomniała sobie, jak kręci go lizanie po uchu. Przesunęła się w stronę klatki piersiowej, ucałowała szyję...

– Klaud, co to jest?!

Gwałtowna zmiana nastroju.

– Co niby? – Mążnek nie rozumiał, dlaczego przestała.

Beata poderwała się z podłogi.

– Masz tu, kurwa, malinkę! Ja pierdołę! To jest malinka!

– Jaka znowu malin... – Spojrzał w lustro. Na jego szyi widniał różowawy ślad.

– Kurwa, Klaud!

Postanowił zgrywać głupiego.

– Musiałaś mi to teraz zrobić...

– Czy ty mnie masz za kretynkę?! Oż kurwa, oż kurwa!

Zaczęła krążyć po pokoju.

– Beata...

– Nie ma cię całymi dniami, nawet w niedzielne wieczory szlajasz się Bóg wie gdzie, zamiast jak porządny ojciec posiedzieć z rodziną. Ale teraz już wszystko jasne! Ty masz, kurwa, kochankę!

Cały spąsował.

– Jaką znowu kochankę...

– Najpierw te damskie perfumy, wyprowadzka do hotelu, teraz nagle wpierdalasz się z kwiatami...

O kurwa. Jaka ja byłam głupia! Przecież to jest typowy schemat!

Próbował chwycić ją za ręce. Pogadać. Czuł, jak miękną mu nogi.

– Nie dotykaj mnie, ty szujo! – Walnęła go z całej siły w twarz. – Ty szmato pierdolona, ty alfonsie!

– Beata...

Złapała się za głowę.

– Jak mogłam być taka głupia! Co za kretynka za mnie!

I co tu powiedzieć? Jak ratować się z tej sytuacji? Znikąd pomocy. Rozgryzła go.

– Beata, to wszystko to jest jakiś popieprzony zbieg okoliczności!

Podbiegła do niego.

– Powiedz, długo ją pierdolisz? Ile ma lat? Młodsza ode mnie? – Podeszła do kuchni. – No pewnie, że młodsza. Pewnie nie więcej niż dwadzieścia pięć. Kto by, kurwa, chciał ruchać jakąś starą babę?!

– Beata, ja nikogo nie rucham! Coś sobie ubzdurałaś!

– Daj telefon!

– Co?

Kurwa. Znowu ta sama sytuacja. Szkolny błąd. A mógł założyć nowy numer, kupić u Czechów jakąś cholerną kartę prepaidową.

– Nie mogę ci go dać, mam tam...

– Kurwa! Wypierdalaj stąd! Wypierdalaj i więcej nie pokazuj mi się na oczy, ty kutafonie! Ty chuju pierdolony! Wszystko zjebałeś! Zjebałeś życie tej rodziny! Zamordowałeś ją, chujku! Zamordowałeś swoje dzieci, mnie zamordowałeś! I, kurwa, nigdy ci tego nie wybaczę!

– Poczekam, aż ochłoniesz – rzucił i uciekł prędko z mieszkania.

Beata pobiegła za nim, otworzyła drzwi na korytarz i wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła:

– Zabiję cię, ty kutasie! Zamorduję cię, słyszysz?!

KONRAD KROON

Uwielbiał okoliczne lasy. Trójmiejski Park Krajobrazowy ciągnął się wzdłuż wszystkich trzech miast: Gdańska, Sopotu i Gdyni, by później przekształcić się w jeszcze okazalszą, sięgającą aż za Wejherowo puszcę.

Wniesienia morenowych wzgórz porastały głównie buki i sosny. Pomiędzy drzewami przemykały dziki, lisy lub sarny, w koronach wartowały jastrzębie oraz sowy. Skryte pomiędzy pagórkami zielone doliny budziły nieodparte skojarzenia z górskimi halami; gdzieniegdzie dało się spotkać pozostawione przez łądogłód ogromne głazy, natrafić na wartki strumień czy niewielką rzeczkę. Aż dziw bierze, że tu właśnie kończyła się nizinna Polska i zaczynał Bałtyk.

Szczęśliwi mieszkańcy Wybrzeża mieli więc do swojej dyspozycji nie tylko morze, ale i prawdziwą knieję; na dobrą sprawę także góry. Kroon od dziecka wychowywał się w otulinie parku krajobrazowego, gubił wśród drzew, wędrował po wzgórzach czy dolinach. Jeszcze zanim przybłąkał się do niego Fender, regularnie spacerował po oliwskiej puszczy, zawsze sam, nigdy nie zabierał Zuzy. Las był tylko jego.

– Pan go weźmie! – krzyknął jakiś facet, który szedł z naprzeciwka.

Konrad nie używał smyczy; srebrzysty husky zachowywał się spokojnie, chodził przy nodze, był odporny na zaczepki.

– Suka czy pies?! – zawołał nieznajomy. – Bo moja ma cieczkę, pan go weźmie!

Kroon nie zareagował.

– Coś pan, głuchy?! Weź go szybko!

Mastif mężczyzny zaczął głośno szczekać. Właściciel chwycił mocniej smycz i ze złością spoglądał na idącego beztrosko w jego stronę prokuratora.

– Serio, ostrzegam, mam gaz!

Konrad minął spacerowicza i jak gdyby nigdy nic pomaszerował dalej. Fender po prostu podążył za nim.

– Nie wierzył w ciebie – podsumował Kroon.

Zboczyli ze ścieżki. Deptali po leśnym poszyciu, złocistych liściach, porośniętych mchem zboczach wzgórz. Świat wyglądał jak z bajki; Konrad miał wrażenie, że oto jakimś dziwnym trafem przeniósł się do fantastycznych krain Aluru, o których czytał w szczenięcych latach.

Nagle znieruchomiał.

Kilkanaście metrów przed nimi zatrzymał się dostoyny jelen. Potężne poroże przypominało królewską koronę, smukła sylwetka miała w sobie coś niebiańskiego.

Zwierzę stało bez ruchu, obserwując dwójkę wędrowców.

– Widzisz to, co ja? – szepnął Kroon.

Zza rozłożystego buka wyjrzało słońce. Samotny promień światła przeciął koronę drzewa, znacząc wzgórze złocistą luną. Kontury króla lasu odcinały się wyraźnym kształtem od tajemniczej poświaty.

– Czekaj, spróbuję zrobić mu zdjęcie...

W tym momencie w Fendera wstąpiło coś dziwnego. Warknął, po czym skoczył na jelenia. Zwierzę rzuciło się do ucieczki.

– Fender, stój!

Pies nie usłuchał.

– Stój, powiedziałem!

Konrad pobiegł za nimi.

Jeleń cwałował pośród drzew, tuż za nim gnał Fender.

– Stój! Wracaj do mnie! Fender!

Husky nie reagował. Oderwał się od Kroona, jego jaźń, jego instynkty rejestrowały tylko dziką zwierzynę. Dostojnego króla puszczy, którego należało obalić.

– Fender! Fender, do cholery!

Mężczyzna pędził ile sił; mimo to z każdą sekundą coraz bardziej odstawał od swego czworonożnego przyjaciela. W końcu zgubił go z oczu.

– Fender! – zawołał i zachłannie złapał powietrze. Srebrzysty husky zniknął.

KLAUDIUSZ

Wielokrotnie wyrzucał sobie, że nie potrafi pójść na całość, rzucić się na głęboką wodę. Pytał samego siebie, dlaczego tak bardzo boi się zagrać *va banque*. W tej chwili znał już odpowiedź na wszystkie te pytania.

– No ale jak to, kurwa, nie wyszło?! A pieniądze?! – krzyczał do słuchawki.

– Nie ma pieniędzy. Oszukali nas – odparł Lechu.

– Jak, kurwa, oszukali?! Jak, kurwa, oszukali?!

Rozmowa trwała dobre dwie godziny. Klaudiusz w kółko powtarzał swoją kwestię, Lech serwował garść okrągłych, wyćwiczonych odpowiedzi.

– Przecież trzeba jechać do typa, ściągnąć hajs, kurwa, z gardła mu to wydrzeć, nie wiem!

– Zajmę się tym. Powiedziałem ci przecież. Ale nie w tej chwili...

– JAK, KURWA, NIE W TEJ CHWILI?!

– Zajmę się wszystkim, jak tylko wrócę do kraju. Spokojna głowa. Odzyskamy wszystko, co do grosza.

Klaud nie wierzył własnym uszom.

– Do kraju? To gdzie ty, do kurwy nędzy, jesteś?! Miałeś pilnować przetargu!

– To było zamówienie z wolnej ręki... – sprostował Lech.

– I co, kurwa, z tego?! Gdzie ty jesteś?! Gdzie, kurwa, hajs?!

Mężczyzna na chwilę zamilkł.

– Słyszysz mnie? No czemu, do chuja wafla, nic nie mówisz?!

– Sorry... mam słaby zasięg. Przerzywa coś...

– Jak to słaby zasięg?! Masz tu przyjechać w tej chwili! W tej, kurwa, chwili!

Znów cisza.

– Kurwa, Lechu!

– Spoko, kolego. Obiecuję ci, że tak tego nie zostawię. Pod koniec miesiąca powinienem już być.

To nie działa się naprawdę. To nie mogło dziać się naprawdę.

– Jak to pod koniec miesiąca?! – wrzasnął do słuchawki.

– No nie tego miesiąca, masz rację. Koniec sierpnia jestem z powrotem.

Fuck. Klaudiusz miał wrażenie, że śni. Że czas wokół niego płynie inaczej, rzeczywistość przybiera dziwne kształty, świat wykrzywia swe usta. Cholerny koszmar. Diabeł śmiał mu się właśnie w twarz.

– Jakiego, kurwa, sierpnia?!

– No, góra września. Stary, przepraszam cię. Ja też jestem wkurwiony. Naprawimy to! – zapewnił Lech.

Klaudiusz miał ochotę coś zniszczyć. Rozwalić hotelowy pokój, trzasnąć krzesłem w okno, wywalić pięścią w telewizor.

– JA CIĘ ZABIJĘ, SKURWYSYNU!

– Brachu, naprawimy to. Wszystko naprawimy! Muszę... – Znów stracił zasięg.

– Lechu, kurwa!

Połączenie zostało zakończone.

Lewandowski został sam. Siedział na łóżku i głośno sapał.

– Ja pierdolę, to nie może być prawda, to NIE MOŻE BYĆ PRAWDA!

Rąbnął z całej siły w ścianę. Ręką zapiekła go jak cholera.

– KURWA!

Chyba ją złamał.

– KURWA!

Z trudem łapał oddech.

– KURWA, KURWA, KURWA!

Wściekłość zaczęła przeradzać się w inne uczucie. To nie były jego pieniądze. Swoją dolę zdeponował za granicą, zresztą tego, co zarobił za pierwszym razem, i tak nie starczyłoby na spłatę długu.

Na skórze mężczyzny momentalnie załśniły drobne kropelki potu.

– Nazaret... – wydukał ksywę gangstera. – Przecież on mnie zajebie...

NAZARET

Gangster zwany Nazaretem rzadko kiedy dawał wyprowadzić się z równowagi. Zawsze chłodny i opanowany umiał zadbać o swe interesy bez podnoszenia głosu. Ale nie potrafił obejść się bez przemocy.

Na mieście cieszył się opinią bezwzględneho. Gdyby nie zdołał utrzymać posłuchu, pewnie już dawno by siedział. Nigdy go o nic nie oskarżono. Policja od wielu lat próbowała ukręcić na niego sprawę, a ten jakimś cudem zawsze im się wymykał.

Klaudiusz siedział w pozbawionej okien kanciapie. Wchodził do niej nie bez obaw; w końcu wiedział, co znaczy paktować z Nazaretem.

Zreferował rzeczowo, w czym leży problem, zwyzywał Lecha, obiecał, że odzyska całość kasy.

Nazarkiewicz po prostu milczał. Wpatrywał się w Lewandowskiego tymi dobrotliwymi oczyma i milczał.

– Serio, Rafał, wszystko ci oddam. Co do grosza – zapewnił nieco łamiącym się głosem.

– Przyjacielu, wiem, że mi oddasz. Nie żywię do ciebie urazy.

Klaudiusz odetchnął z ulgą.

– Mówię ci, dorwę tego skurwysyna, odpowiednio przycisnę...

– Nie żywię do ciebie urazy – przerwał mu w pół słowa – że nie dopuściliście mnie do spółki z Dębskim i Wójcickim. Jakbym nie chciał dobrze zarobić na pewnej rządowej inwestycji.

Lewandowski zrobił wielkie oczy.

– Ja tego nie nakręcałem...

– Nie żywię urazy, bo jestem człowiekiem interesu – dokończył gangster. – W końcu to wszystko, czym się tutaj zajmujemy, to w gruncie rzeczy jedynie biznes. *Nothing personal*, jak to mówią za oceanem.

– No nie, ja wiesz, też to rozumiem...

Nazaret uniósł prawą dłoń. Dał mu znak, aby zamilknął.

– I ponieważ rozmawiamy jak ludzie interesu, a nie narwane, handlujące dopalaczami dzieciaki, powiem ci tylko jedno. Wiem, że mi oddasz. Kiedy sprawa twoich cudownych elektrowni wiatrowych dojdzie do skutku, kiedy pustymi korytami Cedronu popłyną strugi gotówki, wówczas ja będę czekał na swoją dolę.

Rozdział 16 | Sierpień

KLAUDIUSZ

– Kurwa, no przejechałem! I co ja teraz zrobię?!

Siedzieli u Wójcickiego w mieszkaniu. Biznesmen wydawał się nieco rozbawiony tą całą sytuacją.

– Pójdiesz się puszczać na ulicy. Nie znam żadnych męskich burdeli, ale mam takiego jednego kumpla...

– Czy ty serio nie możesz być choć raz poważny?! Czy dla ciebie, kurwa, całe życie to jest jeden pojebany żart?! – wrzasnął Klaudiusz.

Oskar dolał sobie więcej whiskey.

– Jak się mniej spinasz, to łatwiej jakoś to wszystko poogarniać.

– Kurwa, Oskar!

Wójcicki bezradnie rozłożył ręce.

– A co mam ci powiedzieć? No zwałeś! Ale takie wypadki się zdarzają. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

– Kurwa, jeden raz zaryzykowałem, jeden, kurwa, raz.

Przyjaciel wstał z designerskiego fotela.

– Raz na wozie, raz pod wozem. Wszedłeś ze mną w spółkę z Nazaretem i zarobiłeś. Zaryzykowałeś z Lechem i straciłeś. Normalna sprawa.

– Jakoś ty, kurwa, nigdy nie wtopiłeś.

Oskar stanął za jego plecami. Na przeciwległej ścianie zawieszono okrągłe lustro.

– Nawet nie masz pojęcia, ile razy się pomyliłem. Pamiętasz na przykład Pacynkę?

– Tego kolesia od gier?

– Dokładnie. *False Prophet*. Daliśmy mu kosza, koleś dalej chodził i pukał do różnych drzwi, w końcu trafił pod właściwy adres. W jego biznes zainwestowali Chińczycy, spółka z dnia na dzień urosła. Wiesz do ilu?

Lewandowski zerknął na swoje odbicie w lustrze. Nad jego uchem nachylał się Oskar. Wysoki, opalony, opanowany.

– No nie wiem – burknął.

– Sześćdziesiąt baniek. Spółka była warta kilkaset tysięcy, w dwa miesiące urosła do sześćdziesięciu milionów.

– Nieźle...

– Jakbym wtedy włożył stówkę, wiesz, ile bym zarobił?

Klaudiusz wzruszył ramionami.

– Dużo.

– No, bardzo dużo.

Przyjaciel poklepał go po plecach, po czym stanął na progu tarasu.

– Dlatego średnio mnie grzeją twoje drobne żale o jakieś śmieszne pieniądze, które utopiłeś w domach z kontenerów. Trochę gorzej, że pożyczyleś od Nazareta.

– A co miałem zrobić?!

Oskar uniósł wysoko brwi.

– Nie wiem, nie oceniam. Każdy orze, jak może. Nie miałeś kapitału, zaryzykowałeś... w tej branży nie da się inaczej. Pamiętaj tylko, żeby mu oddać.

– A co się stanie, jak...

– Nawet, kurwa, nie pytaj! – przerwał mu Wójcicki. – Nigdy nie zadziera się z Nazaretem. To jest jebany gangus. Nie ma żadnych skrupułów. Jak mu nie oddasz... No, stary, nie jesteśmy dziećmi. Jak mu nie oddasz, to cię sprzątnie. I tyle.

Wiedział, że taka jest prawda. Mimo to pragnął usłyszeć zupełnie co innego. Jakieś słowa pocieszenia, zapewnienie, że na pewno będzie lepiej.

Klaudiusz podszedł do lustra, oparł się ciężko o jego ramę. Kątem oka widział odbicie opalonej twarzy Wójcickiego.

– No to co ja mam zrobić?

– Grać dalej. Jak raz zaczniesz... nie wolno ci nigdy przestać. Inaczej pójdziesz na dno.

BEATA

Ojciec był głową rodziny, ona jego ukochaną córeczką. Choć zawsze zgrywał surowego, dla niej jednej zupełnie tracił głowę.

– Nie znoszę, gdy jesteś taka smutna – powiedział, po czym zaciągnął się fajką. Taki konserwatysta jak on nie mógł po prostu palić papierosów.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam wesoła.

Senator puścił kolejne kółko z dymu.

– Wiesz, jak byłaś mała, mama musiała gdzieś wyjść, a ja miałem nawał pracy... budowałem ci w gabinecie taką bazę z koców. Narzucałem na krzesła jakiś pled, ty zносиłaś swoje lalki i bawiłaś się w leśną chatkę. Wokół grasowały złe wilki, ale gdy tylko chowałaś się do szafasu, one nic nie mogły ci zrobić.

– Pamiętam to – odparła Beata.

– Chciałbym cię czasem zamknąć w takiej bazie, ochronić przed problemami dorosłości.

W oczach kobiety zaświeciły łzy.

– A ja znów chciałabym się przenieść do tamtych czasów.

Senator zaśmiał się życzliwie.

– Wszyscy pragniemy być dziećmi. Ale to niemożliwe. Świat na nas nie poczeka. A nawet jeśli poczeka, to na pewno nie wybaczy. Musimy iść przed siebie i pilnować, by nie zgubić drogi.

– Tato, już dawno zgubiłam drogę.

Ucałował ją czule w skroń.

– Wiem, córeczko. A ja chciałbym móc ochronić cię przed wszystkimi problemami dorosłości. Ale nie mogę. Nasze życie stanowi pochodną wcześniejszych wyborów. Decyduj mądrze, to i następstwa przyjmiesz z uśmiechem.

– Och, tato... zawaliłam. Pamiętam, jak odradzaliście mi ten związek. Ty zawsze miałeś czuja do ludzi. A ja zawsze musiałam wiedzieć lepiej.

Ojciec stuknął fajką w rant biurka. Dołożył jeszcze nieco tytoniu.

– Nie bądź dla siebie taka surowa.

Jak miała nie być dla siebie surowa? Młoda, wyszczekana, narwana. Cholernie uparta. Jako nastolatka myślała, że może wszystko. Teraz sama miała dzieci, a życie sypało jej się w drobny mak.

– Tato, on mnie zdradza. Ma kochankę albo chodzi na dziwki... nie wiem, co gorsze.

– Przykro mi to słyszeć – odparł senator. – Może to tylko przejściowy kryzys? Może potrzebujecie z kimś porozmawiać?

– Potrzebuję rozwodu. A najlepiej unieważnienia małżeństwa.

Ojciec zrobił dobrotliwą minę.

– Nie można tak po prostu uciec od odpowiedzialności. „Póki śmierć nas nie rozłączy”. Pamiętasz?

Prychnęła wściekle.

– W takim razie chcę, żeby to się stało jak najszybciej! – wrzasnęła.

– Każdy problem da się jakoś rozwiązać. Nawet ten. Pamiętaj, że jeśli ktoś występuje przeciwko własnej rodzinie, Bóg nie ma dla niego litości. Nawroccy nie wybaczą.

Beata płonęła z nienawiści. Przypomniała sobie całe upokorzenie, które sprowadził na nią Klaudiusz.

– Co mam zrobić?

– Pogadaj z Duchnowską. Oni wiedzą, jak amputować dotkniętą gangreną kończynę, tak by nie wyrządzić krzywdy całemu ciału. Tak by nikt nie znalazł śladów krwi.

LENA

Trafili do jednego z modnych klubów na Wyspie Spichrzów. Oskar niezbyt często chodził na Ulicę Elektryków, od hał stoczniowych wolał wyszukane wnętrza, od muzyki elektronicznej – klasykę sprzed lat.

Lena nie narzekała. Podobało jej się to pełne blichtru życie. Kiedy wychodziła ze znajomymi na bardziej młodzieżowe imprezy, zachowywała się jak wszyscy w ekipie; gdy balowała z Oskarem, codziennie

kosztowała luksusu.

Zegary wskazywały pierwszą w nocy.

– Widziałyście gdzieś Oskara?

– A chyba wyskoczył na *rooftop*.

Dwudziestolatka podążyła szklanymi schodami na górę. Wójcicki stał na tarasie i rozmawiał z jakąś modelką. Czy była ładniejsza od Leny? Nie, po prostu była inna. Ciemne oczy, śniada karnacja, wąska talia, małe piersi.

Orska przystanęła przy wejściu. Z zainteresowaniem przyglądała się rozwojowi wydarzeń.

– Serio, trzy tygodnie na jachcie? Ale jak wy dalszecie tak długo radę?

– Prawdziwy facet zawsze daje radę. I oto w tym chodziło. O męską przygodę – odparł Oskar. Lubił być adorowany.

Dziewczyna delikatnie dotknęła jego torsu.

– To musi być ekscytujące widzieć, jak radzicie sobie z falami.

Tego już było za wiele. Podeszła do swojego partnera.

– Sorry, kocie, robiłam fotki z Quebo. Szuka lasek do nowego teledysku. I chyba znalazł.

Oskar nie wiedział, o kogo chodzi.

– Ale jak to Quebo? – spytała swoim wysokim głosem dziewczyna.

– Quebonafide. Taki raper – odparła krótko Lena, po czym obróciła się do niej plecami. Zwróciła się bezpośrednio do Wójcickiego. – Ma już rudą, ma blondynę, teraz szuka brunetki.

– Quebonafide? W tym klubie? Ale mówisz serio?

Lena zastanawiała się, czy można brzmieć bardziej infantylnie niż nieznajoma. Pieprzona różowa landrynka.

– Robią zdjęcia przed klubem. Musisz zjechać na parter.

Dziewczyna nie mogła ukryć swojego podekscytowania.

– No to ja tam szybko lecę! Serio Quebo?

Lena wyciągnęła telefon, pokazała jej jakieś zdjęcie.

– Quebo?

Na fotografii widać było słynnego rapera w towarzystwie jakiejś blondynki.

– O kuźwa, Quebo! No to ja tam lecę! Ja tam muszę być! – pisnęła.

Zostali sami.

– Co to za akcja? – spytał Wójcicki, zabierając Orskiej telefon. – Co to za pajac z wydziaranym ryjem? I co to za jedna? Przecież to nie ty...

– No nie ja – odparła Lena, wyciągając z ręki Oskara kieliszek. – Ale twoja nowa przyjaciółka nie skumała. Lubisz takie bystre jak ona?

Mężczyzna pokazał swój szarmancki uśmiech.

– Lubię takie groźne jak ty. Powiedz, kociaku, co jeszcze umiałabyś zrobić, żeby zdobyć, co twoje?

– Wszystko – rzuciła krótko.

– Na pewno wszystko? A kogoś sprzątnąć? Zamordować z zimną krwią? Podobno tylko dwa procent ludzi to potrafi.

Zmrużyła oczy.

– W takim razie widocznie należę do tych dwóch procent.

KLAUDIUSZ

Kiedy już myślał, że gorzej być nie może, przyczepił się do niego Fergus. Zajechał do hotelu, zaprosił na spotkanie w lobby.

– Skąd ten parszywy humor, przyjacielu?

I co on myślał? Że tak po prostu zacznie zwierzać mu się ze swoich problemów? Przecież ledwo się znali. Jakaś impreza na jachcie Dębskiego, później telefon w sprawie kradzionego samochodu.

„W Trójmieście ręka rękę myje. Jeśli chcesz dorwać się do koryta, musisz zacząć grać według tutejszych reguł. Albo wypierdalać z boiska” – powiedział Oskar. „Fergus ci pomógł, musisz się odwdzięczyć”.

– Po prostu gorszy okres – odparł bez większych tłumaczeń Klaud.

Fergus wyszczerzył zęby. Brakowało mu górnej dwójki.

– Jak stara wypierdoli do hotelu, to zawsze jest gorszy okres. Ja miałem trzy żony. Dwie z nich pogrzebałem. – Znów zaprezentował stan uzębienia. – Trzecią pogoniłem. Z babami to nie idzie po dobroci.

– Niezły wynik – podsumował Lewandowski.

– No, ale nie o kobietach chciałem. Najpierw interesy, potem przyjemności. Po spotkaniu możemy skoczyć do takiego jednego burdelu...

– Po prostu wal, o co ci chodzi.

Gangster przejechał językiem po rancie kieliszka. Klaudiusza obrzydził ten gest.

– Jesteś spięty jak baranie jaja, przyjacielu – podsumował Fergus. – Ale dobrze, zrobimy po twojemu. Widzisz, rozglądam się za miejscówką na mieście, żeby skrócić pewien mały biznesik, zarobić trochę pieniążków. I tak się składa, że znalazłem. Znasz ten adres?

Lewandowski spojrział na znacznik pinezki przyklepioną do wirtualnej mapy miasta.

– Warsztat Heńka.

– Zgadza się. To chyba twoja rodzina, co nie?

Klaudiusz zagryzł dolną wargę.

– Mój szwagier, ale co z tego?

Fergus wyciągnął zębami kostkę lodu i wypluł ją na podłogę.

– Stoi pusty, a ja akurat potrzebuję miejsca, w którym mógłbym trochę pomajsterkować.

– Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Ogarnij szwagra. Powiedz, że twój przyjaciel potrzebuje przysługi.

– Mogę ci dać jego numer. – Klaudiusz wyciągnął komórkę. Fergus gestem powstrzymał jego dłoń.

– Nie. Potrzebuję, żebyś osobiście to załatwił. Żebyś objął to swoim patronatem, że tak powiem.

– Słuchaj, oni siedzą od wielu lat w Anglii. Właściwie to nie mamy jakiegoś superkontaktu...

Fergus rozłożył szeroko ramiona.

– Ale jesteście jedną wielką rodziną! Wżenioną w Nawrockich, każdy pies wie, że z Nawrockimi się nie zadziera!

Szlag! A więc znowu chodziło o dojście do teścia.

– Moja siostra nie ma z Nawrockimi nic wspólnego. Szwagier tym bardziej.

Gangster wskazał na niego palcem.

– Mają tyle wspólnego, że jesteś starszym bratem. Synem pierworodnym, o ile się nie mylę. Głową dwóch połączonych rodzin: Lewandowskich i Nawrockich. Trzech rodzin: Lewandowskich, Nawrockich i Karpieni. Jesteś jak pierdolony cesarz. Cholerny ojciec chrzestny.

Klaudiusz nigdy nie czuł się nikim ważnym w swojej rodzinie. W żadnej z trzech wymienionych rodzin.

– Słuchaj, jak chcesz, to mogę zadzwonić...

– Tylko o tyle cię proszę! Tylko o tyle! – Fergus złapał go za ramiona. – Hokus-pokus, bracie. Czwórka trefl i wszystko załatwione!

KONRAD KROON

Od kilku dni nie robił nic innego, tylko szukał Fendera. Podczas ostatniego spaceru pies rzucił się w pogoń za jeleniem; od tego czasu słuch po nim zaginął.

Zaczął jak zwykle od działki, na której jeszcze kilka tygodni temu stał jego rodzinny dom. Spoglądając na resztki gruzowiska, powinien był odczuć ulgę. Ale nie odczuł.

– To będzie trudniejsze, niż myślałem – mruknął pod nosem.

Ruszył w stronę budynku piątego liceum, odbił w lewo, przeszedł przez park. Podążał wszystkimi trasami, którymi zwykli wspólnie wędrować.

Wyciągnął telefon. Zuza nie odczytała jego wiadomości. Bez Fendera u boku Konrad wyjątkowo źle znosił to rozstanie, nie wiedział, że lada moment dziewczyna zniknie na znacznie dłużej. Na całą jesień. Albo i na całe życie.

Okrażył Starą Oliwę, ale nie czuł zmęczenia. Znów zagłębił się w las.

– *Sub tuum praesidium confugimus, sancta Dei Genitrix* – wyszeptał. „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko”.

Właściwie od dziecka szukał pomocy w modlitwie. Wątpił, czy wciąż jeszcze wierzy. W chwilach słabości zawsze jednak wracał do zdań wyniesionych z rodzinnego domu.

Ta pokręcona religijność nie bardzo do niego pasowała. Zbuntowany chłopak; bił się na przerwach, w liceum i na studiach wyrывał wszystkie laski, za szkołą jarał jointy, a wieczorami medytował nad starym przedsoborowym psalterzem podarowanym mu przez wuja.

W niedziele nie chodził do kościoła, odczuwał niepojęty wstręt do księży, a jednak... stale ciągnęło go do łacińskich pacierzy. Czy chodziło o tajemnicę? Mistyczny świat, którego Konrad tak bardzo był świadomy? A może po prostu potrzebował rytuału; lekarstwa dla rozchwianych nerwów, pigułki spokoju, magicznego zaklęcia dajcie-wy-mi-wszyscy-święty-spokój?

Minął Dolinę Schwabego. Kawałek dalej zaczynała się niewielka ścieżka, którą zazwyczaj uciekał od głównej drogi. Skręcił w las.

– Fender! – zawołał.

Nie spodziewał się odpowiedzi. Przynajmniej nie takiej.

Pośrodku polany leżało ciało wielkiego jelenia. Konrad nie miał żadnych wątpliwości: to było to samo zwierzę, za którym kilka dni temu pogonił jego pies.

– Matko Przenajświętsza – wyszeptał.

Dostojny rogacz wystawał sponad pożółkłej trawy, na jego truchle przysiadły muchy. Olbrzymią ranę w tułowiu pokryła gęsta warstwa białych larw.

– O kurwa... Fender.

Widok ludzkich zwłok nie robił na nim większego wrażenia. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Martwe zwierzęta, podobnie jak i ludzie, należały do kręgu życia; Konrad miał tego głęboką świadomość. Oswoił się ze śmiercią, uznawał ją za naturalny element konstrukcji wszechświata, konieczne i logiczne następstwo życia.

To, co zobaczył, wzbudziło w nim jednak niepojęty strach. Kroon szukał odwagi, która pozwoli mu zmierzyć się z demonami przeszłości. Szukał jej w sobie, szukał jej wokół siebie, szukał jej wszędzie, gdzie tylko mógł.

Królewski jeleni nie do końca należał do tego kawałka kosmosu. Biegał wolny wśród wysokich drzew; pradawny duch puszczy, przewodnik zagubionych w gęstwinie lęków dusz. Teraz ten posłaniec leżał martwy na ziemi, z wyszarpanym sercem, zarobaczonym ciałem. Odarty z godności, zaszlachtowany, uwięziony w pułapce powolnego rozkładu.

Im bardziej Konrad walczył z gnębiącymi go demonami, tym bardziej one nie odpuszczały. Nigdy już nie uciekniesz.

Czy to Fender zamordował królewskiego jelenia? Czy tajemniczy pies wyłonił się z mroków przeszłości tylko po to, by nigdy nie dać Kroonowi uwolnić się od jego lęków?

A może to wszystko to był tylko cholerny przypadek, projekcja oszalałej głowy, niepowiązany ze sobą ciąg zdarzeń, któremu pod wpływem choroby nadał jakieś przekłete znaczenie?

Jeleń z rozszarpanym sercem. Losowa ofiara odwiecznego kręgu życia. A co, jeśli... to on był owym martwym zwierzęciem?

KLAUDIUSZ

Znów wrócił do żony. Beata w dalszym ciągu nie chciała z nim gadać, spał w salonie na kanapie, ale przynajmniej sprawiał pozory. Mieszkasz w hotelu, znaczy zrobiło się między wami grubo. Kimasz na kanapie, po prostu macie gorsze dni.

Klaudiusz wiedział, że musi ją zostawić. Ale jeszcze nie teraz.

„Póki co jesteś gołodupcem” – ostrzegł go Oskar. „I to gołodupcem z długami. Z długami u gangsterów. A od gołodupca z długami u gangsterów prosta droga do martwego gołodupca”.

Skończyło mu się pole manewru. W tych okolicznościach rodzina Nawrockich stanowiła najpewniejszą opcję.

– Cześć, tato.

– Hej, synu – powiedział teść, odkładając książkę. Oczywiście Sienkiewicz. Senator uwielbiał klasyki.

Klaudiusz nieśmiało wkroczył do gabinetu.

– Ja tak tylko na chwilkę. Dzieciaki chciały zobaczyć się z babcią, a ja...

– Wejź, proszę. Napijesz się czegoś?

– Nie dziękuję, prowadzę.

Senator wyciągnął dwa kieliszki.

– Kapeczka brandy nie zaszkodzi.

Bez dalszych pytań nalał każdemu z nich, sobie nieco więcej.

– Nawet tego nie poczujesz.

Senatorowi się nie odmawia. Zresztą w te wakacje Klaudiusz parę razy prowadził już na podwójnym gazie. W końcu cóż takiego mogło się stać? W najgorszym wypadku po prostu zabraliby mu prawko. Oskar jeździł wszędzie taksówkami i też funkcjonował.

– Tato, ja raz jeszcze chciałem podpytać o ten przetarg na elektrownie. Bo wiesz, machina ruszyła i teraz nie bardzo mam się jak z tego wycofać... Aż boję się myśleć, co by się stało, jakby to nie wypaliło. Nasza rodzina by chyba tego nie przetrzymała.

Senator spojrzał na niego zza kieliszka.

– O nic się nie martw. Wiele razy ci powtarzałem, że rodzina jest w życiu najważniejsza. A ja potrafię się zatroszczyć o swoją.

NAZARET

Nazaret zawsze mówił tym swoim przeraźliwie spokojnym głosem. Było coś diabelskiego w tych dobrotliwych oczach, tej nieporuszonej emocjami twarzy. Gdyby się denerwował, gdyby krzyczał i gestykułował, zapewne mniej by się go bali. Byłby wtedy bardziej ludzki, łatwiejszy do zrozumienia. On jednak nie dawał się zrozumieć. Nie chciał, by go rozumiano. Potrzebował wyłącznie jednego. Wzbudzać w innych strach.

– Chcą się do ciebie dobrać – powiedział Czarek.

– Odkąd tylko pamiętam, chcą się do mnie dobrać – odparł Nazaret.

Siedzieli na zapleczu burgerowni. Skryte za skrzynkami po piwie tymczasowe centrum dowodzenia.

– Tym razem serio. Ktoś zaczął sypać na psiarni. Któryś z naszych.

Nazarkiewicz nie zareagował. Czekał, aż Czarek sam mu wszystko wyjaśni.

– Jeszcze nie wiem kto. To na razie tylko plotka, ale potwierdzona z kilku źródeł – kontynuował chłopak. – Podobno mają jakiegoś informatora. Chyba któregoś z dilerów.

– Dowiedz się którego. I mu podziękuj.

– Kurwa, szefie... robię, co mogę.

Nazaret wstał z krzesła i przystanął obok plakatu lokalnej drużyny piłkarskiej.

– Myślisz, że mięknę? Że za bardzo zacząłem odpuszczać?

– No nie. Nie wiem. Kilku chłopaków trochę robiło na boku, nie wszyscy się prawidłowo rozliczali – wyliczał Czarek – a szef nie reagował.

Nazarkiewicz dotknął swym grubym paluchem sportowego kalendarza. Zielono-białe barwy; na Wybrzeżu każdy znał tę heraldykę.

– Czy to jest reprimenda?

– Nie no, szefie... gdzie ja szefa... Ale moglibyśmy zewrzeć szeregi...

Gangster sapnął.

– Czasem, kiedy ludziom daje się więcej luzu, stają się bardziej kreatywni i mają lepsze wyniki. Ale widocznie... nie w tym wypadku. Zrobisz porządek. Przypomnisz chłopakom, gdzie ich miejsce. Każdego, kto się wypierdoli, zajebiecie. Dla przykładu. Zbliża się powoli jesień, czas posprzątać na mieście. A zwiędłe gałęzie... – zerwał z kalendarza kolejną kartkę – zwiędłe gałęzie trzeba przyciąć przy samej nasadzie.

Rozdział 17 | Listopad

PATRYCJA RADKE

To była cholernie dziwna rozmowa. Patrycja Radke prowadziła swoją praktykę trochę ponad rok i nigdy jeszcze nie trafił jej się równie nietuzinkowy klient.

Młoda mecenas siedziała za biurkiem jednopokojowej kancelarii i wpatrywała się w dobrze zbudowanego mężczyznę po pięćdziesiątce, który zajmując miejsce naprzeciwko niej, snuł swoją niedorzeczną opowieść.

Nie przepadała za urzędówkami, ale jak jesteś adwokatem na dorobku, bierzesz, co dają, i nie wybrzydzasz. Prawdę powiedziawszy, liczyła, że na tym etapie sprawy zaczną wyglądać trochę lepiej, będzie mogła zająć się w końcu czymś ciekawym albo chociaż podnieść nieco stawki. Sprawy nie wyglądały jednak lepiej, miały wciąż tę samą nędzną mordę, nieświeży oddech i zero na koncie.

Codziennie z nadzieją kupowała do obiadu chińskie ciasteczko z wróżbą, przebijała cienką warstwę twardej, cynamonowej skórki i odwijiała karteczkę zawierającą odpowiedź na wszystkie jej problemy. Codziennie jednakowe słowa, codziennie te same cztery proste wyrazy. Starożytna mądrość ukryta pośród siedemnastu liter alfabetu. „Dalej będzie do dupy”.

Historia, którą opowiadał Orski, składała się w jedną logiczną całość, choć trzeba przyznać, że była to dość pokrętna logika. Logika przemocowca. Jeszcze nigdy żaden jej klient nie zaczął od tego, że przyznał się wprost do winy. Jeszcze żaden nie powiedział: „Pani mecenas, trochę zwałam, czy dałoby radę to jakoś wyprostować?”. Nie, nie, nie. Nic z tych rzeczy.

Wyjaśnienie problemów zawsze leżało w czynnikach zewnętrznych: złościwości sąsiadów, niesprzyjającej koniunkturze, chorobie, czyjejś złej woli. Wprawdzie jesteśmy kowalami własnego losu, ale akurat ostatnio kuźnia zamknięta, co złego, to nie my, tak to jakoś wyszło, a teraz wszyscy się na mnie uwzięli.

Patrycja nauczyła się już im nie wierzyć. Pijanym kierowcom, drobnym złodziejaszkom, notorycznym niealimenciarzom. Śmietanka kryminalnego półświatka.

– Jesteśmy z żoną wyjątkowo szczęśliwi. Zdarzały się lepsze i gorsze momenty. Jak w każdym małżeństwie. Dwadzieścia trzy lata po ślubie. Pani wie, ile to jest czasu?

Kurwa. Sama miała niedawno dwadzieścia trzy lata. I dalej była singielką.

– Gratuluję – odparła chłodno.

Orski mierzył ją wzrokiem. Adwokatka wyglądała bardzo młodo, pewnie była niewiele starsza od jego Lenki.

– Ostatnio przeżywaliliśmy coś na kształt...

– Kryzysu – weszła mu w słowo.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Bardziej miesiąca miodowego – sprostował.

Patrycja nie mogła ukryć swojego zdziwienia.

– No a cała sprawa?

Orski się tylko zaśmiał.

– Właśnie. Zawsze kiedy dobro wzrasta, zło próbuje wytrącić je z równowagi. Ale my się nie damy. Prawda, pani mecenas?

Co mogła odpowiedzieć? Jej rolą było dbanie o interesy klienta. Każdy ma prawo do obrony.

– No nie damy się, nie damy. Oczywiście musimy przejrzeć akta, ale póki co chciałabym usłyszeć pańską wersję wydarzeń.

– Chciałaby pani usłyszeć prawdę. – Ten ostatni wyraz zaakcentował wyjątkowo mocno.

– Pańską prawdę...

Orski złożył dłonie jak do modlitwy. Czubki palców skierował w stronę młodej mecenas.

– Prawda jest zawsze tylko jedna. Nie leży bardziej na prawo ani na lewo, tkwi zawsze w tym samym miejscu.

– Czy to jakiś cytat?

– „Ten, kto postępuje nienagannie i czyni sprawiedliwość, a w swoim sercu mówi prawdę; kto nie

obmawia swym językiem, nie wyrządza bliźniemu nic złego, nie znieważa bliźniego”51.

Radke czuła, że rozmowa zmierza w niebezpieczną stronę. Przydzielono ją Orskiemu jako obrończynię z urzędu, z uwagi na uzasadnioną wątpliwość co do jego poczytalności. Do tej pory klient zachowywał się w miarę normalnie. Teraz jednak powoli zaczynał odpływać. Musiała sprowadzić go na ziemię.

– Skoro wszystko było w porządku, to dlaczego założono panu sprawę? Dlaczego żona na pana doniosła?

Orski walnął pięścią w stół.

– Żona nie powiedziała przeciwko mnie ani jednego słowa!

– Pani Hieronimie, proszę się uspokoić – poleciła. Nie była przygotowana na taką sytuację. Jeśli klientowi odbiłaby szajba, poza dziurkaczem i szklanym wazonem nie miała żadnego narzędzia obrony.

– Moja żona stoi po stronie prawdy, pani mecenas. Przepraszam, że się uniosłem.

Sprawiedliwy gniew. Ostatnimi czasy Orski często tracił kontrolę nad samym sobą.

– Kto zatem złożył zawiadomienie?

Przykro było mu to mówić. Nie ma większej miłości niż miłość rodzica; Hieronim autentycznie tęsknił za swoją córką, pragnął wskazać jej właściwą drogę, przywrócić na łono Kościoła. Zaprosić, by razem z nim głosiła Bożą prawdę.

– Lena.

– Pańska córka?

– Moja... – z trudem wypowiadał te słowa – moja córka.

Klient dostał coś, co w policyjnym slangu nazywano pakietem pielgrzyma. Nakaz opuszczenia lokalu mieszkalnego, dozór policji, zakaz kontaktów. Żeby zastosować taki środek zapobiegawczy, prokurator musiał mieć naprawdę silne dowody.

Spojrzała na kopię postanowienia, które przyniósł jej Orski. Przesunęła palcem po pieczętce i zgrabnym podpisie. Konrad Kroon.

Rok temu prowadziła z nim jedną sprawę. Przekonała się, że Kroon to naprawdę błyskotliwy gość.

– Pani mecenas?

Patrycja momentalnie wróciła na ziemię.

– Będę musiała zapoznać się z aktami. Bez tego nic nie podziałam. Polecam przestrzegać nakazów...

– No a to badanie?

– Naturalnie, proszę pójść do doktora Maciejewskiego.

Orski prychnął.

– Chcą zrobić ze mnie wariata.

– Pani Hieronimie – starannie dobierała wyrazy – póki co musimy stosować się do poleceń prokuratora. Przejrzę akta i tak przygotuję linię obrony, żeby załatwić dla pana pomyślne zakończenie sprawy.

Hieronim gwałtownie podniósł się z krzesła.

– „Żadna broń przeciw tobie sporządzona nie będzie skuteczna, a każdy język, który w sądzie występuje przeciw tobie, potępisz”. – Jego oczy stały się jakby nieobecne. Patrycję przeszły dreszcze. – „To jest dziedzictwo sług Pana, a ich sprawiedliwość pochodzi ode mnie, mówi Pan”52.

MAJA

Od kilku dni praktycznie nie zajmowała się niczym innym niż sprawą Lewandowskiego. Kroon dał naczelnikowi znać, że potrzebuje ją mieć na wyłączność. „Tego oczywiście nie mogę panu zaoferować” – odparł Hołura. „W takim razie chociaż chwilę wytchnienia. Dziewczyna musi pobiegać po mieście, podrażnić. Jak zawalicie ją innymi pierdołami, to nic z tego śledztwa nie będzie”.

Prokurator wywalczył dla niej krótki okres ochronny. Miała trochę czasu na porozmawianie z ludźmi, posmarowanie, pociągnięcie kogo trzeba za język.

Stała na myjni samochodowej. Pracownik czyścił karcherem granatowe bmw.

– Lewandowski miał przejebane u wielu osób – oznajmił mężczyzna. – Łatwiej chyba powiedzieć, komu nie podpadł, niż wyliczać, z kim miał kosę.

– No a Fergus? – spytała Maja.

– Fergus jak to Fergus. Straszny z niego narwaniec...
Pracownik odłożył narzędzie i sięgnął po gąbkę z mydłem.
– Skąd w ogóle znał Lewandowskiego?
Mężczyzna wzruszył ramionami.
– A bo ja wiem... Chodzi czasem na takie *fancy* imprezki. Próbuje wkręcić się do towarzystwa.
– A Lewandowski był częścią towarzystwa?
– No wiesz. Bananowy dzieciak, prezes państwowej firmy. Fergus to człowiek ulicy. Na wszystko musiał sam zapracować.
Majka oparła się o śmietnik.
– Chyba nakraść sam musiał.
– Ej! – oburzył się informator. – Jak będziesz tak pyskować, to ci nic więcej nie powiem!
– Dobra, spokojnie. Bekę se kręcę.
Namydlił dokładnie cały samochód. Karoseria zniknęła pod puszystą beżową pianą.
– Jedni dostają wszystko od starych, drudzy muszą kombinować. I ja Fergusza szanuję, bo on nigdy się o nic nie prosił. Było ciężko, a chłopak sobie poradził.
– No dobra, ale nawijaj o Lewandowskim.
Mężczyzna splunął.
– Zajebali mu samochód.
– Fergus mu zajebał?
Pracownik myjni odsunął się od auta.
– Nie jestem, kurwa, szczurem. Nie wpierdolę kolegi, kumasz?! Mieliśmy gadać o Lewandowskim!
Jak ci się nie podoba, to nara.
Policjantka wyciągnęła przed siebie ręce w pokojowym geście.
– Luz! Tak tylko spytałam.
Donosiciel wrócił do pracy.
– Zajebali mu samochód, Lewy zadzwonił do Fergusza, ten mu pomógł odzyskać auto. Koniec historii.
– Został niespłacony dług – podsumowała Maja.
– Nie wiem o żadnym długu. Kontaktowali się potem, Fergus chciał mieć takich znajomych jak Lewy. Ale chyba się o coś poprzytkali.
– I Fergus go załatwił.
Mężczyzna przerwał pracę. Odpalił papierosa.
– Fergus nie siedzi w kraju. Wtedy we wrześniu, kiedy psy zrobiły nalot na dziuplę Walczaka, nie było go w Polsce.
– To gdzie był?
Informator tylko się zaśmiał.
– W Disneylandzie.
Majka wyciągnęła paczkę gum do żucia.
– No to kto załatwił Lewandowskiego? Jakiś jego ziomek?
Tamten się lekko skrzywił.
– Fergus miał żal do Lewego, to fakt. Ale jakby chciał go dopierdolić, to zrobiłby to sam. Własnoręcznie. Taki jest Fergus. Świr, jakich mało. Ale honorowy.
– A wtedy nie było go w kraju...
Mężczyzna wziął ostatniego bucha. Wyrzucił niedopałek na betonową posadzkę.
– A wtedy nie było go w kraju.
KONRAD KROON

Dzień Zaduszny to jedno z najbardziej polskich świąt. I jedno z najpiękniejszych. Roztrząsamy zagadkę przemijania, świata, który stale gna do przodu, którego nie sposób zatrzymać, spowolnić, a co dopiero zawrócić. Jednokierunkowa ulica; droga wiodąca zawsze na kraniec widnokręgu.

Aura Zaduszek wspaniale współgra z jesienną melancholią, która przecież każdego z nas musi czasem dopaść. Nie ma co walczyć z tą emocją. Smutek jest tak samo ważny jak złość czy radość. Należy go zaakceptować, zrozumieć, polubić. Nauczyć się z nim żyć.

Kroon nigdy nie potrafił zaakceptować własnego smutku. Przeszłość napawała go strachem, dlatego tak rzadko w nią spoglądał.

Unikał cmentarzy. Raz do roku zapalał świeczkę za pamięć matki; ojca starał się z tej pamięci przede wszystkim wymazać.

Kroczył długą cmentarną aleją gdańskiego Srebrzyska. Powoli zapadał zmrok, światła zniczy wypełniały okoliczny las tajemniczą, czerwonozłotą poświatą.

Zazwyczaj przychodził tu z Zuzą. Dziewczyna ratowała jego jaźń przed szaleństwem, dawała siły niezbędnej, by spojrzeć na gotyckie litery wyryte w omszałym kamieniu rodzinnego grobowca Walewskich. To tu pochowano jego matkę.

Kroon zapalił świeczkę i zmówił modlitwę.

– *Wieczny odpoczynek racz, jej dać, Panie. A światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków.*

Po policzku mężczyzny spłynęła łza. Przedwcześnie odebrane życie. Jedna śmierć, która na zawsze zaważyła na psychice młodego Konrada. Dotknął palcami ciężkiej płyty. Już nic nie mógł zrobić.

– *Niech odpoczywa w pokoju – dokończył. – Amen.*

Ciężko wstał z kolan, otrzepał spodnie.

– Chyba nie dam rady... – wyszeptał.

Kiedy przychodził tu z Zuzą, zawsze po odwiedzeniu grobu matki w pośpiechu opuszczali cmentarz. Konrad musiał odciąć się od przeszłości, zakopać w nawale codziennych spraw. „Chodźmy do kina, na żywy, na obiad. Chodźmy gdziekolwiek”.

Dzisiaj nie miał przy sobie Zuzy. Co więcej, jakiś czas temu przestał uciekać. Zrozumiał, że jedynym sposobem, by wyjść na prostą, jest stawienie czoła dawnym demonom.

Jego serce zabiło mocniej.

– Ja pierdolę... – powiedział, szukając po kieszeniach tabletek na uspokojenie przepisanych mu przez doktora Maciejewskiego. Stara paczka, którą trzymał w domu na wszelki wypadek. Termin ważności upłynął kilka miesięcy temu.

Wysypał na dłoń parę pigułek, bez zastanowienia połknął dwie. Trochę za dużo.

Usiadł na ławce sąsiedniego nagrobka, próbując zebrać siły.

Chwila modlitwy. Pięć minut na pozbieranie się do kupy.

– No dobra. – Wstał z siedziska i ruszył w stronę głównej alejki.

Ojca Kroona nie złożono do grobowca rodziny Walewskich. Nie po tym, co zrobił swojej żonie.

Edmund Kroon spoczął w najdalszej części wrzeszczańskiego cmentarza pod skromną, oznaczoną jedynie samotnym drewnianym krzyżem, ziemną mogiłą.

– Nienawidzę cię... – oznajmił Konrad, gdy tylko doszedł na miejsce.

Na grobie paliła się pojedyncza świeczka.

– A ten dalej swoje... – mruknął, ujrawszy znicz. Wujek Kroona, brat zamordowanej matki, zawsze ostentacyjnie manifestował swe chrześcijańskie miłosierdzie.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Kroon nie zamierzał wybaczyć. Przyszedł tu zmierzyć się z przeszłością, a nie ją rozgrzeszyć.

– Nienawidzę cię, skurwysynu.

Usiadł na ławce i spojrzął na krzyż. Tyle cierpienia. Kiedy wracał do domu, nigdy nie wiedział, co w nim zastanie.

Poczuł, jak kręci mu się w głowie.

Widział ojca, który tłukł pasem sine ciało płaczącej kobiety. Rozbity telewizor, którym w napadzie furii rzucił o kredens. Upiorną twarz i zimne dłonie, które w środku nocy wyciągnęły go z łóżka, by bredzić o końcu świata.

Obrazy przelatywały mu przed oczyma. Spoglądał na cmentarny las, obserwując wydarzenia z dawnych lat. Duchy ludzi przemykające pomiędzy drzewami. Przerażliwa projekcja zbłąkanego umysłu.

Nagle gdzieś w oddali dostrzegł kontur białego jelenia. To była nadzieja. Iskra dobroci, srebrzysty promień światła pokonujący ciemność nocy.

Konrad wstał z ławki. Chciał za nim pobiec, ale nie zdążył.

Z lasu wyłonił się Fender. Kroon nie wiedział, skąd się tu, do cholery, wziął. Przecież zostawił go w mieszkaniu, zamknął za sobą drzwi, jeszcze z podjazdu widział, jak waruje w oknie. Odkąd w zesze

wakacje zgubił husky w lesie, nigdy więcej nie zabierał go na spacer bez smyczy.

Świetlisty jelen. Symbol innego, lepszego świata. Znak, że wszystko się w końcu ułoży.

Widmo Fendera skoczyło na niebiańskiego rogowca, dopadło jego szyi, wgrzyzło się w ciało.

– Fender, nie! – wrzasnął Konrad.

Po śnieżnej skórce zwierzęcia spłynęła krew. Jeleń upadł, nawet nie zdążył zakwilić. Husky wygryzł mu serce, po czym obrócił się w stronę Kroona.

– Coś ty zrobił? Coś ty najlepszego zrobił? – załkał mężczyzna.

Widmo psa z wolna kroczyło w jego stronę. Fender zatrzymał się przy grobie. Tuż obok krzyża znajdowało się wejście do głębokiej jamy. Poprawił w pysku serce jelenia i schował pod ziemię.

LENA

Jechała kolejką w stronę śródmieścia. Na uniwersytet najwygodniej dojeżdżała jej się właśnie w ten sposób: sześć przystanków, krótki spacer przez Główne Miasto i już była w domu. U Oskara znaczy.

We Wrzeszczu dosiadł się jej brat.

– Grzesiek?

– Lena? O kurwa, Lena.

Nie wyglądał najlepiej.

– A coś ty taki blady?

– Ja pierdole, stary do nas przyszedł.

Kolejką zatrzęsło.

– Jak to? W sensie na chatę?

– No na chatę.

– Przecież on ma zakaz zbliżania...

Grzesiek chwycił się mocniej poręczy.

– I co z tego?

– No to trzeba dzwonić na policję...

– Tyle nam ta cała twoja psiarnia pomogła! Stara zamknęła się w sobie, całymi dniami płacze.

A ojciec w dupie ma prokuratorskie zakazy.

Lena nie mogła tak tego zostawić.

– Grzesiek, jak stary ma zakaz, to to jest podstawa, żeby go zamknąć, czaisz?

– Tak, kurwa, i jeszcze co?

Do cholery jasnej, czy w całej rodzinie tylko ona jedna potrafiła rozwiązywać problemy?

– Przyszedł i co chciał?

– A chuj go wie. W szale był. Przyłazł ubrany w jakąś dziwną szmatę, w rękę trzymał maczetę...

– Co, kurwa?! – krzyknęła dziewczyna. – Maczetę?!

Grzesiek wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem, nóż jakiś.

– Groził wam?

Właściwie to nie groził. Ojciec nigdy im nie groził, nie wprost. Wykrzykiwał swoje nawiedzone hasła, cytował Biblię.

– Nic do nas nie mówił. Mamrotał coś pod nosem.

– Ale co zrobił z tą maczetą?

– Tylko ją trzymał. Usłyszałem, że ktoś się kręci po korytarzu, wyszedłem z pokoju, otworzyłem drzwi, a ten stał tam na klatce i coś pierdolił do siebie. W jednym ręku miał nóż, w drugim jakąś gałąź. I babrał te drzwi krwią...

– Ja pierdole! – Lenę irytowała indolencja brata. – Przecież to trzeba od razu było dzwonić na policję!

Chłopak przesunął się w głąb składu, aby ustąpić miejsca nowym pasażerom.

– I co by to dało, Lenka, co by to dało?! – krzyknął.

Orska podeszła bliżej Grzeska.

– By się nim zajęli jak trzeba.

– Słuchaj, on nic takiego nie zrobił. Uwalił te drzwi krwią, trochę pogadał do siebie i spierdolił z chaty. Zupełnie jakby mnie nie zauważył.

Silne zaburzenia urojeniowe.

– Stary ma zakaz zbliżania się do całej naszej rodziny.

– Nie mógłbym donieść na własnego ojca... – rzucił, przesuwając się ponownie w stronę drzwi.
Gdańsk Stocznia, jego stacja.

– Miało zboleć? – spytała dziewczyna. W końcu to ona złożyła doniesienie na policję.

– Kurwa, Lena, nie wiem... – Stanął tuż przy wyjściu.

Sygnal dźwiękowy, czerwone drzwi rozsunęły się na boki. Grzesiek wyskoczył na peron.

– Będiesz całe życie uciekał? Przed problemami? Przed wszystkim?

– Może powinienem. W końcu tego nauczyła mnie siostra. – Odwrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku metalowej kładki.

Uwaga była bolesna, ale nie do końca prawdziwa. Lena nie znosiła stać bezczynnie.

Spojrzała na znikającego Grzeska, chwilę później na pnące się w oddali dźwigi KONE. Musiała mu pokazać. Musiała im wszystkim pokazać. Każde zło należy napiętnować.

A potem ukarać.

FLARA

Od rana próbowała dodzwonić się do Kroona, ale ten nie odbierał. Dopiero koło dwunastej raczył do niej oddzwonić.

– Cześć, Flara – powiedział nad wyraz spokojnie.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

– W sądzie dziś jestem. Dopiero wyszedłem z wokandy.

Coś było nie tak. Chyba chodziło o ton jego głosu. Czegoś w nim brakowało.

– Mam jedną, dość palącą sprawę.

– No mów – polecił.

Zazwyczaj pozwoliłby sobie pewnie na choćby jeden głupi żart. Niestosowną uwagę, wesoły docinek. Tym razem zachowywał się jak każdy inny człowiek. Brakowało mu ikry, tego charakterystycznego akcentu, który kładł na niektóre wyrazy.

Flara знаła się na ludziach. W końcu od kilkunastu lat zajmowała się przemocą domową.

– Czy wszystko w porządku? – spytała z troską.

Kroon odruchowo dotknął czoła. Kilka dni temu stracił przytomność na cmentarzu, walnął głową o płytę nagrobną. Bolało jak cholera. Kiedy leżał na ziemi, przyśnił mu się wyjątkowo dziwny sen z Fenderem w roli głównej. Pies, który zwiastuje śmierć. Mówi się, że nasze koszmary nie biorą się znikąd. Jedni uważają je za przepowiednie, inni – za reminiscencje trudnych doświadczeń.

W wakacje srebrzysty husky pogonił jelenia i gdzieś się zgubił. Konrad znalazł go dopiero po kilku dniach. Teraz tamte emocje wracały. Kroon często wspominał ową nieprzyjemną letnią przygodę. Ale nigdy leżąc nieprzytomny pośrodku cmentarza. Potrzebował mocniejszych tabletek.

– Nic nie jest w porządku, Flara – odparł ze smutkiem.

– Czy ja... jakoś mogę pomóc? Chce pan pogadać?

Musiał się nad tym chwilę zastanowić. Po prostu potrzebował mocniejszych prochów. Albo tego, żeby Zuza wróciła.

– Mam trochę gorszy okres – rzucił krótko. – Ale dawaj, o co chodzi?

– Na pewno?

Każdy miewa gorsze okresy, ale nie Kroon. Nawet kiedy waliło mu się życie, umiał zachować pokerową twarz. Urodzony arogant.

– Na pewno to... – zaniemówił. – Flara, za chwilę znowu wchodzę na salę. Mów, z czym dzwonicz.

Nie chciał jej pomocy. Przez ostatnie kilkanaście lat Justyna nauczyła się słuchać, ale i nie narzucać. Dlatego wciąż była sama.

– Orski dostał szajby. Przyszedł do domu z maczetą i wysmarował drzwi krwią.

– Coś komuś zrobił?

– Podobno nie – odpowiedziała policjantka. – Jego córka zadzwoniła do mnie na komórkę. Nawet nie wchodził do środka. Stanął na korytarzu i umazał drzwi krwią.

– Grubo – podsumował Kroon.

– Czy robimy to, co myślę?

W takich sytuacjach trudno mieć wątpliwości co do tego, jak postąpić.

– Orskiemu przydzielono obrończynię z urzędu. Pewnie ją znasz. Patrycja Radke.

Oczywiście, że ją znała. W zeszłym roku zajmowały się razem sprawą śmierci Weroniki Zatorskiej. Modelowo poprowadzonym śledztwem, w którym choć zrobili wszystko, co trzeba, to i tak nie odkryli prawdy. Zbrodnia doskonała.

– Znam – odpowiedziała Flara.

– Przedzwoń do mnie, jak go złapiecie. Ustalimy godzinę przesłuchania. A potem dryndnij do Radke.

PATRYCJA RADKE

Zjechała do prokuratury, kiedy Orski siedział jeszcze w izbie zatrzymań. Do tej pory nie zapoznała się z materiałem dowodowym, Kroon zaprosił ją więc, żeby przyjechała wcześniej.

Od czasu sprawy Zatorskiej jakoś nie mieli okazji się spotkać. Aż dziw, że nigdy nie wpadli na siebie na sądowym korytarzu.

Weszła do jego gabinetu.

– Dzień dobry.

Kroon siedział przed komputerem i wpatrywał się w monitor. Przystojny facet po czterdziestce, elegancki garnitur, wypastowane buty. Ani jednego siwego włosa, na twarzy lekki zarost.

– Dzień dobry. Proszę się nie bać, nie gryzie ludzi.

Dopiero wtedy go dostrzegła. Na ziemi obok biurka wypoczywał srebrzysty husky.

– Nie boję się psów.

Podeszła kilka kroków bliżej i wyciągnęła prawą dłoń. Fender uniósł pysk, by polizać nieznajomą.

– A to nowość – stwierdził zdziwiony Kroon. – Raczej nie reaguje na obcych.

– Przecież ja nie jestem obca – odparła całkiem wesoło Radke. Kiedyś krępowała się doświadczonego prokuratora; obecność zwierzęcia pozwoliła jej jednak zapomnieć o zwyczajowym wstydzie. – Wie, że prowadzimy razem sprawy. Widzi pan?

Konrad spojrział na swojego podopiecznego. Fender bez problemu dawał się drapać pod pyskiem.

– Faktycznie.

– Będziemy przesłuchiwać we trójkę? – spytała mecenas.

Kroon delikatnie uniósł kącik ust.

– Na czas czynności zaprowadzę go do innego gabinetu. Jeszcze by mi potem zarzucili, że wymuszam zeznania.

– A wymusza pan? – Oczekiwała jakiegoś żartu. W końcu Kroon nigdy nie pozbywał się swojej zwyczajowej ironii.

– Nie wymuszam.

KONRAD KROON

– Stuk-puk – powiedziała Flara, wchodząc do gabinetu. – Przywieźliśmy Orskiego.

– Cudownie. Pani mecenas właśnie skończyła zapoznawać się z aktami – wyjaśnił Kroon.

Flara zmierzyła młodą adwokat wzrokiem. Kiedy ostatni raz przyszło im ze sobą pracować, rozstały się w raczej nieprzyjemnej atmosferze.

– I co tam pani wyczytała w aktach? Zrobiliśmy wszystko jak należy? Czy może znów umknął nam jakiś ważny dowód? – rzuciła złośliwie Flarkowska.

– Pije pani do tego, że ostatnio zapomnieliście o mordercy? – odgryzła się Patrycja.

Policjantka uniosła rękę.

– Poddaję się.

Na twarz Kroona znów wstąpił lekki uśmiech. Towarzystwo poprawiło mu nieco humor.

– Bałem się, że będę was musiał rozdzielać.

– Pani Flarkowska ma przy sobie broń – zauważyła Radke. – To byłaby nierówna walka.

Konrad wyszczerzył zęby.

– W naszej branży rzadko kiedy ktoś walczy jak rycerz.

– To fakt – odpowiedziały niemal jednogłośnie.

Prokurator skinął na Fendera. Pies posłusznie wstał z podłogi.

– Powiedz, proszę, na czym stoimy. Jakież nowe okoliczności?

Flara przysiadła na wysokiej kupie akt. Prowizoryczny mebel, który za cholerę nie chciał zniknąć.

– Chłopaki zwinęły go z jakiejś kanciapy na stoczni. Dorabiał tam jako cieć.

– Coś mówił? – spytał mężczyzna.

– Nie. Nawet nie chciał podać, jak się nazywa. Wygląda, jakby... zresztą sami zobaczycie. Jakby dostał katatonii. Porusza się, ale wzrok ma nieobecny.

Fender oparł pysk o kolano swego pana.

– Przedzwonię do sądu, żeby ściągnęli jakiegoś psychologa na przesłuchanie. Jest w ogóle zdolny do udziału w czynnościach?

Policjantka wzruszyła ramionami.

– Chodzi, reaguje, ale nie mówi.

Prokurator westchnął.

– No trudno. Przesłuchać i tak go musimy.

– W chwili zatrzymania miał przy sobie nóż oraz jakąś dziwną szatę. Obie umazane krwią. Zabezpieczyliśmy je do badań.

– Coś jeszcze?

– Biblia. Stare wydanie. Chce pan zerknąć?

Kroon pokręcił głową.

– Miałem przyjemność kiedyś czytać – rzucił, wychodząc na korytarz.

*

Kroon odstawił Fendera i wrócił do gabinetu. Chwilę później wprowadzono Orskiego.

– Pani mecenas gotowa? – spytał Konrad.

– Gotowa.

Policjanci pomogli mężczyźnie usiąść. Podejrzany nieustannie wpatrywał się w swoje stopy.

– Nie jest panu zimno? – spytała z troską Patrycja. Paskowe sandały nie były najlepszym wyborem na listopadową słotę.

Podejrzany milczał.

– Panie Hieronimie, mieliśmy już wcześniej przyjemność. Dane osobowe są w aktach. Pozostaje ogłosić mi kolejny zarzut, tym razem dotyczący gróźb.

– Chodzi o...? – spytała Patrycja.

– Krew na drzwiach. Intepretuję to jako gróźbę naruszenia czynności narządów ciała.

Mecenas skinęła głową.

– W tym zakresie stanowisko obrony...

– Pani mecenas, domyślam się, jakie jest stanowisko obrony – przerwał jej w pół słowa Kroon. – Moim zdaniem gróźba nie musi zostać zwerbalizowana, by wywołać uzasadnioną okolicznościami obawę jej spełnienia.

– Naturalnie nie przyznajemy się do popełnienia tego czynu. Panie Hieronimie?

Mężczyzna nie odpowiedział. W dalszym ciągu obserwował swoje stopy i coś mamrotał.

– Zapiszę w protokole, że podejrzany nie ustosunkowuje się do treści zarzutu. Tak chyba najlepiej oddam jego aktualne stanowisko procesowe.

Patrycja spojrzała raz jeszcze na swojego klienta. Przypominał potężną, glinianą figurę.

– No chyba tak – odparła adwokatka.

W tym momencie Hieronim niespodziewanie się ożywił. Zerknął najpierw na swoją obrończynię, później na prokuratora.

– Pytał pan mnie, czymże jest prawda – powiedział, patrząc Kroonowi głęboko w oczy. Wsadził palec do ust, skąd wyciągnął niewielką karteczkę. Położył ją na biurku.

– *Emet* – przeczytała Patrycja. – Co to znaczy?

– Po hebrajsku „prawda” – wyjaśnił Konrad. Zakrył długopisem pierwszą literę. – A teraz?

– *Met* – rzekł poważnie Orski. – Czyli...

– Śmierć.

*

Posiedzenie aresztowe wyznaczono na następny dzień. Tego ranka słońce przesłaniały gęste chmury i mimo mocnego przeszklenia w budynku sądu trzeba było palić światło.

– Dostałem faksem wstępną opinię odnośnie do stanu zdrowia Orskiego – powiedział Kroon, przekazując sędzi Grażeli wydruk komputerowy. – Na razie tylko faks.

– Lepszy rydz niż nic – stwierdziła kobieta. – Pani mecenas chce się zapoznać?

Patrycja przejęła kartkę. Dokładnie przestudiowała dokument.

– Dziękuję. – Oddała przewodniczącej wstępną opinię.

– Czekamy jeszcze na biegłą Krawczyńską i będziemy zaczynać. Jak się dzisiaj czuje klient?

– Podobno dalej milczy – wyjaśniła Radke. – Tak przynajmniej mówił funkcjonariusz.

– Dzień dobry, już jestem! – krzyknęła rudowłosa kobieta w okularach o grubych pomarańczowych oprawkach.

– No to mamy komplet. Możemy zaczynać.

Policjanci wprowadzili podejrzanego do sali rozpraw. Sędzia oficjalnie otworzyła posiedzenie i zwróciła się do Orskiego celem odebrania jego danych osobowych. Mężczyzna milczał.

– Proszę zaprotokołować: tożsamość mężczyzny, doprowadzonego przez funkcjonariuszy Trzeciego Komisariatu Policji w Gdańsku, ustalono na podstawie dowodu osobistego, seria... numer...

Kroon zajął miejsce po lewej stronie sali, mecenas Radke siedziała naprzeciwko. Tuż za nią, w tak zwanej „klatce”, usadzono Orskiego. Biegła przycupnęła na ławce dla świadków.

– Proszę prokuratora o odczytanie wniosku.

Konrad podniósł się z ławy, wygładził togę.

– Prokuratura Rejonowa Gdańsk-Wrzeszcz w Gdańsku wnosi o zastosowanie wobec Hieronima Orskiego, podejrzanego o to, że w dniu... środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania na okres trzech miesięcy od dnia zatrzymania, to jest od dnia... Stosownie do wydanej w sprawie wstępnej opinii biegłych wnoszę o umieszczenie podejrzanego na oddziale więziennym Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Starogardzie Gdańskim.

Następnie Kroon przeszedł do zwięzłego uzasadnienia wniosku.

– Jakie jest stanowisko obrony? – spytała przewodnicząca.

Patrycja podniosła się z ławy i wniosła o zastosowanie środka o charakterze nieizolacyjnym. Dobrze wiedziała, że Orski musi trafić za kratki. Jej rola jako obrończyni sprowadzała się jednak do bezwzględного dbania o interesy klienta. Nie o interes pokrzywdzonych, interes społeczny, bezpieczeństwo publiczne. Wyłącznie o interes klienta. Nawet jeśli on sam pragnął sobie zaszkodzić. Każdy ma prawo do obrony.

– Dziękuję – odpowiedziała Grażela. – Czy pan podejrzanym chciałby coś powiedzieć?

Nikt nie spodziewał się, że odpowie. Wtedy jednak Orski wyprostował się dumnie i spojrzał na Kroona.

Konrad miał wrażenie, że w tej chwili w sali znajduje się tylko ich dwójka. Że Grażela, Radke, policjanci z patrolu czy biegła Krawczyńska nie istnieją. Że czas zwolnił, świat się zatrzymał i bacznie przyglądał owej teatralnej scenie.

– „Serce faraona jest twarde, wzbrania się wypuścić lud. Idź do faraona rano, gdy wyjdzie nad wodę, pośpiesz mu na spotkanie na brzeg Nilu. Weź do ręki laskę, która zamieniła się w węża. Powiedz mu: Pan, Bóg Hebrajczyków, posłał mnie do ciebie z rozkazem: Wypuść lud mój, by Mi oddał cześć na pustyni!”⁵³ – wyrecytował z pamięci Orski.

Kroon widział, jak przekrwione oczy mężczyzny wywracają się na drugą stronę. Zdawał się patrzeć na prokuratora samymi białkami, wsparty dłońmi o drewnianą ławę.

To było prorocтво, przesłanie adresowane wyłącznie do niego.

– Panie Orski, proszę o spokój! – powiedziała stanowczo przewodnicząca.

Podejrzanym jej jednak nie słuchał. Tak samo zresztą jak Konrad.

Stali tam razem we dwójkę, na przeciwległych końcach sali. Obaj znali te słowa, czytali je dziesiątki, jeśli nie setki razy. Każdy z nich interpretował ów fragment zupełnie inaczej.

– „Oto dotąd nie posłuchałeś Mnie!” – wykrzyknął Propheta.

Konrad czuł, jak silny głos mężczyzny odbija się od surowych ścian sądowej sali. Gniew

sprawiedliwych.

– Panie Orski, proszę zająć miejsce w ławie!

Podejrzany wyskoczył z klatki i rzucił się w stronę Kroona. W ostatniej chwili policjant chwycił go za koszulę i wciągnął z powrotem do ławy.

– Panie Orski! – krzyknęła sędzia.

Propheta wpatrywał się martwymi oczyma w Konrada i recytował:

– „Tak mówi Pan: Po tym poznasz, że Ja jestem Panem”. – Trzasnął pięścią w oparcie siedziska. – „Oto uderzę laską, którą mam w ręce, wody Nilu, a zamienią się w krew”⁵⁴.

Podejrzany zamilkł. Jego ciałem wstrząsnęły dreszcze, wyczerpany osunął się na ziemię.

– Pani Kasiu, proszę pilnie wezwać karetkę! – poleciła sędzia.

Kroon siedział w ławie, wciąż słysząc słowa prorocstwa. „Uderzę laską, którą mam w ręce, wody Nilu, a zamienią się w krew”.

Rozdział 18 | Listopad

KONRAD KROON

Wszędzie słyszał tę cholerną muzykę. Charakterystyczny rapsodyjny ozdobnik zagrany na górnych klawiszach klawiatury. *Toccata* Jana Sebastiana Bacha.

Melodia prześladowała go od dłuższego czasu; pojawiała się nagle, nie wiedzieć skąd i po co, najczęściej wtedy, gdy był sam.

Konrad czuł, że odpływa. Systematycznie, powoli, nieuchronnie. Właściwie od młodości miał lekkie problemy z głową, ale zawsze jakoś dawał radę. Przez ostatnich kilkanaście lat bardzo pomagała mu Zuza.

– Ja pierdolę, czemu musiałeś wyjechać? Czemu właśnie teraz? – westchnął, wychodząc ze sklepu. Szara ulica, kałuże, rozmazane światła aut. A w tle ciągle te same dźwięki. *Toccata*.

– Przepraszam.

Ze wszystkich czterech pór roku najgorzej czuł się jesienią.

– Przepraszam! – powtórzyła kobieta. – W przejściu pan stoi! Drogę zastawia!

Dopiero teraz do niego dotarło.

– Proszę wybaczyć – odpowiedział, przesuając się na bok.

Musiał stanąć na nogi. I właśnie to planował zrobić.

*

Doktor Maciejewski wcisnął go pomiędzy innych pacjentów. W końcu zbyt długo się znali, by kazał mu czekać.

– Cześć, Konrad. Wyglądasz chujowo.

– I tak się też czuję.

– Zuza na wakacjach? – spytał lekarz.

– No właśnie. Zuza w Stanach, do tego byłem na grobie starego... Ja pierdolę, Zbyszek, sypię się. Nie śpię, nie kontaktuję, żyć mi się nie chce.

Doktor mierzył go wzrokiem. Obserwacja zachowania stanowiła ważną część wywiadu. A Kroon leczył od dawna.

– Przykro mi to słyszeć. Ale naprostujemy cię, chłopie!

– Brałem to, co ostatnio, nie pomogło – powiedział Konrad.

– To przepiszę ci więcej. Albo podziałamy czymś innym.

Kroon podniósł z jego biurka jakiś kolorowy magazyn. Na okładce dwie zadowolone twarze.

– Podziałajmy jak najszybciej, Zbychu. Bo krucho ze mną...

– Nie bój żaby. Jeszcze będziesz wyglądał jak ci ze zdjęcia.

MAJA

W listopadzie Ulica Elektryków w niczym nie przypominała siebie samej ze środka sezonu. Imprezy odbywały się wprawdzie regularnie, ale głównie pod dachem. Przychodziło na nie znacznie mniej ludzi niż w wakacje.

– Cześć, chłopaku. Masz coś fajnego? – spytała.

– A co by cię interesowało? – Młodzieniec nie odwrócił wzroku. Wciąż wpatrywał się w bar.

– Bo ja wiem? Ciepłe słowo?

Sebastian spojrzał na nieznajomą.

– Majka? O kurwa...

– Idziemy do kibla czy tu chcesz gadać? Bo ja chcę gadać.

Diler zaczął nerwowo pocierać twarz.

– Serio teraz nie mam bani do takich akcji...

– Ziomuś, jak tak będziesz się zachowywał, to wszyscy skumają, że coś odpierdalasz. A teraz zabieraj grzecznie torbę z cukierkami i napieraj do klopa.

No i co miał zrobić? Sebastian czuł, że jest w kropce. Zeskoczył z hokera i pomaszerował za policjantką.

Trzasnęły drzwi do kabiny.

– Wolałbym nie spotykać się tak na mieście.

– To co, wolałbyś, żebym zrobiła ci wjazd na chatę? Herbatka, ciasteczka...

– Kurwa, niespokojny czas teraz – wyjaśnił diler. – Nie powinienem rozmawiać z psami.

Dziewczyna bezradnie rozłożyła ręce.

– Cały problem, że na tym właśnie polega nasza umowa. Że sobie od czasu do czasu pogawędzimy.

– No nie wiem...

Maja złapała go za policzek.

– Ale ja wiem. Sprawa jest prosta. Twój szef miał kosę z jakimś Lewandowskim. Zapisz to sobie albo wbij do pały. Klaudiusz Lewandowski.

– Nie znam typa.

– I raczej nie poznasz. Leży w śpiączce w szpitalu. Rozbił się na drzewie, ktoś upozorował wypadek.

I ja chcę wiedzieć, co Nazaret miał z tym wspólnego.

PROPHETA

Konrad obudził się jakoś nad ranem. Tak mu się przynajmniej wydawało. Na zewnątrz wciąż panowała ciemność, rozświetlana jedynie blaskiem latarni. Spojrzał na zegarek. Trzecia w nocy.

Przewrócił się na drugi bok, próbując zasnąć. Nic z tego.

„Czy ja wziąłem tabletki?“, pomyślał. Na ulotce każdego leku widnieje informacja, iż w razie pominięcia dawki nie należy stosować dawki podwójnej.

Kroon wyskoczył z łóżka, owinął się kołdrą i poszedł do kuchni. Połknął pigułę, nalał wody z kranu, popił obficie.

Zamiast do sypialni zawędrował do salonu. Ułożył się na kanapie, schował pod pierzynę i wpatrując się w okno, próbował zasnąć. Za szybą widać było ciemny nadmorski las, kawałek dalej czarną plamę Bałtyku.

Ciężko zamknął powieki. Ziarenka piasku przemierzały butlę klepsydry. Minuta po minucie. Kwadrans po kwadransie.

„Cholera. Noc z głowy”.

Zasnął ledwie na chwilę, by już po sekundzie odzyskać świadomość. Ktoś hałasował. Któryś z sąsiadów grał na pianinie. *Toccata*. Jan Sebastian Bach.

„Serio? O tej porze?” Za chwilę zadzwoni na policję. Zakłócanie ciszy nocnej. Tyle tylko, że wtedy na pewno by już nie zasnął. Nie wolno się rozbudzać, nie wolno się rozbudzać...

Bił się z myślami, co zrobić. „Do cholery, po to płacę za ochronę budynku, żeby pilnowała takich rzeczy!”

Musi pogonić ciecica.

Otworzył oczy. Za oknem coś się ruszyło. Listopadowa wichura. Wiatr potrząsał gałęziami drzew.

– I tak dziś nie pośpię – sapnął ciężko.

Otworzył oczy. Na zewnątrz wciąż panował mrok.

– Może w telewizji będzie jakiś mecz...

Otworzył oczy. Trzeci raz uniósł powieki, lecz w dalszym ciągu śnił.

– O kurwa...

Za oknem na tarasie stała jakaś postać. Wysoka, zakapturzona sylwetka.

Otworzył oczy. Podniósł się na łokciach, zsunął kołdrę.

– „Rozwarli na mnie usta niecne i podstępne” – wyrecytował Propheta. – „Mówili ze mną językiem kłamliwym, osaczyli mnie nienawistnymi słowami i bez przyczyny mnie napastowali”⁵⁵.

– To nie możesz być ty...

Według wszelkich prawideł fizyki to nie mógł być on. Hieronim Orski został umieszczony na oddziale więziennym Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Starogardzie Gdańskim.

– „Oskarżali mnie w zamian za miłość moją; a ja się modliłem. Odplacili mi złem za dobre i nienawiścią za moją miłość”⁵⁶ – kontynuował mężczyzna.

– To się nie dzieje naprawdę. Przecież ty...

Wiedział, że to nie sen. Obraz wydawał się tak realny, doznania tak prawdziwe. Podejrzany wy dostał

się z aresztu.

– „Niech Pan zapamięta winę jego ojców, niech grzech jego matki nie będzie zgładzony! Niech zawsze stoją przed Panem i niech On wykorzeni z ziemi pamięć o nim”57.

– Kto cię wypuścił? Przecież tylko ja mogę...

Propheta znajdował się teraz na progu salonu. W niewytłumaczalny sposób pokonał balkonową szybę, zupełnie nie naruszając jej konstrukcji. Stał wewnątrz mieszkania, z grubej wełnianej szaty skapywały ciężkie krople jesiennego deszczu.

– „Niech się odzieje przekleństwem jak szatą; niech ono przeniknie jak woda do jego wnętrzości i jak oliwa wejdzie w jego kości!”58.

Z każdym wypowiedzianym zdaniem mężczyzna przysuwał się do Konrada. Obute w rzemikowe sandały stopy znaczyły parkiet mokrymi plamami.

Kroon zerwał się na nogi. W rogu pokoju, oparty o ścianę, stał jego kij do hokeja. Chwycił go.

Propheta uniósł dłoń i rozwarł palce. Spod paznokci zaczęła wypływać krew.

– „Taką niech mają zapłatę od Pana moi oskarżyciele, którzy przeciw mnie mówią złe rzeczy”59 – oświadczył, dotykając dłonią czoła prokuratora.

Konrad nie wiedział, jak to się stało. Nagle klęczał na podłodze, z dłońmi złożonymi do modlitwy, skronią naznaczoną krwawym stygmatem sprawiedliwości. Karmazynowy olej krzyżma.

– „Lecz Ty, Panie, mój Panie, ujmij się za mną przez wzgląd na Twoje imię; wybaw mnie, bo łaskawa jest Twoja dobroć”60 – odpowiedział Kroon. Psalm sto dziewiąty. Stare proroctwo, powtórzone przez ewangelistów w chwili największej zdrady.

– „Niech moi oskarżyciele odzieją się hańbą, niech się wstydem okryją jak płaszczem!”61 – wykrzyknął Orski.

Konrad otworzył oczy. Propheta oddalił się od niego, stał teraz na dywanie, skąpany we krwi. Białe, martwe oczy spoglądały na klęczącego prokuratora.

– Ty wiesz, kogo dotyczą te słowa – wychrypiął mężczyzna.

Oczywiście, że wiedział.

– Proroctwo Judasza.

– Tego, który pocałunkiem zdradził naszego Pana – podsumował Propheta. – Trzech judaszy odpłaci ci wkrótce za swe srebrniki.

MAJA

Tym razem nie wzięła go z zaskoczenia, ustawili się na mieście w jednej z galerii handlowych. Sebastian kilkakrotnie upewniał się, że nikt go nie śledzi, w końcu wszedł do umówionej sieciówki, wziął ze sobą kilka przypadkowych ubrań i wskoczył do przebieralni.

– Ty dalej rurki nosisz? – spytała Maja, włączając do tego samego boks. – *So ten years ago!*

– Dobra, nie mam dużo czasu – bąknął diler.

Policjantka podała mu kolorową koszulkę. Logo znanej stacji telewizyjnej, kiedyś głównie muzycznej, dziś głównie żadnej. *Video Killed the Radio Star*62. Wszystko przemija.

– Chciałabym, żebyś chociaż przymierzył.

Spojrzał na nią wilkiem.

– Nie będę się przed tobą rozbierał!

– Wlazłeś do przymierzalni, sprawdzasz, jak leżą nowe ciuchy... czego nie rozumiesz?

Czy to był podryw? Czy ta wścibska policjantka na niego leciała? Chuj jeden wie. Zaczął ściągać bluzę.

– Typie! Żartowałam! – Powstrzymała go gestem ręki. – Nawijaj o Lewandowskim.

Dobrze, że nie poczęstował jej jakimś drętwym damsko-męskim tekstem. Wtedy dopiero wyszedłby na idiotę.

– Lewan...

– No dawaj, dawaj! Nie mam całego dnia!

Jak dotarł do tego punktu, w którym sypał na policji, trząsł dupą przed Nazaretem, nie miał z tego absolutnie nic i jeszcze dawał sobą pomiatać? Kariera jak z *Breaking Bad*.

– Lewandowski robił z Nazaretem jakieś walki. Poznali się przez niejakiego Wójkego...

– Wójcickiego – poprawiła Maja.
– Tak, Wójcickiego. Lewandowski potrzebował potem pilnie pożyczyć kasę. To miała być szybka sprawa, ale się spierdoliło, Lewy narobił sobie długów.
Policjantka rozsiała się na niewielkim sklepowym taborecie. Oparła stopy o przeciwległą ścianę.
– A długi u Nazareta to nic przyjemnego – podsumowała.
– W chuj niefajnie. Szybka pożyczka, Lewy miał mu oddać do końca sierpnia, no ale...
– Nie oddał.
Sebastian wsadził dłonie do kieszeni.
– No nie. I Nazaret się wkurwił.
– Więc go skasował.
Dziewczyna dotknęła butem jego ramienia.
– Spierdalaj z tą brudną syrą! Koszulę mi upierdolisz!
Policjantka rzuciła w chłopaka sklepową koszulkę.
– Kupisz sobie nową.
Sebastian strzepnął brud z ramienia.
– Po jakim ty gównie chodzisz?
– Rowerem jeżdżę – bąknęła.
– W listopadzie? Popierdoliło cię? W taką pizdę?
– Sport to zdrowie! Nawijaj, bo jeszcze ktoś pomyśli, że robimy tu brzydkie rzeczy.
Brzydkie rzeczy. W sumie była całkiem fajna. Szkoda, że pies.
– Nazaret mu groził, to na pewno. Jeździł za nim po mieście, chciał odzyskać hajs. Ale podobno go nie zajeżał, bo Lewy wpierdolił się w drzewo.
Maja opuściła nogi na ziemię. Przyciągnęła Sebastiana do siebie.
– Przecież to nie Lewandowski prowadził samochód.
– Nie wiem, kto prowadził. Ale podobno Nazaret go nie zajeżał. Nie zdążył.
– A gdyby zdążył?
Sebastian uwolnił się od jej uścisku.
– Pewnie by go skasował. Zresztą nie wiem. Przecież nie powiedzieli mi wszystkiego. Nazaret teraz nikogo do siebie nie dopuszcza. Robi czystki w ekipie. Podobno ludzie sypią.
– Jeden na pewno sypie. Taki ryży diler...
– Nie jestem, kurwa, rudy! To ciemny blond!
Maja poklepała go po plecach.
– Mów tak sobie dalej. Rudi, kurwa, Schuberth.

KONRAD KROON

Po lekach wcale nie czuł się lepiej. Zegarek twierdził, że spał dobre dziewięć godzin; świadomość świadczyła o czymś zgoła innym. W nocy doświadczał dziwnych wizji, nieprzyjemnych spotkań, niecodziennych sytuacji. Trudno mu było wstać z łóżka, z trudem funkcjonował.

– Pan prokurator?
Przytłumione głosy, które wciąż coś od niego chciały.
– Pan prokurator Kroon?
Poczucie głębokiej derealizacji. Jak gdyby połowa zdarzeń z jego życia nie działa się naprawdę. Zupełnie jakby grał w jakimś cholernym śnie.
– Halo? Z tej strony dyżurny III Komisariatu Policji w Gdańsku. Czy pan prokurator Konrad Kroon?
Dyżur zdarzeniowy. Rzut oka na zegarek, czwarta nad ranem. Dlatego nic nie kumał.
– Kroon. Co się dzieje?
– Panie prokuratorze, trupa mamy. No nic takiego, zwykły wisielec, ale pewnie trzeba jechać. Do wisielca zawsze trzeba jechać.
– Możecie mnie zgarnąć? Samochód mi padł.
Blef. Po prostu bał się prowadzić. Wciąż czuł lekkie zawroty głowy.
– Flara ma dyżur... może zajechać z technikiem.
– A lekarz zajedzie?

– Storek? O tej porze? Wątpię.

„I weź tu nalej z pustego”, pomyślał Kroon, szybko przypominając sobie, co na ten temat mówił kodeks. Zewnętrznych oględzin ciała powinno się dokonać w obecności lekarza. A tych brakowało. Niezbyt wysokie stawki, za jakie pracowali biegli, zniechęcały do wyjazdów w środku nocy. Od wielu lat mówiło się o konieczności powołania koronerów. Mówiło się i mówiło... i jeszcze mówiło. Jak mówię, że coś zrobię, to znaczy, że mówię.

Przepis artykułu 209 § 2 Kodeksu postępowania karnego: oględzin zwłok dokonuje prokurator z udziałem biegłego lekarza, w miarę możliwości z zakresu medycyny sądowej.

Przepisy przepisami, „a tu rzeczywistość skrzeczy”.

– Powie pan Flarze, że czekam.

*

Starsza aspirant Justyna Flarkowska zajęła po Kroona razem z technikiem kryminalistyki służbowym fiatem ducato.

– Dzień dobry, panie prokuratorze...

– Chyba raczej dobry wieczór – poprawił ją technik.

Konrad władował się do auta, zapiął pasy.

– A może dobranoc?

Zajechali na miejsce ujawnienia zwłok.

– I co my tu mamy? – spytał Kroon.

Spokojna uliczka, zabudowa szeregowa. Przed drzwiami domu czekał policjant z patrolu.

– Jan Pachucki, rocznik czterdziesty szósty. Cierpiał na nowotwór, od dłuższego czasu mówił rodzinie, że zamierza ze sobą skończyć. Budził się kilka razy w środku nocy, miał problemy z prostatą...

Zadał silny wiatr.

– A kto w naszym wieku nie chodzi za potrzebą? – mruknął technik. – Pęcherz nie ten co kiedyś.

– Ja nie chodzę – powiedziała Flara.

– No ty nie... – bąknął funkcjonariusz.

Policjant z patrolu nie wiedział, czy może kontynuować.

– Pan mówi dalej – polecił Kroon.

– Żona zmarłego zaniepokoiła się, że nie wraca z toalety. Sprawdziła cały dom, znalazła go w ogrodzie. Powieszono koło drewni.

Konrad poprawił płaszcz. Było cholernie zimno, a on znów zapomniał czapki.

– Pogotowie przyjechało?

– Tak – odparł prędko policjant.

– Ślady działania osób trzecich?

Najważniejsza kwestia. Siedem złotych pytań kryminalistyki: Co? Gdzie? Kiedy? W jaki sposób? Dlaczego? Jakimi środkami? Kto?

Konrad wiedział, że musi poznać odpowiedź na wszystkie z nich.

– Nie ujawniono.

– Zatem... proszę przodem.

Przeszli do ogrodu. Ciało odcięto, ułożono na ziemi. Technik wykonał kilka fotografii, odsłonił szlafrok.

– Zwykły wisielec – podsumowała Flara.

– Przewróćcie go – polecił Kroon.

Żadnej nietypowej rany. Prokuratorowski chleb powszedni. Wiatr znów się wzmógł.

– Może to i lepiej – ocenił technik. – Przynajmniej się nie męczy.

– Zrobimy z Justyną oględziny miejsca ujawnienia zwłok, w międzyczasie dzwońcie po Zieleń. Pana i tak będzie trzeba otworzyć.

*

Właśnie zbierali się do auta, kiedy zadzwonił dyżurny.

– Panie prokuratorze, niestety mamy kolejne zdarzenie.

Konrad próbował osłonić się przed zimnem. Od dwóch dni na Wybrzeżu cholernie wiało. W ostatnich latach wichury zdarzały się coraz częściej. I wierz tu denialistom klimatycznym, że wszystko jest tak jak dawniej. Świat nie czekał; pędził nieubłaganie w stronę swego końca. Nie prosił o wybaczenie.

– Znowu trup? – spytał Konrad.

– Tak – odparł dyżurny. – Dwudziestoletnia dziewczyna, znaleziona na drzewie w parku nad Strzyżą.

– Powieszenie?

Dwóch wisielców podczas jednej zbyt wietrznej nocy. Cholerna wichura.

– Taaa jest...

*

– Ładna nawet – podsumowała Flarkowska, spoglądając na zdjęcie w dowodzie. Kroon sprawdzał ją właśnie na Facebooku.

– Studiowała na lekarskim.

– No to przynajmniej nie brakuje nam doktora Storka – mruknął prokurator. – Albo brakuje nieco mniej.

Technik zaświecił latarką.

Wiatr zaciął niemiłosiernie, policjant z trudem ściągał kawałki ubrania.

– Weź to trzymaj mocniej! – krzyknęła Flara, widząc, jak niebieski parawan, zasłaniający miejsce zbrodni przed wzrokiem ciekawskich, niemal odlatuje.

– A kto tu, do cholery, ją zobaczy? – warknął funkcjonariusz z prewencji.

– Co za pierdolony wiatr – zaklął technik.

Kroon otulił się mocniej płaszczem. Jutro będzie chory.

– Nie mogła się, kurwa, w domu powiesić? – bąknął policjant.

– Przekłęta noc – podsumował technik.

Prokurator przejął od Flary druk protokołu. Pospiesznie złożył swój podpis.

– Taksóweczka do ZMS-u. A ja muszę wziąć gorący prysznic, bo zaraz zamarznię.

*

Jechali przez budzące się powoli do życia miasta. Wciąż było jeszcze przed siódmą, słońce dopiero miało się wyłonić zza zasnutego szarymi chmurami widnokregu. Mieszkańcy południowych dzielnic starali się wyprzedzić korki.

Na ulicach leżało pełno powalonych drzew.

– Kaszubski wiatr – osądził technik.

Odwozili Kroona do domu, oczywiście bardziej z grzeczności niż z obowiązku. Ta noc dała im wszystkim niezłe popalić.

– Kiedyś tak nie wiało – przypomniała Flara. – A przynajmniej nie tak często.

Jechali Hallera w stronę Brzeźna. Kroonowi znów zadzwonił telefon.

– Panie prokuratorze, mam nadzieję, że pan jeszcze nie wysiadł z auta.

– Nie zdążyłem. Ale proszę nie mówić, że...

– Trzeci. Noż kuźwa, trzeci jak nic. Podaję adres...

Technik wbił dane do nawigacji.

– Moja babcia pochodzi z Kaszub – zaczął policjant. – Zresztą i ja stary Kaszuba jestem.

– Wiemy, Formela, wiemy. Nazwisko cię zdradza. – Flara głośno ziewnęła.

– Zawsze w domu mówiło się, że jak taki wiatr hula, to ludzie się będą wieszać.

Ludowa mądrość poparta latami obserwacji. Prawda przekazywana z dziada pradziada; opowieści znad srebrnej tabakiery.

Kroon wyłączył się z dyskusji. Jego myśli wróciły do zeszłej nocy. Dziwnego snu, z którego obudził się cały zlany potem.

– No i mamy trzech.

Trzech judaszy. Zdrada opłacona srebrnikami.

– Powiem wam tylko tyle – dorzucił technik. – Jak na Kaszubach wieje, to wieje...

*

– Sąsiadka codziennie przed pracą karmiła mu kota. No i zaszła do mieszkania, a ten wisiał na klamce w salonie. Najpierw nie mogła otworzyć drzwi...

Mieszkanie w czteropiętrowym PRL-owskim bloku.

– Dobrze się znali? – spytał Kroon.

– No chyba, jak to sąsiedzi – wyjaśnił policjant z patrolu. – Mogę zrobić rozpytanie...

– Za chwilę.

Weszli do środka.

– Nawet czysto – podsumowała Flara.

– Tak, żadnych niepokojących rzeczy nie ujawniliśmy.

Za oknem kołysały się drzewa.

– Tylko ten cholerny wiatr – wymamrotał technik. – Jak na Kaszubach wieje, to wieje.

– A te walizki to co? – Konrad wskazał palcem na dwie kabinówki.

Policjant był przygotowany na to pytanie.

– Kilka dni temu wrócił do kraju. Są naklejki z odprawy, siedział gdzieś w Hiszpanii. Lot miał z Alicante.

– A to oni nie zlikwidowali tego połączenia? – zdziwił się technik.

– Najwidoczniej nie...

W salonie czekała starsza funkcjonariuszka. Również patrol.

– Kawał chłopa – stwierdził sucho Kroon. Ciało mężczyzny ułożono pośrodku dużego pokoju.

– Jeden z sąsiadów odciął linę – wyjaśniła kobieta. – Myśleli, że da się go jeszcze uratować.

Stanęli wokół zwłok. Na oko czterdzieści lat, lekko zasinały, brak pełnego uzębienia.

– Znamy tożsamość pana? – spytał prokurator.

– Znamy, znamy – odparła policjantka z przewencji. – Znamy i bardzo się cieszymy z tej wycieczki na drugi świat. Denat może pochwalić się bogatą kartą karną. Zasłużony dla wymiaru sprawiedliwości.

– Nie kojarzę typu – stwierdziła Flara.

– Wykończyła go pogoda – wtrącił technik. – Jak na Kaszubach wieje, to wieje.

Funkcjonariuszka podała Kroonowi dowód osobisty zmarłego. Bartłomiej Orłowski.

„Rozwarli na mnie usta niecne i podstępne. Mówili ze mną językiem kłamliwym, osaczyli mnie nienawistnymi słowami i bez przyczyny mnie napastowali”⁶³.

– Po ryju też bym nie poznała – powiedziała policjantka. – Ale ksywa obijała mi się o uszy. Wołali na niego Fergus...

Rozdział 19 | Wrzesień

KLAUDIUSZ

– Ty piździelcu jebany! Ty zdradliwa kościelna kurwo!

– Oskar...

– Jesteście wszyscy bandą zakłamanych szmat! Nawet przyjaciołom wpierdalacie nóż w plecy! – wrzeszczał Wójcicki.

Całe szczęście rozmawiali przez telefon. Gdyby spotkali się w cztery oczy, z pewnością doszłoby do rękoczynów.

– Oskar, ja nie wiedziałem...

– Co ja ci takiego zrobiłem, że mnie wypierdoliłeś na taką minę?! Za co, kurwa, za co?!

– Tłumaczę ci! Nie wiedziałem! – krzyknął Klaudiusz. Prawdę powiedziawszy, wcale nie miał ochoty się bronić. Wiadomość od Oskara spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Powoli tracił nadzieję, że kiedykolwiek uda mu się uwolnić od rodziny Nawrockich i wyjść na prostą. – Jesteś pierwszą osobą, od której to słyszę!

Wójcicki mocno sapał.

– Pierwszą, ale nie ostatnią! Rozumiesz?! Jak przejebiecie te wybory i moi ludzie wejdą do rządu, to tak tego nie zostawię! Słyszysz mnie, piździelcu?!

Słowo „kryzys” składa się w języku chińskim z dwóch znaków: jeden oznacza niebezpieczeństwo, a drugi szansę. Szansa właśnie wymknęła im się bokiem. Pozostał wyłącznie pierwszy znak.

– Senator obiecał mi, że wszystkim się zajmie! – wrzeszczał Klaudiusz. – Jeśli serio ten przetarg nie wypalił, to mam tak samo przejebane jak ty! Albo nawet bardziej!

– Bardziej? Bardziej niż ja?! Ja, kurwa, władowałem w ten biznes tonę siana, a ty miałeś się tylko upewnić, że statek nie pójdzie na dno! TO BYŁA PEWNA SPRAWA!

– Oskar, ja przyjadę do ciebie. Czekaaj. Pogadamy...

– Nie masz psychy, żeby do mnie przyjechać! Bo jak tylko zobaczę ten twój zakłamany prawicowy ryj, to ci wyjebię żelazem w krtań, rozpierdolę na kafelkach, przybiję jaja gwoździami do ściany i będę okładał bejsbolem po twarzy tak długo, aż zrobię z ciebie przecier, pierdolony sos aioli, rzadszy niż sama woda, a potem ten cały szlam wyleję do kibla, napierdolę tam kwasu, żebyś zniknął ze świata, zanim dotrzesz do oczyszczalni na Ołowiance! Żeby, kurwa, twoje atomy wyparowały w niebyt, bo jesteś jebanym judaszem, zdrajcą, pierdolonym oszustem, a miejsce zdrajców jest w najgłębszym kręgu piekieł, już ja się upewnię, że ktoś się tobą zajmie, ktoś, kto nienawidzi takich zdradzieckich kurew równie mocno jak ja, takich jebanych świętoszków, faryzeuszy, którzy co tydzień biegają do kościoła, całują biskupa w palec...

– Kurwa, skończ tę całą nawijkę! – warknął Lewandowski. – JA PIERDOŁĘ! ZROZUMIAŁEM! I TAK SAMO JAK TY JESTEM W CZARNYM DUPSKU!

– Za ile srebrników mnie sprzedałeś, jebany judaszu?!

– Wydymali nas obu! Rozumiesz?! Tkwimy po uszy w tym samym rzadkim gównie!

Oskar powoli się uspokajał.

– Dzwon do teścia. Dowiedz się, o co, do kurwy nędzy, chodzi. A potem przywlecż ten twój jebany tyłek do mnie. Tylko pożegnaj wcześniej dzieci. Bo żywy stąd nie wyjdiesz.

LENA

Do Oskara lepiej się było nie zbliżać. Przyjaciel wystawił go do wiatru, przegrali jakiś ważny przetarg, Wójcicki chodził wściekły jak osa, ciągle wisiał na telefonie i rzucał kurwami.

Lena z trudem wytrzymała w domu. Ojciec coraz bardziej wariował, męczył matkę, nie dawał im wszystkim spokoju. Zastanawiała się, czy nie powinna czegoś z tym zrobić. Aktualnie nie miała jednak siły ani ochoty na ratowanie świata. Kryzys na chacie, kryzys u chłopaka, kryzys u Nataszy... Noż, ludzie! Ogarnijcie się!

Pierwsze dni września wciąż pachniały latem. Noce zrobiły się wprawdzie chłodniejsze, ale nadal miały ten cudowny wakacyjny posmak; weekendy na stoczni, dzikie i wolne, tłumy przy wejściu, tłumy na parkiecie.

Już za chwilę powieje zimniejszy wiatr, liście zmienią kolor, ale jeszcze nie teraz. Pan poczeka trochę z tym skandynawskim niżem, trzy miesiące upałów, dziewięć miesięcy jesiennej chandry, pan poczeka jeszcze z tydzień, bo przecież to lato nie może się ot tak skończyć, po prostu nie może. Przynajmniej nie teraz. Przynajmniej nie dziś.

Ostatnia ciepła sobota. Ostatnia szansa na znalezienie odwagi, by podbić do tej zajebistej laski, która ryła nam banię przez kilka sierpniowych weekendów; by podbić do tego ziomka, co pisał na Instagramie, a przecież niby nie mam do niego podjazdu. By jeszcze trochę posłuchać muzyki, zjarać parę blantów, by jeszcze raz wskoczyć na *dancefloor*; by zebrać te wszystkie wspomnienia i zdjęcia, zamknąć w słoiku, zalać lakiem i trzymać pod poduszką aż do pierwszej majowej nocy roku następnego, kiedy będziemy już zupełnie innymi ludźmi. Czas nie poczeka. Świat nie wybaczy.

– Jesteś, kicia! – zawołał Walczak, podchodząc do baru.

Lena stała oparta o kontuar. Przyszła tu z Julkiem, kupili od Grzeška kilka tabletek i poszli w tango.

– Hej, mordo! – Ją też szczerze ucieszył widok Piotrka.

– Mój ulubiony trójmiejski *gold digger* – osądził chłopak, przysuwając się do Orskiej. – I jak ten twój sponsor? Kupił ci już pierścionek? Złapałaś go na dziecko?

Kiedys pewnie by się obraziła. Teraz jednak podobne uwagi zupełnie jej nie ruszały. Wiedziała, że Walczak po prostu ma taki styl. Nie potrafił bez sprosnej nawijki.

– A ciebie żadna na dziecko jeszcze nie złapała? Przecież wsadzasz, gdzie popadnie...

Zarechotał.

– Wsadzam, ale wyciągam. – Podał jej drinka. – Jak ja, kurwa, nie znoszę jesieni. Tylko zrobi się chłodniej, zaraz wypierdalam za granicę. Zobaczysz. Październik, listopad, grudzień... będę siedział w wyjebanej willi i sączył aperolka. Już nigdy nie popełnię tego błędu, żeby zimować w Trójmieście.

Przezorność nakazuje wypłuć pewne wyrazy, nawet jeśli nie wierzy się w przesady. Piotrek nie wypuł. Za kilkanaście dni miał trafić przed oblicze prokuratora Kroona, by później zimować w areszcie na Kurkowej.

– Spoko opcja. Ja niestety mam studia.

Walczak rozłożył szeroko ręce. W jednej dłoni ścisnął kieliszek, w drugiej papierosa. Prawdziwy *bon vivant*.

– Zapraszam do mnie. Na Teneryfę, Zanzibar czy gdzie tam skończę. Wypierdolę się nad basenem, a chude cyncate laski będą zwiedzać mojego kutasa.

Lena wskazała palcem na jedną z imprezowiczek.

– Zdaje się, że ta ostatnio pojechała z tobą na taką właśnie jednonocną wycieczkę...

– Wiktorcia – odparł Walczak. – Taaa, z nią zawsze było czyściutko. Papieru nie musiałem używać. Wszystko wypolerowane...

Orska omal nie udławiła się drinkiem. Lubiła takie żarty.

– Ty to jesteś sprośna świnią...

Lena poklepała go po plecach. Piotrek zgrywał chama, ale w tej całej kreacji był nad wyraz szczerzy. Inaczej niż Oskar, inaczej niż Klaud, inaczej niż większość mężczyzn, których miała okazję ostatnio poznać.

– Ja się boję, że ty w końcu przelicytujesz, Piotrusi. – Oparła się o jego ramię. – Że życie cię dojedzie i stracisz ten swój cały czar.

– Prędzej umrę, niż przelicytuję, kociaku.

W tym momencie podszedł do nich jakiś mężczyzna. Całkiem umięśniony, raczej starszy, brakowało mu przedniej dwójki.

– Piotrusi! Co-u-ciebie słychać? – spytał nazbyt szybko, niepotrzebnie łącząc niektóre głoski.

– Fergus! Siemasz! – odpowiedział Walczak.

Gangster wyszczerzył kły.

– Nie przedstawisz mnie swojej koleżance?

– Gdzież moje maniery – palnął Piotrek. – Lena, to jest Fergus. Fergus, to jest Lena. Poznajcie się!

Wymienili uścisk dłoni. Fergus próbował pocałować dwudziestolatkę w policzek, ale ta się sprytnie odsunęła.

– Jesteś bardzo najs – ocenił mężczyzna. – Ale to chyba nie miejsce dla takich księżniczek, co?

– A gdzie jest miejsce dla takich księżniczek?

Fergus przejechał językiem po ustach. Dziewczynę obrzydził ten gest.

– W pałacu oczywiście. Albo wysokiej wieży.

– Jeszcze nie mam pałacu – zauważyła Lena. – Ale to tylko kwestia czasu.

– Nie wątpię, nie wątpię...

KONRAD KROON

Poszukiwania Fendera zdawały się nie przynosić żadnego skutku. Kroon miał wrażenie, że kręci się w kółko. Biegał po lasach, penetrował ulice, wrzucił ogłoszenie na różne facebookowe grupy, zwiedzał parki i skwery. Igła w stogu siana; samotny husky w ponadmilionowej aglomeracji.

Na koniec spaceru zawędrował do Oliwy, tam gdzie niegdyś stał jego rodzinny dom. Wśród gruzów kręcił się jakiś mężczyzna.

– Przepraszam, to teren prywatny...

Zaniemówił.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – odpowiedział jegomość. – To twoje dzieło?

Kroon przeskoczył przez płot.

– Wujku... znalazłeś go!

Pośrodku rumowiska, na zwalonej belce stropowej, przysiadł starszy mężczyzna. Kozia bródka, rogowe okulary, pod szyją koloratka.

– To on znalazł mnie – wyjaśnił ksiądz. – Wilk w wilczej skórze.

Na ziemi koło mężczyzny usadowił się srebrzysty husky.

– Fender, do mnie! Fender!

Zwierzę nie zareagowało. Ksiądz spojrzał dobrotliwie na swego siostrzeńca.

– Widzisz, wciąż nie potrafisz opiekować się innymi. Nigdy nie potrafiłeś.

Chwilowa radość, wywołana odnalezieniem czworonożnego przyjaciela, szybko ustąpiła miejsca zgoła innemu odczuciu. Tej samej emocji, którą zawsze wywoływał w nim wujek. Konrad poczuł strach.

– Domem też nie umiałeś się zająć. Serio, buldożer? Tylko na tyle cię stać? – kontynuował ksiądz Walewski. – I jeszcze do tego ten kundel. Powiedz, synu, po co ci to wszystko?

– Ja... nie wiem. Ja tylko próbuję...

– Całe życie próbowałeś. I całe życie gównu ci z tego wychodziło. O ile mnie pamięć nie myli, kiedyś już miałeś takiego pieska. Gibson? Pamiętasz, Konradku? Swojego najlepszego przyjaciela?

– Pamiętam...

Ksiądz z trudem podniósł się na nogi.

– Znakomicie. Zatem przypomnij sobie, proszę, jak skończył...

NAZARET

– Termin upłynął – rzekł smutno Nazaret. – A ja w dalszym ciągu nie otrzymałem pieniędzy.

– Znajdą się. Gwarantuję, że się znajdą.

Klaudiusz niemiłosiernie się pocił.

– Przetarg na elektrownie nie wypalił, teść odmówił pomocy. Twoje gwarancje bankowe przestały nagle istnieć.

Jeśli jeszcze niedawno palił mu się grunt pod nogami, to teraz tego gruntu tam po prostu nie było.

– Obiecuję, że ci wszystko oddam. Skeszuję się i oddam co do grosza!

– Problem w tym, że nie wiem, czy masz z czego.

Lewandowski w dalszym ciągu trzymał trochę kasy na egzotycznym koncie. Wiedział jednak, że te pieniądze nie zaspokoją gangstera. Zbyt mała kwota.

– Pożyczę od rodziny. Mój teść...

– Twój teść podobno cię nie lubi.

Kurwa. A więc i on wiedział.

– Słuchaj, to nie tak...

Nazaret przerwał mu władczym ruchem ręki.

– Módlmy się jednak, żeby teść chciał zachować w zdrowiu ojca swych wnuków. W zdrowiu lub chociaż przy życiu. To twoja jedyna nadzieja. Masz tydzień.

GRZEGORZ

Obudził się pośrodku ciemnego pomieszczenia. Leżał przywiązany do jakiegoś stołu, na oczy nasunięto mu przepaskę.

– Gdzie ja... – wydusił. Miał sucho w gardle, na wardze poczuł smak świeżo zaschniętej krwi.

Pospiesznie próbował odtworzyć w pamięci przebieg ostatnich wydarzeń. Impreza na stoczni, w B90 grał Żabson, a on dilował przed wejściem. Po koncercie został na afterze, zaczął pić z jakimiś ziomkami, wrywał laski. Grześkowi skończył się towar, wyszedł na zewnątrz, w aucie miał jeszcze trochę zapasów. Wtedy urwał mu się film.

– O ja pierdołę... – Poczuł mocny ból na potylicy.

Spróbował poruszyć kończynami. Nic z tego. Jego ręce i nogi zostały porządnie skrępowane.

– Hej, jest tu ktoś?! – zawołał.

Cisza.

Szybka analiza sytuacji. Mówią, że na złodzieju czapka gore. Grześkowi zdarzyło się ostatnio zwinąć to i owo. Prawdę powiedziawszy, od dłuższego czasu okradał swojego szefa. To nie były wielkie ilości, przecież nie chciał, żeby ktoś się skapnął, ale potrzebował trochę dorobić...

Usłyszał czyjeś kroki. Ciężkie uderzenia o betonową posadzkę.

– Ej, pogadajmy! Ja wszystko wytłumaczę!

Ktoś stanął tuż obok niego. Grzesiek poczuł na sobie ciepło ciężkiego męskiego oddechu. Napastnik nachylił się tuż nad jego półnagim ciałem. Chłopak leżał związany w ciemności, wyobraźnia dopowiadała resztę.

– To nie czas na wyznanie grzechów... – odpowiedział mu męski głos. – Twój Pan wie wszystko.

Fuck! Na mieście mówiło się, że Nazaret zaczął porządki wśród ludzi. Podobno ktoś na niego sypał. „Ja pierdołę – pomyślał Grzesiek. – W takim czasie go okradać?” Zajebisty timing. Nie mógł wybrać sobie gorszego momentu.

– Chcę pogadać z Rafałem! Zdejmijcie mi tę cholerną opaskę! Ja go nie wrobiłem! Nie gadam z psami! Nigdy nie gadałem z psami!

Mężczyzna milczał. Podeszedł do niewielkiej żeliwnej kozy, która ogrzewała pomieszczenie. Otworzył zasuwę. Z wnętrza pieca uderzył gorąc.

– Serio, ja się nie wysypałem! Nie jestem szcurem! Podobno Macias coś tam gadał z niebieskimi, ale ja nic nie wiem! Ej, ja chcę tylko pogadać! Noż kurwa!!!

Nieznajomy sięgnął po metalową szufłę. Zaczepnął nią trochę sadzy z żarem i rzucił pod sufit. Gorące drobiny węgla spadły na nagą skórę, znacząc ją dziesiątkami niewielkich oparzeń.

– Aaaaa! – zawył Grzesiek.

Mężczyzna znów zanurzył szufłę w piecu.

– Kurwa, to nie ja! Ja nic się nie wysypałem! Kurwa, musicie mi uwierzyć! Powiedzcie Nazaretowi...
Aaaaaa!

Ognisty deszcz znów zetknął się z jego zmarzniętym ciałem. Kilkanaście bolesnych wrzodów.

A jeśli tortura miała być dopiero wstępem do poważniejszej karni? Jeśli miał się stać przykładem dla innych? Jeśli chcieli go... zabić?

Grzesiek zdał sobie nagle sprawę, że oto może właśnie jego marne życie zmierza do rychłego kresu. Że jego dni są policzone, świat macha na pożegnanie. Żadnego przebaczenia.

– Kurwa, nie zabijajcie mnie! To nie ja! Ja nic nie powiem! Ja nic nie... Aaaaaa!

Kolejna porcja żaru wwierciła się w jego skórę. Ból był nie do wytrzymania. W tej chwili ciało chłopaka pokrywała ponad setka malutkich ranek.

Nieznajomy zamknął piec. Podeszedł do Grześka.

– Błagam, nie zabijajcie mnie! Ja nic nie powiem! Ja nic nie powiem!

Mężczyzna nachylił się nad jego uchem.

– To było jedynie ostrzeżenie. Prawdziwa plaga dopiero nadejdzie.

– Proszę, ja nic nie powiem! Nikomu nigdy nic nie powiem – wychlipał.

Oprawca przyłożył mu do ust wacik nasączony jakąś podejrzaną substancją. Młodzieniec stracił przytomność.

– Wiem, że nie powiesz – odpowiedział nieznajomy.

Rozdział 20 | Listopad

PROPHETA

Nie powinien był widzieć morza. Nie o tej porze, nie o tej godzinie. Nie przy tym zachmurzeniu.

Widział je jednak wyraźnie. Pomarańczowofioletowe fale Bałtyku rozбивały się o piaszczyste brzegi zatoki, wdzierały w głąb lądu, zalewały miasto powodzią kolorów. Ulicami Gdańska płynęły karmazynowe rzeki, czerwone od krwi, grzechu i rozczarowań. Nadmorski las przypominał egzotyczne namorzyny; korzenie drzew wyrastały z nieskończonego oceanu różowawych barw.

Melodia? Tak. Już gdzieś ją słyszał.

– „Ku mojej mądrości zwróć się, mój synu, ku mojej rozwadze nakłoń swe ucho, abyś zachował roztropność, twe usta niech strzegą rozsądku!”⁶⁴.

Organowa pieśń. *Toccata*.

Konrad obrócił się za siebie. Siedział na niewielkiej gałęzi, jego stopy dotykały kolorowego oceanu.

– „Bo miód wycieka z warg obcej, podniebienie jej gładkie jak olej, lecz w końcu będzie gorzka niby piołun i ostra jak miecz obosieczny”⁶⁵ – wyrecytował Propheta.

Mężczyzna stał na niewielkiej wysepce, która unosiła się ponad lustrem wody. Korzenie drzew przebijały ziemię, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć z purpurowej studni.

– „Jej nogi zstępują ku śmierci, do Szeolu zmierzają jej kroki, byś nie ujrzał drogi życia, jej ścieżki wiją się niedostrzegalnie”⁶⁶.

Kroon wątpił, by to wszystko działo się naprawdę. Choć gdyby nawet, i tak... nic to.

– Dlaczego nawiedzasz mnie w mych snach? Bo przecież – urwał na chwilę – bo przecież nie możesz być prawdziwy.

– Przychodzę, gdyż zostałem posłany. *Ego mitto vos sicut oves in medio leporum*. Jak owca między wilki.

Wyspa Prophety płynęła w stronę Konrada.

– Logiczne – wyszeptał prokurator. – Ale cóż chcesz mi powiedzieć? Wyjaśnić, co robię źle? Naprowadzić? Wskazać drogę?

– Tej nocy pragnę powiedzieć ci tylko jedno. Pragnienie owo z Pana się bierze, gdyż Pan włożył je w me serce, rozpalił ciało i umysł, a usta me skropił oliwą. Pan pragnie, byś wiedział, że oto gdy wstanie słońce, gdy dzień nadejdzie nowy, oto umrze twe serce przybite do krzyża. Serce twe zgaśnie pośród światła dnia, co budzi się później tam, skąd nadchodzi, lecz gaśnie wszędzie z tą samą mocą. To mówi Pan.

KONRAD KROON

W południe większość prokuratorów zeszła do biurowej kuchni. Za chwilę zapowiedziano naradę u szefowej, rozsądek nakazywał wyposażyć się w kawę. Magda nie lubiła długo mówić, ale tematów zwykle było sporo. Opierdól z Okręgu, nowe wytyczne, by pracować szybciej/lepiej/dłużej, w każdym korpo serwuje się te same gadki.

– Grudzień za pasem, a listopadowe wyniki leżą – podsumowała Nowicka.

– Dadzą nam ludzi, to się poprawimy – zachnął się Borucki.

Prokuratorka dołała sobie mleka.

– Przecież przysłali nam tego asesora. A potem zabrali Justynę w delegację. Znow wakat na śledztwach.

– Jak to mówią, co się polepszy, to się popieprzy – stwierdził Borucki.

Kroonowi zawibrowało w spodniach. Wyciągnął telefon. SMS od Zuzy.

Rzadko kiedy do niego pisała. Odkąd wyjechała do Stanów, raczej w ogóle się nie odzywała; sporadycznie korespondowali na Messengerze.

Spojrzał na zegarek. Dwunasta godzina. W Kalifornii musiała być chwila po trzeciej nad ranem. Pewnie dopiero kładła się spać.

Odblokował ekran.

Sorry, kocie, ale nie mam psychy, żeby powiedzieć Ci to w twarz. Wiem, że nie tak się kończy kilkunastoletni związek. Na dobrą sprawę jednak on się już skończył dawno temu. Albo zmierzał do końca.

W każdym razie gdzieś tam był koniec.

Sam wiesz, co jest nie tak. Widziałam, jak próbujesz się wykopać z przeszłości. Odgrzebać z nawału starych nawyków, problemów, zaszłości. Wiem, że robisz to głównie dla mnie. Ale jesteśmy innymi ludźmi. Innymi niż wtedy w Krakowie.

Myszę, że musisz pójść dalej, znaleźć w końcu jakiś cel, uwolnić się ode mnie. Ja nigdy nie dam Ci tego, czego pragniesz; na pewno też nie dam tego, czego potrzebujesz.

Ja też muszę pójść dalej. Nie wiem dokąd. Nie chcę tego planować/omawiać/analizować. Muszę żyć z dnia na dzień, wolna, nieskrępowana, nieoglądająca się na innych. Nigdy nie powinnam żyć z nikim w związku.

Dziękuję Ci za te wszystkie lata. Kiedyś naprawdę Cię kochałam, do samego końca lubiłam. Nigdy nie znałam bardziej fascynującej osoby. I pewnie nigdy już nie poznam.

Nie proszę, żebyś mi wybaczył, nie obiecuję, że kiedyś się jeszcze spotkamy. Jeśli nienawiść okaże się dla Ciebie najlepszym lekarstwem, proszę, przeklnij moje imię. Jeśli zapragniesz zapomnieć, wymaż mnie z pamięci. Zatoszcz się o siebie samego, tak jak ja zamierzam zatroszczyć się o siebie samą.

Nie dzwonię, nie czekam z rozstaniem do powrotu, bo tak mi po prostu łatwiej. Całe życie byłam tchórzem, jestem nim i dziś. Przez ostatnie kilka miesięcy bardzo poważnie się zastanawiałam, jak i kiedy to zrobić. Nie pytałam, czy muszę, bo na to jedno pytanie znałam akurat odpowiedź.

Nie proszę, byś mi wybaczył. Proszę, byś w końcu zatroszczył się o siebie. Byś zaczął żyć naprawdę.

Omam nie zemdleć. Koledzy gawędzili w najlepsze, serwowali odgrzewane żarty, a jemu właśnie waliło się życie.

Bez słów opuścił kuchnię.

– A ty dokąd, kolego?

– Zebranie za chwilę!

Nie odpowiedział. Aby nie upaść, musiał trzymać się ściany.

– Konrad?!

– Daj spokój, do kibla pewnie wyskoczył.

Doszedł do końca korytarza, przekręcił klucz w drzwiach. Ciężko opadł na fotel. Wyciągnął telefon i raz jeszcze spojrzął w wiadomość.

Nie proszę, żebyś mi wybaczył, nie obiecuję, że kiedyś jeszcze się spotkamy. Jeśli nienawiść okaże się dla Ciebie najlepszym lekarstwem, proszę, przeklnij moje imię. Jeśli zapragniesz zapomnieć, wymaż mnie z pamięci. Zatoszcz się o siebie samego, tak jak ja zamierzam zatroszczyć się o siebie samą.

Kurwa. To nie działa się naprawdę.

Sorry, kocie, ale nie mam psychy, żeby powiedzieć Ci to w twarz.

Przecież to nie był żart. Nie brzmiało jak żart.

Kliknął w ikonę kontaktu. Wykręcił jej numer.

– Zuza!

Trzy krótkie sygnały. Połączenie zostało odrzucone.

– Zuza!

Ponownie wcisnął ten sam znaczek.

Pik, pik, pik. Nie odebrała.

Błagam, nie dzwoń. Ja nie dam rady inaczej

– napisała po kilku sekundach.

Jeszcze raz wykręcił jej numer. Znów to samo.

To nie dzieje się naprawdę; to nie może się wydarzyć

– wystukał. Nie wiedział, co innego mógłby napisać. W ogóle nic nie wiedział.

To się właśnie wydarzyło; przepraszam.

Zadzwoił ponownie. Tym razem sygnał był zupełnie inny. Wyłączyła telefon.

– Kurwa, Zuza! ZUZA!!! ZUUUUZAAAAA!!!!

Nowicka weszła do jego pokoju.

– Wszystko w porządku? – spytała z troską.

– NIC NIE JEST W PORZĄDKU! WYJDŹ!

Prokuratorka szybko opuściła jego gabinet. Nigdy w życiu nie widziała go w takim stanie. Zalanego

łzami, bladego, tracącego zupełnie kontrolę. „Ktoś mu umarł. Pewnie wujek”, pomyślała. Postanowiła uszanować jego żalobę.

Konrad odczytywał słowa listu. Wyraz po wyrazie, zdanie po zdaniu.

Myślę, że musisz pójść dalej, znaleźć w końcu jakiś cel, uwolnić się ode mnie. Ja nigdy nie dam Ci tego, czego pragniesz; na pewno też nie dam tego, czego potrzebujesz.

Gdzieś z tyłu głowy wiedział, że taki będzie ich koniec. Robił wszystko, by odwlec to, co nieuchronne. Z lęku przed stratą pogrzebał dawnego siebie. Dwudziestokilkuletni buntownik zmienił się w czterdziestotrzyletniego konformistę. Samospelniająca się przepowiednia. Ucieczka przed odrzuceniem zawiodła go na skraj samotności.

Nie proszę, żebyś mi wybaczył, nie obiecuję, że kiedyś jeszcze się spotkamy. Jeśli nienawiść okaże się dla Ciebie najlepszym lekarstwem, proszę, przeklnij moje imię. Jeśli zapragniesz zapomnieć, wymaż mnie z pamięci. Zatroszcz się o siebie samego, tak jak ja zamierzam zatroszczyć się o siebie samą.

Musiał w końcu pomyśleć o sobie. Ale jak wyjść na prostą, jak zacząć nowe życie, kiedy nagle bez ostrzeżenia ktoś morduje twoje serce?

Rozdział 21 | Wrzesień

LENA

Ojciec znów urządził im awanturę. Całe popołudnie Lena czytała o sprawcach przemocy domowej. O przyczynach, objawach, środkach zaradczych. Nie wyglądało na to, żeby problemy miały rozwiązać się same. Dojrzywała do tego, by w końcu pójść na policję. By złożyć zawiadomienie. By przeciąć ten węzeł, który dusił ich rodzinę.

Wieczorem wyskoczyła z Julkiem na drinka. Natasza zaszyła się w domu; odkąd podjęła terapię, zrezygnowała z mocniejszych bodźców.

Lena nie zamierzała z niczego rezygnować.

– Jak tam ten twój Oskarek? – spytał Julek.

– A daj spokój. Przyjebał jakiś solidny fakap.

– W takiej branży fakap to chyba kulka w łeb, co?

Orska uniosła brwi.

– W jakiej branży?

– No wiesz... dobra, nieważne. Już się trochę nawaliłem. Muszę do kibla.

Siedziała w lekkim płaszczu. Na dworze zrobiło się już chłodniej, regularnie zacinął deszcz, ale bary dalej działały. Ulica Elektryków powoli żegnała się z sezonem.

– Liczyłem, że cię tu znajdę, księżniczko.

Spojrzała tam, skąd dobiegł głos. Fergus. Nieco szalony szef Piotra Walczaka, który przesiedział kilka lat za spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Podobno w ten sposób zemścił się na byłym koledze. Niebezpieczny typ.

– I proszę. Oto jestem.

– *Oto człowiek, co?* – spytał gangster.

– Nie kumam.

Fergus obdarował ją promiennym, szczerbatym uśmiechem.

– Tak mi powiedział jeden prokurator. *Ecce homo*. Że to niby z Biblii. Czytałaś kiedyś Biblię?

– Kurwa, kolejny – prychnęła.

– Nie lubisz książek?

– Serio, bajera na Stary Testament nie wjedzie. Wiem, że w dzisiejszych czasach trudno o oryginalność, ale akurat ten temat mam niezłe obcykany. I rzygam nim.

– Taka młoda, a taka mądra. Powiedz, ile ty właściwie masz lat?

Lena szukała wzrokiem Julka. Nie miała ochoty wdawać się w jakieś cringe'owe gadki.

– Dwadzieścia. A ty?

Fergus oblizał językiem rant kieliszka. Stary oblech.

– Nie wiem. Co roku się zmienia. – Wyszczrzył zęby.

Odsiecz w postaci Julka nie nadchodziła. „Pewnie dyma się z kimś w kiblu”, pomyślała Orska.

– Dobra, muszę lecieć...

Gangster złapał ją za rękę.

– Człowieku, zostaw mnie! Czego ty w ogóle chcesz?

Zaświeciły mu się oczy. Puścił jej dłoń.

– Chciałbym spełnić twoje zachcianki. Zrealizować jakieś marzenie. Bo zawróciłaś mi w głowie i już wiem, że nigdy nie uwolnię się spod twojego czaru.

Lena odeszła kilka kroków w stronę toalet.

– I co niby mógłbyś zrobić?

Fergus strzelił palcami.

– Dla ciebie? Wszystko. Nawet kogoś zabić.

KONRAD KROON

Powinien się cieszyć z odzyskania Fendera. W koszu z radością, na gruzowisku starego domu, znalazł jednak coś jeszcze. Pamiątkę z dawnych lat.

Wujek od zawsze budził w nim strach. Wyprowadził na ludzi, to prawda, ale jednocześnie zrujnował *psyche*. Nie przegnał koszmarów dzieciństwa, zamiast tego do długiej listy gnębiących chłopaka upiorów dołączył kilkanaście kolejnych.

Konrad położył się do łóżka. Wyciągnął z szafki jakieś piguły, które kiedyś dostał od Maciejewskiego. Nie powinien był brać ich bez konsultacji, ale *whatever*. I tak w końcu umrze.

Ziarenka piasku opadły na pościel. Sen nadszedł wyjątkowo szybko.

Znów zmienił się w chłopca. Chodził jeszcze do podstawówki, w telewizorze leciał *He-Man* i *Wojownicze Żółwie Ninja*. Konrad bawił się kupionymi w Pewexie klockami Lego. Pieniądze nigdy nie były u Kroonów problemem, rodzina ze strony Walewskich regularnie fundowała dzieciakowi drogie prezenty.

Pewnego dnia przybłąkał się do niego pies. Konrad myślał, że to wilk. W tajemnicy przed rodzicami przygarnął zwierzaka.

Kroonowie szybko zorientowali się, że w ich domu mieszka husky, ale odpuścili. Ojciec ciągle chodził nawiany, miał własne sprawy na głowie. Matka cieszyła się, że syn zyskał nowego przyjaciela. Konrad nadał mu imię: Gibson.

– Śpisz?

Spał. Bo przecież miał tylko dziesięć lat, a to był środek nocy.

– Śpisz, mały skurwielu? – warknął ojciec.

– Co jest, tato?

– Ten twój kundel narobił na dywan. Miałeś go trzymać w ogrodzie.

Konrad przetaił oczy. Z ojcem się nie dyskutowało. Nie, gdy miał wypite.

– Zaraz posprzątam...

Ojciec chwycił dzieciaka za chabety. Siłą wyciągnął z łóżka.

– Chodź, pokażę ci, do czego doprowadziła twoja bezmyślność! Tyle razy mówiłem ci, że masz go wyprowadzać wieczorem, nie trzymać w domu... Ale ty się nigdy nie nauczysz. Jesteś tak samo uparty jak twoja matka. Głupi gówniarz.

Zaciągnął go do salonu. Konrad był w samej piżamie.

– Tato, czekaj, ubiorę buty...

– Kiedyś dzieciaki biegały bosy.

Wyszli do ogrodu. Ojciec zaciągnął go do starej szopy.

– Zobacz, co zrobiłeś!

W budzie za domem, powieszony na starym rzeźnickim haku, wisiał srebrzysty pies.

– Gibson! – zapłakał Konrad i podbiegł do swojego martwego czworonoga.

– Jakbyś się nim zajmował należycie, kundel by jeszcze żył. Ale zamordowałeś go. Twoja bezmyślność pozbawiła go życia.

Konrad krzyczał. Najmocniej, jak potrafił, darł się wniebogłosy, zupełnie jak gdyby to jego mordowali.

– Nauczysz się odpowiedzialności. Podobno są inne metody, bardziej nowoczesne, postępowe, ale ja jestem staroświecki. Tak kuje się prawdziwych mężczyzn.

– Nienawidzę cię! Słyszysz?! Nienawidzę cię, ty draniu! – Chłopak padł na kolana i walił pięściami w nogi ojca.

Edmund Kroon splunął na ziemię.

– Jeszcze mi kiedyś podziękujesz. Teraz tego nie czaisz, ale przyjdzie taki czas, gdy poczujesz wdzięczność za to, co robię. Kto przebywa z wilkami, nauczy się wyć.

BEATA

Dwie wieże katedry oliwskiej celowały w zasnuę grubą warstwą chmur niebo. Beata wkroczyła do świątyni. Za chwilę miał się rozpocząć jakiś koncert organowy, ale ona po prostu musiała się pomodlić.

Usiadła jak zwykle w pierwszej ławce, spojrzała na misterne rzeźbienia barokowego ołtarza. Pod jednym z obłoków umieszczono figurę Mojżesza. Prorok trzymał w dłoniach tablice Prawa i Łaski. Starotestamentowe przykazania. Starotestamentowa sprawiedliwość.

Potrzebowała pomocy. Desperacko szukała kogoś, kto rozwiąże za nią problem. Pomoże podjąć

kosmicznie trudną decyzję. Pomoże uwolnić ją od Klaudiusza.

– Panie, daj mi sprawiedliwość – wyszeptała. – Ześlij pomstę niebios, ukarż grzeszników, ocal prawych i dobrych.

Organista wydobyl z instrumentu potężny akord. *Toccata* Jana Sebastiana Bacha.

Beata Lewandowska otworzyła Biblię na przypadkowej stronie. Prosiła o znak, a Pan odpowiedział jej słowami Izajasza: „Zdeptałem ludy w moim rozgniewaniu, starłem je w mojej zapalczywości, sprawiłem, że krew ich spłynęła na ziemię”⁶⁷.

KLAUDIUSZ

Ze spotkania wyszedł dopiero po zmroku. Od jakiegoś czasu czuł, że jest śledzony. Umówili się tam, gdzie ostatnio. W hotelach wymagano meldunku, a on potrzebował dyskrecji. Miejscówka była sprawdzona, płacisz zbliżeniowo, nic nikogo nie interesuje.

Samochód zaparkował dobry kilometr dalej. Kręcił trochę naokoło, tak by zgubić ewentualną pogoń. W końcu dotarł do pojazdu.

Raz jeszcze rozejrzał się w koło. Otworzył drzwi, wszedł do środka, pospiesznie zablokował zamek. Na ulicy nie było nikogo.

„Musiało mi się tylko wydawać”, pomyślał.

Rozdział 22 | Listopad

KONRAD KROON

– Słuchaj, wiem, że masz ostatnio gorszy okres, ale... – zaczęła szefowa.

– Skąd niby to wiesz?

Prokurator Rzeplińska mocno westchnęła. Bezradnie rozłożyła ręce.

– Wszyscy to widzą, Konrad.

Kroon wpatrzył się w zawieszona na ścianie godło państwowe. Białe orzeł; zwrócona w prawo głowa spoglądała w przeszłość, w dni, które odeszły i nigdy nie wrócą.

– Czasem tak bywa – odpowiedział po chwili.

– Czasem tak bywa – powtórzyła. – Jakbyś potrzebował pogadać... Dobra. Wiem, że nie chcesz gadać. Zamiast tego mam dla ciebie inną propozycję.

Konrad wciąż śledził wizerunek orła. Ptak miał zbyt długi ogon i pokracznie krótkie nogi. Kaleka. Nie stanąby normalnie na ziemi. Przewróciłby się. Musiał stale krążyć wśród obłoków.

– Nie pójdę na żaden urlop.

Magda zaśmiała się w głos.

– Czy kiedyś w tej firmie ktokolwiek zaproponował komuś, by poszedł na zaległy urlop? W listopadzie? Kilka tygodni przed końcem roku? Za krótko tu pracujesz czy po prostu łacha ze mnie drzesz?

Lekko drgnęła mu warga. Żarty z pracy.

– To co chcesz?

– Niestety chodzą parami. I w myśl tej starej zasady chcę ci przywalić robotą. Justynę zabrali do Okręgu, bez ostrzeżenia, bez prośbę/dziękuję/spierdalaj, no i został cały jej referat.

Przerabiali ten temat dziesiątki razy.

– Przecież tyle razy mówiłem ci...

– Zajmiesz głowę pracą. Na chwilę. I tak siedzisz po godzinach, ostatni gasisz światło, referat masz czyściutki. Boisz się wrócić do domu, nie możesz wrócić do domu, nie chcesz wrócić do domu. Cokolwiek. A mi się tu szykuje gruba sprawa na śledztwa. Poprowadzisz ją chwilę, potem znajdę kogoś na stałe...

Kroon siedział z obojętną miną. Poprawił mankiet koszuli.

– Kilkanaście lat temu mogłem przejść na śledztwa. Dlaczego miałbym to zrobić właśnie teraz?

– Kuźwa, Konrad! Nie proponuję ci tych cholernych śledztw, tylko proszę o przysługę! Weź jedną chrzanioną sprawę, potem ją komuś oddam.

Zuza. Potrzebował ucieczki. Potrzebował zająć czymś myśli. Zuza. Ostatnio miał same pokręcone sny. Zuza. Zbliżał się do przepaści.

– No nie wiem... – Zawsze taki sam. Zawsze pod prąd.

– Słuchaj, to jest sprawa dilera. Walniesz mu zarzuty, nic skomplikowanego. Trzymają go na dołku od wczoraj, a ten im się wysypał. I zaczął gadać na Nazarkiewicza. Pierwszy raz mają szansę go dopaść. Chłopak chce gadać, podobno boi się o swoje życie. Chce małego świadka koronnego.

Konrad nagle wrócił do świata żywych.

– Nazarkiewicza?

– Tak. To jakaś gwiazda półświatka.

Kroon wstał z krzesła. Obiecał Nazaretowi, że się jeszcze spotkają.

– Zostawię ci pijanych kierowców, niealimenciarzy i inną drobnicę. Grube sprawy zabieram ze sobą.

– Co? – Rzeplińska nie wierzyła własnym uszom.

Zuza odeszła i nie zamierzała wrócić. Przez kilkanaście lat żył jako jej cień, żył dla niej, żył w obawie przed nią. Żył obok niej, nie pragnąc niczego innego, niczego nie osiągając, do niczego nie dążąc.

Nie proszę, byś mi wybaczył. Proszę, byś w końcu zatroszczył się o siebie. Byś zaczął żyć naprawdę.

– Nie musisz dłużej szukać nikogo na śledztwa – rzucił na odchodne. – Ale pokoju na razie nie zmieniam.

MAJA

– Naprawdę nie masz żadnych cuksów? – Maja myszkowała po szafkach. – Żadnego batona, żadnych chipsów, żelków? Czegoś na czarną godzinę?

Natasza leżała na kanapie.

– Jakbym miała pochomikowane w domu słodycze na czarną godzinę, to ta czarna godzina byłaby o dwudziestej, jak odpalam serial.

– To nie oglądamy serialu?

Siedziały w mieszkaniu Nataszy. Dwie tak różne od siebie dziewczyny, z odmiennych środowisk, odległych światów. Tymczasem... po prostu się zakochały.

– Mogę zrobić ci chipsy z jarmużu, jak chcesz. – Keyserlingk wstała z kanapy, podeszła do kuchennego stołu. Rzadko kiedy robiła coś dla innych, nie nadawała się na opiekunkę. A jednak dla Mai chciała się zmienić.

Policjantka obserwowała, jak znana influencerka specjalnie na jej życzenie zabiera się do przygotowania zdrowej przekąski. Miała ochotę ją przytulić, pocałować, zrobić cokolwiek, by okazać dziewczynie swoje uczucie, ale każdy gest, o jakim tylko mogła pomyśleć, wydawał się niewystarczający. To trochę tak jak wtedy, gdy nagle w słuchawkach polecą ci zajebista piosenka ze Spotify; chcesz dodać do niej serduszko, ale nie możesz, bo już od dawna jest na twojej liście polubionych. I jak tu nie zgubić jej pośród setek innych cudownych kawałków?

– Za kilka minut będą.

Leżały przytulone. Na ekranie telewizora leciał amerykański *reality show*. Maja nie bardzo śledziła fabułę; problemy internetowych gwiazdeczek średnio ją ruszały.

– Co tam tak gapisz się w ten telefon? – spytała Natasza.

– A, sorry.

– Jak chcesz, możemy przełączyć.

Maja pogłaskała ją po udzie.

– Nie, spoko. Oglądaj.

Keyserlingk obróciła się w stronę swojej partnerki. Oparła głowę o jej ramię.

– Znam tego typu – powiedziała, spoglądając na ekran smartfona.

– Lewandowskiego? – zdziwiła się policjantka. Miała skupić się na relaksie, zamiast tego dalej prowadziła śledztwo. Pracuj ciężko w ciszy, niech efekty robią hałas.

– Znajomy mojej *bestie*.

– Której?

– Leny Orskiej – wyjaśniła Natasza. – A co? Coś przeszkrobał?

Maja odłożyła telefon.

– W coś był zamieszany. Ale jeszcze nie wiemy dokładnie w co.

– No to było takie nieciekawe towarzystwo. Lena kręciła z Oskarem, a ten wszędzie łąził z tym dziwnym typem. Oktawianem?

– Klaudiuszem – poprawiła ją Maja.

– O, no właśnie. Klaudiusz Lewandowski.

Dodaj jeden do jednego. Jeśli Lena była dziewczyną Oskara, a ten najlepszym kumplem Lewandowskiego...

– Myślisz, że mogłabym z nią pogadać?

Keyserlingk ciężko westchnęła.

– Kurwa. Trochę mnie zghostowała ostatnio. I w sumie się nie dziwię...

– Ciebie? A niby za co? Za ten *fail* z wakacji? – Policjantka nawiązała do internetowej wtopy z dziewczyną zza wschodniej granicy.

Coraz gorzej, coraz gorzej. Natasza przypomniła sobie o tym wszystkim, co wydarzyło się ostatnio między nią a Orską. O tym, jak Lena się nią zaopiekowała, o tym, jak otoczyła troską. O tym, jak Natasza w podzięcie przygarnęła ją na chwilę do siebie, a później wyrzuciła z domu. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

– Nieee. Wtedy mi pomogła. Kurwa! Wiesz co? Chyba zachowałam się jak suka.

PROPHETA

Po karmazynowym niebie przelatywały gwiazdy. Deszcz srebrzystych meteorytów, pod nimi szubieniczne wzgórze.

Z posępnych dźwigów KONE zwisały martwe ciała. Trzech judaszy, którym Pan odpłacił za ich srebrniki.

– „Dokąd ujdę przed twoim duchem? Dokąd ucieknę przed twoim obliczem?” – wyszeptał Konrad. – „Jeśli wstąpię do nieba, jesteś tam; jeśli przygotuję sobie posłanie w piekle, tam też jesteś”⁶⁸.

Nie mógł uwolnić się od snów. Ilekroć zamykał oczy, jego ciało wędrowało do tej dziwnej, przeklętej krainy, z której nie było ucieczki. Zawieszony w połowie drogi między ziemią a piekłem; schwytany w pułapkę nocy.

Propheta wyłonił się z wody gdzieś w okolicy Mlecznego Piotra. Surrealistyczne figury metalowych rzeźb maszerowały razem z nim. To byli jego kaci, jego armia zbawienia, która zstąpiła na świat, by zaprowadzić wśród ludzi prawo; starotestamentową sprawiedliwość.

Sprytny jak wąż, nieskazitelny jak gołąb. Łowca. *Lupi in vestimentum ovium*. Wilk w owczej skórze.

– „Jeśli ktoś będzie miał syna nieposłusznego i krnąbrnego (...), ojciec i matka pochwyć go, zaprowadzą do bramy, do starszych miasta, i powiedzą starszym miasta: «Oto nasz syn jest nieposłuszny i krnąbrny, nie słucha naszego upomnienia, oddaje się rozpuście i pijaństwu». Wtedy mężowie tego miasta będą kamienowali go, aż umrze. Usuniesz zło spośród siebie, a cały Izrael, słysząc o tym, ulęknie się”⁶⁹ – wyrecytował Propheta.

Kroon obserwował wszystko z góry. Słyszał *Toccatę* Bacha, pierwsze akordy demonicznej melodii, narastającą kaskadę dźwięków. Widział, jak odziany w wełniane szaty prorok kroczy przez miasto, prowadząc zastęp upiornych wojowników.

– „Jeśli cię będzie pobudzał skrycie twój brat, mówiąc: «Chodźmy, służmy bogom obcym», bogom, których nie znasz ani ty, ani przodkowie twoi, nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością, nie będziesz miał miłosierdzia, nie będziesz taił jego przestępstwa”. – Propheta przystanął, spoglądając na jeden ze stoczniowych budynków. To tu mieściła się pracownia Zuzy.

Czy byli jeszcze parą? Jak przez mgłę Konrad pamiętał, że zerwali. Że został porzucony. Ale przecież tamten świat nie miał teraz znaczenia. Znajdowali się w nowej rzeczywistości, takiej, gdzie wszystko było możliwe.

Oniryczny kosmos. Dźwięki *Toccaty* niczym trąby Jerycha.

Hale stoczniove zaczęły sypać się w gruzy. Momentalnie z ziemi podniósł się ogromny tuman kurzu, wypełnił powietrze i wzlatując, sięgnął aż powiewających na dźwigach KONE wisielczych ciał. Trzech zdrajców. Trzech judaszy.

Z rumowiska cegieł wygrzebała się jakaś kobieta. Miała bladą twarz i sine ręce. Rozpoznał w niej Zużę.

– „Winienesz go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić, a potem cały lud” – powiedziała dziewczyna, zwracając się do Prophety. – „Ukamienujesz go na śmierć, ponieważ usiłował cię odwieść od Pana, Boga twojego, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Cały Izrael, słysząc to, ulęknie się i przestanie czynić to zło pośród siebie”⁷⁰.

Sprawiedliwość obmyta wodą prawdy.

– „Abraham zbudował ołtarz, ułożył na nim drwa i związawszy syna swego Izaaka, położył go na tych drwach na ołtarzu”⁷¹ – przypomniał prorok.

– Co dziś pragniesz mi powiedzieć? Jaką hiobową klęskę pragniesz na mnie zesłać? – wyszeptał Konrad.

Chmury na niebie odsunęły się z wielką prędkością, czerwona poświata zapłonęła niezwykłym blaskiem. Propheta przewrócił oczami; tęczę zniknęły gdzieś z tyłu głowy, ukazując samotne, przekrwione białka.

Wtedy też z niebios rozległ się głos prorocstwa. Polecenie spisane krwią:

– Najsamprzede zginęło twoje serce. Teraz umrzesz ty.

PATRYCJA RADKE

Jeszcze nigdy niczego nie wygrała. A tu proszę! Niejaka Natasza Keyserlingk, znana influ, organizowała konkurs dla firmy kosmetycznej. Patrycja odpowiedziała na proste pytanie, kliknęła lajka

i kilka dni później na jej mailu pojawił się list gratulacyjny z biletem do spa.

Spa w listopadzie? Spa w listopadzie to jak lody w lipcu albo narty w styczniu. Bo cóż lepszego można robić w listopadzie? Marznąć, moknąć, wycierać katar spod nosa?

Nie miała opcji na egzotyczne wakacje, nie miała pieniędzy na tanią wycieczkę. Miała za to wolny weekend; biedna singielka z prowincji, od kilku lat mieszkanka wielkiego miasta. Trójmiasta.

– Dziękuję pani bardzo – powiedziała niskim, ciepłym głosem masażystka. – Zabieg dobiegł końca. Cały czas jednak może pani jeszcze korzystać z naszej strefy relaksu.

– Czyli basenu?

– Basenu, leżaków oraz saun. – Dziewczyna uśmiechnęła się na pożegnanie. – Ale saun nie polecam.

Au revoir, madame, bonne journée!

Patrycja wskoczyła w szlafrok, wzięła gazetę i zadowolona wyszła na korytarz.

Sopocki Grand Hotel. Wstyd się przyznać, ale jeszcze nigdy tu nie była. Z okien kompleksu roztaczał się wspinały widok na Bałtyk. Pusta plaża, zero turystów, na niebie ciemne chmury.

– Mogłabym tu sięść na leżaku i normalnie zacząć pisać książkę – szepnęła do siebie.

Faktycznie. Pusta jesienna plaża pachnie nieco skandynawskim kryminałem, brutalną zbrodnią, niewyjaśnionym ciągiem zdarzeń. Morskie fale zmywały z piasku ślady stóp podejrzanego, ściganego przez nieustępliwą policjantkę. *Saga Norén, Länskrim, Malmö* – przedstawiła się bohaterka, której właśnie udało się schwytać seryjnego mordercę.

Ale w tej powieści sprawca wciąż chodził na wolności.

*

Patrycja rozłożyła się na leżaku. Nie wiedziała, czy ściągać szlafrok, w końcu i tak nie mogła się tu opalać. Postanowiła go lekko rozpiąć. Otworzyła gazetę.

Chwilę później ktoś zajął miejsce tuż za nią. Mężczyzna, sądząc po ciężkich krokach.

Patrycja odruchowo poprawiła kostium. Rzuciła okiem na swoje ciało. „Nie jest źle. Joga i jogging robią robotę”. Na wszystko musimy zapracować.

Chrząknięcie.

– Przepraszam, ten wolny? – spytała jakaś kobieta.

– Właściwie to już tak – odpowiedział znajomy męski głos. – Idę na saunę. Może się pani spokojnie rozłożyć.

Patrycja się obróciła.

– Dzień dobry!

– Dzień dobry – odparł Kroon. – Cóż za niespodzianka!

Prokurator zawsze wydawał jej się przystojny, ale nie wiedziała, że ma takie piękne ciało. Umięśniony tors, na brzuchu sześciopak... Inteligentny, wysportowany, seksowny. Podobno takich już nie robią.

– Nie widziałam pana...

– A bo ja w basenie. Trzeba się trochę zmęczyć przed sauną. Często tu pani przychodzi?

Chciałaby odpowiedzieć, że tak.

– Właściwie to jestem pierwszy raz.

– Ja też – odparł z rozbrajającą szczerością Kroon. – A tyle człowiek mieszka w Trójmieście... Lecę na saunę. Pani nie reflektuje?

Masażystka powiedziała, że lepiej przez kilka dni unikać sauny. Władowała w nią tyle drogich kremów... głupio je wszystkie tak po prostu wypocić.

– Chyba nie skorzystam.

– W takim razie... do zobaczenia w sądzie. Albo prokuraturze. Albo cholera wie gdzie.

KONRAD KROON

Siedział w wyłożonym drewnianą boazerią pokoiku. Początkowo temperatura wcale mu nie doskwierała.

Po kilku minutach dwóch goszczących tu z nim Skandynawów stwierdziło, że już wystarczy. Owinęli się ręcznikami i opuścili saunę. „Zamknij drzwi, bo powietrze ucieka!”

Konrad został sam.

Dwie sesje po dziesięć minut. Dbaj o zdrowie. Nie przeginaj.

– Muszę się trochę wypocić.

Wypocić się. Niech krew wypłucze z umysłu wszystkie lęki i strachy. Niech owe demony przenikną z krwiobiegu do skóry, by później razem z kropelkami wody opuścić twe ciało i nigdy nie wrócić. Byś w końcu stał się wolny.

Wziął drewnianą chochlę i polał nią rozgrzane kamienie. Z paleniska momentalnie buchnęły kłęby pary.

– Przesadziłem – mruknął, czując, jak kręci mu się w głowie. Nie dało się tak po prostu obniżyć temperatury. Należało stąd wyjść.

Konrad pociągnął za klamkę. Ani drgnęła.

– Co jest?

Pociągnął mocniej. Nic.

– Do kurwy nędzy!

Zapał się o drzwi.

– Aaaa!

Gorące. Gorące jak cholera.

Ściągnął z bioder ręcznik, nawinął na dłoń i napał ponownie. Bez skutku.

– To jakiś pierdolony żart!

Coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Czuł, że powoli odlatuje.

– Noż kurwa!

Uderzył barkiem w drzwi. Solidny chłop, hokeista, powinien je rozwalić w drobny mak. Drzwi się lekko ugięły, ale w dalszym ciągu pozostały zamknięte.

– Ja pierdołę!

Walił pięściami z całej siły. Może ktoś go usłyszy?

Pociemniało mu przed oczami. Dwie sesje po dziesięć minut maks. On siedział ciągiem przez pół godziny. Albo i lepiej.

– Pomocy!!! – zawołał, waląc z całej siły w drzwi sauny. Za chwilę straci przytomność.

Ostatni przebłysk świadomości. Genialny plan. Ostatnia deska ratunku.

– Alarm!

W rogu sauny zwisała z sufitu linka bezpieczeństwa. Konrad chwycił ją w dłoń i z całej siły pociągnął. Nic się nie stało.

– Ratunku! Pomocy! – wrzasnął po raz ostatni. Robiło się coraz cieplej. Ledwo widział na oczy.

– Ra... – Nie dokończył. Stracił przytomność.

*

– Panie prokuratorze, panie prokuratorze!

Patrycja nie zamierzała się grzać, chciała jedynie zobaczyć, jak jest w środku. Drzwi do sauny odmówiły współpracy. Pewnie zaciął się zamek. Należało lekko podnieść skrzydło... U rodziców w piwnicy też tak to zawsze robiła. Na tak zwanego czuja. Bo przecież po co naprawiać...

– Panie prokuratorze! – Wyciągnęła go na korytarz, polała mu twarz zimną wodą. – Pomocy!

*

Konrad był już po drugiej stronie. Tam, gdzie kończy się jawa, a zaczyna sen. Mógł przysiąc, że widzi Zużę. Dziewczyna biegła w jego stronę, wyciągała rękę.

– Wiedziałem, że mnie tak nie zostawisz – wyszeptał.

Zuza spoglądała w jego oczy, ale nic nie mówiła.

– Przecież to nie mogło się tak skończyć. Byliśmy sobie przeznaczeni – powiedział. – Nie istnieję bez ciebie, tak jak ty nie istniejesz beze mnie.

Leżał na ciepłej plaży, woda obmywała mu stopy. Zuza stała kawałek dalej.

– Poznaliśmy się już wcześniej – spojrzał w gwiazdziste niebo – w innym kosmosie, tam, gdzie zaczął się czas. Potem wpadliśmy na siebie w Krakowie.

Kochanka nie odpowiedziała. We włosy miała wpięte spinki z muszelek, poza tym była całkiem naga.

– Wtedy byłem tylko głupim sztubakiem. Myślałem, że jesteś jedną z wielu. Dopiero po czasie zrozumiałem, kim jesteś. Dopiero po czasie zrozumiałem, po co cię tu przysłano.

– Uratuje cię... – powiedziała Zuza.

– Wiem, że mnie uratujesz. Zawsze mnie ratujesz. Tak wygląda nasza karma.

Dziewczyna weszła powoli do morza. Boska Wenus, która miał przychodzić na świat, znów zniknęła wśród morskiej piany.

– Nie ja cię uratuję. Tylko ona.

*

– Panie prokuratorze! Panie prokuratorze!

Radke próbowała go jakoś ocucić. Kurs pierwszej pomocy zaliczyła jeszcze na studiach, ale pamiętała to i owo. Kroon oddychał. To najważniejsze. Jeśli działały płuca i serce, nie mogło stać się nic strasznego.

– Pan się obudzi! Halo!

Powoli otworzył oczy. Poraził go blask światła, chwilę później z mgły wyłoniła się twarz kobiety. Trochę za krótkie czoło, lekko garbaty nos. Niebrzydka, raczej sympatyczna. Dziewczyna z sąsiedztwa.

– Boże, już się bałam... wszystko w porządku?

To nie była Zuza. Spojrzał do góry. Zuza zniknęła właśnie pośród fal.

– Jak się pan nazywa? Czy pamięta pan, jak się nazywa?

Oprzytomniał. Teraz należało sprawdzić, czy jest świadomy.

– Wie pan, gdzie jest? Co się stało? Jaki mamy dzień?

Wyciągnął rękę. Chciał pochwycić Zuzę, tamten świat, który właśnie mu uciekał, po cholere było wracać, jeśli miał żyć bez niej?

Myślę, że musisz pójść dalej, znaleźć w końcu jakiś cel, uwolnić się ode mnie. Ja nigdy nie dam Ci tego, czego pragniesz; na pewno też nie dam tego, czego potrzebujesz.

– Panie prokuratorze!

Ale przecież na pewno istniał inny sposób. Sekretna ścieżka, położona z dala od głównej drogi. A może to była jedynie próba? Chciała sprawdzić jego umysł. Jego determinację. Upewnić się, że znajdzie sposób, by do niej dotrzeć. Rozwiąże zagadkę. Ostatnia sprawa Konrada Kroona.

Patrycja chwyciła go za rękę. Objęła palcami jego dłoń.

– Panie prokuratorze, czy pan mnie słyszy?

Kosmiczny świat na dobre zniknął. Kroon leżał na zimnych hotelowych kafelkach, tuż nad nim nachylała się młoda adwokat.

– Głośno i wyraźnie. – Chrząknął.

Patrycja nie wiedziała, co ma teraz zrobić. Wezwać karetkę? Dzwonić po obsługę?

– Czy wszystko w porządku? Stracił pan przytomność. Co się tam stało? – Wskazała na saunę. – Nie mógł pan wyjść?

Co się stało? Konrad odzyskał pełnię świadomości. Szybko skojarzył fakty. Przypomniał sobie słowa ostatniej przepowiedni.

– Pani mecenas... właśnie pokrzyżowaliśmy komuś jego plany. Świat nam tego nie wybaczy.

Rozdział 23 | Wrzesień

LENA

– I co powiedział teść? – spytał Oskar.

Klaudiusz nerwowo pocierał twarz.

– Nic nie powiedział. Nie odbiera telefonu.

– To, kurwa, pojedź do niego! Ja pierdolę, co za skończony...

– Spokojnie! – uciszył go Lewandowski. – Do Brukseli wyjechał.

Lena siedziała rozłożona w fotelu, jednym okiem spoglądając na połajankę, drugim zerkając w telefon.

– Czy ty wiesz, kto wygrał ten przetarg? Wiesz, kto wygrał przetarg?

– Nie mam pojęcia.

– Spółka mojego kumpla, Abramskiego. Słyszysz to, fiucie?! SPÓŁKA CZŁOWIEKA OPOZYCJI!!

– Może mieli lepszą ofertę...

Wójcicki nie wytrzymał. Chwyił za jedną z płyt winylowych i cisnął nią w Klaudiusza.

– KURWA, OD OŚMIU LAT GROSZEM NIE SYPNĘLIŚCIE OPOZYCJI!!!!

Lewandowski próbował się bronić, ale przede wszystkim pragnął uciec. Od Oskara, Beaty, Nazareta. Musiał uciec z Gdańska. Musiał uciec z Polski.

– Przetarg poszedł po znajomości! Abramski jest kuzynem Kiedryńskiego, ten najlepszym kumplem Waszkiewicza, który trzyma z Łaszkiem. Łaszkiem, czyli partyjnym przyjacielem twojego teścia, jebanego senatora Nawrockiego. Poszło po znajomości, piździelcu! Jak zawsze poszło po znajomości! Tylko ja się, kurwa, pytam: CZEMU NIE PO TEJ ZNAJOMOŚCI, CO TRZEBA?!

– Nie odpowiem ci na te pytania. Spierdałam stąd. Gramy do jednej bramki, a ty mnie traktujesz jak pierdolonego szpiona. A mam bardziej przejebane od ciebie...

– Jakim niby cudem masz bardziej przejebane niż ja? TY NIE WŁOŻYŁEŚ W TO ANI GROSZA!

Klaudiusz był już przy drzwiach.

– Nazaret chce mnie zajebać...

– I bardzo dobrze, piździelcu! Należy ci się! Mam nadzieję, że Nazarejski powiesi cię za jądra na stoczniovym dźwigu, żeby wszystkie pieprzone blachary z Elektryków widziały, jak kończą tacy zakłamani frajerzy!

*

– To śliski typ. Nigdy go nie lubiłam – stwierdziła Lena tuż po tym, jak Lewandowski opuścił mieszkanie. – A ja mam czuja do ludzi.

– To czemu, kurwa, nie mogłaś mnie wcześniej ostrzec?! – wrzasnął Oskar. Wszyscy mądrzy po szkodzie.

Dwudziestolatka wyszła na taras.

– Jak sobie coś wkręcisz, to nie odpuścisz. Byłeś w nim taki zakochany, Klaudiusz to, Klaudiusz tamto...

– Piździelec pierdolony! Nie daruję mu, słyszysz?! Nie odpuszczę tego! Jeśli Nazaret go nie wykończy, to sam go wpierdolę do jebanej Motławy!

ZUZA

Zuza wróciła z sesji wcześniej nad ranem. Ostatnio sporo podróżowała, lada moment planowała znów wylecieć do Stanów. Nie lubiła spędzać jesieni w kraju. Wrzesień: ostatni czas na ucieczkę przed wszechobecną melancholią, smutkiem, śladami przeszłości.

Weszła do środka i zatrzymała się w pół kroku do sypialni.

Konrad znowu miał jakiś koszmar. Wiercił się w łóżku, gadał coś przez sen. Był taki bezbronny. A ona planowała wbić mu nóż w plecy.

Decyzja dojrzała w niej już od dość dawna. Tylko jak to zrobić? Odbyć trudną rozmowę, a później męczyć się ciągłymi telefonami, drugimi, trzecimi, osiemnastymi szansami? Dzielili mieszkanie, poza tym

żadnego wspólnego majątku.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu tego teraz. Od razu po przebudzeniu, szklanka zimnej wody, a potem... No właśnie. Co potem?

Chwilowo nie miała gdzie się podziać. Dokądkolwiek by uciekła, Konrad i tak by ją wytropił.

Potrzebowała odległości. Zgubić się gdzieś na obcym kontynencie, w zupełnie innym świecie, pośród gąszczy adresów, twarzy i nazwisk. Przed Konradem Kroonem musiała zbiec aż na sam kraniec świata.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, gdy tylko otworzył oczy. – Kurewsko cię teraz potrzebuję. Spotkałem wuja... Co to?

Zuza trzymała w ręku papierową figurę przedstawiającą łeb jelenia. Okazałe poroże, intensywne barwy, geometryczne kształty.

– Taka instalacja. Dostałam na sesji od jednej projektantki. Pomyślałam, że fajnie będzie wyglądać w salonie.

Konrad otarł pot z czoła. Był cały mokry.

– Zabierz mi to ścierwo sprzed oczu...

Uniosła wysoko brwi.

– A ciebie co?

– Nie chcę tego oglądać.

Wciąż miał przed oczami obraz martwego zwierzęcia, które znalazł w lesie. Nie wiedział, czy to sprawka Fendera; być może nie, być może Los znów grał w jakąś pokręconą grę ze swym bratem Przypadkiem.

– Dobra, nie unos się tak. To tylko sztuka – skwitowała Zuza. – Powieszę u siebie w pracowni.

KLAUDIUSZ

Wracał do domu. Znów zamknął rachunek w hotelu, pożegnał kolejną tymczasową kwaterę. Jeśli miał przetrwać, potrzebował ochrony. Potrzebował rodziny Nawrockich.

Jak zwykle zaparkował kilometr dalej. Przecież mógł być śledzony.

Dreptał szybko wąską uliczką, skręcił na główną ulicę. Z naprzeciwka szła grupka dobrze zbudowanych mężczyzn. Na pewno nie chodziło im o niego.

Z ostrożności przeszedł na drugą stronę. Lepiej dmuchać na zimne.

– Ej, kolego! Masz ognia? – zawołał jeden z dryblasów.

Klaudiusz przyspieszył kroku.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – powtórzył nieznajomy.

Brzmiało jak kłopoty.

– Nie mam – stęknął Lewandowski i jeszcze bardziej podkręcił tempo.

Osiłki postanowiły podążyć za nim.

– To czemu nie odpowiadasz?!

– Słyszałeś? Czemu nie odpowiadasz mojemu koledze?! – krzyknął drugi z mężczyzn.

Klaudiusz niemal zaczął biec.

– Przepraszam, spieszę się – rzucił za siebie.

Bandyci zaczęli go gonić.

– Prawdziwy dżentelmen nigdy nie biega! Zapomniałeś?

Teraz nie miał żadnych wątpliwości. Zabawa zamieniła się w regularny pościg.

– Zatrzymaj się! Chcemy tylko pogadać!

Wiadomo, że nie chcieli gadać. A na pewno nie „tylko”.

– Kolego, zaczekaj...

– Stój, kurwo! – warknął najbardziej krewki z nieznajomych. Kurtyna opadła. Już nie trzeba było dbać o pozory.

Lewandowski przeszedł do sprintu. Mógł trochę poćwiczyć, tak jak Oskar zainwestować w trenera personalnego, chodzić więcej pieszo.

Dopadli go na następnej przecznicy. Zaciągnęli do bramy, potem do metalowej altany śmietnikowej.

– Nie mogłeś, kurwo, poczekać?

– Chciałeś, żebyśmy się trochę spocili?

– Zawsze tak spierdalasz od kłopotów?

Szybka wiązanka. Nawet nie wiedział, który z nich mówi, a który bije.

– Przestańcie! – załkał.

Kopniak w krocz. Płaski na twarz, potem jeszcze raz ręką pomiędzy nogi. Osilek ścisnął go z całej siły. Cholerny ból.

– Jak ci, kurwo, każe lizać mojego kutasa, to też będziesz uciekał?

Klaudiusz spojrział mu błagalnie w oczy.

– To boli...

Znów cios w twarz.

– Nie patrz się, kurwo! Oczy w dół!

Napastnik uderzył jego głową w rant śmietnika.

– Zawsze oczy w dół, pamiętamy?!

– Termin upłynął! Gdzie jest kasa?! Gdzie jest kasa Nazareta?!

Lewandowski próbował coś powiedzieć, ale w tym właśnie momencie jeden z osiłków złapał go za język.

– Mmmmm... – Klaudiuszowi zbierało się na wymioty.

– Co tam fąfolisz?

– GDZIE JEST KASA, KURWO?!

Cios w twarz. Złapali go za nogi i wrzucili do kubła.

– To było ostatnie ostrzeżenie, dziwko. Pozdrowienia od Nazareta.

Rozdział 24 | Listopad

KONRAD KROON

Już dawno miał szansę awansować. Gdyby tylko chciał. Ale Konrad Kroon nigdy nie planował wspinać się po ścieżce prokuratorskiej kariery.

Proponowali mu to dziesiątki razy. Namawiali go koledzy, sugerowali przełożeni. Prawdę powiedziawszy, musiał włożyć całkiem sporo wysiłku, żeby nigdy nie opuścić rejonu, żeby zostać na zwykłym dziale dochodzeniowo-śledczym, prowadzić banalne, niezbyt skomplikowane sprawy. „Taki mózg w rejonie? Konrad? Po co ci to?” – pytali życzliwi.

Nikt nie wiedział, dlaczego raptem zmienił zdanie. Bez żadnego wstępu, uzasadnienia. A on po prostu musiał coś zrobić ze swoim życiem. Nie wiedział, czy wybrał mądrze. Po prostu wybrał „jakoś”.

Kilka dni temu przesłuchał niejakiego Ludwika Krefta, dilera narkotyków, który nagle postanowił sypać. Był człowiekiem Nazarkiewicza, handlował na Ulicy Elektryków, trochę go kantował. Okazało się, że ostatnio gangster zaczął przeprowadzać czystki we własnych szeregach.

Rodzicom Ludwika zabito krowę. Wyraźny znak ostrzegawczy, jasny sygnał, kto będzie następny. Dlatego kiedy kryminalni zwinęli Ludwika za dragi, ten od razu zdecydował się sypać. Właściwie nie miał innego wyboru. Mógł zostać szczurem lub trupem. A on rozpaczliwie pragnął żyć.

Kroon ściągnął z sąsiedniej prokuratury akta w sprawie zabójstwa zwierzęcia. Żadnego wyjścia na Nazarkiewicza, brak jakichkolwiek dowodów.

Kryminalni postanowili jednak dopiąć swego. Od dłuższego czasu pracowali na podsłuchach, sprawa wyglądała obiecująco. Kiedy dokręca się śrubę, któryś z elementów przestępczej maszyny musi pęknąć. A jak nawali jeden trybik, reszta także przestanie działać.

Prokurator siedział w kancelarii tajnej i zapoznawał się z treścią nagrań. Musiał podjąć decyzję, które z materiałów może włączyć do procesu.

– Obiecałem ci, że jeszcze się spotkamy – szepnął Kroon. – Nie wiedziałem tylko, że tak szybko.

Należało działać w sposób przemyślany, ale i mądry. Zbyt długie kompletowanie materiału dowodowego mogłoby się skończyć ucieczką gangstera z kraju. Zbyt pochopne działanie mogło zaowocować uniewinnieniem. Kroon planował przedstawić Nazarkiewiczowi zarzut kierowania zorganizowaną grupą przestępczą oraz wprowadzania do obrotu znacznych ilości środków odurzających. Na tyle pozwalały mu dowody.

Takie sprawy jak Nazareta często kończyły się kilkoma latami batalii sądowych zwieńczonych uniewinnieniem. Konrad zamierzał skreślić inny epilog. Bo cholernie nienawidził przegrywać.

Śledztwo w sprawie Nazarkiewicza zainteresowało go z jeszcze jednego powodu. Czuł, że gangster może mieć związek z wrześnieowym wypadkiem Klaudiusza Lewandowskiego. Wiele poszlak wskazywało na udział w zdarzeniu Nazareta, ale póki co żaden logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy nie pozwalał na przypisanie mu sprawstwa.

Czy Nazarkiewicz chciał zabić Lewandowskiego? Być może. Czy usiłował to zrobić? Tego Konrad nie wiedział.

Prokurator siedział w kancelarii i zapoznawał się z nagraniami operacyjnymi. Nazwisko Lewandowskiego mignęło ledwie kilkukrotnie, ale w zupełnie innym kontekście. Kroon miał dowody na to, by wsadzić Nazareta za narkotyki. Wciąż jednak nie wiedział, co dokładnie wydarzyło się tamtej feralnej nocy na ulicy Słowackiego.

W swojej całej karierze pomylił się tylko dwa razy. Kiedy kilkanaście lat temu prowadził polityczną sprawę Brodowicza, za swoje zaangażowanie zapłacił wysoką cenę, ale się nie ugiął. Zakończył ją tak, jak chciał. Połowiczna wygrana. Mógł jednak rozegrać wszystko inaczej. Być sprytniejszy. Nie wystawiać się na pożarcie wilkom.

Drugi trudny moment w karierze przypadł na zeszłą jesień. To wtedy w Strzyży ujawniono ciało dwudziestokilkuletniej Weroniki Zatorskiej. Konrad zachował się jak prawdziwy profesjonalista. Przeprowadził wszystkie czynności, zrobił więcej, niż musiał. Podjął jedyną możliwą decyzję. A mimo wszystko nie dotarł do prawdy.

Obiecał sobie wtedy, że już nigdy więcej nie popełni podobnego błędu. Nie da się oszukać

instynktowi, odzyska swą czarodziejską moc. Odkąd opuściła go Zuza, czuł się fatalnie, ale z drugiej strony... jego umysł nigdy nie pracował jaśniej. Widział dziesiątki możliwych ścieżek, setki śladów, widział prawdę, która czekała tuż za widnokretem.

Konrad Kroon nie zamierzał się więcej pomylić.

MAJA

Maja usiadła na ławce przed drzwiami wydziału prawa i po prostu czekała. Wiedziała, kogo szuka. Zresztą Leny Orskiej trudno było nie poznać. Śliczna dziewczyna, która gdyby tylko chciała, zrobiłaby karierę modelki lub aktorki. Zjawiskowo piękna. „Aż szkoda, że hetero”, pomyślała Maja.

Sprawdziła jej plan zajęć, zaczęła się przed głównym wejściem. Natasza dała jej wprawdzie numer telefonu do swojej eksprzyjaciółki, ale policjantka zostawiła go sobie jako plan B.

– Hej, mogę na chwilę?

– Trochę się spieszę – odparła Lena. – A w jakiej sprawie?

Maja mignęła jej odznaką.

– Krótka pogawędka. Nie zajmę ci więcej niż kwadrans.

– Chodzi o mojego ojca?

– Usiądziemy gdzieś w zacisznym miejscu, to ci wszystko wyjaśnię.

Przycupnęły w kawiarni jednego ze szklanych biurowców. Z trzydziestego drugiego piętra Olivia Star rozciągał się wspaniały widok na całe Trójmiasto. Budynek miał ponad sto pięćdziesiąt metrów wysokości. To tu na początku wakacji doszło do spotkania dwójki mężczyzn po czterdziestce. Spotkania, które zapoczątkowało cały ciąg pokręconych zdarzeń.

– Czyli chodzi o mojego ojca?

– Ojca? – spytała Maja. Nie prowadziła sprawy Orskich. O znęcającym się nad żoną mężczyźnie słyszała wyłącznie od Nataszy.

– Coś narobił w psychiatryku? Chcecie go wypuścić?

Policjantka pokręciła głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Ja z zupełnie innym tematem. Kojarzysz Klaudiusza Lewandowskiego?

Chwila otrzeźwienia. A więc nie chodziło o starego.

– No znam.

– A mogłabym cię pociągnąć trochę za język?

*

Lena Orska miała wszelkie powody, by kryć swojego partnera. Ten z kolei miał co najmniej jeden dobry argument, by zemścić się na Klaudiuszu. Problem w tym, że osób, które chciały skasować Klaudiusza, było znacznie więcej.

Maja zadzwoniła do Kroona i pokrótce zreferowała mu przebieg rozmowy.

– Lena Orska? Świat jest naprawdę mały.

Według teorii Stanleya Milgrama między dwiema dowolnymi osobami na Ziemi istnieje ciąg średnio sześciu znajomych. A to znaczy, że każdy z nas mógłby być ziomem Baracka Obamy.

– Opowiedziała mi kilka ciekawych historii.

– Zamieniam się w słuch...

Po kilkunastu minutach opowieść dobiegła końca. Kroon czuł, że wie, gdzie dalej szukać. Jego niezawodny instynkt widział na horyzoncie zaginioną przesłankę.

– I to by było z grubsza na tyle – powiedziała Maja.

– Odszukasz mi tę dziwkę, z którą spał Lewandowski. Ustalisz jej tożsamość, a później dokładnie rozpytasz – polecił prokurator. – W tej chwili to twoje najważniejsze zadanie.

PATRYCJA RADKE

Jej numer był ogólnie dostępny w internecie, a mimo to zdziwiła się, skąd Kroon go wytrasnął.

– Pan prokurator, nie spodziewałam się.

– Nie znasz dnia ani godziny – odparł mężczyzna.

„Bądź trzeźwy; bądź czujny. Twój przeciwnik diabeł krąży jak lew ryczący, szukając, kogo

pożreć”72.

– Pan w sprawie Orskiego? – spytała mecenas.

Konrad zaśmiał się do siebie. Poniekąd to była sprawa Orskiego. Trzy przepowiednie. Dwie uległy spełnieniu, trzecia dziwnym trafem została powstrzymana. Patrycja Radke wbiegła na ścieżkę losu, spychając Kroona z przeznaczonej mu drogi. Naprawdę wierzył, że to ona go uratowała.

– Trochę tak, a trochę nie – rzucił enigmatycznie.

– Zaczyna się robić ciekawie.

– Jakie ma pani plany na najbliższą sobotę?

Chwila konsternacji. Jakies zatrzymanie, czynności w pilnym trybie? Bo przecież... nie, to niemożliwe.

– Myślałam o tym, żeby odwiedzić rodziców.

Konrad nie miał rodziców.

– Tak, rodzina jest ważna. I potrzebna. Oczywiście w odpowiednich dawkach.

Zaśmiali się niemal równocześnie.

– Nie zamierzam przedobrzyć – odparła Patrycja.

– W każdym razie gdyby zakładała pani odwołanie wyjazdu albo przyspieszenie powrotu....

W żadnym wypadku nie brzmiało to jak wezwanie do stawiennictwa na przesłuchaniu.

– Może w ogóle nie pojedę – wtrąciła prędko.

– Jeśliby tak się stało... W dalszym ciągu nie odwdzieczyłem się za fachową medyczną pomoc.

Uratowała mi pani życie.

A więc jednak.

– To nic takiego – zapewniła. – Pewnie nic by się panu nie stało.

– Zachowała się pani heroicznie – powiedział całkiem serio.

– Zwyczajny przypadek.

– Lubię wierzyć w przypadki. Tak jak w przepowiednie i przeznaczenie. A pani je wszystkie zrobiła na szaro. Świat pędził gdzieś naprzód po dawno wyrobionych koleinach, a pani pchnęła go na zupełnie inny tor.

Dlaczego wchodził na takie wysokie tony? Czy to był jego kolejny żart? Wiedziała, że Kroon ma osobliwe poczucie humoru. Przekonała się o tym już wielokrotnie.

– Po prostu tak jakoś wyszło – podsumowała krótko.

Jak mówi poeta, dziwna rzecz ten cały przypadek.

– Właśnie... Przechodząc do sedna. W sobotę odbywa się w Gdańsku Noc Muzeów. Zastanawiałem się, czy jakimś cudem nie miałyby się pani ochoty wybrać. Wiem, brzmi strasznie boomersko, ale...

Uwielbiała takie akcje.

– Z wielką chęcią – rzuciła krótko.

Chodź na kawę – zbyt sztampowe. Chodź na wino – zbyt nachalne. Chodź na Noc Muzeów – strasznie pokręcone. Ale taki właśnie był Konrad Kroon.

– Dwudziesta pod „Lotem”?

– Dwudziesta pod „Lotem”.

A więc byli umówieni.

NAZARET

Ostatni z klocków domina został ustawiony na krótszym ze swych boków. Misterna spirala kryminalnej układanki.

– Mówiłem panu, że się jeszcze spotkamy.

– Nie sądziłem, że tak prędko.

– Co się stało w rękę? – spytał Kroon.

Gangster spojrział na swój gipsowy opatrunek. Stawiał czynny opór. Tak to się czasem kończy.

– Skaleczyłem się.

– O radiowóz?

– Może być, że o radiowóz – odparł Nazarkiewicz.

– Nie zapiął pan pasów.

Podejrzany oparł gips o niewielki stolik, przy którym go usadzono.

– Jak uczy nas życie, pasy nie zawsze pomagają. Znalazł już pan mordercę Lewandowskiego?

Konrad cały czas mierzył mężczyznę wzrokiem. Wrodzony wariograf, Adso. „Badaj twarze, nie słuchaj tego, co mówią usta”⁷³.

– Chciałby się pan do czegoś przyznać?

– Nigdy do niczego się nie przyznałem – rzekł z rozbijającą szczerością gangster. – I nigdy się nie przyznam. Bo przecież... jestem niewinny.

Maczał palce w Lewandowskim. Miał z nim na pieńku, ścigał po mieście, żądał zwrotu kasy. Nie lubili się. Ale czy do tego stopnia, by zabić?

Nazarkiewicz sam wezwał karetkę. Czy gdyby zależało mu na śmierci Klaudiusza, dzwoniłby na pogotowie? Wysoce wątpliwe.

– Czy miał pan coś wspólnego ze śmiercią Lewandowskiego? Czy chciał go pan zlikwidować? – spytał Kroon, odsuwając się od komputera. Dał mężczyźnie znak, że pyta poza protokołem.

– Nie zmartwiłbym się, gdyby zdechnął. Zasługiwał na to. Ale to nie ja wymierzyłem mu karę.

Konrad dokładnie obserwował sylwetkę gangstera. Drobne ruchy warg, mimowolne drgania ciała. Patrzył naraz na dłonie i uszy, na brwi i szyję. Komunikacja niewerbalna. Zwierciadło prawdy.

– Czyli to nie pan.

– To nie ja – rzekł poważnie Nazaret.

Kroon wsłuchał się w swój szósty zmysł. Przeanalizował dowody, poddał je krytycznej logicznej ocenie. Przepuścił przez filtr niezawodnej intuicji. Nazarkiewicz mówił prawdę.

– Rozumiem. Przejdźmy zatem do części formalnej...

Prokurator odczytał zarzuty, przygotował formularz protokołu przesłuchania. Podejrzany nie przyznał się do popełnienia żadnego z przestępstw.

Zachowywał się zupełnie inaczej niż przed chwilą. Kłamał Kroonowi prosto w oczy, cały czas się uśmiechał. Etyka gangstera. To nie ja, to nie moja ręka. Nie przyznaję się, odmawiam składania wyjaśnień, nie zamierzam odpowiadać na pytania.

Nie przyznał się do spowodowania wypadku, nie przyznał się do kierowania grupą, nie przyznał się do handlu narkotykami. I tylko raz powiedział prawdę.

Ta oczywista postawa podkreślała wiarygodność podejrzanego co do związku ze sprawą Lewandowskiego. Kroon wiedział, że musi szukać gdzie indziej.

– Pozostaje jeszcze jedna kwestia. – Prokurator znów odsunął się od komputera. – Ostatnimi czasy dziwne rzeczy działy się pana ludziom.

– Pracownikom mojej restauracji? – spytał Nazaret.

– Aromatyczne przyprawy? – podchwycił Konrad. – Raczej inne, niż pan myśli.

Na blacie biurka pojawiło się zdjęcie zabitej krowy. Gangster przyjrzał się mu z zainteresowaniem.

– Kupuję gotową wołowinę. W ilościach hurtowych.

– To zwierzę rodziców jednego z pańskich dilerów. Niejakiego Krefta.

– Nie znam żadnego Krefta...

Konrad wyczuł kłamstwo. Poza tym sam przesłuchiwał chłopaka. Diler się wysypał.

– Na pewno?

– Na pewno. A co do krowy... przykra sprawa. Nie lubię, jak ktoś znęca się nad zwierzętami. I nie wierzę w odpowiedzialność zbiorową.

Wrodzony wariograf. Kroon analizował tembr jego głosu, mimowolne drżenie powiek. Raczej nie blefował.

– A to? – Okazał mu zdjęcie niejakiego Grzegorza Pasterskiego. Kolejny diler Nazareta, któremu stała się krzywda. Poparzenia drugiego stopnia.

– Panie prokuratorze... nie odpowiadam za wszystkie grzechy, które popełniono w tym mieście. Wiem, że moje nazwisko jest ostatnio bardzo popularne. Ale... doprawdy. Bądźmy dorosłymi ludźmi.

Pasterski został porwany, związany i poddany torturom. Ktoś wysypał na jego ciało żar, pokrywając skórę dziesiątkami małych wrzodów. Diler odmówił składania zeznań; o jego wypadku policjanci dowiedzieli się od Krefta. Kroon ściągnął akta sprawy, ale tak jak w wypadku zabitej krowy, brakowało mu dowodów, by powiązać sprawę z Nazaretem. Obaj byli jego dilerami, obu stała się krzywda. Tyle, jeśli

chodzi o punkty styczne.

– Czyli znowu... to nie pan?

– To nie ja.

Test prawdy. Dowody tylko w niewielkim stopniu wskazywały na Nazareta. Mężczyzna nie przyznawał się do czynu. Z podsłuchów nic nie wyszło.

„Badaj twarz, nie słuchaj tego, co mówią usta” – przypomniał Wilhelm z Baskerville.

– Dziękuję za spotkanie – rzucił prokurator.

– Czy tym razem także pójdę wolno?

Kroon pokręcił głową.

– Stracił pan swoją szansę na wolność.

Gangster z Nazaretu kierował zorganizowaną grupą przestępczą oraz handlował narkotykami. Ale to nie on kazał zlikwidować Lewandowskiego. I to nie on napiętnował dwójkę swoich ludzi.

Konrad zbliżał się do zamknięcia jednej sprawy; trzy inne wciąż czekały na swój finał.

CZĘŚĆ CZWARTA

WRÓŻDA

Rozdział 25 | Wrzesień

Wróżda, zwana też krwawą zemstą lub wendetą, była jedną z zasad wczesnośredniowiecznego prawa zwyczajowego, zgodnie z którą odpowiedzialność za przestępstwo ponosił nie tylko sprawca, ale i cała jego rodzina. Krwawy odwet dotyczył głównie zabójstw. Obowiązek wykonania prawa zemsty spoczywał na męskim członku rodziny pokrzywdzonych, o zbliżonym do sprawcy statusie społecznym. W myśl zasady, że „krew się nie starzeje”, sprawiedliwości można było żądać nawet od następnych pokoleń. W Europie wróżda utrzymała się najdłużej w Albanii, gdzie w formie szczątkowej praktykowano ją jeszcze w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

W zdominowanych przez mężczyzn społecznościach to oni wcielali się w role katów. Świat pędził jednak nieubłaganie naprzód, dawne normy odchodziły w niepamięć, równość wobec prawa stawała się podstawowym wyznacznikiem wszystkich nowo konstruowanych reguł. Słabsza płeć powoli odzyskiwała należne jej miejsce.

Na początku nowego tysiąclecia także wróżda miała twarz kobiety.

NATASZA

Wakacyjny kryzys w social mediach nie odpuszczał. Natasza stała się ulubioną antybohaterką internetu. Brak zleceń, nieustająca nagonka, złośliwe artykuły na portalach plotkarskich. Tak to już jest. Im wyżej siedzisz, tym dłużej spadasz.

– Zaraz się znużę, zobaczysz. Ile to już trwa? Półtora miesiąca? – spytała Lena.

– Nie wiem. Ale już mi nie zależy.

Terapia powoli przynosiła pierwsze efekty. Keyserlingk odstawiła używki, zapisała się na siłownię. Przykre wydarzenie stało się punktem zwrotnym, momentem, w którym na nowo zaczęła ustalać priorytety. Internetowy blichtr wymagał silnej psychy, dystansu, dobrego wycucia. Jedno nieuważne słowo, jeden pochopny tekst i gilotyna leci w dół. Tłum skanduje rewolucyjne hasła.

Lena trwała przy niej jak wierny pies. Miesiąc później, kiedy to Orska potrzebowała pomocy, Natasza nie okazała się tak wspaniałomyślna. Wyrzuciła dziewczynę z domu, odwróciła do niej plecami. Ale póki co trwał jeszcze wrzesień. Klaudiusz Lewandowski nie zdążył wsiąść do samochodu, Zuza nie uciekła do Ameryki, a Natasza i Lena wciąż były najlepszymi przyjaciółkami.

*

– Chcesz to tak po prostu rzucić w cholerę?

– Jo... – odparła Natasza.

– Przecież władowałaś w to tyle pracy! Zaangażowanie, followersi, nie szkoda ci?

Dwudziestolatka wzruszyła ramionami.

– Mam w to wywalone. Świat nie kończy się na internecie.

– Ej no, ziom! Mówię ci, że za chwilę odpuszczą. Ktoś inny coś zwali, zapomną, przebaczą, dalej będzie ich wiercić, żeby się dowiedzieć, jakie majtki kupiłaś i co dodajesz do owsianki.

Keyserlingk prychnęła.

– Wywalone. To jest toksyczna relacja.

– Serio, mówię ci, że się uspokoi. Kiedy ostatnio ktoś coś napisał?

– Cztery dni temu.

– Dobra, Pudelek odgrzął jakiś stary artykuł, bo im się kliki nie zgadzały. Ale ludzi to już ziębi, serio.

Nie obchodzi ich tamta drama, w międzyczasie milion osób zaliczyło fapap.

Spacerowały ulicą Wajdeloty. Przed jednym z lokali ustawiła się niewielka kolejka.

– Możesz się tak nie pchać? Myślisz, że wszystko ci wolno? – burknęła jakaś obca dziewczyna.

– O co ci chodzi? – spytała wyjątkowo grzecznie jak na siebie Keyserlingk.

– Ta kolejka jest dla wszystkich. Dla takich internetowych patusów jak ty też.

Lena wepchnęła się między Nataszę a nieznajomą.

– Masz jakiś problem?

– Mam problem z patologią. I z patocelebrytami. – Spojrzała z pogardą na influencerkę.

Wróżda. Lena traktowała Nataszę jak siostrę. Wróżda. Było nie zaczynać.

Orska chwyciła dziewczynę za torebkę i pociągnęła z całej siły do siebie.

– Zostaw to, kurwa!

– Puść ją! – krzyknął kolega napastliwej kolejkowiczki.

– Puść mnie, wariatko!

– Jak tam chcesz – prychnęła Lena, spełniając polecenie. Nieznajoma zachwiała się, straciła równowagę i wpadła do kałuży.

Orska wydawała się usatysfakcjonowana.

– POJEBAŁO CIĘ?! – wrzasnęła dziewczyna.

– *Be careful what you wish for.*

Natasza chwyciła Lenę pod ramię.

– Spierdalamy, bejbe!

BEATA

Gdyńska Kamienna Góra, czyli jeden z najbardziej prestiżowych i najdroższych adresów w Polsce. Willowa dzielnica położona na wschodzie miasta, z której tarasów rozciągał się wspaniały widok na Zatokę Gdańską. To tu mieściła się luksusowa rezydencja rodziny Duchnowskich.

Beata zaparkowała na podjeździe tuż obok sportowego maserati.

– Proszę podać mi płaszcz – powiedziała gosposia. – Pani czeka w salonie.

Elżbieta Duchnowska nie wyglądała na swoje lata. Regularnie korzystała z zabiegów medycyny estetycznej, trenowała na siłowni, odwiedzała okoliczne spa. Niejedna sześćdziesięciolatka pozazdrościłaby jej formy.

A jednak... trudno oszukać metrykę. Wyglądała wyjątkowo dobrze, wyglądała młodo, ale nie wyglądała na dwadzieścia lat.

Jan Duchnowski nie zamierzał składać pozwu o rozwód; niczym włoski mafioso od wielu lat utrzymywał różne kochanki, w większości tylko nieco starsze od jego rodzonych dzieci.

– Beatko, jak dobrze, że przyszedłeś!

– Cieszę się, że znalazła pani dla mnie czas...

To ojciec polecił jej pogadać z panią Elżbietą. Rodzina Duchnowskich umiała rozwiązywać delikatne problemy cicho i dyskretnie.

– Och, Beatko, skończ z tą panią. Nie jestem taka stara, żebyśmy sobie paniowały!

– Oczywiście, przepraszam.

Elżbieta wstała z kanapy.

– Beatko, ależ za co ty mnie przepraszasz! – Podeszła do niej, dotknęła policzków. – Mizernie wyglądasz. Widzę, że coś cię trapi!

Umawiając się na spotkanie, Lewandowska powiedziała Duchnowskiej, że będzie potrzebowała pomocy.

– Wpadłam w niezłe bagno. I bez pani rady raczej się z niego nie wygrzebię...

– Ależ od czego są przyjaciele?! A czyż to senator mało razy pomógł mojemu Jankowi?! Beatko, przecież my jesteśmy prawie jak rodzina. Szkoda, że Wiktor taki młody, ja bym widziała was razem, ale... Ach! Z Klaudiuszem też tworzycie piękną parę! Pani Stasiu! Pani przyniesie frizzante!

Lewandowska asekuracyjnie uniosła dłonie.

– Prowadzę...

– Pani Stasiu, tylko to bezalkoholowe! – Nachyliła się nad Beatą. – My, kobiety, musimy sobie czasem trochę podogadzać! Ale mów, w czym rzecz!

Kobiety usiadły na kanapie.

– To bardzo delikatna sprawa...

*

Beata opowiedziała Duchnowskiej o swoich problemach z mężem. Kobieta słuchała z zainteresowaniem. W cierpieniu czterdziestolatki widziała swoje własne upokorzenie. Tyle zdrad, tyle niewierności, a ona nie mogła nic zrobić.

Pokora. Los wyznaczył jej rolę przybocznej Jana Duchnowskiego. Jako pani Duchnowska, była

niesamowicie ważną personą. Liczyła się na mieście. Bez jego nazwiska byłaby nikim.

– To świństwo – osądziła surowo. – Przecież wy macie rodzinę, dzieci... Za chwilę wybory.

– Wiem. Tato bardzo by nie chciał, aby cała sprawa wpłynęła na kampanię.

Duchnowska kiwnęła ze zrozumieniem głową. Nie mogła zemścić się na swoim mężu. Ale mogła odkupić jego winy krwią Klaudiusza. Niewierny małżonek musiał zapłacić sprawiedliwą cenę.

– Pomogę ci, Beatko. Wiesz, że na mnie zawsze możesz liczyć. Mamy takiego zaufanego człowieka. Ma na imię Tycjan. Zajmie się twoim problemem. Wyjaśni Klaudiuszowi, gdzie zblądził. I dokąd go ta fałszywa droga zaprowadzi. Świat mu nie wybaczy.

Rozdział 26 | Listopad

MAJA

Kolekcja zabezpieczonych na miejscu wypadku śladów kryminalistycznych prezentowała się wyjątkowo ubogo. W takich sprawach kluczowe są pierwsze godziny.

Policjanci uznali, że mają do czynienia ze zwykłym zdarzeniem drogowym. Do sprawy podeszli szampowo, wykonali kilka rutynowych czynności, sporo dowodów uległo bezpowrotnemu zniszczeniu.

Na kierownicy ujawniono ledwie jeden odcisk palca. Maja już wcześniej wykluczyła sprawstwo Fergusa. W chwili wypadku gangster przebywał za granicą, odcisk palca zaś nie należał do niego.

Po zatrzymaniu Nazareta policjanci zyskali nowy materiał porównawczy. On także nie pasował do tego znalezione w aucie.

– Panie prokuratorze, to nie Nazarkiewicz – powiedziała Maja.

– Tak mi się właśnie wydawało – odparł Kroon. – A to znaczy, że naszą „podejrzaną” numer jeden jest teraz Beata Lewandowska.

PATRYCJA RADKE

Wieczorny Gdańsk wyglądał jak z pocztówki. Do siedemnastej siąpił mocny deszcz. Światło żeliwnych latarni odbijało się od mokrych ulic Głównego Miasta, rozpraszało w wilgotnym późnojesiennym powietrzu. Impresjonistyczny pejzaż końcówki listopada. Nastrojowa aura, idealna na romantyczny spacer.

Kiedyś budynek dawnego „Lotu” stanowił jedno z popularniejszych miejsc spotkań. Patrycja miała okazję ustawić się pod nim tylko raz; do dziś zadawała sobie pytanie dlaczego.

Spryskała perfumami nadgarstki, szyję i zgięcie łokci. Założyła koronkową bieliznę, wciągnęła swoją najlepszą sukienkę z Zary. Bóg jeden wie, na co liczyła, tak bardzo pragnęła umówić się w końcu na randkę, że choćby i Kroon zaciągnął ją na mecz hokeja, odstroiłaby się jak do teatru.

Konrad nie przyniósł kwiatów. Szedł pewnym krokiem, ubrany w ciemne jeansy, skórzaną ramoneskę i idealnie skrojone sztyblety. Już z oddali posłał jej zawadiacki uśmiech.

– Pani Patrycjo! – zawołał.

Na sądowych korytarzach witali się uściskiem ręki, ale przecież... nie byli w sądzie. Kroon był znacznie wyższy od niej, schylił się i delikatnie musnął wargami jej policzek. Niby zwykły przyjacielski pocałunek, a jednak poczuła dreszcze.

– Panie prokuratorze...

Spojrzał na nią z góry.

– Zazwyczaj to kobieta pierwsza proponuje przejście na ty, ale... Serio nie wyobrażam sobie, żebyś mi „prokuratorowała” przez cały wieczór. Konrad jestem.

Wyciągnęła dłoń.

– Patrycja.

Kroon znów obdarzył ją swoim szelmowskim uśmiechem. Kilkanaście lat temu zaczynał tak każdą pierwszą randkę obliczoną na całonocny seks. Tego wieczoru nie planował niczego poza koleżeńskim wypadem na miasto. Wciąż nie mógł pogodzić się ze stratą Zuzy.

– Byłaś kiedyś w Artusie?

– Wstyd się przyznać, ale nie – odparła.

– Jako lokals czuję się w obowiązku cię oprowadzić. Bo ty ze Starogardu?

Patrycja nie pamiętała, żeby mówiła mu, skąd pochodzi. Googlował ją?

– Tak. A pan? To znaczy... a ty?

– Ja stąd. Całe życie.

Ruszyli powoli w stronę ulicy Długiej.

– I nie nudno ci tak?

Kroon tylko się zaśmiał. Wszyscy się go ciągle o to pytali. „Nie nudzi ci się tak? Siedzisz ciągle w rejonie, zrób coś w końcu ze swoim życiem”. Czy było to aż tak oczywiste?

– A wyglądam na znudzonego życiem?

Pytanie retoryczne.

– Nie, skądże, ale...

– Wiesz, czterdzieści lat to dobry wiek na zmiany. I ja właśnie czuję, że teraz stoję ledwie kilka kroków od jakiejś małej rewolucji. Nie mam jeszcze pojęcia jakiej, ale rozwalę system.

Zachichotała. Nie spotkała jeszcze równie odpalonego prokuratora.

– Będę trzymała kciuki.

Minęli Bramę Długoliczną, powszechnie kojarzoną jako Złotą Bramę. *Langgasser Tor*. Niderlandzki manieryzm, fasada zwieńczona attykami, na których umieszczono osiem alegorycznych figur. Pokój, Wolność, Szczęście i Sława. Z drugiej strony: Zgoda, Sprawiedliwość, Pobożność i Rozwaga. Ulubione cnoty Kroona.

– Tak całkiem serio, to studiowałem w Krakowie. Wróciłem do Trójmiasta na aplikację. Do dziś pluję sobie w brodę, że nie nawiałem gdzieś za granicę.

Słyszała już tę historię. Kroon studiował z jej wykładowcą.

– Na przykład dokąd?

– O mały włos nie zamieszkałem w Ameryce Południowej. Czytałaś Márqueza? Albo Vargasa Llose?

Nie czytała.

– Jakoś nie było okazji.

Dziś nikt już nie czyta takich książek. W jego życiu tylko dwie kobiety kochały szaleńczo literaturę. Jedną z nich była Zuza. Drugą Julia, której nigdy nie udało mu się odnaleźć.

– Polecam. W każdym razie... jest coś fascynującego w tym rejonie świata. Religijność połączona z zabobonem, wolność wymieszana ze strachem przed zorganizowaną przestępczością. Wiara w siłę rodziny, przywiązanie do kultu kochanki. Realizm magiczny. Po uliczkach Miraflores wędrują duchy przodków, w zakamarkach Bogoty dzieją się cuda.

– Planowałam kiedyś lecieć do Meksyku. Na razie niestety finanse nie pozwalają...

– Słuchaj, żadne pieniądze nie zastąpią wspomnień. Mówię ci to ja, człowiek, który zwałił sobie życie.

Od razu z grubej rury. Otaksowała go wzrokiem. Eleganckie ubranie, zadbana twarz. Pamiętała, że jeździ nowiutką tetetką.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto wybrał źle.

– Słabo się znamy...

*

Artushof. Dwór Artusa.

– Chwilę sobie postoiimy – mruknęła Patrycja.

Przed wejściem ustawiła się spora kolejka oczekujących.

– Nie lubisz czekać? – spytał Kroon.

– Nie lubię. Ale co zrobić?

Konrad chwycił ją za rękę. Wyprzedził długą linię turystów i podszedł aż do wejścia.

– Przepraszam, tu obowiązuje... – zaczął pracownik muzeum. Młody chłopak, mieszkaniec Wrzeszcza, przystojny absolwent historii sztuki. Diamentowy kolczyk w lewym uchu.

Kroon wyciągnął legitymację.

– Prokuratorska kontrola praworządności.

Prokuratorską kontrolę przestrzegania prawa wprowadziła do ustawodawstwa poststalinowska ustawa o prokuraturze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W czasach słusznie minionych stanowiła wytrych do tego, by wbijać się na krzywy ryj gdzie popadnie i zastraszać nieświadomych obywateli.

Dziś nikt nie wiedział, czym jest prokuratorska kontrola praworządności. Na dobrą sprawę nikt też do końca nie wiedział, czym jest prokurator. „Prokurator” brzmi po prostu groźnie. I jeśli prokurator mówi, że coś musi i może, to znaczy, że musi i coś najpewniej może. Proste.

Chłopak wyglądał na przestraszonego.

– Proszę, pan wejdzie. – Spojrzał na Patrycję. – Znaczą państwo. Bilety...

– Bilety naturalnie kupimy – wtrącił Kroon.

Podeszli do kasy, zapłacili za dwa normalne.

– To tak wolno? – spytała Patrycja.

– Oczywiście, że nie – rzucił z łobuzerskim uśmiechem Konrad.

*

Po wyjściu z muzeum Kroon zaproponował drinka.

– Nawet nie wiem, gdzie tu można coś wypić – odparła Patrycja.

– Może do Reda? – zaproponował prokurator. – Pewnie chodziłaś tam non stop na studiach.

Szlag! I co tu odpowiedzieć? Pięć sekund namysłu. I wtem... rozwiązanie godne Stephena Hawkinga.

– Prowadź!

*

Wieczór upłynął im na alkoholu i żartach. Kroon specjalnie przyjechał uberkiem, Patrycja jak zwykle wsiadła w tramwaj. Żadne z nich nie miało potrzeby zgrywania abstynenta. Najpierw po drinku, później po drinku.

Radke liczyła, że dojdzie do czegoś więcej. Nie lubiła przejmować inicjatywy. Niepoprawna marzycielka, czekająca na swego księcia z bajki.

Konrad pierwszy raz od dłuższego czasu czuł się naprawdę swobodnie. Przepisane leki działały, tęsknota o Zuzie jakby na chwilę przycichła. Nie znaczyło to, że zupełnie zapomniał. Po prostu pozwolił sobie na miły wieczór w sympatycznym towarzystwie. Niczego nie oczekiwał, niczego nie planował.

– No, chyba już czas się zbierać – powiedział, spoglądając na zegarek.

Wcale nie chciała się zbierać.

– Racja. Ja też już muszę lecieć.

– Podejźmy bliżej dworca i złapiemy jakąś taryfę.

Wyszli z lokalu, kierując się w stronę ulicy Pivnej. Tuż nieopodal bazyliki Mariackiej doszło do nietypowego spotkania.

– Konrad?! – zawołał starszy mężczyzna. Siedem dych na karku, rogowe okulary, kozia bródka. Pod szyją nosił koloratkę.

Patrycja zaobserwowała, że Kroon nagle zacisnął dłonie. Nie wiedziała, kim jest obcy mężczyzna, ale widziała, że Konrad się zestresował.

– Wujek?

A więc rodzina.

– Przyszedłeś się pomodlić? – spytał ksiądz.

– Przyszedłem... po prostu wyskoczyłem na miasto.

Nieznajomy skinął głową.

– Prokurator snuje się mrocznymi uliczkami swego dominium – podsumował ksiądz Walewski. – „Nogi ich biegną do zbrodni, spieszą się do rozlania krwi niewinnej. Zamysły ich – zamysły zbrodnicze, spustoszenie i zagłada są na ich drogach”⁷⁴.

Patrycja zauważyła wahanie na twarzy Kroona. Zupełnie jakby bał się postawić tajemniczemu mężczyźnie.

– „Nie znają drogi pokoju, prawości nie ma w ich postępowaniu. Uczynili krętymi dla siebie własne swoje ścieżki, kto nimi chodzi, nie zazna spokoju”⁷⁵ – odpowiedział Konrad.

Wujek lubił, kiedy to do niego należało ostatnie słowo.

– „Oczekiwaliśmy światła, a oto ciemność, jasnych promieni, a kroczymy w mrokach”⁷⁶.

Patrycja nic z tego nie rozumiała.

KONRAD KROON

Wujek od dziecka budził w nim strach. Nawet wtedy, kiedy ratował Kroona przed ojcem, kiedy zaopiekował się nim po śmierci matki, kiedy posłał do szkoły, wykształcił, wychował, oddał cały swój majątek. Był jego cieniem; demonem, który pilnował snów, strażnikiem, który nie pozwalał zasnąć. *Venenum et medicamentum*. Trucizna i lek.

Po raz pierwszy czarnoksięska magia wujka nie zadziałała, kiedy przez zupełny przypadek spotkali się gdzieś na krakowskich Plantach. Konrad spacerował wtedy z Zużą, świeża znajomość, dopiero wiele lat później zdecydowali się na stały związek.

Kroon uznał, że dziewczyna stanowi jego amulet. Niewidzialną tarczę chroniącą przed ścigającymi chłopaka upiorami. Broniła go przed wujkiem, wyzwalała od nocnych koszmarów. Nigdy w życiu nie natrafił na nikogo, kto dodałby mu odwagi potrzebnej, by skonfrontować się z wujkiem. Nigdy w życiu. Aż do teraz.

Spojrzał na niepozorną młodą mecenas. Zwykła dziewczyna z prowincji. Miła, sympatyczna w gadce, ot, normalna laska.

„Nie. To niemożliwe”, pomyślał.

MAJA

Umówiła się z nią normalnie na spotkanie. Zadzwoiła na podany numer, ustaliła godzinę oraz adres. „Z dziewczynami właściwie rzadko się bzykam. Ale stawka ta sama. Jedno zbliżenie”.

Nie miała ochoty negocjować z alfonsiem. Weszła grzecznie do pokoju, dopiero wtedy machnęła odznaką.

– Kurwa, z psami nie gadam!

– Zajmę ci tylko chwilę. – Maja podniosła z szafki torebkę z gadżetami. Zajrzała do środka.

– Zostaw to!

Policjantka wyciągnęła ze środka niewielki woreczek strunowy.

– Wiesz, że za coś takiego mogę cię zaraz zwinąć?

– MARIAN! – zawołała prostytutka.

Do pokoju momentalnie wparował barczysty mężczyzna.

– CO JEST, KURWA?! – ryknął.

Maja odsłoniła kurtkę, ukazując przypięty do pasa pistolet. Machnęła mu blachą.

– Nie „kurwa”, tylko „słucham, proszę”. Dwadzieścia minut kulturalnej konwersacji. I macie święty spokój.

– Za takie rzeczy się płaci! – burknął alfons.

Funkcjonariuszka rzuciła w niego woreczkiem z kokainą.

– Za takie także.

– Macie kwadrans – fuknął na odchodne.

*

Sexworkerka oglądała zdjęcia z telefonu. Klaudiusz Lewandowski, Oskar Wójcicki, luksusowy apartament nad Motławą.

– No pamiętam ich. Przyjechaliśmy we trójkę, ten jeden miał już jakąś dziewczynę. – Wskazała palcem na Wójcickiego.

Maja przytaknęła. Wiedziała, z kim umawiał się Oskar.

– A ja poszłam do pokoju z tym brodatym. Był strasznie spięty.

– Widzieliście się jeszcze potem?

– Nie, to był tylko ten jeden raz – wyjaśniła dziewczyna.

Policjantka opierała się o parapet. Brzydziła się usiąść na łóżku.

– Opowiadał ci o swoich problemach?

Prostytutka skinęła głową. Wszyscy zawsze opowiadali jej o swoich problemach. Zawód zaufania publicznego.

– No raczej.

Maja udała, że nadstawia ucho.

– Jak cię będę musiała ciągnąć za język, to nie zmieścimy się w kwadransie. A twój szef wyglądał na wkurwionego.

Dziewczyna westchnęła.

– Mówił to samo co każdy. Że nie kocha starej, chce się wyprowadzić, że jest przyklejony do toksycznej rodziny jakichś kasiastych ludzi. Że jak się od nich odetnie, to nie przeżyje tygodnia.

„A jakimś cudem jeszcze oddycha”, pomyślała funkcjonariuszka.

– Coś jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

– Dużo płakał. Zazdrościł temu drugiemu.
– Wójcickiemu.
– Temu ze zdjęcia – wyjaśniła dziewczyna, pokazując na fotografię w telefonie. Wójcicki i Lewandowski. Podejrzana parka.
– Długo się bzykaliście? – Nagła zmiana tematu.
– No co ty! Większość takich kozaków w garniturach kończy po kilku minutach. A temu chyba w ogóle nie stanął.

Maja rzuciła okiem na sexworkerkę. Była naprawdę gorącą laską.

– Serio nie?

Dziewczyna napiła się wody.

– Ćpają i chleją całą noc, nad ranem mają ochotę się zabawić... ale tak to nie działa. Chciałam dać mu viagry. Zawsze noszę ze sobą na takie imprezy. Bał się zmieszać z dragami.

Maja zanotowała wszystko w pamięci. Kroon polecił jej przedzwonić od razu po rozpytaniu.

– A żona? Co jej w ogóle powiedział? Jak wytłumaczył, że go nie ma w domu? Myślisz, że się dowiedziała?

Prostytutka raz jeszcze wzduszyła ramionami.

– Miał kilka nieodebranych połączeń. A czy się dowiedziała? – Spojrzała przez okno. – Na pewno. Z mojego doświadczenia wynika, że zawsze się dowiadują. Prędeż czy później. Kłamstwo ma krótkie nogi.

KONRAD KROON

Trudno powiedzieć, dlaczego od dziecka uciekał do kościoła. Jeszcze zanim trafił pod opiekę wujka, czuł nieodparty pociąg do starych świątyń.

Kiedy Edmund Kroon dostawał ataku furii, Konrad nieraz szukał schronienia w katedrze oliwskiej. Starożytne prawo azylu, wywodzące się z kart Starego Testamentu. Kościół był domem Boga, w którym ludzkie prawa po prostu nie obowiązywały.

Zaszedł tu właściwie przypadkiem. Spacerowali z Fenderem po nocnym lesie, wracając, zahaczyli o katedrę.

– Poczekasz tu – powiedział do psa. Zwierzę jak zwykle posłusznie wykonało polecenie.

Konrad zajął miejsce w ławie i zaczął medytować. Nie modlił się, tylko rozmyślał. O swoim życiu, ostatnich wydarzeniach, prowadzonych sprawach. Ostatnio czuł się znacznie lepiej. Czy to za sprawą Patrycji, czy lepiej dobranych leków. Opowiedział Maciejewskiemu o swoich problemach, ten inaczej rozpiśtał dawki.

– Powoli wychodzę na prostą – szepnął, spoglądając w kierunku ołtarza.

Czternaście kolumn korynckich reprezentowało ciężar doczesności, nad nimi rozpościerała się sfera nieba. Pod jednym z obłoków przykucnął Mojżesz. Starotestamentowy *propheta* ścisnął w dłoniach tablice Prawa i Łaski. To on przeprowadził Izraelitów przez Morze Czerwone, wywiódł ich z Egiptu, poprowadził do Ziemi Obiecanej.

„Sądziłem, że bez niej nie dam rady – pomyślał Konrad. – Że tylko Zuza trzyma mnie jeszcze przy życiu. Tymczasem świat pędzi dalej naprzód. A ja razem z nim”.

Wciąż cholernie za nią tęsknił. Takiej miłości nie da się pogrzebać w kilka tygodni. Być może w ogóle nie da się jej pogrzebać. Konrad był poobijany, miał złamane serce, ale wciąż stał na nogach.

– Pokażę ci, że potrafię – szepnął.

W kościele nie było niemalże nikogo. Jedynie koło organów kręciło się dwóch młodych kleryków.

„Uwielbiam tę ciszę”, stwierdził w myślach.

Kroon spoglądał na ołtarz, analizując, co ma jeszcze do zrobienia w pracy. Orski siedział w Kocborowie, prokurator czekał tylko na opinię biegłych i kończył sprawę. Zakładał, że lekarze orzekną całkowitą niepoczytalność podejrzanego i zawnioskują o przymusowe umieszczenie go w zakładzie psychiatrycznym.

Sprawa Nazareta wymagała jeszcze przeprowadzenia kilkunastu dowodów, pozyskania opinii, na koniec formalnego zapoznania sprawcy ze zgromadzonym materiałem dowodowym. Akt oskarżenia planował skrobnąć w połowie przyszłego roku. To całkiem szybko jak na tak poważne zarzuty. Kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, handel narkotykami. Grube śledztwo.

Ludwik Kreft, diler, który zdecydował się sypać, twierdził, że Nazaret chciał go zastraszyć. Zamordował krewę jego rodziców, drugiego z chłopaków poddał torturom. Na to jednak nie było żadnych dowodów. Kroon wątpił, by Nazarkiewicz dopuścił się tych występów. Niezawodny instynkt prokuratora milczał. Dowody nie wykazały żadnego związku z osobą gangstera. Wypożyczone sprawy będzie musiał zwrócić; policja pewnie umorzy je wobec niewykrycia sprawcy.

Najtrudniejsza do rozwikłania była sprawa wypadku. Najlepsze osobowe źródło dowodowe od kilku miesięcy znajdowało się w śpiączce. Tylko Lewandowski znał prawdę. Lewandowski i... sprawca. Lub sprawczyni.

Nagle z organów katedry oliwskiej wydobył się charakterystyczny dźwięk potężnej melodii. Rapsodyjny ozdobnik zagrany na górnych klawiszach.

– Co, do cholery...? – mruknął Kroon.

*Toccat*a Jana Sebastiana Bacha.

Od kilku dobrych dni melodia już go nie prześladowała. Leki zaczęły działać, Konrad znów mógł spać spokojnie.

Obejrzał się za siebie.

„I weź tu nie wierz w znaki”, pomyślał prokurator.

Tym razem muzyka nie grała wyłącznie w jego głowie; piszczałki organów wydobywały prawdziwe dźwięki słyszalne dla wszystkich obecnych w katedrze. Zawołanie i podwójna odpowiedź.

– Ech... – westchnął. Wtedy go olśniło.

Pospiesznie wybiegł z kościoła. Na zewnątrz posłusznie warował Fender. Kroon wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał numer do naczelnika kryminalnych.

– Panie Czarku, musi mi pan coś szybko sprawdzić...

Rozdział 27 | Wrzesień

LENA

– Chuj jebany!

Lena spojrzała na Oskara.

– Serio, nie może być tak źle – odparła.

– Kurwa, nawet sobie nie wyobrażasz, co ten piździelec nawyrabiał! Dębski się do mnie dopierdolił, mówi, że to moja wina!

Orska przytuliła się do niego.

– Każdy odpowiada za siebie. O ile dobrze rozumiem, ty wykonałeś swoją część zadania.

Wójcicki kręcił się po salonie niczym lew w klatce. Nerwowo palił papierosa. Nigdy wcześniej nie kurzył w mieszkaniu.

– Zarzucasz mi, że to ja nie dopilnowałem chłopaka. – Kopnął stolik kawowy. – JAKBYM BYŁ, KURWA, JEGO JEBANĄ NIAŃKĄ!

– Nic nie poradzisz – stwierdziła poważnie Lena.

– Kurwa. Nie wiem, co mogłem inaczej zrobić. Lewandowski wydawał się pewną inwestycją. Pieprzony czarny koń tych wyścigów. Zięć Nawrockiego, nie wiem, czy można lepiej trafić. Nawet pociotki prezesa nie mają takich chodów!

– Czego chce Dębski? – spytała dziewczyna.

Oskar zatrzymał się w kuchni. Zgasił papierosa bezpośrednio na blacie.

– Pierdolonej głowy Klaudiusza. I swojej kasy.

Dwudziestolatka przytuliła się do biznesmena.

– Niestety, kocie, groszem nie śmierzę. Ale łeb tego skurwysyna... jak chcesz, mogę ci przynieść na złotej tacy.

KONRAD KROON

Wrześniowe powietrze przyciągnęło ze sobą nie tylko ochłodzenie, ale i pewną dziwną nostalgię. Konrad siedział na niewielkim ceglany murku nieopodal pracowni Zuzy. Spoglądał na nieme dźwigi KONE, śpiących strażników portowego miasta.

W zeszłym roku zawędrował na stocznię, aby pomyśleć o sprawie Julii. O sprawie tajemniczej dziewczyny, która miała wyciągnąć go z bastionu przeciętności, obudzić, pozwolić żyć naprawdę.

Konrad nigdy nie odnalazł Julii. Kroczył tymi samymi co ona ulicami, czytał te same książki, jadał w tych samych knajpach. Kosmiczna wróżda. Nie wiedział, że ich losy splotły się już dawno temu.

BEATA

Spotkanie z Tycjanem umówiła sama Duchnowska. Zaprosiła Beatę do siebie, przyjęła w gabinecie męża, zasłoniła rolety. Przezorny zawsze ubezpieczony.

– Beatko, to jest nasz Tycjanek. Musisz wiedzieć, że nie ma drugiej bardziej zaufanej osoby. I bardziej dyskretnej – wyjaśniła pani Elżbieta.

Mężczyzna w skupieniu przyglądał się Lewandowskiej.

– Bardzo mi miło – szepnęła Beata.

– Umówiłam spotkanie u nas w domu, aby zapewnić o poparciu dla sprawy. Senator Nawrocki zawsze był serdecznym przyjacielem mojego Janka. Wasze problemy to nasze problemy. Atak na waszą rodzinę to deklaracja wojny wypowiedziana całemu klanowi Duchnowskich.

Beata nie wiedziała, na ile słowa kobiety są szczerze, a na ile zależy jej po prostu na koneksjach papy. Do Duchnowskich udała się jednak bezpośrednio z polecenia ojca. Córeczka tatusia.

– Pani Beato, zapewniam, że nie ma takiego problemu, którego nie dałoby się rozwiązać. Albo któremu nie dałoby się zapobiec – wyjaśnił Tycjan. – Streszczono mi pokrótce istotę sprawy. I proszę się nie martwić. Zaopiekuję się pani mężem.

LENA

Retrogradacja Merkurego zapowiadała problemy w komunikacji. W końcu września pierwsza planeta Układu Słonecznego zaczęła poruszać się inaczej niż zwykle; astrologiczny tranzyt ostrzegał przed podejmowaniem ważnych decyzji. Kosmiczne zamieszanie niesło ze sobą impulsywność, pośpiech oraz łatwość w produkowaniu niepotrzebnych słów.

– Jesteśmy umówieni na spotkanie z Dębskim. Ty, ja i twój pieprzony teść – oznajmił Wójcicki.

– Chyba cię pogrzało – fuknął Klaudiusz.

Siedzieli w apartamencie Oskara.

– On uważa, że go wystawiliśmy. Że we dwójkę ukęciliśmy aferę, żeby wypłukać go z kasy i upokorzyć. Podobno miał opcję dołączyć do kogoś innego i gdyby nie my, mógłby wygrać z Abramskim.

Lewandowski prychnął.

– Przecież to nonsens! Jakaś cholerna teoria spiskowa!

– Czy ty, kurwa, nie słyszysz, co do ciebie mówię, palancie?! Dębski się do mnie przyjebał! Chce spotkania z senatorem!

Klaudiusz założył rękę na rękę. Postawa zamknięta.

– Nie ma takiej opcji...

– JAK NIE MA TAKIEJ OPCJI? DO CHUJA WAFLA!

– Nie dam się tak upokorzyć. Już nigdy w życiu nie dam się upokorzyć – warknął Lewy.

Do dyskusji włączyła się Lena.

– Upokorzyć? Człowieku, co ty odpierdalasz?! Władowałeś Oskara na jakąś zajebistą minę...

– SAM SIĘ WJEBĄŁEM NA MINĘ! I muszę, kurwa, zawijać z tego pierdolonego Laosu albo będę trup. Słyszycie to? Będę, kurwa, trup. TRUP!

Orska przysunęła się bliżej swojego partnera. Nie mogła zdzierżyć Klaudiusza. Denerwował ją właściwie od pierwszej wspólnej imprezy, teraz miała po prostu ochotę go zdzielić po twarzy.

– Obaj będziecie uprawiać pierdolony wakeboarding do góry nogami Motławą, jak nie zaczniecie działać! Jak się nie ogarniesz! Raz w życiu bądź mężczyzną! Chowasz się za plecami Oskara jak jakaś przestraszona pizdeczka! Weź w końcu odpowiedzialność za swoje decyzje! Miałeś ugadać teścia, narobiłeś gnoju, to zapierdalaj do niego i prostuj wszystko, zanim sprawa tak się skurwi, że ktoś komuś sprzeda kulkę!

Klaudiusz ostentacyjnie usiadł plecami do Leny. Zwrócił się bezpośrednio do Oskara.

– Wychodzę stąd. – Wstał z fotela. – Jak następnym razem będziesz chciał pogadać, to nie zapraszaj tej swojej małej kurewki. Bo strasznie nie znoszę takich wyszczekanych małolat.

– Zajebię cię, pizdo! – krzyknęła Lena. – SŁYSZYSZ?!

Lewandowski nigdy nie był odważny. Prawdę powiedziawszy, przestraszył się, że dziewczyna faktycznie może coś mu zrobić. Szybko podszedł do drzwi.

– Odwieź ją z powrotem do tego burdelu, z którego ją przytargałeś, i wtedy do mnie zadzwoń.

Trzasnął drzwiami.

– Ja, kurwa, nie wytrzymam! – Lena pobiegła za nim. Klaudiusz zdążył wsiąść do windy. – Co za chuj niemyty!

– Dobra, weź odpuść...

– Odpuścić? Ja nigdy nie odpuszczam! – Wyskoczyła na balkon. Po niecałej minucie zobaczyła idącego na dole Klaudiusza. – ZAJEBIĘ CIĘ, SŁYSZYSZ?! NIE DOŻYJESZ DO KOŃCA MIESIĄCA!!!

KONRAD KROON

Zgodnie z pilnym poleceniem Kroona policja dostarczyła mu akta główne kilkunastu różnych przestępstw popełnionych na terenie Trójmiasta. Większość z nich zakończona umorzeniem wobec niewykrycia sprawcy, w kilku w dalszym ciągu pozorowano jakieś czynności.

Tajemnicze pobicie, martwa krowa, okaleczenia ciała. W głowie Konrada pojawiła się osobliwa koncepcja.

Gdyby pochwalił się nią głośno na korytarzu, pomyśleliby, że zwariował. Że za dużo siedzi w robocie, wszędzie widzi zbrodnie, odkleił się od orbity i żegluję gdzieś pośród galaktyk własnej fantazji.

Prawda wyglądała jednak zupełnie inaczej. Po rozstaniu z Zużą Kroon widział wszystko jaśniej niż zwykle. Zupełnie jakby dziewczyna przez lata zagłuszała jego niezwykły instynkt, niesamowity szósty zmysł.

Konrad dysponował garścią pozornie niepowiązanych ze sobą dowodów. Niewyraźne nagrania monitoringu, jakaś biologia, zeznania pokrzywdzonych. Zebrało się tego dwanaście spraw, z których Kroon odrzucił dziewięć. Zostały trzy, które zamierzał sprowadzić do wspólnego mianownika.

Naprawdę powołał biegłego z zakresu antropologii, wyprosił szybkie sporządzenie opinii. Materiał genetyczny wysłał aż do Bydgoszczy; grudzień, koniec roku za pasem, minie trochę czasu, zanim ustali zbieżność zabezpieczonego na miejscach zdarzeń DNA. Ale nie zamierzał czekać. W międzyczasie wystąpił do operatorów o dane logowań do przekaźników BTS. Jeden numer logował się we wszystkich trzech miejscach. Przypadek?

– Krew w Strzyży – szepnął, przypominając sobie czerwonawe zabarwienie rzeki, które dojrzał w zeszłe wakacje. – Brakuje jeszcze sześciu...

LENA

Na drzwiach do mieszkania Oskara wisiała rozerwana policyjna taśma. Po wczorajszej okołomikołajkowej imprezie Lena wciąż była lekko nawiana, ale zachowała resztki zdrowego rozsądku. Nacisnęła łokciem klamkę i weszła do środka.

Nowoczesny apartament wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Pootwierane szuflady i szafki, przewrócone meble, zwinięty dywan. Po podłodze wały się porzucane papiery i ciuchy.

– Oskar? – zawołała.

Nikt nie odpowiedział. Zajrzała do łazienki, ruszyła schodami na górę.

– Oskar? – powtórzyła.

Cisza. Ostrożnie weszła do sypialni.

– Kurwa, Oskar! – Wyciągnęła komórkę. – Dzwonię na policję!

W tym momencie Wójcicki wyskoczył spod łóżka.

– Zostaw ten telefon! – szepnął. – Jesteś sama? Nikt cię nie śledził?

– Nie... nie wiem. Co to, kurwa, ma być?!

– Psy zrobiły mi przedwczoraj nalot na chatę. Dostałem cynk od ochroniarza. Chcieli mnie zatrzymać.

Poczuła, jak mięką jej nogi.

– Ja pierdolę...

– Wpadłem zabrać trochę papierów – machnął jej przed oczyma kompletem dokumentów – i spierdałam z kraju.

– Oskar!

Podszedł do okna. Ostrożnie zerknął na zewnątrz.

– W sumie dobrze, że jesteś. Zjedziesz do garażu, sprawdzisz, czy droga wolna. Jeśli tak, puścisz mi strzałę na ten numer. – Wbił jej do telefonu ciąg cyfr. – Tylko żadnych, kurwa, SMS-ów! To karta prepaidowa. Twoja komórka pewnie siedzi na podsłuchu.

– Ja pierdolę... – Przysiadła ciężko na materacu.

– Kurwa, dziewczyno, weź się w garść! Bierzesz telefon i zjeżdżasz do garażu. Mam tam wynajęty

samochód. No już, migiem!

Najpierw ojciec, teraz to. A co z nią? Dokąd miała pójść? Gdzie się podziać?

– No a my?

– Jacy, kurwa, znowu „my”? Jak mnie wpierdolą na Kurkową, to będziesz miała nas. Historia skończona. Kopciuszek zgubił pantofelek, zła czarownica wrzuciła go do kontenera PCK, książkę nie przyjedzie. *The end*. A teraz popierdalaj do garażu!

BEATA

Tycjan odwiedził ją jakoś pod wieczór. Jak zwykle postawił na stole zagłuszarkę. Nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Idźcie do pokoiów – poprosiła dzieci. – Musimy tu z panem chwilę porozmawiać na osobności.

Mężczyzna usiadł na wysokim krześle tuż obok wielkiej sztucznej choinki.

– Pani też lepiej spocznie – polecił.

– Napije się pan czegoś? Może kawy...

Powstrzymał ją gestem.

– Proszę usiąść. To nie zajmie nam długo.

Beata ciężko opadła na siedzisko. Po tak długim czasie powinno być jej wszystko jedno. Może gdyby Klaud umarł, gdyby go pochowała, wrzuciła do trumny jego martwe ciało, a wraz z nim wszelkie dowody, poszlaki i domysły... Być może wtedy mogłaby przestać się bać. Niestety. Jej mąż w dalszym ciągu oddychał, a ona nie potrafiła spokojnie zasnąć.

– Widzieliście się? – spytała nieśmiało.

– Widzieliśmy. I rozmawialiśmy. – Tycjan podwinął rękawy swetra, ukazując umięśnione ręce. – Był okropnie przestraszony. Rozumie, że sprawa nie może się wydać.

– Ale czy on...

– Jestem pewien, że nie sypnie. A jeśli policja miałaby się czegoś dowiedzieć, to tylko od niego. Sprawa skończona. – Nałożył czapkę z daszkiem. – Proszę pomodlić się o rychłą śmierć męża. To ostatnia osoba, która mogłaby pani zaszkodzić.

MAJA

– Czuję, że jesteśmy w kropce. Mieliśmy ogromny krąg podejrzanych: Fergus, Nazaret, Wójcicki, chyba udało nam się ich wszystkich wyeliminować. Teraz wiemy, że to żaden z nich. I nie mamy pojęcia, co zrobić – rzuciła do słuchawki.

Kroon słuchał jej z zainteresowaniem. Aktualnie jego głowę zajmowało zupełnie inne śledztwo. Ale i sprawę Lewandowskiego zamierzał wyjaśnić.

– Nie powinna się pani martwić, że zawężiliśmy grupę potencjalnych sprawców – odparł prokurator.

– Uważa pan, że to Beata wsadziła go do tego samochodu. Ale na nią mieliśmy najmniej dowodów ze wszystkich. Właściwie tylko to, że odmówiła składania zeznań i wydania telefonu.

Konrad zapoznawał się właśnie z opinią antropologa. Nie była kategoryczna, operowała stopniem prawdopodobieństwa. Gonił króliczka, ale wciąż biegł zbyt wolno.

– Pani Maju, rzecz w tym, że nie musimy się spieszyć. Lewandowski w każdej chwili może wybudzić się ze śpiączki.

– A co, jeśli jednak się przekreśli?

Nie wiedział, skąd wziął się u niego ten optymizm. Po prostu czuł, że rozwiąże tę sprawę.

– Brakuje nam tylko jednej przesłanki, by doprowadzić równanie do końca. Rozpytała pani kilkanaście osób, Łopiejko przesłuchał kilka kolejnych, zabezpieczyliśmy trochę dowodów...

– Ale jak mamy udowodnić Lewandowskiej, że to ona wsadziła go do tego cholernego samochodu?!

– Jeszcze nie wiem. – Zamknął akta analizowanej sprawy. – Ale proszę się nie martwić. Na pewno się dowiem.

PATRYCJA RADKE

Konrad wezwał ją w trybie pilnym do prokuratury. Zadzwoił jak do koleżanki, ale od razu uprzedził, że chodzi o sprawy zawodowe.

- Hej, siadaj, proszę. Napijesz się czegoś?
- Wyglądał, jakby naprawdę ucieszył go jej widok.
- Nie, chyba nie...
- Poczekaj, przyniosę ci kawy.

Oboje nie potrafili obejść się bez aromatycznego napoju bogów. Kawka na start, kawka na powitanie nowego dnia, kawka, by dotrzeć do południa, kawka, by jakoś przetrwać kryzys godziny czternastej, kiedy wciąż jeszcze nie wypadało wrócić do domu, a ostatni otwarty plik w Wordzie od ponad godziny nie wzbogacił się o ani jedną nową literę.

Kawa to życie. Patrycja mogła przysiąc, że brazylijscy plantatorzy w podzięcie za tony kupionych przez nią ziaren noszą w portfelu jej zdjęcie.

– Nie wiedziałam, że macie tu ekspres – zdziwiła się, widząc wracającego z kuchni prokuratora. Kroon niósł dwa parujące kubki.

– A widzisz? Jednak przyszło lepsze... – Uśmiechnął się do niej. – No ale gdyby chodziło tylko o kawę, zaprosiłbym cię do jakiegoś bardziej wyszukanego miejsca. – Pchnął w jej stronę akta. – Będę przedstawiał Orskiemu nowe zarzuty.

Patrycja przejęła teczkę.

– Narozrabiał w psychiatriku?

Konrad porozumiewawczo mrugnął.

– Narozrabiał, jeszcze zanim go zamknąłem.

Otworzył akta na jednej z ostatnich stron. Fotografia poranego bliznami ciała. Malutkie zaropiałe ranki przypominające wrzody. Patrycja spojrzała z obrzydzeniem na zdjęcie.

– Fajne?

Kroon przewrócił kartę. Protokół oględzin ciała młodego chłopaka, któremu ktoś połamał nogi.

– I to wszystko Orski? – zdziwiła się mecenas.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ale przeczytaj na spokojnie.

*

Lektura akt zajęła jej dobrą godzinę. Na końcuteczki znajdowało się niepodpisane jeszcze postanowienie o uzupełnieniu zarzutów.

– I skąd niby wiesz, że to Orski? – spytała zdziwiona. – Masz trochę poszlak, ale nic kategorięcznego.

Trafiła w punkt.

– Czytałaś opinię z biologii? Materiał genetyczny Hieronima zabezpieczono podczas oględzin miejsca, w którym doszło do połamania nóg Juliusza Hręckiego.

W Radke obudziła się obrończyni. W końcu na tym polegała jej rola.

– Muszę zaprotestować – powiedziała.

– Zdziwiłbym się, gdybyś tego nie zrobiła.

– Słuchaj, masz monitoring i opinię antropologa, że sylwetka domniemanego sprawcy odpowiada wizerunkowi Orskiego. Ale widziałeś te nagrania? – Mecenas obróciła w jego stronę wydruki zrzutów ekranu. – Przecież tu ledwie co widać. Może dwa filmiki są w miarę czytelne, ale to ostatnie? Proszę cię! Biologia... Okej, był na jednym z miejsc. Pobicie jakiegoś chłopaka pod Żabką. Ale reszta? Przecież te postępowania nie mają żadnych stycznych!

Kroon był skłonny częściowo przyznać jej rację.

– Nie jakiegoś chłopaka, tylko kumpla jego córki. Telefon Orskiego łączył się ze stacjami bazowymi zlokalizowanymi w pobliżu wszystkich trzech miejsc, gdzie doszło do popełnienia przestępstw. Mamy opinię biegłego antropologa.

– No a ta krowa? Przecież tu zupełnie nic ci nie wychodzi!

Też tak początkowo myślał.

– Czytałaś kiedyś *Exodus*?

– Nie wiem. Chyba nie... – odparła.

Konrad wyciągnął z szuflady grubą, czarną książkę.

– *Exodus*, czyli Druga Księga Mojżeszowa. *Szemot*. Księga Wyjścia.

Teraz zrozumiała.

– Chodzi o Biblię.

Prokurator skinął dłonią.

– Bingo.

Patrycja nigdy nie broniła kogoś bardziej pokręconego niż Hieronim Orski. Pamiętała jego zachowanie w sądzie, obłąkany wzrok, szaleńcze cytaty, którymi zasypał prokuratora. Z drugiej strony... przestępstwa inspirowane Starym Testamentem?

– Nie mówisz poważnie...

– Dziesięć plag egipskich. „Serce faraona jest twarde, wzbrania się wypuścić lud. Idź do faraona rano, gdy wyjdzie nad wodę, pośpiesz mu na spotkanie na brzeg Nilu. Weź do ręki laskę, która zamieniła się w węże. Powiedz mu: Pan, Bóg Hebrajczyków, posłał mnie do ciebie z rozkazem: Wypuść lud mój, by Mi oddał cześć na pustyni!”⁷⁷.

Nic jej się nie zgadzało.

– Masz tylko trzy przestępstwa.

– Wiem – przyznał z rozbrajającą szczerością. – Nie wszyscy pokrzywdzeni musieli zgłosić sprawę na policję. Na przykład ten – wskazał akta poparzonego mężczyzny – odmówił składania zeznań. Dowiedzieliśmy się o wszystkim od jego kolegi, któremu Orski zabił krowę. Poza tym Hieronim mógł nie zdążyć ze swoją wróżdą.

Patrycja wciąż nie była przekonana.

– Ale jaki miał motyw?

– Chłopak pobity pod Żabką, Julek, był kumplem jego córki. Razem ćpali. Dwóch następnych to dilerzy. Przemiana Nilu w ludzką krew. Następnie zesłanie żab, komarów i much. Pomór bydła, owrzodzenie ciała.

Mecenas założyła nogę na nogę.

– Pobicie pod Żabką to druga plaga, pomór bydła piąta, owrzodzenie ciała szósta... a co z komarami i muchami?

– Nikt niczego nie zgłosił. Analizowałem sprawy z różnych prokuratur, tylko te trzy dało się połączyć.

Kiedy w zeszłym roku Patrycja dała się wciągnąć w grę pewnego nawiedzonego studenta, to ona musiała przekonywać Kroona, by uwierzył w historię o tajemniczej Julii. Teraz role się odwróciły.

– Nie wiem, chyba to do mnie nie przemawia...

– Jakoś w wakacje spacerowałem nad Strzyżą. Ktoś zabarwił rzekę na czerwono. – Przewrócił kartę Księgi Wyjścia i ledwie zerkając na tekst, zacytował kolejny fragment: – „Oto uderzę laską, którą mam w ręce, wody Nilu, a zamienią się w krew. Ryby Nilu poginą, a Nil wydawać będzie przykrą woń, tak że Egipcjanie nie będą mogli pić wody z Nilu”⁷⁸.

Spojrzała na Kroona. Skąd, do cholery, tak dobrze znał Biblię?

– Okej. Masz dowody na pobicie tego całego Julka. Na „owrzodzenie” dilera masz poszlakę, Orski kręcił się w pobliżu stoczni, złapałeś go na monitoringu, jak zmierza z wózkiem do zbierania złomu w stronę Ulicy Elektryków, później wraca z jakimś ładunkiem. To mogło być ciało związanego dilera. Ale ta krowa?

Prokurator splótł palce.

– Przedstawię Orskiemu zarzuty. Zobaczysz, że się przyzna.

– Oczywiście wiesz, że jako obrończyni namówię go, by odmówił składania wyjaśnień?

Musiała bezwzględnie działać na jego korzyść.

– Rozumiem. Ale i tak ogłoszę mu te zarzuty. Wiem, że to on. I wiem, że czeka na nasze spotkanie.

Rozdział 29 | Grudzień

KONRAD KROON

Czarne audi TT mknęło autostradą przecinającą okoliczne wzgórza i doliny, „malachitową łąką morza”⁷⁹, za kierownicą Kroon, obok niego młoda adwokat. Zaoferował podwózkę, lubił spędzać z nią czas.

Nie byli parą, formalnie nikt nie mógł im zabronić uczestniczyć w tym samym postępowaniu. Po prostu się zakumplowali.

– Naprawdę wierzysz, że to Orski?

– W całej mojej karierze tylko raz nie dotarłem do prawdy. Wtedy w zeszłym roku, kiedy zginęła Weronika.

To było ich pierwsze spotkanie. Nie sądziła wówczas, że zostaną znajomymi.

– Nie pomyliłeś się. Zrobiłeś wszystko, co się dało.

Dokładnie to potrzebował usłyszeć.

– Wiem. Ale to nie zmienia faktu, że nie odkryłem prawdy. Zgubiłem przesłankę, wyprowadziłem fałszywe wnioski. – Docisnął pedał gazu. – Już więcej nie zamierzam popełnić podobnego błędu.

*

Kocborowo zawdzięczało swą nazwę zbitce dwóch słowiańskich słów: „koc” oznaczającego błoto i „bor” oznaczającego las. Kompleks szpitalny powstał tu pod koniec dziewiętnastego wieku. Budynki nawiązywały swą architekturą do krzyżackiego gotyku i faktycznie miały w sobie coś niepokojącego.

Kroon zajechał na podjazd, zaparkował tuż obok głównego gmachu. Z nieba sączyły się gęste strugi deszczu.

– Dawno tu nie byłem – mruknął, wyciągając telefon. Prokuratorzy zazwyczaj nie fatygowali się do wykonywania czynności tak daleko od miejsca zamieszkania, tylko prosili o pomoc lokalnych śledczych. Konrad chciał jednak samodzielnie przesłuchać Orskiego.

– Coś ci pomóc?

– Nie, spoko. – Włączył mapkę z planem szpitala. – Już mam.

Odpalił samochód, na portierni machnął ochroniarzowi legitymacją.

– Prosto i na prawo – powiedział mężczyzna, wskazując dłonią właściwą drogę.

– Dzięki – odpowiedział Kroon.

Jechali wzdłuż długiego rzędu ceglanych, posępnych budynków. Kocborowo przypominało niewielkie miasteczko: miało własny cmentarz, ciekawe założenie parkowe, kaplicę i imponującą wieżę ciśnień zwieńczoną ogromnym zegarem.

– Trochę jak Arkham, trochę jak Hogwart – podsumował Konrad.

Oddział dwudziesty drugi. To tu przeprowadzano obserwacje sądowo-psychiatryczne tymczasowo aresztowanych.

– Dojechalismy? – spytała Patrycja.

– Si.

Rozłożyli parasolki i szybko przemknęli do środka. Na korytarzu czekał już na nich doktor Maciejewski.

– No w końcu mnie odwiedziłeś – rzucił do Kroona. – Po tylu latach znajomości...

– Prawdę powiedziawszy, wolę odwiedzać cię na Morenie. Tłuc się taki kawał?

Lekarz poprawił okulary.

– Dojeżdżam tu codziennie od dziesięciu lat.

Kroon klepnął go po przyjacielsku w plecy.

– Robimy we Wrzeszczu zakłady, kiedy ci się znudzi.

*

Orski siedział na łóżku.

– Możemy przypiąć go pasami, jeśli pan prokurator chce – zaproponował pielęgniarz. – Ale ostatnio jest spokojny. Ustawiliśmy go.

– Obejdzie się bez – powiedział Kroon. – Dzień dobry, panie Hieronimie. Poznaje mnie pan? Mężczyzna miał lekko mętny wzrok. „To pewnie zasługa leków”, pomyślała Patrycja.

– Panie Hieronimie? – Konrad ponowił pytanie.

Podejrzany spojrzał na prokuratora. W dalszym ciągu milczał.

– Nie mówi. Chyba że w trakcie ataku. Poza tym cały czas siedzi cicho – wyjaśnił pielęgniarz.

– Przyjechałem ogłosić panu kilka kolejnych zarzutów. Czy...

Radke obserwowała całą sytuację z zainteresowaniem. Dopiero po dłuższej chwili zreflektowała się, na czym polega jej rola. obrońca z urzędu.

– Uważam, że klient nie jest w stanie brać udziału w czynnościach. Panie doktorze?

Maciejewski wzruszył ramionami.

– Trudno stwierdzić. Kontakt słowno-logiczny pozostaje nieco utrudniony...

– „Skąd Ty jesteś?”⁸⁰ – przerwał mu Kroon.

Orski nieznacznie drgnął.

– Musimy odstąpić od przesłuchania – powiedziała twardo Patrycja. – Takie jest stanowisko obrony. Czynność dokonana w takim stanie psychofizycznym zostanie obciążona wadą nieważności...

Konrad znów wszedł jej w słowo.

– „Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować?”

Podejrzany ścisnął oparcie łóżka.

– „Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry” – odpowiedział.

Mgła ustąpiła z jego oczu.

– Panie Hieronimie, przyjechałem tu specjalnie do pana. Muszę ogłosić panu kolejne zarzuty.

Doktor Maciejewski z zainteresowaniem przyglądał się całej sytuacji.

– „Czas się wypełnił” – wyrecytował Orski.

– Panie Hieronimie, czy wie pan, gdzie jest? – spytał lekarz.

– W ciemnicy. Niesłusznie oskarżony przez żonę i córkę. Skazany za czyny, których nie popełniłem.

Radke zainterweniowała.

– Jeszcze nie jest pan skazany – wyjaśniła. – W świetle prawa dalej uważa się pana za osobę niewinną.

Mężczyzna machnął ręką.

– Już dawno mnie osądziliście. Jakie nowe kalumnie przyniósł ze sobą prokurator Judei?

– Prokurator Wrzeszcza, jak już... – Kroon wyciągnął kopię postanowienia o uzupełnieniu zarzutów.

Doktor Maciejewski wymownie skinął głową. Mogli kontynuować. Orski chwilowo odzyskał świadomość.

– Panie Hieronimie, ustaliłem, że zeszłej jesieni dopuścił się pan trzech przestępstw. Proszę posłuchać.

Konrad odczytał skomplikowaną formułę wraz z przytoczeniem właściwej kwalifikacji prawnej. Doktor Maciejewski obserwował Orskiego, ochroniarz czekał w gotowości, by w razie czego zainterweniować.

Podejrzany słuchał z zainteresowaniem.

– Panie Hieronimie, czy zrozumiał pan to, co przeczytałem? Nie pytam, czy pan się przyznaje. Pytam tylko, czy pan rozumie.

– Rozumiem – odparł bez chwili wahania.

– Dobrze. W takim razie zadam panu drugie pytanie. Czy przyznaje się pan do popełnienia tych przestępstw?

– Naturalnie nie przyznaje się – wtrąciła Patrycja. Zaczęła szeptać coś Orskiemu na ucho. Ten delikatnie ją odepchnął.

– Przyznaję się – powiedział stanowczo.

– Panie Hieronimie, nie musi pan tego robić – poinformowała go Radke. – Prokuratura dysponuje wyjątkowo słabym materiałem dowodowym...

Orski znów dał jej znak, że nie chce, by mu przeszkadzano.

– „Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”⁸¹ –

wyrecytował. – Kiedy oskarża się mnie o coś, czego nie zrobiłem... Że znęcałem się nad rodziną, groziłem im... Nie mogłem na to przystać. Zgoda na kłamstwo jest zgodą na grzech. A tego zbyt wiele wylano już na świat.

– Do tego też się pan nie musi przyznawać – powtórzyła Patrycja.

– Pan kazał mi czynić w jego imieniu znaki – obwieścił Orski. – Kimże jestem, by kwestionować Jego słowo?

Prokurator zanotował odpowiedź w protokole.

– Krew w Strzyży... – szepnął.

– ...spłynęła czerwienią niczym wody Nilu.

Kroon triumfował. Jego szósty zmysł doprowadził do połączenia ze sobą pozornie niezwiązanych przestępstw. Do ustalenia sprawcy. Do wyjaśnienia kolejnej zagadki.

– Plaga żab, owrzodzenie ciał, pomór bydła. A co z kolejnymi klęskami?

Orski wskazał dłonią na zakratowane okno.

– Wtrąciliście mnie do ciemnicy. Jak z tego miejsca mam wypełniać wolę Pana?

– To fakt – przyznał Konrad. – Ale w dalszym ciągu brakuje mi tu kilku plag. Trzeciej i czwartej.

– „Komary pokryły ziemię i bydło, cały proch ziemi w kraju egipskim zamienił się w komary”⁸² – wyjaśnił mężczyzna. – Pan zesłał komary na to przeklęte miasto, lecz nikt nie zauważył jego znaku.

– Zechciałby pan o tym opowiedzieć? – Kroon starał się pociągnąć go za język.

– Przyszedł dzień, w którym Moskity wbrew porze roku kąsały wszystkich grzeszników. Jednak ten znak Pan uczynił samodzielnie.

Konrad przypomniał sobie pewną październikową noc, po której obudził się cały pokłuty przez komary. Koledzy w pracy skarżyli się na podobne nieprzyjemności.

– Zatem nie dopuścił się pan żadnych innych czynów? – spytał prokurator.

– Panie Hieronimie, sugeruję nie odpowiadać – wtrąciła Patrycja.

– Czyniłem tylko to, o co prosił mnie Pan.

– No a muchy? Plaga czwarta? Ta, która nigdy nie dotknęła Izraelitów mieszkających w Goszen?

Orski trafił na równego przeciwnika. Rozumiał, że to Pan postawił Kroona na jego drodze. Podejrzany nie wiedział, jak wygląda rola prokuratora w tajemniczym planie skonstruowanym przez Stworzyciela. Rozumiał jednak, że śledczy nie pojawił się tu przypadkiem. Przypadki nie istniały. Musieli rozmawiać. Musieli się zmierzyć.

– „I uczynił tak Pan, i sprowadził mnóstwo much do domu faraona, do domów sług jego i na całą ziemię egipską”⁸³ – odpowiedział Orski. – Jest pan pewien, że nie było owej plagi?

– Niczego takiego nie zarejestrowałem – wyjaśnił całkiem szczerze Kroon.

– Ja, prawdę powiedziawszy, też nie – dodała Patrycja.

Orski wyrzucił ręce do góry. Pielęgniarka był gotowy do interwencji.

– „Wygląd nieba umiecie rozpoznawać, a znaków czasu nie możecie? Plemię przewrotne i wiarołomne żąda znaku, ale żaden znak nie będzie mu dany, prócz znaku Jonasza”⁸⁴.

– Czyli plaga wystąpiła z polecenia Pana – stwierdził Kroon. – Ale nie za pańską przyczyną.

– Nic, co się działo, nie działo się z mojej przyczyny. Ilekroć wstępowałem na ścieżkę sprawiedliwości, czyniłem to nie w swoim imieniu.

– Przyznał się pan do trzech przestępstw. Czy było coś jeszcze? – spytał Kroon.

– Proszę nie odpowiadać! – rzuciła Patrycja.

Orski oparł się ciężko o ścianę.

– Nie było. Pan zesłał na swój kraj rzeź pierworodnych. Otworzył mi oczy. Wskazał drogę, objawił wersety Pisma. Kolejne znaki miałem nieść już razem z nim. Siąc sprawiedliwość, zbierać żniwo wśród grzeszników. Trzy plagi. Nie więcej, nie mniej.

– Dobrze, że jednak pan nikogo nie zamordował.

– Jestem jedynie narzędziem w rękach Pana.

Kroon kontynuował przesłuchanie. Zgodnie z procedurą potrzebował, by Orski dokładnie opowiedział mu o tym, jak dokonał każdego z trzech przestępstw. Mężczyzna nie miał problemów z pamięcią. Był dumny ze swoich uczynków, cieszył się, że ktoś w końcu poznał jego tajemnicę. Czynił znaki w imieniu Pana i znaki te w końcu zostały dostrzeżone. Świat dowiedział się o jego wróżdzie. Orski

dobrze wypełnił swoją posługę.

Wspólnym mianownikiem łączącym wszystkie trzy osoby była Ulica Elektryków. Propheta zaczął najpierw od Julka, kolegi Leny Orskiej, który częstował ją narkotykami. Później przysła kolej na dilerów. Ojciec mścił się za córkę. Zbłąkaną owieczkę, dla której pasterz zostawił całe stado.

– Dziękuję – powiedział Kroon, odbierając od Orskiego podpisany druk protokołu. – Jednego tylko w dalszym ciągu nie rozumiem. Rzeź pierwotnych była ostatnią z plag. A pan mówi, że to od niej rozpoczęła się pańska „misja”.

Orski skinął głową. Pamiętał tamten letni dzień, gdy dojrzał czarną chmurę unoszącą się nad oliwskiego lasu, spadającą deszczem na całe Trójmiasto. Obłok przypominał gigantyczny rój szarańczy. Zatańczył w powietrzu i niczym tajfun runął w kierunku Głównego Miasta.

Propheta śledził, jak tchnienie zemsty przelatuje przez Gdańsk, zagląda do serc grzeszników, piętnuje dusze potępionych. Biblijna kara, apokalipsa trzeciego tysiąclecia.

To wtedy usłyszał Jego głos.

– Niezbadane są ścieżki Pana. Ale pamiętajmy, że „pierwsi...

– ...będą ostatnimi” – dokończył Kroon. – „A ostatni pierwszymi”⁸⁵.

Przesłuchanie dobiegło końca. Doktor Maciejewski był pod wrażeniem kontaktu, jaki prokurator nawiązał z Orskim. „Musiałem mu dobrze ustawić leki – pomyślał. – Obu”.

Kroon i Patrycja szykowali się do wyjścia. Wtedy jednak stało się coś niezwykłego.

Zza spowitego chmurami nieba przedostał się samotny promień słońca. Niewielki zajątek odbił się od zegarka lekarza i zatańczył na twarzy podejrzanego.

Orski dostał nagłego ataku. Upadł na łóżko, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze.

– Pasy! – zawołał Maciejewski.

– „Słońce weszło już nad ziemią, gdy Lot przybył do Soaru!” – wykrzyknął Propheta. Jego oczy wywróciły się na drugą stronę. – „A wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia”⁸⁶.

Pielęgniarka chwycił Orskiego, który nagle skoczył w stronę Kroona.

– „I tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę wraz ze wszystkimi mieszkańcami miast, a także roślinność. Żona Lota, która szła za nim, obejrzała się i stała się słupem soli”⁸⁷.

– Gienek, Stefan! – wrzasnął pielęgniarka.

Maciejewski pobiegł mu z pomocą. Mężczyzna wrywał się, jego przekrwione białka zerkały ślepo na zaskoczonego prokuratora.

Starotestamentowe prawo zemsty. Biblijna wróżda. Ognisty deszcz, który zniszczy zniszczenie. Wymierzyć sprawiedliwość, rozliczyć winy, zasypać wszystko solą.

– „I gdy spojrzal w stronę Sodomy i Gomory i na cały obszar dokoła, zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal!” – krzyczał Propheta, którego z trudem ułożono na łóżku. – Każdego, kto grzeszy przeciw Panu, spotka Jego kara! *Quicumque enim sine lege peccaverunt, sine lege peribunt!*

Bo ci, którzy bez Prawa zgrzeszyli, bez Prawa też zginą.

LENA

Po przymusowej wyprawdzie od Oskara nie za bardzo miała gdzie się podziać. Jako jedyny z pomocą przyszedł jej Julek. Chłopak w dalszym ciągu cierpiał po tajemniczym pobiciu, do którego doszło dwa miesiące temu. Obie nogi wciąż miał unieruchomione, wymagał stałej opieki.

Lena weszła do mieszkania.

– Kupiłam ci ten krem, o który prosiłeś. Nie wiem, jak możesz jeść to gównno...

Nie odpowiedział.

– Słuchaj, reklamacji nie przyjmuję, zapierdalałam po ten szajs specjalnie na drugą stronę torów...

– Musisz stąd wyjść.

Myślała, że ją wkręca.

– Co proszę?

– Spakujesz swoją torbę i grzecznie wyjdiesz z chaty. Kumasz?

A tego co ugryzło? Od wypadku faktycznie zachowywał się inaczej, przestał ćpać, non stop oglądał seriale i jadł jakieś niezdrowe rzeczy.

Przysiadła na brzegu przeciwodleżynowego materaca.

– Ty, mordeczko, powiesz mi, co jest grane?

Mierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Dzwoniła policja. Złapali kolesia, który rozpierdolił mi nogi.

– No to chyba... dobrze? – spytała zbita z tropu.

Julek miał ochotę chwycić kulę i zdzielić ją po twarzy. Lekarze powiedzieli, że być może nigdy nie będzie w pełni sprawny.

– Prokurator właśnie jedzie do Starogardu przesłuchać podejrzanego.

– No dobra, ale... – Starogard. Kocborowo. Ojciec. – Pierdolisz...

Młodzieńcowi zaszklily się oczy.

– Zrobił to, bo jestem twoim ziomkiem. Gdyby nie ty... – Po jego policzku spłynęła łza. – KURWA, LENA! Do końca życia będę inwalidą!

Lubimy szukać winnych nie tam, gdzie trzeba. Lena Orska nie odpowiadała za grzechy ojca. Ale była tu bliska, pod ręką, gotowa, by wymierzyć jej karę.

– Julek, przepraszam cię... – Ukłękła przy jego łóżku. Na jej twarzy również pojawiły się łzy.

– Wypierdalasz stąd, rozumiesz? Pakujesz swoje rzeczy i znikasz mi z oczu!

– Bardzo cię przepraszam. Julek, ja...

Musiał wylać na nią całą swoją wściekłość. Nic innego mu nie pozostało.

– WYPIERDALAJ STĄD! Nie słyszysz?! Głucha jesteś? Wypierdalasz z mojego mieszkania!

Ale dokąd właściwie miała pójść? Matka wyrzuciła ją z domu, Natasza się od niej odwróciła, Oskar uciekł za granicę.

– Rozumiem, co czujesz – zaczęła raz jeszcze.

– Nie rozumiesz! I nigdy nie zrozumiesz! WYPIERDALAJ Z MOJEJ CHATY albo zadzwonię na psiarnię!

KONRAD KROON

Wracali ze Starogardu. Słońce chowało się powoli za widnokrzem, znów zaczęło mocniej kropić.

Auto Kroona mknęło po błyszczącej od wody autostradzie. Światła reflektorów odbijały się od kałuż, rozmywały wśród gęstych kropel deszczu. „Jesień to gwiazdy lecące z drzew”⁸⁸.

– No i dopiąłeś swego – podsumowała Patrycja. – Miałeś słabe dowody, a teraz do kolekcji dodałeś najmocniejszy ze wszystkich.

Confessio est regina probationum. Przyznanie się do winy jest królową dowodów.

Sprawstwo Orskiego potwierdzały badanie DNA i częściowo opinia antropologiczna. Wszystkie trzy przestępstwa łączył pokreślony motyw. Dziesięć plag biblijnych, z których samozwańczy Propheta sprowadził na ziemię trzy. Narzędzie w rękach Pana.

– Pięknie go broniłaś – odparł Konrad. – Lwica z Cintry.

– Sztuka dla sztuki. I tak nie zostanie skazany.

Kroon skręcił lekko kierownicą. Wjeżdżali w łuk.

– Orzeczenie przymusowego pobytu w zakładzie psychiatrycznym wymaga wcześniejszego ustalenia sprawstwa. Gdybyś bruździła mi w śledztwie, być może sąd nie zastosowałby żadnego środka zabezpieczającego.

Prychnęła.

– Nie miałam z tobą żadnych szans. – Spojrzała w lusterko. – Poza tym... na dobrą sprawę nie wiem, czy pozostawienie go na wolności byłoby działaniem na jego korzyść. Bez leczenia mógłby zrobić sobie jakąś krzywdę. Widziałeś ten jego atak szału?

Konrad zmienił pas. Wyprzedzał właśnie długi rząd ciężarówek.

– Ma krótki zapłon, fakt. Łatwo traci kontrolę.

– Jakieś brednie o Sodomie i Gomorze? Co to w ogóle miało znaczyć?

Patrycja nigdy nie chodziła do kościoła. Rodzice byli ateistami.

– „I gdy spojrział w stronę Sodomy i Gomory i na cały obszar dokoła, zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal” – zacytował Kroon.

Audi z powrotem zjechało na prawy pas.

– Aż mnie ciary przeszły. Jakbym grała w jakimś cholernym horrorze. Te wstawki kościelne są totalnie odklejone. I jeszcze na koniec ta łacina.

– *Quicumque enim sine lege peccaverunt, sine lege peribunt* – przypomniał Kroon. – „Bo ci, którzy bez Prawa zgrzeszyli, bez Prawa też zginą”.

– Masakra. Cieszę się, że to już za nami. O, leci moja piosenka!

Radke podkreśliła głośniejszą muzykę. *Riders on the Storm*. Idealna melodia na podróż deszczową autostradą.

Konrad obserwował jasne snopy światła reflektorów, które z trudem przebijały się przez jesienny mrok. Przed oczami wciąż miał demoniczną twarz Prophety, wykrzywione w grymasie usta, zaciśnięte dłonie, przekrwione białka. „Żona Lota, która szła za nim, obejrzała się i stała się słupem soli”. Żona Lota.

Nagle doznał olśnienia. Chwycił za komórkę i wybrał numer do znajomej policjantki, która pracowała z nim nad sprawą Lewandowskiego.

– Pani Maju, chyba znalazłem obiecany trop. Proszę słuchać uważnie...

CZEŚĆ PIĄTA

ŚWIAT CI NIE WYBACZY

EMIL

Właściwie cieszył się, że go w końcu znaleźli. Przez ostatnie trzy miesiące coś zżerało go od środka, powolny proces trawienny uwięzionego w pajęczym kokonie insekta.

Najpierw kilka zdań wymienionych z policjantką. Garść rutynowych pytań, gadali nie dłużej niż dwie minuty. Wtedy myślał, że się wywinął. Że zgodnie z planem nikt się nie zorientował, nikt nie odkrył ich tajemnicy.

Ciągle myślał o Klaudiuszu. O jego poobijanym ciele, plamach krwi na samochodowej tapicerce. O tym, co mu wtedy przykazał.

Zaglądał do wspólnych miejsc niczym Raskolnikow. Początkowo sądził, że to już koniec. Jakoś uda mu się zapomnieć, odciąć; świat mu wybaczy. Nic takiego nie nastąpiło.

W jego głowie toczyła się nieustanna gonitwa myśli. Codziennie bał się, że do niego zadzwonią. Że o szóstej nad ranem obudzi go walenie w drzwi, do mieszkania wparuje wataha uzbrojonych po zęby policjantów, założą kajdanki, wyprowadzą w samej bieliźnie, dowalą dziesięć lat. Bo w końcu to jego wina.

Później ktoś zaczął go śledzić. Chcieli załatwić Emila tak samo, jak planowali załatwić Klaudiusza. Wtedy odwiedził go jakiś starszy mężczyzna i zaczął grozić. „Nie możesz nic powiedzieć. Ani psom, ani matce, ani kumplom. Rozumiesz? Masz milczeć jak grób. Albo sam trafisz do piachu”.

Nieznajomy nie wyglądał na takiego, co lubi żarty. Emil przysięgł, że nie sypnie. Odizolował się od znajomych, natrętne myśli dalej zżerały jego kruchą psyche. „(...) a jeżeli nie ma już do kogo, nie ma już dokąd pójść! Przecież koniecznie trzeba, żeby każdy człowiek mógł choć dokądkolwiek pójść. Albowiem bywają takie dni, kiedy nieodzownie trzeba pójść, choć gdziekolwiek bądź!”⁸⁹. Nie było ucieczki.

Kilkukrotnie przewinęło mu się przez głowę, aby po prostu odebrać sobie życie. Nie mógł wytrzymać tej ciszy, dręczących go wyrzutów sumienia, podejrzliwych spojrzeń. Czuł oddech gończych psów; sfory wilków, która pragnęła jedynie krwi.

Kiedy młoda policjantka zapukała do drzwi jego mieszkania, niemal odetchnął z ulgą. Powiedziała, że musi porozmawiać, pobrać odciski palców. Zadała mu sakramentalne pytanie: „Czy to ty prowadziłeś samochód, którym podróżował Klaudiusz Lewandowski?”.

Nie miał siły dłużej uciekać. „Tak, to ja” – odpowiedział.

*

Krótkie rozpytanie na policji, badania daktyloskopijne, później wycieczka na Piekarniczą. Był tam tylko raz, w sądzie, kiedy razem z rodzicami załatwiali sprawę spadkową po babci. Tym razem zawędrował do ostatniego z budynków. Ulica Piekarnicza 10C. Prokuratura Rejonowa Gdańsk-Wrzeszcz.

Spojrzał na prokuratora; widział go już wcześniej, zapamiętał tę twarz, wysokie czoło, przenikliwe spojrzenie. Czy to wtedy mężczyzna się dowiedział? Emil nie wierzył w przypadki.

Śledzili go, to pewne. Prokurator musiał chodzić po mieście, szukać tropów, obserwować jego każdy, najmniejszy nawet ruch. Kiedy zobaczyli się wtedy w muzeum, zerknął w oczy Emila, by zyskać ostateczne potwierdzenie swoich przypuszczeń. Tak właśnie musiało to wyglądać.

– Pan Emil Różański? – spytał prokurator. Był przystojnym facetem po czterdziestce.

– Tak – wyszeptał.

– Został pan tu doprowadzony jako podejrzany o spowodowanie wypadku drogowego oraz ucieczkę z miejsca zdarzenia. Ja nazywam się Konrad Kroon i jak się pan zapewne domyślił, jestem prokuratorem nadzorującym niniejszą sprawę.

Mężczyzna odebrał od niego dane osobowe, wręczył druki pouczeń.

Emil spojrzał na wypełnione gęstą czcionką kartki. Mieniły mu się w oczach.

– Teraz odczytam panu zarzut – powiedział prokurator.

Chłopak rejestrował jedynie pojedyncze wyrazy.

„W dniu... w Gdańsku... umyślnie naruszył zasady bezpieczeństwa w ruchu drogowym... w ten sposób, że... nie zachowując należytej ostrożności... nie dostosowując prędkości do panujących warunków drogowych... nieumyślnie spowodował wypadek... w wyniku którego... Klaudiusz Lewandowski... doznał

obrażeń w postaci...”

Krew, krew, krew. Krew na jego twarzy, szyi, rękach. Myślał, że go zabił.

„Musisz uciec. Dopadną cię. Zamordują zamiast mnie”.

Klaudiusz był pod wpływem narkotyków, sporo wypił. Jechali na lotnisko, żeby zbiec z kraju. Emil kupił bilety, czekał, aż Lewandowski go zgarnie.

Przyjechał jakimś obcym autem. Czuć było od niego alkohol.

„Czyś ty oszalał? Przecież w tym stanie nie możesz prowadzić!” – wykrzyknął Emil.

Lewy strasznie się denerwował. Trzęsły mu się dłonie, nerwowo rozglądał się na boki.

„Musimy stąd spierdalać. Kupiłeś te bilety?” – spytał Klaudiusz.

„Kupiłem” – odparł chłopak. „Ale ja będę prowadzić”.

Nawet nie miał prawka. Do egzaminu podchodził kilka razy, ostatni raz uwalili go tuż przed dojazdem do ośrodka. Już witał się z gąską. No, ale umiał prowadzić. Jak każdy po kursie.

Jechali Słowackiego w stronę lotniska. Był środek nocy, Klaudiusz twierdził, że ktoś im siedzi na ogonie.

„To Nazaret. Zajebie mnie, jak skuma, że spierdaliśmy z kraju. Jedź szybciej!”

Niepotrzebnie go posłuchał. Kręta leśna droga, mokra jezdnia, słaba przyczepność. Doszło do tragedii.

„Musisz uciec. Dopadną cię. Zabiją zamiast mnie”.

Nie chciał go tak zostawić. Z drugiej strony... cholernie się bał. I nie potrafił mu odmówić.

Pomógł Klaudiuszowi przesiąść się na fotel kierowcy. Lewandowski o mało nie stracił przytomności.

„Uciekaj. Żyj dalej. I pamiętaj: Kocham cię”. Chwilę później osunął się na kierownicę.

KONRAD KROON

Kroon przysłuchiwał się wyjaśnieniom podejrzanego. Szczere wyznanie win, rzetelna opowieść o deszczowej, wrześnie nocy, kiedy doszło do wypadku. Każda historia to tak naprawdę historia o miłości.

Lewandowskiego i Różańskiego połączyło romantyczne uczucie. Gorące, burzliwe, prawdziwe. Miłość romantyczna ze swej definicji jest zawsze tragiczna.

Kochankowie z dwóch różnych światów. Czterdziestoletni konserwatysta, ojciec rodziny, duszony przez sztuczne normy bańki, w której się poruszał. Zupełnie inny niż on.

Emil Różański. Trzydzieści lat, absolwent historii, zdeklarowany lewak, jeszcze w liceum obwieścił rodzicom, że jest gejem. Nie wstydził się własnej tożsamości, nie uważał za gorszego, chodził na randki. Jak każdy szukał miłości.

Odnalazł Klaudiusza. Pokochał. Oszalał. Dlaczego akurat ci dwaj?

Prawdziwie kochasz wtedy, kiedy nie wiesz dlaczego.

Na studiach uczą, że jedną z funkcji prawa karnego i kary *per se* jest ekspiacja. Odpokutowanie za winę, oczyszczenie.

Kiedys Konrad nie wierzył w te brednie. Lata praktyki prokuratorskiej nauczyły go jednak, że czasem przyznanie się do przestępstwa pozwala zacząć wszystko od nowa. Odciążyć sumienie, zdjąć z serca ogromny głąz narzutowy, który nie pozwalał swobodnie oddychać, utrudniał każdy krok, ciągnął w stronę przeszłości.

Wielu ludziom zależało na śmierci Lewandowskiego. W podróż na drugą stronę wyprawiła go jednak ta jedna najukochańsza osoba, która za wszelką cenę pragnęła utrzymać go przy życiu.

Emil Różański opowiedział prokuratorowi wszystko od A do Z. Potrzebował się komuś wygadać, cholernie pragnął wyrzucić to z siebie. O tym, jak się poznali, pokochali, ukrywali. Później przeszedł do historii samego wypadku. Nieszczęśliwe zdarzenie, które każdemu z nas może się przecież przytrafić.

Kroon puścił go wolno. Zastosował wobec podejrzanego dozór policji; raz na dwa tygodnie chłopak miał się stawić na komisariacie na Białej.

– To wszystko – powiedział prokurator. – Może pan iść do domu. A co do Fergusa i Nazarkiewicza... nimi nie musicie się już martwić.

PATRYCJA RADKE

Nie pamiętała, kiedy święta były naprawdę białe. Za oknem siał zimny deszcz, solidne siedem stopni. Jesień rozpychała się łokciami na prawo i lewo; zaczynała we wrześniu, kończyła w maju.

Rodzina Patrycji nie była religijna, a mimo to tak jak wszyscy spotykała się w wigilijny wieczór, by pobyć chwilę razem. Kupowali niewielką choinkę, wymieniali się prezentami. „Jak się nie chodzi do kościoła, to nie można świąt obchodzić” – grzmiała sąsiadka z naprzeciwka. – „Sobie biorą, co najlepsze. A to nie można tak wybrać!”

A jednak można. Państwo Radke celebrowali całkiem świadomie, po świecku, tak jak lubili.

– Sporo osób zjechało w tym roku do Starogardu – oznajmiła Malwina, cioteczna siostra Patrycji. – Zerwiński robi domówkę na sylwestra.

– Chyba nie dam rady – odparła młoda mecenas.

Mama podała kaczkę.

– Tak ciężko pracujesz cały czas – powiedziała gospodyni. – A trzeba też znaleźć miejsce na inne rzeczy. Rozrywkę, przyjemność, rodzinę...

Ciężko pracujesz. Pracowała. Ale czy ciężko? Robota godna Syzyfa. Tylko gorzej płatna.

– Jak widzisz, mam czas dla rodziny. W końcu przyjechałam.

– Jeszcze tego brakowało, żebyś w święta siedziała sama w Gdańsku – wtrącił ojciec. – W tym zimnym mieszkaniu... brrr.

– Może wcale nie siedzi sama – zaczęła babcia. Już od kilkunastu minut korciło ją, żeby zejść na ten temat.

Malwina nałożyła jej kaczki.

– To co, zostaniesz do Nowego Roku? Pospotykamy się w starym gronie, prawie cała ekipa będzie.

– No nie mogę...

– Oduść sobie, córuś! – polecił ojciec. – Jak przez trzy dni nie popracujesz, to też świat się nie skończy.

Świat się nigdy nie skończy. Będzie dalej trwał, kurczył się i rozszerzał. Wędrował swoją drogą. I rzadko kiedy nam wybaczy.

– Napiszę na grupie, że będziesz – oznajmiła Malwina.

– Nie, no serio! Malwa! Nie mogę...

Kuzynka nie dawała za wygraną.

– A to niby dlaczego? Już za poważna jesteś na naszą głupią bekę?

Patrycja wyczuła w jej głosie lekką drażliwość. Malwina nie miała dystansu do siebie.

– Po prostu mam już plany...

– Jakie plany?! – prychnęła matka.

– Z kim?! – zawołał ojciec.

Babcia uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Pewnie z jakimś przystojnym kawalerem...

LENA

Nie miała za bardzo dokąd pójść. Najpierw wyrzuciła ją matka, później najlepsza przyjaciółka, następnie chłopak i dobry kolega. Ludzie-psy. Wszyscy po kolei mieli ją w dupie.

Wynajęła tani pokój w hotelu; standard jak z PRL-u, śmierdząca wykładzina, poplamiony materac, a i tak musiała całkiem sporo bulić. Powoli kończył jej się hajs.

Nigdy specjalnie nie śmierdziała groszem. Po to związała się z Oskarem, żeby nie musieć pracować. Wójcicki zwał za granicę, podobno wystawiono za nim list gończy.

– Kurwa, upadłam tak nisko – mruknęła, przeglądając oferty pracy.

Wybrała kolejny numer.

– Sorry, na razie mamy komplet – powiedziała menedżerka lokalu.

– Ale przecież to świeże ogłoszenie – fuknęła Lena. Nie lubiła się prosić. – Wczoraj wrzucone.

– Ktoś się musiał pomylić. Do widzenia.

Sądziła, że praca kelnerki to wiecznie otwarta opcja. „Nigdy nie jest tak źle, żeby nie móc zatrudnić się w jakiejś knajpie”, myślała. Długonoga, piękna blondynka. Zjawiskowa uroda.

Kiedy masz dwadzieścia lat, myślisz, że cały świat stoi przed tobą otworem. Zazwyczaj życie

weryfikuje tę wizję dopiero po kilku latach. Dostajesz kilka razy po dupie, marzenia błędną, oczekiwania powoli spadają.

Lenie zawsze wydawało się, że chce to móc. Była żądna sukcesu, pracowita, lubiła ryzykować. Pół roku temu zdała sesję, uzyskując jedną z najwyższych średnich na roku; poznała przystojnego, bogatego mężczyznę, bawiła się, śmiała, kosztowała życia.

Teraz wszystkie te obrazki zniknęły jak pierwsze płatki śniegu na rozgrzanej masce samochodu.

– Przepraszam, widziałam wasze ogłoszenie...

– Niestety, już nie szukamy. Nikogo nie szukamy – odparł smutny chłopak. – Knajpa się zamyka.

Lena spacerowała ulicą Wajdeloty. Schowawszy dumę do kieszeni, wędrowała od lokalu do lokalu, pytając, czy nie potrzebują pomocy.

– Może przed sezonem – poinformował ją właściciel włoskiej pizzerii.

Dotarła do parku Kuźniczki. Obok jakiś mężczyzna wyciągał jedzenie ze śmietnika. Tak łatwo oceniamy.

Jeszcze kilkanaście lat temu był nauczycielem polonistyki w gdańskiej Topolówce. Jego zdolni absolwenci podbijali właśnie świat.

– Nie masz jakichś drobnych? – spytał Lenę.

Dziewczyna pokręciła głową. Naprawdę była bez kasy.

– Przykro mi.

Bezdomny zmierzył dwudziestolatkę wzrokiem. Przypominała mu jego żonę. Sprzed wypadku. To wtedy zaczął pić. Później sprawy posypały się lawinowo. Najpierw stracił pracę, przestał płacić alimenty na pierwsze dziecko, trafił do więzienia, odebrali mu mieszkanie. Był jednym z lepszych belfrów.

– Kiedy byłem w twoim wieku... – mruknął. – Zresztą nieważne.

Kiedy był w jej wieku, mógł osiągnąć tak wiele. Publikował w „bruLionie”, zastanawiał się nad doktoratem.

– Coś pan zaczął mówić – zauważyła Lena.

Mężczyzna tylko machnął ręką. Już dawno nauczył się nie moralizować. Jego świat wędrował jakąś dziwną pokręconą drogą. Nie wybaczył mu dawnych błędów.

– Pomożesz mi z tymi siatami? – spytał znajomy damski głos.

Dziewczyna spojrzała za siebie.

– Mama? – szepnęła zdziwiona.

– Nie, nie mama. Święty turecki. Pomożesz mi z tym? Czy stara matka ma sobie połamać kręgosłup?

Wychodziła właśnie z Biedronki. Cała spocona, wszyscy ludzie wpadli na taki sam pomysł jak ona, żeby robić teraz przedsięwzięte zakupy.

– Mam ci to zanieść do domu?

– A dokąd? Do przychodni? Do biblioteki? Do lasu? Jutro Wigilia, trzeba wszystko przygotować. Chyba nie każesz mi w tym roku znów wszystkiego samej robić.

Nie wierzyła, że to słyszy. Wzięła od mamy siatki.

– Tę też daj...

Kobieta odetchnęła z ulgą.

– Jakie to cholerstwo było ciężkie! – Otarła pot z czoła. – Ale nie ma co tak stać. Idziemy do domu!

Mamy masę roboty, córeczko!

PROPHETA

Od kilku dni Hieronim Orski znajdował się w osobliwym stanie podobnym do letargu. Był ospały, mało mówił, posłusznie wykonywał wszystkie polecenia opiekunów.

– W dalszym ciągu ma zniesiony krytycyzm w stosunku do wcześniejszych zachowań – podsumował Maciejewski, wypełniając odpowiednią rubrykę formularza. – No nic, na mnie już pora. Jadę do rodziców.

– Do Gdyni? – spytał stażysta Michał.

– Nie, w tym roku wynajęliśmy chatkę na Kaszubach – odparł doktor. – Matka zaprotestowała. Powiedziała, że nie chce świąt, nie ma siły gotować... Mówię jej: ja nie ugotuję. Monika też nie. Ale spotkać się musimy.

Michał rozwalął się na kanapie.

– Też tak kiedyś zrobimy. No ale w tym roku nie mam problemu z Wigilią – podsumował.
– Słuchaj, każdy kiedyś zaczynał. Trzeba odrobić pańszczyznę. – Zwinął kabel od ładowarki i wrzucił go do torby. – W każdym razie polecam wynająć sobie taki domek. Pełen catering, opalany drewnem kominek, na dworze bania... Mówię ci: pełen wypas!
– Wezmę sobie twoją radę do serca. Jak dożyję kolejnych świąt.
Maciejewski stanął w drzwiach.
– To wesołych, Michałku. Gdyby coś się działo, dzwoń.
*

Orski obserwował, jak doktor opuszcza budynek i kieruje się w stronę samochodu. Mignął światłami, ruszył w stronę głównej bramy. Zegar na wieży wskazywał godzinę piętnastą. Za chwilę zajdzie słońce. Orski ukląkł pod parapetem. Złożył dłonie jak do modlitwy i zaczął coś recytować.
*

– Gorąco mi! Gorąco! Chcę wody! Pić! – krzyczał jeden z pacjentów.
Pielęgniarka otworzyła drzwi do celi.
– Co się dzieje?
– Palę się... palę się od środka...
Sanitariusz wyciągnął bezdotykowy termometr. Strzelił mężczyźnie w czoło.
– Trzydzieści sześć i osiem. Wszystko w normie.
Pacjent chwycił go za fartuch.
– Pomóż mi! Ja płonę! Żar rozrywa mi żyły!
– Spokojnie, zaraz coś poradzimy.
Pielęgniarka poszedł w stronę pokoju lekarzy.
– Panie doktorze, Czerwikowski ma jakieś problemy, mówi, że go pali od środka...
W tym momencie kilkunastu kolejnych pacjentów zaczęło walić w drzwi swoich pokoi.
– Co to, do cholery, ma być?! – mruknął Michał. – Jakiś protest?
– Trzeba im dać coś na uspokojenie.
Na dworze właśnie zapadł zmrok.
– Co się dzieje?! – krzyknął pielęgniarka, otwierając drzwi pierwszego z pokoi.
Pacjent siedział skulony w kącie pokoju i tłukł pięściami w ścianę.
– Musimy go przypiąć do łóżka, zanim sobie coś zrobi – polecił lekarz.
– Kurwa, skąd on ma tyle siły?
Z trudem podnieśli go z podłogi. Aresztant zwinął się w kłębek. Wydawał się ważyć dwa razy więcej niż zwykle.
– Dawaj, Stachu, dawaj! – sapnął sanitariusz.
– Zaraz coś mu podamy... tylko, kurwa, co oni wszyscy?! Oszaleli?!
Oszaleli. Pacjenci oddziału psychiatrii sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Starogardzie Gdańskim. Oszaleli. Właściwie była to trafna diagnoza.
– Doktorze, Potrykus wali głową w drzwi!
– Dobra, dawajcie szybko tego tu w pasy! Ja pierdolę! Co to ma być?!
Pracownicy szpitala byli odpowiedzialni za zdrowie i życie swoich pacjentów. A w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przedtem było ono zagrożone.
Na pomoc wezwali pracowników sąsiednich oddziałów. W trybie pilnym należało unieruchomić kilkunastu pacjentów, opatrzyć ich rany, podać leki uspokajające.
– Kurwa, bierz Nadolnego!
Bezproblemowy do tej pory pacjent wyrывał sobie właśnie włosy z głowy. Chwytał je najmocniej, jak mógł, ciągnął z całej siły i rozrzucał po celi. Z okaleczonej czaszki kapłała krew.
– Panie Marku, co też pan robi?! – zawołał sanitariusz.
Mężczyzna nie odpowiedział. Wykrzykiwał przypadkowe wyrazy i w dalszym ciągu próbował się oskalpować.
– Dawaj go mocniej!

*

Podczas gdy wszyscy bez wyjątku pacjenci ulokowani w tym skrzydle oddziału dostali niewytłumaczalnego ataku furii, Hieronim Orski jako jedyny zachował spokój. Klęczał pod oknem i wpatrywał się w ciemne grudniowe chmury.

Mimo grubej warstwy stratusów widział górujące nad nimi gwiaździste niebo, odległe konstelacje, białe karły, wybuchy supernowych.

Żył poza czasem; jego myśli, percepcja i jaźń sięgały dalej niż początek i koniec. „Doznał zachwycenia w dzień Pański, posłyszał za sobą potężny głos jakby trąby mówiącej: «Co widzisz, napisz w księdze i pošlij siedmiu Kościołom: do Efezu, Smyrny, Pergamonu, Tiatyry, Sardów, Filadelfii i Laodycei»”⁹⁰.

*

– Kurwa, jakoś udało nam się ich wszystkich opanować – stwierdził sanitariusz.

Młody lekarz podrapał się po głowie.

– Po takiej dawce anksjolityków powinni spać jak zabici.

– Grunt, że nie robią sobie krzywdy – podsumował drugi z pielęgniarzy.

– Dzwonię do Maciejewskiego.

Michał wyciągnął telefon. Trzy długie sygnały.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... Doktor już na Kaszubach?

– Gdzie, kurwa, na Kaszubach, wpięprzyłem się w drzewo – warknął Maciejewski.

– O kurczę, ale coś poważnego?

– No poważnego. Samochód na złom. Jakiś debil we mnie wjechał.

– Pierdolisz! Coś ci się stało?

Maciejewski siedział w radiowozie. Właśnie kończył dyktować policjantowi swoje zeznania.

– Nic. Ale auto do kasacji. Nawet nie zdążyłem wyjechać ze Starogardu.

– W takim razie nie będę przeszkadzać. Poradzimy tu sobie jakoś...

Doktor złożył podpis na protokole.

– Nie przeszkadzasz. Zamawiam taryfę i wracam zaraz do Kocborowa – fuknął do słuchawki. – Szwagier ma po mnie przyjechać wieczorem. Wesołych, kurwa, świąt!

*

Hieronim Orski spoglądał na cienką linię łączącą widzialne i niewidzialne. Boski plan stworzenia objawiony samotnemu wędrowcowi. Propheta. Posłany, by świadczyć o prawdzie. Posłany, by wymierzać sprawiedliwość.

– „Zazdrosnym i mszczącym się Bogiem jest Pan; mścicielem jest Pan i Władcą pełnym gniewu; Pan mści się nad swymi wrogami i długo się gniewa na swoich nieprzyjaciół” – wyrecytował.

Po korytarzu kręcili się rozgorączkowni pielęgniarze. Mimo podania sporej dawki leków pacjentowi wciąż byli niespokojni. Gdyby nie pasy, zapewne wyrządziliby komuś krzywdę.

– „Jeśli ktoś będzie miał syna nieposłusznego i krnąbrnego (...), ojciec i matka pochwyć go, zaprowadzą do bramy, do starszych miasta, i powiedzą starszym miasta: «Oto nasz syn jest nieposłuszny i krnąbrny, nie słucha naszego upomnienia, oddaje się rozpuście i pijaństwu». Wtedy mężowie tego miasta będą kamienowali go, aż umrze. Usuniesz zło spośród siebie, a cały Izrael, słysząc o tym, ulęknie się” – powiedział, gładząc dłonią powierzchnię drzwi.

Doktor Maciejewski właśnie dotarł na oddział. Lekarz dyżurny referował mu pospiesznie stan sprawy. Jeszcze nigdy nie spotkał się z równie niezwykłą sytuacją.

– „Jeśli cię będzie pobudzał skrycie twój brat, mówiąc: «Chodźmy, służmy bogom obcym», bogom, których nie znałeś ani ty, ani przodkowie twoi, nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością, nie będziesz miał miłosierdzia, nie będziesz taił jego przestępstwa” – rzekł Propheta. Rozłożył ręce w kształt krzyża. – „Winienesz go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić, a potem cały lud. Ukamieniujesz go na śmierć, ponieważ usiłował cię odwieść od Pana, Boga twojego, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Cały Izrael, słysząc to, ulęknie się i przestanie czynić to zło wśród

siebie”.

*

– No nie wiem, Michał, po prostu nie wiem – oznajmił poważnie Maciejewski. – Przy tych dawkach powinni już dawno spać. Ja pierdolę, nic z tego nie rozumiem.

– Może podamy im coś innego?

– Żeby się przekręcili? – warknął doktor. Nie były to jego wymarzone święta. – Grunt, że wszyscy są przypięci.

– A Orski? – spytał młody lekarz.

– Co z nim?

– Jako jedyny zachowuje się względnie normalnie. Siedzi w celi i się modli.

Maciejewski rzucił w kolegę kocem.

– Pół szpitala wariuje, a ty się martwisz jednym kolesiem, z którym akurat nie ma żadnych problemów?!

*

Powoli zbliżała się północ. Orski ściągnął z siebie ubranie, zostając w samej bieliźnie. W jego głowie rozbrzmiewała *Toccata*. Charakterystyczny rapsodyjny ozdobnik zagrany na górnych klawiszach. Zawołanie i podwójna odpowiedź.

– „Polecenie to bowiem, które ja ci dzisiaj daję, nie przekracza twych możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem. Nie jest w niebiosach, by można było powiedzieć: «Któż dla nas wstąpi do nieba i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je». I nie jest za morzem, aby można było powiedzieć: «Któż dla nas uda się za morze i przyniesie je nam, a będziemy słuchać i wypełnimy je». Słowo to bowiem jest bardzo blisko ciebie: w twych ustach i w twoim sercu, byś je mógł wypełnić”⁹¹.

Propheta musiał wypełnić polecenie swego Pana. Owa wola, spisana w Księdze Powtórnego Prawa, była jasna i czytelna. Polecenie spisane krwią.

– Panie doktorze, dzieje się coś dziwnego! – krzyknął przerażony sanitariusz.

Pacjenci dostali silnych drgawek. Ataki przypominały nieco epilepsję. Maciejewski mógł przysiąc, że za chwilę wyrwą krępujące ich pasy, połamią metalowe pręty łóżek, gołymi rękami rozdrapią ściany. Zburzą cegły Kocborowa, spalą, zasypią wszystko solą i niczym armia żywych trupów ruszą w stronę miasta.

Propheta podszedł do drzwi. Trzy razy uderzył w nie z całej siły.

– „Pan powiedział do Mojżesza i Aarona w ziemi egipskiej: «Miesiąc ten będzie dla was początkiem miesiący, będzie pierwszym miesiącem roku!»”⁹² – krzyknął.

Ciałami pacjentów wstrząsnęły spazmy bólu. Zaczęli krzyczeć.

– Doktorze, co robimy?

– Do kurwy nędzy, nie wiem!

Drugi raz w życiu zdarzył mu się taki przypadek. Zastosował wszystkie procedury, podał odpowiednie leki. Aresztanci nie mieli prawa się tak zachowywać.

– „Uwielbiona jest potęga prawicy Twej, Panie, Prawica Twa, o Panie, starła nieprzyjaciół. Pełen potęgi zniszczyłeś przeciwników Twoich, Twój gniew im okazałeś, a spalił ich jak słomę”⁹³ – wrzasnął Propheta najgłośniej, jak potrafił.

Pracownicy szpitala zorientowali się, że to Orski stoi na czele diabelskiego buntu pacjentów. Nie potrafili tego wytłumaczyć.

– „Wobec siły ramienia Twego stali się jak kamień!”⁹⁴ – ryknął Propheta.

Zbliżała się godzina dwunasta.

– „Tej nocy przejdę przez Egipt” – wyrecytował opętany szaleństwem kapłan. – „Zabiję wszystko pierworodne w ziemi egipskiej od człowieka aż do bydła i odbędę sąd nad wszystkimi bogami Egiptu”⁹⁵.

Orski przewrócił oczyma. Patrzył w przestrzeń wielkimi, przekrwionymi białkami. Obserwował to, co widzialne i niewidzialne.

Gdzieś znad wieży ciśnięta podniosła się ciemna chmura. Obłok przypominał gigantyczny rój szarańczy. Zatańczył w powietrzu i niczym tajfun runął w kierunku Kocborowa.

Orski śledził, jak tchnienie zemsty przelatuje przez teren szpitala, zagląda do serc grzeszników,

piętnuje dusze potępionych. Biblijna kara, apokalipsa trzeciego tysiąclecia.

– „O północy Pan pozabijał wszystko pierworodne Egiptu: od pierworodnego syna faraona, który siedzi na swym tronie, aż do pierworodnego tego, który był zamknięty w więzieniu, a także wszelkie pierworodne z bydła” – grzmiał Hieronim Orski. – „I podniósł się wielki krzyk w Egipcie, gdyż nie było domu, w którym nie byłoby umarłego!”⁹⁶.

Wybiła dwunasta. Ciałem Prophety wstrząsnęły dreszcze. Wyczerpany upadł na ziemię i zapadł w śpiączkę.

W tym samym momencie sytuacja w szpitalu raptownie wróciła do stanu sprzed kilku godzin. Objawy ustąpiły, wszyscy pacjenci bez wyjątku odzyskali spokój. Czas się wypełnił.

KONRAD KROON

Nigdy nie lubił świąt. Boże Narodzenie to magiczny czas, kojarzący się głównie z beztróskim dzieciństwem i szczęśliwą rodziną. Konrad nie miał żadnego z nich.

Co roku w Wigilię brał dyżur. Na ochotnika, bez zbędnych namawianek, wszyscy w jednostce wiedzieli, że dwudziesty czwarty grudnia należy do niego. W innych prokuraturach ciągnięto o to losy. Smutna powinność; przyjemność doznań porównywalna z kolonoskopią.

Siedział wpatrzony w telewizor. Powtórka meczu hokeja. Przecież nie będzie oglądał *Kevina*. Sam w wielkim domu, walczący z podstępными złodziejami. „Do cholery jasnej, przecież to o mnie!”

– Jeszcze, kurwa, skończę jak Macaulay Culkin – stęknął, dolewając sobie whiskey.

Telefon. W końcu dyżur zdarzeniowy.

– Dobry wieczór, panie prokuratorze.

– Chyba raczej „wesółych świąt” – odparł. – Co tam, Flara? Dzieciaka do adopcji oddałaś, że siedzisz w Wigilię w robocie?

Jak zwykle żartował. Znali się nie od dziś. Zgorzkniały czterdziestolatek. Mimo to Justynę i tak zabolalo. Wolałaby siedzieć teraz z synem.

– Naczelnik mi kazał. W każdym razie... dzwonię powiedzieć, że Lewandowski wybudził się ze śpiączki. Jadę go przesłuchać.

PATRYCJA RADKE

Nigdy jeszcze nie spędzała sylwestra tylko we dwójkę. Brzmiało prawie jak randka. Samotny facet zaprasza cię, żebyś spędziła z nim najważniejszą noc roku. I co miała sobie pomyśleć?

Siedzieli w mieszkaniu Konrada. Przestronny nadmorski apartament zrobił na niej piorunujące wrażenie. Sama wynajmowała kawalerkę w bloku z wielkiej płyty. Śmierząca klatka schodowa, krzywe ściany, telewizor tych-z-góry głośniejszy niż ciągłe kłótnie tych-z-końca-korytarza.

– No a ten twój wypadek – kontynuowała Patrycja. – W sumie jak na to wpadłeś?

– Sam nie wiem – odparł całkiem szczerze. – Policja rozpytała wszystkie osoby, które miały kontakt z Lewandowskim na dobę przed zdarzeniem. Kilka z nich go wyraźnie nie lubiło.

Radke poprawiła się na kanapie.

– Jak ten gangster? Nazarkowski?

– Nazarkiewicz – sprostował Kroon. – Był moim mocnym typem. Chciał dopaść Lewandowskiego, jeździł za nim po mieście. Nie miałem żadnych dowodów, żeby oskarżyć go o spowodowanie wypadku. Co najwyżej mógłbym przywalić mu nieudzielenie pomocy, ale... czasem nie ma co za bardzo szarżować. I tak odsiedzi swoje.

– Gruba ryba.

– Gruba – przyznał Konrad. – Po przesłuchaniu Nazareta wiedziałem, że to nie on. W międzyczasie wykluczaliśmy też Fergusa. Jakiś czas przed wypadkiem koleś nawiał z kraju. Dzwonił do Lewego, ale z zagranicy. Wrócił dopiero późną jesienią. I się powiesił.

– Nieźle.

– Nieszczęśliwa miłość – podsumował prokurator. – Zakochał się bez wzajemności w jakiejś młodej dziewczynie, policja znalazła list. Ale do brzegu. Wyeliminowałem dwóch gangsterów, została mi Beata.

– Czyli żona pokrzywdzonego.

– Tak. Która odmówiła składania zeznań.

– W sprawie o wypadek? Nietypowe.

Kroon strzelił palcami.

– Właśnie. Ale na nią też mi nic nie wychodziło. Dotarłem do ściany. Wyczerpałem inicjatywę dowodową. Zacząłem się zastanawiać co, do cholery, robił niedzielną nocą na Słowackiego ojciec rodziny, konserwatysta, prezes rządowej spółki, który następnego dnia rano miał zaplanowane w robocie mnóstwo spotkań. Po cholere pożyczal furę od jakiegoś narwanego pasera samochodów? Co robił w czasie pomiędzy wypadkiem a pobraniem auta?

Patrycja przysunęła się do niego. Położyła mu rękę na kolanie.

– Specjalnie robisz taki suspens?

Zaśmiał się.

– Pokręcona historia, ale kiedy wracaliśmy z Kocborowa, przypomniały mi się słowa Orskiego. Biblijna przypowieść o Sodomie i Gomorze. Wiesz, kim jest sodomita?

Musiała się chwilę zastanowić.

– Kimś, kto bzyka zwierzęta?

Skinął głową.

– Tak. Historycznie jednak termin ten odnoszono do osób homoseksualnych. I nagle mnie olśniło: dlaczego Lewandowski, jak na porządnego katola przystało, nie siedział w niedzielny wieczór z żoną i dziećmi? Dlaczego Beata Lewandowska wcale nie wydawała się zmartwiona jego wypadkiem? Musiała go nie lubić. Tylko czemu? Przez kochankę? Z ustaleń policji wyszło, że latem Lewy spotkał się z prostytutką. Ale nie chciał uprawiać z nią seksu. Kobieta go zupełnie nie kręciła.

– Przecież to nie musiało nic znaczyć.

– Nie musiało. Seksualność stanowi całe spektrum upodobań, może po prostu nie miał ochoty. Kazałem jednak kryminalnej jeszcze raz przeanalizować trasę przejazdu. W dzielnicy, przez którą jechało auto, znajdował się hotel z pokojami na godziny. Płatne BLIK-iem, żadnego podawania danych osobowych, żadnej rejestracji. Nie miałem tego na monitoring, ale wiedziałem, że samochód zatrzymał się na chwilę gdzieś w okolicy hotelu.

– Przecież Lewandowski mógł po prostu wyskoczyć do sklepu. Albo cokolwiek – zauważyła celnie Patrycja.

– Naturalnie. To była tylko moja koncepcja. Dokonałem pewnego założenia, po czym starałem się dopasować do niego fakty. Jeszcze raz przeleciałem listę rozpytanych osób. Tym razem skupiłem się na tych najmniej istotnych, tych, które odrzuciłem na samym początku. Odszukałem ich na portalach społecznościowych, sprawdziłem, co robią, co postują.

Posadź obok siebie dwóch prawników, a będziesz mieć pewność, że cały wieczór przegadają o robocie.

– I znalazłeś skrzywdzonego kochanka.

– Znalazłem. Policjantka go rozpytała, pobrała odcisk palca. Chłopak nie wytrzymał presji. Wszystko jej opowiedział.

Patrycja dała znak, że właśnie opróżniła kieliszek.

– Czyli to Orski tak naprawdę rozwiązał sprawę.

Konrad zmrużył oczy.

– Orski zmusił mnie do niekonwencjonalnego myślenia.

Radke spoglądała na niego z podziwem. Większości prokuratorów nie chciało się zbytnio główkować. Umorzyliby śledztwo wobec niewykrycia sprawcy, *just like that*.

Kroon nie odpuszczał. Zawsze musiał poznać prawdę.

– I za to się z tobą napiję. Za niekonwencjonalne myślenie.

Planowała wstać z kanapy, żeby dolać sobie jeszcze wina. Konrad obrócił głowę, zanadto się do niej zbliżył. Odebrała to jako sygnał.

Pocałowali się. Miał jędrne usta. Trzydniowy zarost nieznacznie szczypał ją w skórę, zdrapywał makijaż, kłuł trochę w brodę.

Kroon delikatnie objął jej policzek. Twarde, męskie dłonie.

Początkowo to ona była u góry. Wzięła go z zaskoczenia, przyparła do muru. Tak dawno się z nikim nie kochała. „Warto było czekać”, pomyślała.

Po kilku minutach Konrad przejął inicjatywę. Ułożył dziewczynę na kanapie, kilkoma sprawnymi ruchami ściągnął bluzkę. Nigdzie nie musiał się spieszyć.

Patrycja nawet nie zauważyła, kiedy rozpiął jej stanik. Oswobodził ją z koronkowej bielizny, zaczął gładzić po piersiach.

– Może przeniesiemy się do sypialni? – zaproponowała.

– Pewnie – wyszeptał. – Zabiorę wino.

KONRAD KROON

Dziewczyna weszła do pokoju, położyła się na łóżku. Wygodny, szeroki materac.

– Fajne to twoje mieszkanie! – zawołała przez korytarz.

Konrad chwycił dzbanek z lodem i butelkę, w drugą rękę wziął kieliszki. Powoli ruszył jej śladem.

Myszę, że musisz pójść dalej, znaleźć w końcu jakiś cel, uwolnić się ode mnie. Ja nigdy nie dam Ci tego, czego pragniesz; na pewno też nie dam tego, czego potrzebujesz.

Zatrzymał się w drzwiach sypialni.

Ja też muszę pójść dalej. Nie wiem dokąd. Nie chcę tego analizować. Muszę żyć z dnia na dzień, wolna, nieskrępowana, nieoglądająca się na innych. Nigdy nie powinnam żyć z nikim w związku.

Spoglądał na Patrycję. Młoda mecenas leżała na łóżku, uśmiechała się do niego. Porządna, dobra laska. Dziewczyna z sąsiedztwa.

Dziękuję Ci za te wszystkie lata. Kiedyś naprawdę Cię kochałam, do samego końca lubiłam. Nigdy nie znałam bardziej fascynującej osoby. I pewnie nigdy już nie poznam.

– Idziesz? – spytała Patrycja.

Kroon stał zapatrzony w przestrzeń. Przypomniało mu się, jak ostatni raz spał z Zuzą. Widział jej kręcone włosy, opaloną skórę, muszelkową bransoletkę na nodze.

Zatroszcz się o siebie samego, tak jak ja zamierzam zatroszczyć się o siebie samą.

– Konrad? Wszystko w porządku? – Radke wstała z łóżka.

Nie proszę, byś mi wybaczył. Proszę, byś w końcu zatroszczył się o siebie. Byś zaczął żyć naprawdę.

– Przepraszam cię – rzekł ciężko. – Myślałem, że będę mógł ruszyć dalej. Pójść swoją własną drogą. Najwidoczniej... nie potrafię. Mój świat dalej stoi w miejscu.

KLAUDIUSZ

Trzy miesiące śpiączki. To cud, że się wybudził.

Od razu po wyjściu ze szpitala zadzwonił do Emila. Tyle się przez ten czas wydarzyło. Wójcicki ukrywał się za granicą, Nazarkiewicz kiblował w areszcie, Fergus gryzł piach. Świat rozwiązał problemy za niego. Większość problemów.

– Jak to dostałeś zarzuty?!

– Skumali, że to ja prowadziłem auto – wyjaśnił Emil. – Grozi mi za to do dwunastu lat.

– Włos ci z głowy nie spadnie! Wyprostuję to, słyszysz?! Zaopiekuję się tobą!

Zamówił taksówkę na Piekarniczą.

– Ja do prokuratora Kroona.

Ochroniarz wpisał go do zeszytu.

– Chyba cały czas siedzi na trzecim piętrze. Jakoś nie chce się przenieść do nowego pokoju.

Wjechał windą na górę. Ta wycieczka kosztowała go sporo energii. Mięśnie odwykły od wysiłku, Klaudiusz z trudem poruszał się o własnych siłach. Gdyby nie adrenalina, pewnie nie dałby rady.

– Pan prokurator Kroon? – rzucił, otwierając drzwi gabinetu.

W pokoju oprócz czterdziestoletniego mężczyzny siedział jeszcze pies. Srebrzysty husky.

– Tak. W czym mogę pomóc?

Bez pytania wtarabanił się do środka.

– Nazywam się Klaudiusz Lewandowski. Prowadzi pan sprawę mojego wypadku. Czuję, że musimy poważnie pogadać.

Rozdział 31 | Wakacje

EMIL

W Muzeum Gdańska pracował już od dobrych kilku lat. Czas płynął tu wolno, nikt się nigdzie nie spieszył. Historia jest w końcu tą jedną dziedziną, której nie musimy stale gonić. Wszystko, co się wydarzyło, po prostu zaistniało. Można o tym pisać, czytać, rozmawiać. Jak nie dziś, to jutro. Jak nie w tym tygodniu, to może wraz z nastaniem jesieni. *Festina lente*. Spiesz się powoli.

Dwór Artusa przeżywał właśnie prawdziwe oblężenie. Konferencja biznesowa dumnie nazywana galą; wokół pełno starych dziadów, farbowanych lisów, udawanych mecenasów kultury.

Emil kręcił się po zabytkowym wnętrzu, pilnując, by nikt niczego nie uszkodził. Same obce twarze, w większości fałszywe.

Pod miejscem zwanym ławą Świętego Jerzego ustawiły się cztery kobiety. Trzy panie dobrze po sześćdziesiątce i jedna młoda dziewczyna.

– Lena? – zawołał z oddali.

Dwudziestolatka się odwróciła. To była Lena Orska, jego sąsiadka z Waryńskiego.

– Panie wybaczą – powiedziała. Odeszła kilka kroków. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię tu widzę.

– Od kiedy chodzisz na takie przyjęcia?

– Od nigdy. Mój chłopak mnie zabrał – wyjaśniła. – A ty?

– Od nigdy. Pracuję tu.

Spojrzał na jej sukienkę. Nieźle się odstawiła.

– No co tam w ogóle słyhać? – spytała Orska. – Dobrze wyglądasz.

– A dzięki. Ty też. Nasza gwiazdo.

Lena naprawdę chwyciła życie za rogi. Nie żeby narzekał. Nigdy nie marzył o wielkich pieniądzach, lubił co weekend nawalić się z przyjaciółmi, mieszkał jeszcze z rodzicami, całość wypłaty wydawał na narkotyki i imprezy. Niebieski ptak.

– Widziałas gdzieś Oskara? – spytał ktoś z tyłu.

Odwrócili się. Nieopodal drewnianej ławy stał mężczyzna po czterdziestce. Przystojny, zadbany. Starannie wypastowane buty, elegancki garnitur. Całkiem w jego typie.

Lena nadstawiła policzek. Mężczyzna ją delikatnie pocałował. Potem wyciągnął dłoń na powitanie Emila.

– Lewandowski – obwieścił nowo przybyły.

– Emil jestem, znaczy... Różański.

Chłopak nieco zbyt długo przytrzymał jego dłoń. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

– Oskar wyszedł na fajkę. – Lena wskazała ręką w stronę drzwi. – Pewnie się za tobą stęsknił.

*

Po pracy ustawił się ze znajomymi. Złapali go pod wyjściem z gmachu muzeum. Powitalny papierosek, powolnym krokiem ruszyli w stronę pubu.

Emil spojrzał w głąb Chlebnickiej. Klaudiusz Lewandowski. Przystojny biznesmen z Dworu Artusa. Mężczyzna siedział w ogródku jakiejś knajpy i pił piwo. Emil mógł przysiąc, że puścił do niego oczko.

*

Było cholernie późno. Emilowi kręciło się już trochę w głowie, potrzebował się przewietrzyć.

– O, hej...

– Cześć!

Wpadli na siebie w drzwiach do lokalu. Klaudiusz wyglądał na rozbawionego, zgubił gdzieś krawat, rozpiął kilka pierwszych guzików koszuli. Był sam.

– Szedłem właśnie na fajeczkę – powiedział Emil.

Lewandowski chwilę wcześniej wyrzucił kiepa do popielniczki.

– To się bardzo dobrze składa. Chętnie zapalę.

KLAUDIUSZ

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak dziwnie. Bolał go brzuch, nie mógł spać, a jednocześnie odczuwał silną ekscytację.

Pisali na komunikatorze, kryli się jak zakazani kochankowie. Podobna miłość połączyła Montekich i Kapuletich.

Emil w dalszym ciągu mieszkał z rodzicami, niewielkie mieszkanie w kamienicy, nie bardzo wypadało mu sprowadzać do domu gości na noc. Klaudiusz był żonaty.

Leżeli nago na pościeli.

– Spoko miejscówka – stwierdził Lewy. – Za moich czasów nie było takich miejsc.

To Emil zgooglował ten hotel. Płatność BLIK-iem, żadnej recepcji, pełna dyskrecja.

– A teraz nie są twoje czasy, dziadku? – Rzucił mu się na szyję i zaczął całować.

– Kurde, misiak, muszę już lecieć. Spotkanie mam z Oskarem i Dębskim. Au! – pisnął. – Co ty robisz?!

– Znaczą teren.

Na szyi Klaudiusza trzydziestolatek zostawił niewielką malinkę. Mężczyzna szybko wstał z łóżka. Spieszył się na rozmowę.

– Te twoje elektrownie na wodzie? – Emil ziewnął.

– Tak. Gruba kasa. Jak wypali... Wyrwę cię z tego przeklętego miasta. Czy tego chcesz, czy nie, zapakuję cię do walizki, właduję do samolotu, wyciągnę dopiero na Malediwach, tam będziemy siedzieć przy open barze, wpięprzać świeże mango i biegać nago po plaży.

– Na Malediwach panuje prawo wyznaniowe – bąknął chłopak. Przeciągnął się na materacu. – Ale reszta planu mi pasuje. Mogę z tobą uciec, gdziekolwiek zechcesz. Tylko żeby było ciepło.

EMIL

Klaudiusz wyglądał jak wrak człowieka.

– Ja pierdołę. I co, kurwa, teraz?

Pozwolił mu wtulić się w swoje ramiona.

– Dasz radę. Na pewno jakoś to ogarniesz.

Lewandowski zapłakał. Tylko przy Emilu czuł się w pełni swobodnie. Wiele lat temu podobne poczucie bezpieczeństwa zapewniała mu Beata. Tamte czasy bezpowrotnie minęły.

– Chcą mnie zająbać. Oskar z Dębskim napierają na spotkanie z teściem. A on mnie, kurwa, specjalnie wystawił. No i jest jeszcze Nazaret...

– Nie możesz pójść na policję? – Już w chwili, kiedy kończył zadawać to pytanie, zdał sobie sprawę, jak idiotycznie brzmiała jego propozycja. Klaudiusz pożyczył pieniądze od gangstera, by stanąć do jakiegoś trefnego zamówienia publicznego. Miał przeciwko sobie przestępczy półświatek Trójmiasta z jednej i senatora Nawrockiego, reprezentującego bezwzględny aparat państwowy, z drugiej strony. Cały świat chciał go właśnie dopaść.

– To koniec, Emil. Albo stąd ucieknę, albo mnie załatwią.

– Uciekniesz. A ja razem z tobą.

Naprawdę go kochał.

KLAUDIUSZ

Wszędzie ich widział. Po tym, jak ludzie Nazarkiewicza pobili go i wrzucili do śmietnika, wciąż czuł na sobie ich nieświeży oddech.

Właściwie nie zrobili mu wtedy niczego poważnego. Skoczył do hotelu, wziął prysznic, wrócił do domu. Żadnych widocznych obrażeń. Spał na kanapie, Beata się nie domyśliła.

Pozdrowienia od Nazareta. Wiedział, jak to się skończy. Świat mu nie wybaczy. Musiał uciekać.

EMIL

Lubił lekko żyć. Od dziecka miał głowę pełną szalonych pomysłów; pomiędzy pragnieniem a spełnieniem wyrysowano zbyt krótki odcinek, by zmieścić w nim jeszcze miejsce na refleksję.

Trzydzieści lat, żadnego majątku, żadnych zobowiązań. W muzeum płacili mu grosze. Czy mógł tak po prostu rzucić to wszystko i uciec za granicę? Oczywiście, że mógł.

Klaudiusz poprosił go, żeby kupił bilety. Umówili się w hotelu, tam gdzie zawsze. Żadnych bagaży, jedynie dokumenty.

Nie powiedział rodzicom, nikomu nie zdradził ich tajemnicy. Po prostu wysłał kartkę, gdy dojadą na miejsce. Czuł niesamowitą ekscytację. Zakazana miłość, oddech śmierci na plecach. Świat jawił mu się cudownym miejscem.

KLAUDIUSZ

Beata nawet nie spytała, dlaczego wychodzi. Niedziela wieczór, dzieciaki powoli szykują się do snu. „Kurwa. Nie zniosę tego”.

Musiał działać szybko, błyskawicznie zerwać plaster. Co innego zostawiać znenawidzoną żonę, co innego porzucać ukochane dzieci. Ale nie miał wyboru. Kiedy wszystko się wyprostuje, ułoży, zaprosi je do siebie. Zrozumieją. Może nie od razu, ale kiedyś... w końcu... muszą zrozumieć.

Błądził po mieście. Specjalnie, dla zmylenia ewentualnej pogoni. Oczywiście wziął samochód na minuty. Gdyby pojechał na lotnisko własnym autem, od razu by go namierzyli. Teść pociągnąłby za sznurki, zdobył informacje od służb.

Zajeżdżał na chwilę do biura. Z szuflady biurka zabrał pendrive'a z hasłem do konta. Nie było tego sporo, ale musiało wystarczyć.

Zszedł na dół.

– O kurwa... nie, nie teraz – szepnął.

Kawałek dalej, w czarnym bmw, siedziało dwóch osiłek. Ludzie Nazarkiewicza.

– Ja pierdolę...

Odpalił silnik i wcisnął gaz. Ruszyli za nim.

– Nie, nie teraz! Jest już tak blisko!

Musiał ich zgubić. Ale przecież wiedzieli, czym jeździ. Czyżby się domyślali, że zwiewa z kraju?

Jechał na osłep. Najpierw w stronę Gdyni, gwałtownie zjechał na Morenę, później znów odbił do Wrzeszcza. Pogoń cały czas siedziała mu na ogonie.

Tym gratem nie miał z nimi żadnych szans.

Skręcił w boczną uliczkę. Gwałtownie zaparkował, wyskoczył z auta i pobiegł w las. Kawałek dalej, za wzgórzem ciągnęła się kolejna ulica.

– Kurwa, zaraz umrę...

Był cały spocony. Wybiegł z lasu. Obok pobliskiego bloku stały trzy hulajnogi elektryczne. Bez zastanowienia chwycił jedną z nich.

Ruszył chodnikiem w stronę centrum. Dobrze znał tę okolicę. Nieopodal mieścił się dawny warsztat samochodowy jego szwagra.

Szwagra?

*

Walił w drzwi jak opętany. Widział, że w środku pali się światło.

– Kurwa, to tylko ty – powiedział rozbawiony Walczak. Był bez koszuli, rozpięty guzik spodni zdradzał dobrą zabawę. – Myślałem, że psy się do mnie wjechały, a tu taka niespodzianka! Claudio del Levandeiro!

Klaudiusz władował się do środka.

– Potrzebuję pożyczyc furę... – Ledwo żywy padł na sofę.

W kanciapie siedziała jakaś dziewczyna. Była całkiem naga.

– Misiu kochany, spokojnie! Co się stało?

Na stole zauważył woreczek z kokainą i kilka butelek whiskey.

– Padł mi samochód, muszę się szybko gdzieś dostać.

– A to o taksówkach nie słyszałeś?

Lewandowski nalał sobie szklankę bulleita. Wychylił jednym duszkiem.

– Przysługa za przysługę. Jakoś ci się odwdzięczę.

Walczak rozwalil się na kanapie. Objął ręką swoją dziewczynę.

– Nigdy nie dzwonicz, nie pytasz, jak się czuję, a teraz nagle przysługę... No ale miło, że wpadłeś na mój dwuosobowy melanzyk. Poczestujesz się? – Usypał mu ścieżkę z koksu.

Klaudiusz wciągnął narkotyki. Poczul gwałtowne uderzenie.

– Słuchaj, masz jakiś samochód?

Piotrek rozłożył szeroko ramiona. Przystojny, bananowy młodzieniec.

– Mam tu wszystko, co trzeba. – Wyciągnął z kieszeni kartę. Czwórka trefl. Podał ją Lewandowskiemu.

– Dostałem od Fergususa na pamiątkę. Teraz ja tu rządę. – Klepnął dziewczynę w pośladki. – Książę Trójmiasta. Kumaszc?

– A co się stało z Fergususem?

– Zwiął za granicę. A szkoda. Bo zakochał się w tej gorącej kici twojego Oskarka.

– W Lenie? – spytał zdziwiony Klaudiusz.

Walczak nalał im po kieliszku.

– A dziwisz się? Taaaaka sunia. No ale psy miały do niego jakieś wąty. Musiał spierdalać za granicę.

Wychylili kolejnego szota.

– Fergus wpadł w tarapaty?

– Wszyscy wpadli w tarapaty – odparł Walczak. – Fergus ma policję na karku i złamane serce. Pisze do Orskiej wiadomości, że jak nie zostawi dla niego Oskara, to wróci do kraju i się powiesi. Podwójny przypał. Swoją drogą, słyszałem, że i tobie zaczęło się sypać.

Piotrek podał mu zwinięty w rulon banknot. Wciągnęli po kolejnej kresce.

– Lekkie komplikacje...

– Spokojna twoja rozczochna, mordeczko! Ja cię tak nie zostawię. Wiesz, gdzie się poznaje prawdziwych przyjaciół?

Klaudiuszowi coraz bardziej zaczynało się spieszyć. Musiał zdążyć na samolot.

– W biedzie?

– Nie, nie, nie! W bogactwie!

Walczakowi zebrało się na szczerze rozmowy. Pieprzony bazarz-gawędziarz.

– Słuchaj, nie mam czasu. Potrzebuję pilnie fury!

Na stole leżały jakieś kluczyki.

– Spokojnie. Przecież powiedziałem ci, że pomogę. – Wręczył mu szczęśliwą kartę. – Wiesz, co to jest? To amulet. Talizman chroniący od kłopotów.

Czwórka trefl. Głupie powiedzonko Fergususa, Walczaka, Oskara.

– Piotrek, daj mi, proszę, szybko jakiś samochód i spierdalam.

Młody złodziej miał wyjątkowo dziwny nastrój. Chwycił dziewczynę za głowę i zaczął ją całować. Nastolatka ledwo kontaktowała. Solidnie nafaszerował ją narkotykami.

– Podzielę się z tobą. Alkiem, dragami, kobietami. Wszystkim się podzielę. Widzisz tę figurę? Czwórka trefl!

Lewandowski nie mógł dłużej czekać. Trochę się wnerwił. Ostentacyjnie podał kartę na pół, chwycił kluczyki i wyskoczył na zewnątrz.

– Kurwa, Klaud! Teraz spotka cię nieszczęście! Czwórka trefl, misiu!

Czterdziestolatek wybiegł na podwórko. Spojrzał na znaczek na kluczyku, później dopasował do niego samochód.

– Oddam ci go potem – rzucił.

Walczak słabo kontaktował. *Sex, drugs, drugs, drugs and alcohol.*

– Kurwa, tego nie bierz! To mój! – krzyknął.

Lewy właśnie odpalał silnik.

– Jakoś ci się odwdzięczę! – zawołał, wyjeżdżając za bramę. Za chwilę musiał być na lotnisku.

– Ale on nawet nie jest sprawny! Kurwa, Klaud! Chłopaki dłubali coś przy hamulcach!

EMIL

Klaudiusz przyjechał po niego spóźniony. Umówili się w swoim stałym punkcie: hotel na godziny,

płatne BLIK-iem, żadnych pytań, żadnych śladów.

– Kurwa, mordeczko! Zaraz nam zamkną bramki! – zawołał.

– To dawaj szybko! Masz te bilety?

Emil usiadł na miejscu pasażera.

– No raczej. – Zmierzył go wzrokiem. Alkohol poczuł od razu po otwarciu drzwi; mętne spojrzenie dojrzał dopiero, gdy wsiadł do środka. – Czy ty coś piłeś?

– Jednego czy dwa. Dla kurażu. Ale nie czas teraz na pogaduchy. – Wcisnął pedał gazu. Silnik zawarczał. Zapomniał wrzucić bieg.

– Czyś ty oszalał? Przecież w tym stanie nie możesz prowadzić! – wykrzyknął Emil.

Lewy strasznie się denerwował. Trzęsły mu się dłonie, nerwowo rozglądał się na boki.

– Musimy stąd spierdalać. Kupiłeś te bilety? – spytał ponownie Klaudiusz.

– Kupiłem – odparł chłopak. – Ale ja będę prowadzić.

Nawet nie miał prawka. Do egzaminu podchodził kilka razy, ostatni raz uwalili go tuż przed dojazdem do ośrodka. Przesiedli się.

– Co to w ogóle za fura?

– Takiego jednego ziomka. Mniejsza o to.

Jechali Słowackiego w stronę lotniska. Był środek nocy.

– Widziałeś ich w lusterku?

– Kogo niby? – spytał Emil.

– Ludzi Nazareta. Siedzą nam na ogonie.

Trzydziestolatek czuł się trochę jak w filmie. Wszystko wydawało mu się takie nierealne.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Wciśnij gaz. Słyszałeś?! GAZ! – wrzasnął Klaud.

Emil nieznacznie zwiększył prędkość.

– Nie chcę się rozjechać.

– Gonili mnie po mieście. Dlatego zmieniłem furę – wyjaśnił Lewandowski.

Kierowca spojrzął na Klaudiusza. Spanikowany pasażer nie wyglądał na takiego, co zmyśla. Był autentycznie przerażony.

– Jesteś pewien?

– To Nazaret. Zajebie mnie, jak skuma, że spierdaliśmy z kraju. Jedź szybciej!

Niepotrzebnie go posłuchał. Kręta leśna droga, mokra jezdnia, słaba przyczepność.

– GAZ, POWIEDZIAŁEM! – krzyknął Klaud.

Drugi raz w życiu postanowił grać *va banque*. A przecież chwilę wcześniej sam podarł szczęśliwą kartę. Na własne życzenie przyzwał ostatnią z plag egipskich. Był pierwszym synem swych rodziców.

Czwórka trefl.

*

Główna droga prowadząca na gdańskie lotnisko nosiła nazwisko Juliusza Słowackiego. Czteropasmowa arteria biegła prosto niczym strzała aż do obwodnicy, przecinała Trójmiejski Park Krajobrazowy i mijając po prawej Morenę, po lewej Niedźwiednik, wkraczała już jako aleja Żołnierzy Wyklętych do Wrzeszcza, łącząc tysiącletnie miasto z niemal całym światem. To właśnie wspomniany leśny odcinek przelotówki dostarczał zazwyczaj największych problemów. Ulica wiła się pomiędzy porośniętymi drzewami wzdłuż niczym asfaltowa rzeka. Słowackiego uwielbiała romantyczne historie, poila się tragediami i jak żadna inna ulica w Gdańsku żądała krwi.

Całe zdarzenie trwało ledwie kilka sekund. Samochód stracił przyczepność, skręcił w prawo, przebił bariery i wleciał do rowu.

Emil odruchowo skręcił kierownicą. Nawet się nad tym nie zastanawiał; automatyczna reakcja obronna. Kurczowo trzymamy się życia. Mimowolnie skierował uderzenie na pasażera.

Jedna sekunda, w której podsumował całe swoje życie. Narodziny, trudy dorastania, studia, praca, a teraz to. Czyżby to był koniec?

Siedział za kierownicą, poduszki zadziały, właściwie był tylko poobijany. Jego kochanek ledwo kontaktował.

– Klaud! KLAUD!

Lewandowski z trudem otworzył oczy.

– To koniec...

– Zaraz zadzwonię po karetkę!

Klaudiusz stęknął.

– Nie. Musisz uciec. Dopadną cię. Zabiją zamiast mnie.

Emil był w szoku. Nie myślał jasno.

– Pomóż mi się przesiąść. I zniknij. Nie możesz płacić za moje winy.

NAZARET

Ludzie dali mu cynk, że Lewandowski zamierza uciec z kraju. Nie tak rozgrywa się sprawa z Nazaretem.

Wsiadł w swój samochód i ruszył na miasto.

– Kręcił się koło tego hotelu co zawsze – powiedział ochroniarz. – Pewnie będzie spierdalał na obwodnicę.

– To wy obstawcie Spacerową, a ja cisnę na Słowackiego.

Całe życie miał farta. Pakował kasę tylko w zyskowe interesy, znał się na ludziach, psy nie umiały się do niego dobrać.

Dopadł go jeszcze na alei Żołnierzy Wyklętych.

– Mam cię, chujku.

Trzymał bezpieczną odległość. Jak na polowaniu. Nie chciał spłoszyć zwierzyny ani stracić jej z oczu.

Minął wiadukt kolei metropolitalnej. Żołnierzy Wyklętych niepostrzeżenie zmieniła się w Słowackiego. Samochód Klaudiusza zniknął właśnie w ciemności lasu.

– Kurwa... – zaklął, widząc rozbitą wrak. Lewandowski siedział za kółkiem, był nieprzytomny.

„Jak ten chuj zginie, to nigdy nie odda mi kasy”, pomyślał Nazaret.

Wybrał numer na pogotowie, po czym odjechał w stronę ekspresówki. Ich światy miały się już nigdy nie spotkać.

PROPHETA

Skąpany w srebrzystej poświacie księżyca mężczyzna przypominał bardziej upiora niż rzeczywistą osobę. Stojąc na skraju lasu, obserwował, jak czarny volkswagen z ogromnym impetem wbija się w barierkę, okręca wokół własnej osi i z przeraźliwym hukiem łąduje w rowie.

– *Liberati autem a peccato, servi facti estis iustitiae* – zaintonował odruchowo. „A uwolnieni od grzechu, staliście się sługami sprawiedliwości”.

Hieronim Orski błędził po wzgórzach okolicznego lasu. Nocna pielgrzymka z katedry oliwskiej do matemblewskiego sanktuarium. Nieopodal ulicy Słowackiego stał się świadkiem wypadku drogowego. Zbyt wielka prędkość, brawura i nieuwaga.

Mężczyzna wsparł się o konar stuletniego dębu. Spoglądał na drogę, obserwował samochód rozpięty na cienkiej linii łączącej widzialne i niewidzialne. Kilka miesięcy temu Pan objawił mu swój plan.

Na miejsce wypadku zajechał drugi samochód. Kierowca zadzwonił na numer alarmowy, po czym szybko odjechał. Czy choć raz uda się oszukać los?

Wszystko zostało już zapisane. Każde życie, każda śmierć.

– *Quicumque enim sine lege peccaverunt, sine lege peribunt* – osądził mężczyzna. „Bo ci, którzy bez Prawa zgrzeszyli, bez Prawa też poginą”.

Nie wiedział, kim była ofiara. Wierzył jednak, że los kierowcy zapisany jest w gwiazdach tak samo jak los każdej innej żywej istoty. „Nawet włosy na waszej głowie wszystkie są policzone”⁹⁷.

KLAUDIUSZ

Są takie zwierzęta, które zawsze spadają na cztery łapy. Klaudiusz Lewandowski ewidentnie należał do grona szczęśliwych czworonogów z rodziny kotowatych.

Po kilku miesiącach od wybudzenia ze śpiączki, gdy zakończono rehabilitację, lekarze wystawili ostateczną opinię odnośnie do stanu zdrowia pokrzywdzonego mężczyzny. Klaudiusz nie odniósł tak zwanych ciężkich obrażeń ciała, co pozwoliło zakwalifikować zarzucony Emilowi Różańskiego czyn z artykułu 177 § 1 Kodeksu karnego, przewidującego łagodniejszą odpowiedzialność karną za spowodowanie wypadku drogowego.

*

Na przełomie marca i kwietnia Klaudiusz dostał informację, że prokuratura wyłączyła ze śledztwa materiały w sprawie prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości. Ustalono, że to Lewandowski siedział za kółkiem czarnego volkswagena, który w pewną mokrą wrześniową noc rozbił się na jednym z zakrętów drogi wiodącej przez samo serce wrzeszczańskiego lasu.

Jak wynikało z pobranych próbek badań, mężczyzna kierował nie tylko po alkoholu, ale i narkotykach. Artykuł 178a § 1 Kodeksu karnego. Klaudiusz przyznał się do winy i dobrowolnie poddał karze bez przeprowadzania rozprawy.

*

Prokurator nie zdecydował się na wniesienie przeciwko Emilowi Różańskiemu aktu oskarżenia. Nikt nie chciał tego postępowania. Ani pokrzywdzony, ani sprawca. Nikt nie chciał rozgłosu, ciągnięcia po sądach, dłubania w życiu prywatnym.

Kroon ustalił, jak doszło do wypadku. Zgromadził wszystkie przesłanki, powiązał siecią związków przyczynowo-skutkowych. Tym razem nikt go nie powstrzymał. Inaczej niż w sprawie Brodowicza, inaczej niż w sprawie Zatorskiej. Wypełnił swoje zadanie, zaspokoił umysł. Mógł spokojnie zakończyć śledztwo.

Prokurator wsłuchał się w głos pokrzywdzonego i skierował do sądu wnioski o warunkowe umorzenie postępowania.

„Ludzki facet”, pomyślał Lewandowski.

PATRYCJA RADKE

Po sylwestrze miała straszny *mindfuck*. Romantyczny wieczór, przystojny facet, cudowna gra wstępna. I nagle czar przysł. Konrad stchórzył.

„Przepraszam cię. Myślałem, że będę mógł ruszyć dalej. Pójść swoją własną drogą. Najwidoczniej... nie potrafię. Mój świat dalej stoi w miejscu”.

Spotkali się kilkanaście razy. Postanowili zacząć wszystko do nowa, tym razem na spokojnie, bez zbędnego szarżowania.

Nadawali na tych samych falach. Nigdy nie męczyła ich cisza, nigdy nie nudziła rozmowa. A jednak nie kroczyli naprzód.

– Zdecyduj się. Jesteśmy tylko znajomymi czy może chcesz czegoś więcej? – spytała w końcu, kiedy pierwszy raz tego roku wyszli razem na stocznię. W oddali pięły się smukłe sylwetki dźwigów KONE. – Bo ja chcę czegoś więcej.

W oczach Kroona zaszklily się łzy.

– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Czuję jednak, że coś stale ciągnie mnie wstecz. Raczej nie mogę dać ci tego, o co prosisz. A na pewno nie mogę ofiarować ci tego, na co zasługujesz.

Wiedziała, że jej nie zdradza. Nie spotykał się z nikim poza nią.

– Kurwa, Konrad. – Złapała się za głowę. – To już pół roku, odkąd cię zostawiła. Oficjalnie. Bo z tego, co mówisz, mentalnie porzuciła cię wieki temu.

Czuł, że miała rację. Sam jej o wszystkim opowiedział. O wujku, Zuzie, rodzicach. Zaufał Patrycji tak jak nikomu wcześniej.

Powiada się, że wieczorna czerwień nieba zwiastuje porywisty wiatr; zeszłego roku w Gdańsku wiało mocno, przeraźliwie i nieustannie. Wiatr przeszywał serca, mroził umysły, paraliżował w strachu. Powalone drzewa niepodjętych decyzji piętrzyły się na krętych drogach ludzkich życiorysów. Biogram Patrycji właśnie wzbogacił się o kolejną szramę.

– Przepraszam – odpowiedział Kroon. – Po prostu nie potrafię.

MAJA

Przeżyła kilka mniej lub bardziej poważnych związków. Nigdy jednak nie mieszkała z nikim pod jednym dachem. To była poważna decyzja. Najlepsza w jej życiu.

Natasza Keyserlingk była od niej kilka lat młodsza, w tym roku kończyła dopiero dwadzieścia jeden lat. Oczko.

Dziewczyny z dwóch różnych światów. Bogata celebrytka, gwiazda Instagrama, potomkini starej arystokratycznej rodziny i ona: dwudziestopięcioletnia policjantka, z blokowiska, żadnych ciekawych przodków, sławnych znajomych, aktywów, pasywów, fortun do odziedziczenia.

Pozornie dzieliło je wszystko. Gdyby jednak zniszczyć cały świat, zasypać lądy chmurą radioaktywnego pyłu, wyburzyć miasta, pogrzebać kulturę, wymazać ludzkość, to miłość tej dwójki i tak by przetrwała.

Na dobrą sprawę każda historia to tak naprawdę opowieść o miłości. Miłość Nataszy i Mai dojrzała, jeszcze zanim zdążyła się zestarzeć; nigdy nie straciła cudownego posmaku pierwszego zauroczenia, nigdy nie wyblakła, była prawdziwa, głęboka i jedyna.

– Dobrze, że masz tak mało ciuchów – stwierdziła Natasza. – Inaczej nigdy nie pozwoliłabym ci się do mnie wprowadzić.

Maja spojrzała na nią z ukosa.

– Wiesz, myślałam nad jakąś ripostą. Ale po cholere tak udawać?

Nosimy maski, wychodzimy na scenę, wyolbrzymiamy, umniejszamy, staramy się jakoś dopasować. Uległość i podporządkowanie. Strach i dominacja.

– Przy mnie nigdy nie musisz niczego udawać – odparła Keyserlingk. – Żadna z nas nie musi.

LENA

Co roku w Polsce ponad dziewięćdziesiąt tysięcy kobiet i dzieci pada ofiarą przemocy domowej. To oficjalne dane. Szacuje się, że w rzeczywistości takich zdarzeń jest nawet osiem razy tyle. Bo przecież przemoc lubi ciszę.

Pokrzywdzeni boją się szukać pomocy. Rodzina, sąsiedzi, znajomi... „Ja tam nie będę się wtrącać w życie małżeńskie innych ludzi. To nie moja sprawa”. Kiedy pojawiają się siniaki czy otwarte rany, nieco trudniej zamknąć oczy.

Przemoc psychiczna jest równie groźna; funkcjonuje według tego samego schematu, karmi się tymi samymi emocjami. Sprawcy nie chodzi o to, by skrzywdzić swoją ofiarę. Agresja stanowi jedynie drogę do celu: władzy, kontroli, spełnienia.

Lena całe życie uważała, że jeśli nie weźmie spraw w swoje ręce, to gównem osiągnie. Nie potrafiła czekać, stać biernie z boku, przyglądać się krzywdzie i niesprawiedliwości. W swojej walce o normalność musiała o dziwo walczyć przede wszystkim z własną rodziną. Choć spodziewała się urzędniczej znieczulicy, policja, prokuratura i sądy zaoferowały jej pełne wsparcie.

Hieronim Orski został umieszczony na oddziale psychiatrii sądowej o wzmocnionym zabezpieczeniu Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Starogardzie Gdańskim. Po kilkumiesięcznej obserwacji biegli orzekli jego całkowitą niepoczytalność.

Prokurator Kroon wniósł o zastosowanie w stosunku do mężczyzny środka zabezpieczającego w postaci pobytu w zakładzie psychiatrycznym. Czas przymusowego leczenia nie został określony z góry. Co pół roku biegli przedkładali stosowną opinię odnośnie do zasadności przedłużenia terapii.

Lena Orska zawałczyła o swoją rodzinę i wygrała. Przynajmniej połowicznie. Matka nigdy wprost nie przyznała się do swojego błędu, ale każdym drobnym gestem dawała córce znać, jak bardzo ją kocha. Lena skończyła studia prawnicze, kilka lat później zdała egzamin notarialny. Ten sukces zawdzięczała wyłącznie sobie.

Hieronim Orski opuścił Kocborowo po trzech latach terapii. Nie był już tym samym człowiekiem.

W nocy prześladowały go koszmary, za dnia spoglądał pusto w przestrzeń. I choć dzięki odpowiednio dobranym lekom zaczął w miarę normalnie funkcjonować, to do końca życia nie wybaczył bliskim tego, co w swoim pokręconym umyśle uważał za zdradę.

EMIL

Pierwszy raz sprawy zaczęły wyglądać naprawdę dobrze. Prokurator złożył wniosek o warunkowe umorzenie postępowania w prowadzonym przeciwko Emilowi śledztwie. Nazaret siedział w areszcie, Fergus samodzielnie wyprawił się na drugą stronę lustra, Oskara Wójcickiego ścigano europejskim nakazem aresztowania. Zagrożenie zniknęło. Wydawało się, że świat mu wybaczył.

– Jak to nie możesz jej zostawić?! – krzyknął Emil.

Klaudiusz chwycił go za dłonie. Płakał.

– Trudno ci to zrozumieć. Masz dopiero trzydzieści lat. Żadnych zobowiązań.

– Ale przecież... – Nic z tego nie rozumiał. – Przecież nie kochasz Beaty! Kochasz mnie!

Czy można kochać naraz dwie osoby? Beatę Klaudiusz znał od zawsze. Była jego pierwszą miłością, przetrwali razem tyle lat. „Na dobre i na złe” – tak jej przysięgł.

– Kocham. I nigdy cię nie zapomnę. Ale nasze życia to dwa różne kosmosy. – Łzy płynęły mu po twarzy. Cholernie bał się tej rozmowy. Nie chciał podejmować decyzji o rozstaniu. O żadnym z rozstań.

– Kurwa, przecież miałaś spierdalać ze mną za granicę! Taki był plan: rzucić to w cholerę! Uciec! Zgubić się!

– Nie wiem, co ci na to odpowiedzieć... – przyznał bezradnie Klaud. Nigdy nie radził sobie dobrze z trudnymi sytuacjami.

– Ja pierdolę... – Emil zalał się łzami. Spojrzał na niego z nadzieją. – To nie może się tak skończyć! Ja bez ciebie nie dam rady...

Klaudiusz położył mu palec na ustach.

– Nigdy cię nie zapomnę. To lato na zawsze zostanie w moim sercu. I w twoim też. Trochę popłaczemy, ale będziemy żyć dalej. Bo życie zawsze toczy się dalej. Tak to już jest.

KONRAD KROON

Konrad siedział na pustej sali rozpraw. Strony opuściły budynek sądu, kurz bitewny powoli opadał na podłogę. Na ławce koło niego przysiadła sędzia Grażela.

– Gratuluję awansu – powiedziała kobieta. – Widzę, że po tych wszystkich latach w końcu wzięłaś sobie do serca moją radę.

– Tak to z zewnątrz wygląda? – spytał.

Grażela ściągnęła z szyi gruby łańcuch. Ciężar odpowiedzialności za ludzkie życie.

– Przestałaś uciekać.

Rok temu, dokładnie o tej porze, podjął decyzję, by pogrzebać swoją przeszłość. Odpędzić dawne demony, zacząć żyć naprawdę.

– Nie przestałem. Po prostu uciekłem w pracę.

Wciąż nie mógł pogodzić się ze stratą Zuzy. A co, jeśli prawdziwa miłość stanowi ten elementarny pierwiastek, z którego ulepiony jest cały wszechświat? Jeśli tylko z Zuzą mógł odkryć zagadkę kosmosu, tajemnicę sensu i celu, zagadkę samego siebie?

– Pamiętam cię od pierwszego dnia, kiedy pojawiłeś się na tej sali. Młody, ambitny, z ognikami w oczach – przypomniała sędzia. – Gdzie się podział tamten uroczy narwaniec?

Kroon wzruszył ramionami.

– Zgubił się gdzieś po drodze.

Poklepała go po ramieniu.

– Nie ma takiej rany, która w końcu nie zamieniłaby się w bliznę. Zamknąłeś pewien etap, otworzyłeś nowy.

– Niczego nie zamykałem. Szedłem przed siebie, gdy ktoś nagle pieprzył mnie drzwiami w twarz.

Konrad Kroon. Nieidealny, kanciasty człowiek ulepiony bardziej ze słabości niż charakteru.

– Może wydaje ci się, że świat się właśnie kończy. Że ci nie wybaczył. Ale on się nigdy nie skończy. Będzie trwał wiecznie – powiedziała kobieta. Z trudem podniosła się z ławy. – Chodzi po prostu o to, by pozwolić mu pójść swobodnie dalej. Bo on i tak to robi.

Epilog

Doktor Maciejewski siedział w swoim gabinecie i spoglądając przez okno, obserwował, jak ponownie zieleni się świat. Nadchodziła wiosna.

– Nie wierzę w to, ale chyba po dziewięciu miesiącach jesieni w końcu znowu będziemy mogli trochę pożyć, Michałku – powiedział.

– To był naprawdę jakiś pokręcony czas – podsumował drugi z lekarzy. – Zadyma z Orskim, dziwne zgony... zupełnie jakby świat chciał nam coś powiedzieć.

Maciejewski skinął głową. Pogrążył się w zadumie.

– Już raz mieliśmy tu taką odjechaną akcję.

– Chodzi ci o tę dziewczynę, co nawiała za szpitala? – spytał Michał.

– Tak. To było kilka lat temu. Czekaj, jak ona się nazywała? – Spojrzał w stronę okna. Za szybą rysował się neogotycki kontur ceglanej wieży ciśnięć. – Kurczę, nie pamiętam. Chociaż czekaj! Tak, już wiem! Dziewczyna miała na imię... Julia.

KONIEC

POSŁOWIE

Długo myślałem o tym, co napisać w posłowniu. Opowiadanie historii przychodzi mi stosunkowo łatwo, zagłębienie w głąb siebie wymaga jednak innego rodzaju wysiłku. Jeśli miałbym podsumować historię mojego pisarstwa tylko jednym słowem, zdecydowałbym się na wyraz WDZIĘCZNOŚĆ. Za to, że mi zaufaliście, że mnie zrozumieliście. Za to, że czytając, czuliście to samo, co czułem ja, kiedy pisałem. Za to, że choć się nie znamy, to jednak nie jesteśmy przecież dla siebie zupełnie obcy, bo poruszają nas podobne emocje, inspirują te same charaktery, fascynują pokręcone ścieżki ludzkiego życia.

Centralny punkt moich książek stanowi człowiek. Opowieść można nazwać kryminałem czy thrillerem; dla mnie będzie ona zawsze w głównej mierze dramatem, tak jak dramatem, a nie kryminałem, są prawdziwe biografie, doświadczenia i losy.

Postanowiłem opowiedzieć o zbrodni inaczej niż wszyscy do tej pory. Zrobić to po swojemu, bez inspirowania się cudzą twórczością, bez ulegania wymaganom kanonu. Sam nie czytam kryminałów zbyt chętnie, moja przygoda z powieścią detektywistyczną skończyła się na Sherlocku Holmesie, ale pozwolę sobie postawić śmiałą tezę, że o przestępstwach wiem całkiem sporo.

Tworząc serię poświęconą prokuratorowi Konradowi Kroonowi, nie musiałem przeprowadzać żadnego researchu, podpytywać policjantów, co robią, kiedy w rzece ktoś ujawni martwe ciało, googlować hasel z podręcznika do kryminalistyki. W ciągu ponad ośmiu lat pracy poprowadziłem kilka tysięcy postępowań karnych. I rzadko kiedy widziałem w nich zagadki czy spektakularne zwroty akcji rodem z Hollywood. Zawsze jednak, w każdej sprawie, powtarzał się jeden element. Wspólny mianownik wszystkich noweli, w których ktoś popełniał przestępstwo. Człowiek.

Świat ci nie wybaczy, podobnie jak *Krzycz, jeśli żyjesz*, jest więc opowieścią o ludziach. Są to inni bohaterowie niż w tomie pierwszym, lecz w gruncie rzeczy przeżywają oni podobne emocje, równie naiwnie wierzą w marzenia, dają się zranić i ranią innych.

Od strony *stricte* zawodowej postanowiłem wziąć na warsztat typowe przestępstwa, z jakimi mierzą się polscy prokuratorzy. W większości kryminałów autorzy piszą wyłącznie o morderstwach. Morderstwo w części pierwszej, drugiej, czwartej, szesnastej... Zabójstwa stanowią łatwy i literacko wdzięczny temat. Ale wbrew obiegu opinii w prawdziwym życiu zdarzają się stosunkowo rzadko – są to wypadki tragiczne, zazwyczaj zupełnie nie filmowe.

Wiedziałem, że chcę zerwać z owym fałszywym schematem, który nakazuje pisać wyłącznie o morderstwach. Mój prokurator miał być bohaterem z krwi i kości: takim, jaki naprawdę mogłby istnieć w realnym życiu, a jego referat miał składać się ze spraw, jakimi rzeczywiście zajmują się polscy śledczy. W niniejszej książce wprawne oko dostrzeże szereg najbardziej popularnych przestępstw z Kodeksu karnego. Na pierwszym planie artykuły 177 i 207, nieco dalej 151, 156, 157, 178a, 190, 286, 292, czyny z ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii. Prokuratorowski chleb powszedni.

Kiedy zaczynałem pisać *Krzycz, jeśli żyjesz*, niczego nie planowałem. Podążałem drogą, która wiodła w bliżej nieokreślonym kierunku, i po prostu dałem jej się prowadzić. Przy drugim tomie sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Od samego początku wiedziałem, że chcę stworzyć rasowy kryminał, ale taki bardziej mój. Że nie chcę opowiadać bajek.

Świat ci nie wybaczy to opowieść wielowątkowa, poświęcona kilku śledztwom, połączonym wspólnym mianownikiem kilkunastu bohaterów. Bo tak to właśnie wygląda w rzeczywistości.

Czasem jest tak, że usilnie o coś walczymy, a i tak nic z tego nie wychodzi. Innym razem robimy stosunkowo niewiele, by niespodziewanie zdobyć coś cudownie nieosiągalnego. Moja literacka przygoda to scenariusz na jakiś amerykański film. Marzenie, które żyło we mnie od dziecka, pogrzebane tak głęboko pod warstwą spraw, celów i obowiązków, że trudno je było usłyszeć pośród szumu codzienności. Pewnego chłodnego wrześniowego dnia usiadłem do komputera, bardzo chcąc opowiedzieć pewną historię. Nie miałem co do niej żadnych szczególnych planów. Ale jak widać plany te były już gdzieś wcześniej zapisane.

Dwudziestego szóstego października, równo rok po tym, jak skończyłem tworzyć rękopis, *Krzycz, jeśli żyjesz* pojawiło się w niemal wszystkich księgarniach w Polsce. Książka już w dniu premiery trafiła na listę bestsellerów Empiku, zajmując czwartą lokatę w kategorii kryminałów. Niecały tydzień później wyprzedził się pierwszy nakład, jeszcze przed świętami zlecano trzeci dodruk, wydawnictwo prosiło o więcej. Te całe marzenia to naprawdę podstępne bestie.

Uświadomiłem sobie, że muszę pisać. Literatura pozwala zgłębić nam istotę człowieczeństwa, czuć bardziej, być bardziej, stawać się bardziej. Łączy autora z czytelnikiem, spaja dziwną, trudną do nazwania

więzią.

Wracając do tego, o czym wspominałem na samym początku: każdego dnia czuję ogromną WDZIĘCZNOŚĆ. Litery tworzą wyrazy, słowa układają się w zdania, akapity formują rozdziały. Ale aby powstała prawdziwa książka, potrzebny jest jeszcze Czytelnik. Bez Czytelnika nie ma książki; historia nie ożyje, jeśli nie przeczyta jej choć jedna osoba. Moje opowieści żyją wyjątkowo mocno, są samodzielnymi bytami, które już dawno oderwały się od swojego twórcy. To Wy poruszacie martwe karty historii, ożywiacie bohaterów swoją niezwykłą wyobraźnią, towarzyszyście ich krokom, patrzycie, jak upadają, śmieją się i płaczą. Jak kochają i tęsknią. Za to wszystko czuję wdzięczność i mówię po prostu: DZIĘKUJĘ.

Cyryl Sone

Przypisy

- 1 Wszystkie biblijne cytaty w języku łacińskim za: https://www.vatican.va/archive/bible/nova_vulgata/documents/nova-vulgata_index_lt.html (dostęp: 21.11.22). W języku polskim za: *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Poznań 2003. Tutaj: Rz 6,18.
- 2 Por. Ap 1,10–11.
- 3 Rz 2,12.
- 4 Łk 22,42.
- 5 Monty Python, *Always Look on the Bright Side of Life* (piosenka), *Żywot Briana*, 1979.
- 6 Por. Ps 139,7–8.
- 7 Mk 16,16.
- 8 Por. Pwt 21,18–21.
- 9 Por. Pwt 13,7–9.
- 10 Pwt 13,10–12.
- 11 Na 1,2.
- 12 Rdz 22,9.
- 13 Pwt 30,11–14.
- 14 *Miś*, reż. Stanisław Bareja, Zespół Filmowy Perspektywa, 1980.
- 15 Iz 63,6.
- 16 Por. Łk 19,26.
- 17 Mt 17,20.
- 18 Por. *Miś*, reż. Stanisław Bareja, Zespół Filmowy Perspektywa, 1980.
- 19 Wj 12,1–2.
- 20 Wj 15,6–7.
- 21 Wj 15,16.
- 22 Wj 12,7.
- 23 Wj 12,22–23.
- 24 Wj 12,12.
- 25 Łk 22,42.
- 26 Wj 12,29–30.
- 27 Ap 3,3.
- 28 Wj 14,21–22.
- 29 Ps 51,3.
- 30 Ps 51,4.
- 31 Ps 51,5.
- 32 Ps 51,15.
- 33 Wj 14,26–27.
- 34 Adam Asnyk, *Daremne żale*, w: tegoż, *Poezje*, wstęp Stefan Lichański, Warszawa 1974, s. 383.
- 35 J 18,28.
- 36 Tamże.
- 37 J 18,29.
- 38 J 18,30.
- 39 J 19,10.
- 40 J 19,11.
- 41 Mt 27,13–14.
- 42 J 18,37.
- 43 Adam Asnyk, *Daremne żale*, dz. cyt., s. 383.
- 44 Rdz 40,4–5.
- 45 Rdz 40,6–8.
- 46 Rdz 40,16–17.
- 47 Rdz 40,18–19.

- 48 Niem. proszę bardzo.
- 49 Niem. czy porozmawiamy jak kulturalni ludzie?
- 50 Niem. zakręt.
- 51 Por. Ps 15,2.
- 52 Por. Iz 54,17.
- 53 Wj 7,14–16.
- 54 Wj 7,17.
- 55 Ps 109,2–3.
- 56 Ps 109,4–5.
- 57 Ps 109,14–15.
- 58 Ps 109,18.
- 59 Ps 109,20.
- 60 Ps 109,21.
- 61 Ps 109,29.
- 62 *Video Killed the Radio Star* – piosenka zespołu Buggles, pierwszy teledysk wyemitowany w stacji MTV.
- 63 Ps 109,2–3.
- 64 Prz 5,1–2.
- 65 Prz 5,3–4.
- 66 Prz 5,6.
- 67 Iz 63,6.
- 68 Por. Ps 139,7–8.
- 69 Pwt 21,18–21.
- 70 Pwt 13,10–12.
- 71 Rdz 22,9.
- 72 Por. 1P 5,8.
- 73 Umberto Eco, *Imię Róży*, tłum. Adam Szymanowski, Warszawa 1987, s. 72.
- 74 Iz 59,7.
- 75 Iz 59,8.
- 76 Iz 59,9.
- 77 Wj 7,14–16.
- 78 Wj 7,17–18.
- 79 Krzysztof Kamil Baczyński, *Piosenka*, w: tegoż, *Wiersze*, Toruń 2007, s. 17.
- 80 J 19,9.
- 81 J 18,37.
- 82 Wj 8,13.
- 83 Wj 8,20.
- 84 Mt 16,3–4.
- 85 Por. Mt 19,30.
- 86 Rdz 19,24.
- 87 Rdz 19,25–26.
- 88 Krzysztof Kamil Baczyński, *** (*Jesień to gwiazdy...*), w: tegoż, *Wiersze*, Toruń 2007, s. 28.
- 89 Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, „Dzieła wybrane”, t. 1, tłum. Czesław Jarzębiec-Kozłowski, Warszawa 1955, s. 20.
- 90 Por. Ap 1,10–11.
- 91 Pwt 30,11–14.
- 92 Wj 12,1–2.
- 93 Wj 15,6–7.
- 94 Wj 15,16.
- 95 Wj 12,12.
- 96 Wj 12,29–30.
- 97 Łk 12,7.